

# MARTA GUZOWSKA

R  
A  
J

MARGINESY



**MARTA**  
**GUZOWSKA**

**R**  
**A**  
**J**

**MARGINESY**

# Spis treści

Karta redakcyjna

PRZED

Jonasz

DZIEŃ

Teresa

Dorota

Rudy

Ce

Andriej

Jakub

Dorota

Teresa

Rudy

Jonasz

Jakub

Dorota

Teresa

Rudy

Jakub

Dorota

Teresa

Rudy

WIECZÓR

Teresa

Rudy

Ce

Jakub

Teresa

Andriej

Rudy

Jakub

Dorota

Andriej

Jakub

Ce

Rudy

Teresa

Jakub

Andriej

Dorota

Jakub

Rudy

Teresa

Ce

Jonasz

Teresa

NOC

Teresa

Dorota

Andriej

Teresa

Jakub

Rudy  
Ce  
Teresa  
Dorota  
Andriej  
Jakub  
Teresa  
Rudy  
Jonasz  
Ce  
Andriej  
Teresa  
Rudy  
Jakub  
Teresa  
Andriej  
Rudy  
Ce  
Dorota  
Teresa  
Rudy  
Ce  
Teresa  
Dorota  
Andriej  
Jakub  
Jonasz  
Rudy  
Ce

Andriej

Teresa

Jakub

Jonasz

Teresa

Dorota

Teresa

Andriej

Jonasz

PO

Rudy

Ce

Dorota

Teresa

Jakub

Andriej

Jonasz

Posłowie

Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja KAROLINA MACIOS  
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com  
Zdjęcie na okładce © cocoparisienne / Pixabay.com

Copyright © by Marta Guzowska  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66140-61-5

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa  
tel. 48 22 663 02 75  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)  
[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

PRZED



## JONASZ

– Tylko jedna uwaga, stary: ta nazwa nie przejdzie – mówi Jonasz. – Z góry uprzedzam, żeby potem nie było rozczarowania.

Idzie korytarzem szybkim krokiem, za plecami słyszy oddech Marcina. Zebranie zacznie się dopiero za dziesięć minut, ale Jonasz lubi być w sali konferencyjnej przed czasem. Żeby wszystko ogarnąć.

– Nie tylko przejdzie... – sapie Marcin tuż za nim. – Nie tylko przejdzie, ale to ty ją przepchniesz.

– Jezu, człowieku. – Jonasz zatrzymuje się, zerka w ciemną szybę, poprawia krawat. – Czy wy uważacie, że ja jestem jakimś Panem Bogiem czy coś?

– Blisko – dyszy Marcin. Sięga Jonaszowi do ucha, za to waży chyba ze dwadzieścia kilo więcej. W ramach postanowień noworocznych obiecał sobie (i powiedział o tym Jonaszowi przy piwie), że będzie chodzić na siłownię. I wytrzymał do połowy lutego. – Jesteś naszym człowiekiem do zadań specjalnych.

– Jasne. Przekonać kontrahentów: Jonasz. Zdobyć w pół dnia wszystkie podpisy na papierach: Jonasz. Posprzątać, jak się robi burdel: Jonasz.

– A co, każda firma musi mieć swojego Jonasza. Jesteś niezastąpiony. Nie cieszysz się?

– Jak cholera – mruczy Jonasz. Pcha drzwi do sali konferencyjnej.

W środku na razie jest chłodno, ale później, kiedy zejdą się wszyscy, trzeba będzie skrócić klimę o dwa, trzy stopnie. Jonasz wie, że takie szczegóły są ważne. Jeśli na zebraniu przedstawiciel głównego kontrahenta będzie się pocił, szansa, że podejmie decyzję o wyłożeniu kasy, zmaleje. Jonasz rozumie związek między komfortem termicznym a wysokością sumy. I pewnie właśnie dlatego jest człowiekiem do zadań specjalnych.

Kiedy Jonasz zaczyna swoją prezentację, okazuje się, że coś jest nie tak z pokrętem od klimy, chociaż miesiąc temu wszystko wymienili na nowe. Chociaż osobiście ustawił temperaturę na osiemnaście stopni, czuje wilgoć pod

pachami i na plecach. Na razie zapach jest przyjemny, markowy dezodorant miesza się z markową wodą kolońską. Ale Jonasz nie ręczy za siebie, jeśli to potrwa dłużej.

Na razie powstrzymuje się, żeby nie wetknąć palców pod krawat i nie poluzować węzła. Ściska w palcach długopis i mówi dalej:

– To dobry moment, żeby przypomnieć kilka liczb. Oczywiście państwo wiedzą już to wszystko, więc tylko w dużym skrócie. Przy wartości inwestycji wynoszącej sześćdziesiąt pięć milionów euro mamy powierzchnię najmu wynoszącą dziewięćdziesiąt cztery tysiące metrów kwadratowych, w tym sto siedemdziesiąt sklepów, dwadzieścia kawiarni i restauracji i dziesięć sklepów wielkopowierzchniowych. Liczba miejsc parkingowych wynosi dwa tysiące osiemset...

Urywa. Nie powinien co chwila używać słowa „wynosi”. Takie rzeczy trzeba kontrolować. Mówi dalej:

– Tworzymy trzy wielkie zony dla trzech rodzajów klientów. A raczej – poprawia się – dla tych samych klientów, tylko potrzebujących innych rzeczy.

Przedstawiciel inwestora patrzy na niego wzrokiem, z którego niczego nie daje się wyczytać. Ani razu nie mruga. Ten człowiek jest maszyną. Ale to on decyduje o kasie.

– Każdy z nas czasem szuka prezentu dla żony na urodziny, na początku roku szkolnego musi kupić dzieciom buty i kostium gimnastyczny, a czasem potrzebuje mąki, cukru i innych podstawowych kuchennych produktów...

– Mąka i cukier to nie są podstawowe kuchenne produkty – przerywa mu Ewelina z reklamy. – Myślisz schematami nie z tej epoki, a naszą główną grupą targetową są klienci prowadzący nowoczesne gospodarstwa domowe, stawiający na zdrowe odżywianie.

Palce Jonasza znowu wędrują w stronę kołnierzyka, ale zatrzymuje je w pół drogi i strzepuje z klapy marynarki niewidzialny pyłek.

– Oczywiście – mówi i rozkłada ręce. Taki gest (uczył się tego na szkoleniach z mowy ciała) znamionuje dobrą wolę i chęć współpracy. – Oczywiście, tak mi się tylko powiedziało. Zresztą w zonie supermarketowej jest rozbudowana sekcja świeżej żywności i wielka dekoracja z warzyw i owoców. Przy samym wejściu. W folderze znajdują państwo wizualizację. Na stronie siedemnastej.

Czeka, aż umilknie szelest przewracanych kartek.

– Wracając do głównego wątku: chcemy, żeby nasi klienci mogli znaleźć w galerii trzy oddzielne strefy odpowiadające trzem podstawowym sferom ich potrzeb: prowadzenia gospodarstwa domowego, zakupów związanych z gospodarstwem domowym i rodziną, ale nie takich codziennych – tu wrzucamy zarówno sklepy ze sprzętem sportowym, jak i AGD, całą elektronikę oraz... – musi zaczerpnąć powietrza, bo płuca ma puste po tym długim zdaniu – ...oraz luksusu. Luksusu na każdą kieszeń. Bo przez luksus rozumiemy po prostu wszystko, czego nie musimy, ale co chcemy mieć. Bizuterię. Nowe ubrania. Nowe torebki. Nowe buty.

Palce znowu wędrują do kołnierzyka. Jonasz unosi więc drugą rękę i poprawia krawat ruchem, który ćwiczy codziennie przed lustrem, żeby wydawał się męski i zdecydowany.

– Jestem pewien, że zarówno państwo, jak i ja posiadamy dość garniturów, garsonek i butów, żeby starczyło do końca życia... No dobrze, może tylko do emerytury. – Robi pauzę na uprzejmy śmiech. – Nasi klienci też. Żyjemy w czasach nadmiaru i nie ukrywam, że miasto nie potrzebuje nowej galerii handlowej. Ale miasto jej chce!

Urywa. Tym razem nikt się nie śmieje. Wszyscy patrzą na niego.

Jonasz żyje dla takich chwil. Lekko się uśmiecha, krzepiąco, żeby przedstawicielom inwestora udzielił się jego dobry nastrój. A potem mówi dalej:

– Miasto jej chce, ludzie jej chcą, bo ludzie chcą nowych rzeczy. Oprócz mąki oraz świeżych warzyw – kłania się w stronę Eweliny z promocji – oprócz sportowych butów dla dzieciaków, którym ciągle rosną nogi, ludzie, dorośli konsumenci, chcą rzeczy dla siebie. Nie potrzebują ich. Ale ich pragną. I my im je dostarczymy.

Trzeba będzie coś zrobić z tą pieprzoną klimą, i to szybko, jeszcze przed następnym zebraniem. Jonasz ma wrażenie, że w sali konferencyjnej kończy się powietrze i że zaraz skończy się też jemu. Bierze głęboki wdech, by ukraść innym tę pozostałą resztkę tlenu. Przedstawiciel inwestora i tak jej nie potrzebuje, skoro jest robotem.

– Proszę otworzyć foldery na stronie czwartej. – Daje im na to sekundę. – Tu

znajdą państwo nasz podział na strefy, o którym mówiłem na początku. A więc supermarket z tyłu. Elektronika, AGD i dwa duże sieciowe sklepy sportowe w jednym skrzydle. W drugim to, o czym jeszcze nie wspomniałem: tak zwany food court, restauracje i kawiarnie. Ale naszą najważniejszą strefą będzie strefa luksusu, umieszczona z przodu wzdłuż dwóch łukowato wygiętych korytarzy. Tu będzie wejście do galerii. Tutaj...

– Jedno wejście? – przerywa mu kobieta, która siedzi obok przedstawiciela inwestora. Nie podała swojego nazwiska przed spotkaniem, nawet nie uściśnięła mu ręki. – Żadne przepisy przeciwpożarowe...

– Główne wejście! – Jonasz powtarza z naciskiem: – Główne. To na poziomie zero. Oprócz niego zaplanowaliśmy też oczywiście wejścia na parking umieszczony na poziomie minus jeden oraz schodami ruchomymi do strefy luksusu. Ale do głównego można będzie dostać się z ulicy i z parkingu na poziomie zero. To wejście będzie prowadziło prosto do królestwa luksusu, rzeczy, których nie potrzebujemy, ale których pożądamy. I każdy, kto będzie szedł po kapary i pomidory, po buty na WF dla dzieciaka, po sanki, po narty na rodzinny wypad i po czajnik elektryczny, bo stary się spalił, będzie tędy przechodził. I będzie czuł pożądanie. Zapach perfum. Zapach wyprawionej skóry. Zapach ubrań prosto z fabryki, prosto z wieszaków. Zanim dotrze do supermarketu po jajka, proszek do prania albo rozpałkę do grilla, zostanie poddany niewyobrażalnym pokusom. I nie oprze się im.

Urywa. Zapada cisza. Przedstawiciel głównego inwestora nie spuszcza z niego wzroku mechanicznej jaszczurki.

– A teraz poproszę, żeby przeszli państwo na przedostatnią stronę. Na zakończenie naszego spotkania chciałbym przedstawić koncepcję artystyczną naszej nowej galerii.

Tym razem szelest trwa dłużej, większość dociera na sam koniec foldera, a potem musi cofnąć się o jedną kartkę. Jonasz wykorzystuje ten czas, żeby wziąć kolejny głęboki wdech. Wie, że to decydujący moment. Albo przejdzie, albo nie przejdzie. Albo on potwierdzi swoją reputację cudotwórcy do zadań specjalnych, albo... No cóż, reputacja to krucha rzecz, wystarczy jeden błąd.

Zdejmuje dłoń ze stołu, opuszcza poniżej poziomu blatu i zaciska w pięść tak mocno, że na moment traci czucie w opuszkach palców. A potem ostrożnie ją rozprostowuje. Kłykcie wydają chrupiący dźwięk, w ciszy brzmi to jak wystrzał,

ale nikt nie zwraca na niego uwagi.

– Uznaliśmy, że skoro jest już tyle galerii handlowych w mieście, musimy dać naszym klientom coś specjalnego. Coś, co ich zachwyci i wprawi w świetny nastrój. Przecież wszyscy państwo znają badania, z których wynika, że to, co i ile kupujemy, zależy tylko i wyłącznie od nastroju.

Nikt nie odpowiada. Kiedy urywa, na sali zapada cisza. Musi sam ją przerwać.

– Uznaliśmy, że potrzebujemy profesjonalistów. Zatrudniliśmy duet architektów wnętrz, słynnych z niedawnych projektów restauracji, nocnego klubu i foyer teatru. Wiemy, że te nazwiska skuszą wiele osób do przyścia do galerii, a my już wtedy nakłonimy ich do zakupów. Mają państwo przed sobą projekt Kmiecika i Burskiego!

Chociaż kończy wykrzyknikiem, jakby czekał na oklaski, znowu odpowiada mu cisza.

Jonasz robi wszystko, żeby nie odchrząknąć. Zaczyna z chrypką, po chwili odkasłuje.

– Przepraszam. To ta klimatyzacja. Chcę zwrócić państwa uwagę na fakt, że to nie jest zwykle wnętrze galerii handlowej. Po pierwsze, sufit. Są w nim wielkie szklane okna, zaprojektowane tak, by wpuszczać jak najwięcej naturalnego światła, nawet w pochmurne dni. Wyszliśmy z założenia, że nic tak nie poprawia nastroju klienta jak naturalne oświetlenie, i nic go tak nie pogarsza, jak konieczność przebywania przez wiele godzin w sztucznym świetle. Ale w naszym klimacie na samym świetle naturalnym daleko nie zajedziemy, wystarczy wyjrzeć przez okno, dlatego zaprojektowaliśmy też lampy. Specjalne lampy, nie jarzeniówki pod sufitem, tylko starannie zakomponowane punktowe oświetlenie, współgrające z wystrojem.

Kilka osób podnosi wzrok znad folderu i patrzy na Jonasza. Słuchają.

– Druga sprawa to sama dekoracja wnętrza. Ostatnio w modzie był minimalizm i proszę zwrócić uwagę na fakt, że użyłem czasownika „być” w czasie przeszłym. Bo już nie jest. Powraca neobarok. Przepych! Przeładowanie! Chcemy oszołomić naszych klientów. Stąd spójnie zakomponowane dekoracje wszystkich elementów: ścian, podłóg, sufitów, a także wolno stojących kiosków w środku alejek. Ich najemcy oczywiście

eksponują własne logo, ale elementy marki są wkomponowane w ogólny wystrój. W folderze znajdują państwo kilka przykładów, proszę spojrzeć.

Głowy pochylają się posłusznie, jakby kierował nimi lalkarz.

– I wszyscy się zgodzili? – pyta mężczyzna w jedwabnym żółtym krawacie. Jonasz nie zna faceta. Chyba też przyszedł z przedstawicielem inwestora.

– Entuzjastycznie! Uważają, że to świetny pomysł. Odświeżający.

– Może i tak – mruczy mężczyzna i znowu pochyla się nad folderem.

– No i wreszcie nazwa galerii! – mówi Jonasz, jakby intonował „tadam!”. – Spójna z projektem, lekko prowokująca, za to bardzo zachęcająca. Skłaniająca konsumenta do zakupów. Idealna. Niech państwo sami oceniają.

Tym razem cisza trwa dłużej, chyba z minutę.

Pierwsza głowę podnosi kobieta siedząca obok przedstawiciela głównego inwestora.

– Będą protesty – mówi.

Gdyby Jonasz był mniej skoncentrowany na zadaniu, założyłby się sam ze sobą, że właśnie to zdanie padnie jako pierwsze. Po prostu to wiedział. I dlatego postanawia nie odpowiadać. Toczy wzrokiem po zgromadzonych.

– Księża nas wyklną z ambon – mruczy szef jego własnego działu. Niezbyt to pomocne, więc Jonasz jego też ignoruje.

– To prawda – podejmuje bez sekundy przerwy Ewelina z promocji. – To nie jest dobry moment, żeby zadzierać z klerem. I tak dużo się teraz dzieje.

– I tu się mylisz, moja droga – odpowiada Jonasz tak swobodnie, jakby chodziło o wybór smaku lodów. – Po pierwsze, to jest całkiem niezły moment, żeby zadzierać z klerem. A po drugie, jak brzmi motto twojego działu? Bo chyba nie dosłyszałem. – Jonasz teatralnym gestem przykłada sobie dłoń do ucha. – Czy to nie jest czasem: nie ma złego piaru, jest tylko piar? Jak ludzie usłyszą, że ksiądz wyklina nas z ambony, zaraz po mszy przylecą na zakupy, choćby przez przekorę.

– Jeśli to akurat będzie handlowa niedziela – wtrąca Ewelina.

Jonasz ją olewa. Ale nie zapomni. On nigdy nie zapomina, jak słoń, więc będzie też pamiętał, że na tym najważniejszym zebraniu rzuciła mu kłody pod nogi. I wróci do tego w odpowiednim momencie.

– Po drugie... – Jonasz opiera się o stół, pochyla do przodu i patrzy przedstawicielowi inwestora prosto w oczy. – Po drugie, nie jesteśmy na zabitej dechami wsi, tylko w wielkim mieście. Nie przeceniajmy roli Kościoła w wielkich metropoliach.

Przedstawiciel inwestora po raz pierwszy daje po sobie poznać, że jednak jest człowiekiem, a nie robotem. Mruga, przysuwa się do siedzącej obok kobiety i coś do niej szepcze. Jedno słowo.

Jonasz pochyla się jeszcze bardziej do przodu.

– Kiedyś to nazywano *succès de scandale* – popisuje się ładnym francuskim akcentem, po prostu nie może się powstrzymać. – Im więcej będą o nas mówić, wszystko jedno, czy dobrze, czy źle, tym więcej ludzi do nas przyjdzie. Wskazują na to zarówno badania socjologiczne, zebrane wyniki mogą państwo znaleźć w folderze na ostatniej stronie, jak i praktyka. To po trzecie.

Tym razem nikt się nie rusza. Nikt nie przewraca kartki, żeby zerknąć na tę ostatnią stronę. Główny inwestor znów szepcze do kobiety obok. Drugie słowo.

– A po czwarte – Jonasz znowu szeroko rozkłada ręce, pokazując dobrą wolę i chęć współpracy – czy w ogóle można sobie wyobrazić lepszą, bardziej zachęcającą i bardziej kuszącą nazwę dla galerii handlowej niż RAJ?

DZIEŃ



## TERESA

Teresa widzi przed blokiem śmierć.

Wychodzi z domu tylko na chwilę, do spożywczaka za rogiem, po croissanty i mleko. Dzień jest piękny, na coś się przydaje globalne ocieplenie. Maj dopiero jutro, a pogoda jak w lipcu: niebo błękitne po horyzont, bez ani jednej chmurki, a wiaterek tylko dla dekoracji, żeby mogły szumieć liście na drzewach. Rano, koło ósmej, potrzebny jest jeszcze sweter, ale wszystko wskazuje na to, że w południe da się chodzić w samej bluzce. Złota polska wiosna.

Teresa jest zbyt zaspana, żeby delektować się pięknem przyrody. Dopóki nie wypije drugiej kawy, przyroda może dla niej w ogóle nie istnieć. Ale kawa musi być z cholernym mlekiem i dlatego w ogóle Teresa wychodzi z domu. Bo Doroty nie da się obudzić w sobotę rano i posłać do sklepu, Teresa może sobie tylko pomarzyć.

Teresa ledwo widzi na oczy, ma potargane włosy i nie jest tak do końca pewna, czy nie włożyła swetra na lewą stronę. Ale na widok śmierci budzi się natychmiast.

Naprzeciwko klatki schodowej parkuje garbus, nowy model w pięknym kawowym kolorze. Samochód, o którym Teresa też może sobie tylko pomarzyć, tak samo jak o obudzeniu córki z samego rana. Garbus ma tablicę rejestracyjną DEATH1.

Teresa czuje, że drętwieje. Nagle w ogóle przestaje być śpiąca, a sweter wilgotnieje pod pachami wcale nie dlatego, że na dworze upał. Właściwie nie jest przesądna, nie ruszają jej czarne koty, ustawione na chodniku drabiny, zakonnice ani kominiarze. Ale wstać w taki piękny, prawie majowy poranek i od razu zobaczyć śmierć? To nie może być zapowiedź dobrego dnia.

Od razu myśli o Dorocie, chociaż Dorota jakoś sobie radzi. Jednak Teresa ma takie dni, kiedy dławi ją strach o dziecko. Chociaż właściwie częściej są to noce, kiedy nie może zasnąć. Dzisiaj na widok tej idiotycznej tablicy rejestracyjnej wszystkie czarne myśli powracają. Wszystkie lęki.

Przede wszystkim lęk o Dorotę. Że coś jej się stanie, że – o to Teresa boi się najczęściej – ktoś ją skrzywdzi. Że ktoś poda ładnej szesnastolatce pigułkę gwałtu (choć, na litość boską, szesnastolatek chyba nie wpuszczają do barów!), że ją zgwałci na imprezie, że gdzieś zwabi i zamorduje (a przedtem zgwałci). Ten lęk jest czasem tak silny, że wyrывa Teresę ze snu w środku nocy i każe jej godzinami gapić się w ciemny sufit.

Oczywiście nie ma żadnych podstaw, by się bać, a Teresa jest psycholożką, więc wie to najlepiej. Dorota jest normalną nastolatką, w tym mieście znajdują się pewnie dziesiątki tysięcy takich samych. Przeciętną w każdym calu. Uczy się przeciętnie, wygląda przeciętnie (zresztą teraz wszystkie dziewczyny w tym wieku wyglądają tak samo). Więc dlaczego akurat jej miałyby się przytrafić coś złego? To tłumaczy sobie mądra, racjonalna i profesjonalna Teresa. Ale wylękniona Teresa matka chce tylko chronić swoje dziecko. I do szału doprowadza ją, że nawet nie wie przed czym.

Potem dochodzi lęk o nią samą. Że dostanie zawału albo udaru, ze stresu albo po prostu dlatego, że nie jest już nastolatką i jej ciało na pewno nie działa już tak, jak trzeba. Że umrze i zostawi Dorotę. Że nie będzie mogła pilnować córki, pomagać, wspierać. Że nie będzie jej mogła zrekompensować braku ojca. Że nie pomoże wystartować w świat. Że nie dopilnuje, by wszystko dobrze się skończyło.

I jest jeszcze trzeci lęk, do którego Teresa przyznaje się najmniej chętnie. No bo tamte dwa można wytłumaczyć. Może świadczą o tym, że Teresa jest nadopiekuńcza i za bardzo się przejmuje, ale w sumie nie ma w tym nic złego, nie? Społeczeństwo poważa nadopiekuńcze matki, uchodzą powszechnie za bohaterki. Nadopiekuńczość to coś, do czego można się spokojnie przyznać w rozmowach z koleżankami, a nawet czasem pożartować z tego przy kawie.

A jak wytłumaczyć paniczny, irracjonalny, atawistyczny lęk przed pożarem? Jak z tego żartować w przerwie na lunch albo w drodze z pracy na parking?

Teresa boi się ognia i sama nie wie dlaczego. Nigdy nie straciła w pożarze nikogo ani niczego. Nigdy nie spaliło jej się mieszkanie, żadnemu z bliższych i dalszych znajomych też nie. Doświadczenia Teresy z ogniem ograniczają się do harcerskich ognisk jeszcze w podstawówce.

Ale boi się ognia, panicznie, niewytłumaczalnie. Nie pozwala trzymać w domu świec i regularnie sprawdza przydatność do użytku trzech gaśnic

w mieszkaniu i dwóch, które wozi w samochodzie (choć przepisy mówią tylko o jednej). W każdym pomieszczeniu ma zamontowany czujnik dymu. A i tak często budzi się w nocy i obchodzi wszystkie pokoje, wącha, czy nie poczuje spalenizny, zagląda do Doroty, wyjmując wtyczki z kontaktów, żeby nie poszła iskra.

Wie, że to głupie. Wie, że to nie ma nic wspólnego z prawami fizyki, chemii pewnie też nie. Ale spróbujcie wytłumaczyć to komuś, kto się boi!

To wszystko przychodzi do niej w chwili, kiedy patrzy na głupią tablicę rejestracyjną DEATH1, efekt czyjegoś debilnego żartu. Teresa kuli się w sobie. Najchętniej obróciłaby się na pięcie i pognęła do domu. Weszła pod kołdrę i zaszyła się tam na cały dzień. I w ogóle nie wychodziła, co najwyżej zadzwoniła po pizzę. Ale nie może.

Nie może, bo właśnie ten dzień wybrała, żeby stać się dorosłym, odpowiedzialnym człowiekiem. Żeby dorosnąć wreszcie do tego, że jest matką nastolatki i kobietą, która sama może kierować swoim życiem. Żeby przestać się wreszcie zachowywać jak mała przestraszona dziewczynka.

Więc nie wraca do domu. Omija dużym łukiem garbusa z rejestracją DEATH1 i idzie do tego cholernego sklepu po te cholerne croissanty i mleko. Kiedy wraca, wpatruje się w okna domu po przeciwnej stronie ulicy, nie patrzy na ciąg samochodów. Ale w końcu nie wytrzymuje i zerka. Garbusa nie ma. Musiał odjechać przed chwilą, bo miejsce parkingowe jest jeszcze puste.

Teresie wydaje się, że zaparkował tu specjalnie, żeby przekazać jej wiadomość. I znowu zaczyna się martwić o swoją jedyną córkę. Te czarne myśli nie pasują do nowego wizerunku Teresy, pozbawionej przesądów dorosłej kobiety, która bierze życie w swoje ręce, ale Teresa nic nie może na to poradzić. Bo jak każda matka chce tylko chronić swoje dziecko. Tylko tyle!

## DOROTA

Dorota wstaje tak, żeby sprężyny łóżka nie skrzypnęły, szafę z ubraniami otwiera milimetr po milimetrze, bo nie ma komu naoliwić drzwiczek. Stara się ubierać jak najciszej i postanawia, że wysika się tuż przed samym wyjściem, chociaż bardzo jej się chce. Makijaż też sobie odpuszcza, w tej nowej galerii handlowej pójdzie do jakiejś perfumerii i wypróbuje fajne kosmetyki, na które jej nie stać. Włoży tylko ciuchy i wyjdzie po cichu. Jeśli będzie miała szczęście, okaże się, że matka jeszcze śpi albo siedzi przed tym swoim głupim laptopem. Jeśli Dorota będzie miała szczęście, wymknie się z domu niezauważona. Bo inaczej znowu będzie: „Zjadłaś śniadanie?“, „Dokąd idziesz?“, „Czy ty nie masz nic lepszego do roboty?“, i miliony innych debilnych pytań, na które szkoda w ogóle wymyślać odpowiedzi.

Dorota sięga po spódniczkę, T-shirt i bluzę. Zerka za okno. Niebo jest błękitne jak w lecie i na pewno nie będzie dzisiaj padać. Zresztą to i tak wszystko jedno, bo mają zamiar, razem z Ce, spędzić w galerii handlowej cały dzień, więc jeśli o nią, Dorotę, chodzi, może być nawet burza z piorunami.

Schyła się pod biurko, żeby wyciągnąć adidas, i niechcący strąca zeszyt. Kiedy ten płaska o dywan, Dorota zamiera, a potem cicho pod nosem rzuca kurwą, której ciągle nie ma odwagi głośno wymówić. Jednak z pokoju obok nie dobiega żaden dźwięk, może matka rzeczywiście śpi.

Dorocie już naprawdę bardzo chce się siusiu, ale siada jeszcze na chwilę przed małą pudełkową toaletką ustawioną na biurku. Poprawia włosy, które ostatnio obcięła prawie tak samo jak Ce, i przysuwa twarz do tafli lustra. Podciąga skórę na skroniach, wydyma usta.

Drzwi za jej plecami lekko skrzypią, Dorota odwraca się gwałtownie. Drzwi otwierają się tylko na kilka centymetrów i do pokoju wkracza kotka. Podchodzi do nogi Doroty, wskakuje dziewczynie na kolana, a potem na biurko. Przysuwa pyszczek do lustra, obwąchuje je. Dorota całuje ją w łeppek.

– Przynajmniej ty jesteś śliczna – szepcze.

Bo sama wygląda okropnie i nawet makijaż, który planuje zrobić w perfumerii, nic tu nie da. Okropnie. Ma taką pospolitą twarz. Okrągłe oczy. Wąskie wargi. Po matce. Co by to szkodziło, żeby urodziła się jakiejś kobiecie z ładniejszymi ustami, no co? Dlaczego, na przykład, nie jest córką nowej narzeczonej taty? Chociaż ta chyba używa botoksu albo przynajmniej kwasu hialuronowego. Dorota też planuje sobie wstrzyknąć kwas, jak tylko będzie miała własne pieniądze i jak skończy osiemnastkę, żeby matka nie mogła się przyczepić. Wtedy będzie chociaż trochę wyglądać jak Ce.

Ce! Kotka mruczy i chce się popieścić, ale Dorota odsuwa ją, rzuca się na łóżko i wyciąga spod poduszki telefon wyciszony na noc, żeby matka nie jazgotała. Tak jak myślała, ma wiadomość na WhatsAppie. „Wstałaś już? Zbierasz się?”

Dorota przez chwilę wpatruje się w selfika na wygaszacz ekranu, na którym razem z Ce robią dziubki. Najlepsze przyjaciółki, Ce i Dory. Zawsze razem. Tylko że Ce zawsze na pierwszym miejscu, jak w alfabecie, a Dorota nosi przezwisko po tej małej rozgarniętej rybce z filmu dla dzieci.

Ale Dorota nawet nie uważa, że to niesprawiedliwe. Bo Ce jest wspaniała. Pracuje. Zarabia. Ma własną kasę. Jest modową wideoblogerką, więc to najfajniejsza praca z możliwych, a do tego na YouTube subskrybuje ją pięćdziesiąt siedem tysięcy osób, a na Insta prawie siedemdziesiąt! Dorota też by tak chciała, tylko matka się nie zgadza. Bo nawet nie wie, że Ce zarabia w ten sposób mnóstwo kasy. Co prawda większość firm nie przysyła jej gotówki, tylko ubrania, które Ce musi przed kamerką rozpakować i przymierzyć, a potem puszcza te ciuchy na Allegro albo na Olksie i *cash* płynie.

Matka Doroty się nie zgadza, bo mówi, że Dorota ma się uczyć. Czy ona nie wie, że ta głupia szkoła do niczego się Dorocie nie przyda? Że za parę lat w ogóle będą inne zawody, a i tak wszystko przejmą roboty? I zostaną tylko jutuberzy, tacy jak Ce, bo robot nie będzie przecież przymierzał ubrań przed kamerą. To ma przyszłość, a nie jakaś głupia nauka!

Dorota i tak by spróbowała robić to co Ce, a matka w życiu by się nie dowiedziała, bo nie zagląda na YouTube'a, ale na rozkręcenie biznesu potrzeba forsy. Firmy zaczynają przysyłać ciuchy, dopiero gdy ma się już sporo oglądających, a wcześniej trzeba samemu kupować, rozpakowywać i wrzucać. Oczywiście potem można oddawać do sklepu, ale i tak na początek warto mieć

parę tysięcy, przecież filmiki trzeba wrzucać nawet kilka razy dziennie, a zanim przyjdzie paczka, mija kilka dni. No, jednym słowem potrzeba kasy, a matka jej nie da, bo nawet sama nie ma, o czym Dorota bardzo dobrze wie. Ojciec też nie da, daje tej swojej lasce na ostrzykiwanie kwasem. Ślepa uliczka.

Telefon znowu wydaje cichy pisk. „O której będziesz?”, pyta Ce. „Już lecę”, odpowiada Dorota. Wsuwa telefon do kieszeni, przewiesza torebkę przez ramię. Strasznie, ale to po prostu strasznie chce się jej sikać. Prześlizguje się na palcach do przedpokoju, zamyka na chwilę w łazience i stara się siusiać na ścianki toalety, żeby nie pluskało. A potem szybko spuszcza wodę, łapie kurtkę z wieszaka i jednym szarpnięciem otwiera drzwi na klatkę. I zderza się z matką.

## RUDY

Budzik dzwoni o ósmej. Rudy chętnie by jeszcze pospał, zwłaszcza że znowu siedział do nie wiadomo której i po raz setny szlifował swój plan. I właśnie dlatego nie może teraz dłużej zostać w łóżku, chociaż jest sobota.

Rudy wyskakuje z pościeli i idzie do łazienki. Sika pod prysznicem, bo trzeba chronić planetę, a jak się dziennie zaoszczędzi dziesięć litrów spuszczonej wody, to rocznie wychodzi trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt. A w lata przestępne trzy tysiące sześćset sześćdziesiąt. Gdyby wszyscy tak robili, Ziemia byłaby lepszym miejscem.

Na śniadanie zjada muesli z rodzynkami, miodem i kozim mlekiem. Krowiego nie kupuje po tym, jak przeczytał artykuł o cielętach. Nie jest naiwny, wie, że w pojedynkę świata nie zmieni, ale każdy powinien zacząć od siebie i Rudy właśnie to robi.

Potem jeszcze trzydzieści pompek i trzydzieści przysiadów (powinien przed śniadaniem, ale zapomniał) i Rudy poświęca kilka minut na ważną kwestię wyboru ubrania. Bo: a) nie może się rzucać w oczy, b) musi się wtapiać w tłum, a nigdy nie wiadomo, jak tłum się akurat ubierze, c) nie może mu być za gorąco, d) nie może mu być za zimno, e) musi mu być wygodnie, konieczna pełna swoboda ruchów. Dzisiaj będzie działał w sztucznym środowisku, nie na zewnątrz, więc przynajmniej nie musi uwzględniać dobowych wahań temperatury. Klimat w galeriach handlowych w taki piękny wiosenny dzień będzie zapewne ustawiona na dwadzieścia do dwudziestu dwóch stopni, Rudy odrobił swoją lekcję. Więc dzinsy, adidas, szary T-shirt. W tym kolorze zawsze widuje się Zuckerberga (ludzie podświadomie kojarzą ten odcień pozytywnie, a w ogóle nie widać brudu). Ma jeszcze wielką chęć dobrać do stroju kaszkiet, wie, że nieźle w nim wygląda. Ale jaki jest sens posiadania rudych włosów, jeśli człowiek zasłania je czapką?

Weźmie jeszcze wiatrówkę, bo kiedy siedzi się kilka godzin bez ruchu w dwudziestu stopniach, robi się chłodno. A Rudy ma być sprawny i elastyczny, a nie skostniały z zimna. Od tego zależy powodzenie planu.

Plecak musi być niewielki, to podstawa. Z dużym w galeriach handlowych zawsze są kwasy, każą go zostawiać w specjalnych schowkach, a to by położyło plan Rudego. Więc musi mieć coś na tyle małego, żeby nikt się nie przyczepił, niewiele większego od damskiej torebki.

Rudy jest mistrzem pakowania. Do dwunastolitrowego plecaczka wkłada komplet wytrychów, trzy pary rękawiczek, cienkich, lateksowych (ze zwykłego supermarketu, w ohydny cielistym kolorze), wielofunkcyjny scyzoryk, zestaw do farbowania włosów, zestaw do umycia zlewu, zwiniętą w rulon dużą i przy tym cienką (choć wyglądającą na grubą) płócienną torbę, zapalniczkę i paczkę papierosów. I kilka batonów energetycznych na wypadek, gdyby złapał go głód. No i jeszcze telefon. Ale nie ten, którego używa na co dzień, zarejestrowany na jego, Rudego, prawdziwe nazwisko. Ten zostawia w domu, a ze sobą bierze aparat na kartę kupiony od słupa pod Biedronką. Serio, ktoś przez sekundę miał nadzieję, że obowiązkowe rejestrowanie kart telefonicznych utrudni życie przestępcom?

Rzecz jasna Rudy nie bierze żadnych dokumentów ani kart. Ani kluczy. Klucze chowa pod doniczką obok drzwi jednej starszej pani, która pół klatki schodowej zastawiła roślinami. A co do transportu, to w obie strony pojedzie autobusem. Do kieszeni dzinsów wkłada dwa bilety na komunikację miejską. I kilka banknotów. To wszystko.

Porównuje zawartość z listą, którą wczoraj zrobił, upycha rzeczy w plecaczku. Zarzuca go na ramię i ogląda się w lustrze w łazience. Nieźle, wpuściliby go nawet do biblioteki.

Zdejmuje plecak z ramienia, sprawdza godzinę na zegarku, który też zostawia w łazience, na pralce. Ma jeszcze strasznie dużo czasu. Nie powinien pojawić się w galerii przed dwunastą, nawet lepiej byłoby o trzynastej. Właściwie to nie wiadomo, po co tak rano wstał. Mógł pospać przynajmniej do dziesiątej, a i tak byłoby za wcześnie. Ale dobra, przynajmniej zdąży jeszcze raz przejrzeć swój plan i sprawdzić, czy nie przeoczył żadnego słabego punktu. Nie żeby Rudy spodziewał się jakiegoś znaleźć. Tylko jak mówi jego ulubiony literacki bohater: *Hope for the best, but prepare for the worst*. I Rudy tego się trzyma.



Ce nie lubi wstawać wcześniej rano, oł dżizas, jak ona tego nie lubi! Zwłaszcza że wczoraj siedziała na necie do jakiejś niehumanitarnej zupełnie godziny. Starych nie ma, zrobili sobie długi weekend i nikt jej nie truł, że „nastolatki muszą chodzić wcześniej spać, bo potrzebują więcej snu niż dorośli”, bla, bla. Matka z tym truciem to naprawdę wieś i obora. Ale matki nie ma. No i Ce się nie wyspała. Bo obudziła się o tej godzinie, o której normalnie zwleka się do szkoły. Bo strasznie chciało jej się siku. I już nie mogła zasnąć.

Sprawdza telefon, ale nie ma nic ciekawego. Przez noc przybyło tylko dwudziestu followersów na Insta. Chyba naprawdę wszyscy powyjeżdżali na ten długi weekend gdzieś bez dostępu do sieci. Żadnych ciekawych postów, żadnych nowych wiadomości. Ludzie śpią albo ich nie ma.

Ce patrzy na siebie w lustrze w łazience i myśli, że to się zamaluje, te podkrążone oczy. Ma świetny korektor, dostała ostatnio w gratisie, kiedy kupowała zestaw do konturowania. Jak zrobi porządny makijaż, nic nie będzie widać.

Właściwie to nawet nieźle, że wcześniej wstała. Poranne światło jest lepsze, zdjęcia ładniej wychodzą. A ona musi wrzucić kilka filmików do sieci. Ma pod łóżkiem cały stos nieodpakowanych paczek, firmy czekają na feedback. Ce ostatnio trochę zaniedbała sprawy, a przecież jest poważną wideoblogerką, nie olewa zleceniodawców i nie pozwala, żeby ją olewali.

Szybko robi to, co musi. Pysznic (bez mycia włosów, bo wczorajsze łatwiej ułożyć), makijaż, fryzura, stanik, majtki. Potem otwiera szafę, wywala stos ciuchów, dokopuje się do ślicznej różowej koszulki, z poliestru, ale całkiem jak jedwabnej. Wkłada ją, bo nie będzie występować na YouTubie w samym staniku, nie?

Wybiera tło, jedyny niezagracony kawałek pokoju (bałagan posprząta później, a zresztą teraz, kiedy nie ma matki, nie ma powodu, żeby się wysilać). Ustawia statyw, kamerkę, montuje mikrofon, sprawdza dźwięk, odsłania zasłony i dodatkowo przysuwa lampę. Nurkuje pod łóżko, wyciąga trzy paczki

od firm, z którymi robi najwięcej dili. Robi to wszystko szybko i bez zastanowienia, jak milion razy wcześniej.

Włącza nagrywanie i robi to, co też już wcześniej robiła milion razy: otwiera paczkę, udaje entuzjazm, piszczy z zachwytu, rzuca za siebie opakowanie i przymierza ciuch. To akurat jest sweterek, zupełnie nie w jej guście, z cekinowymi kwiatkami dookoła guzików. Ale Ce jest profesjonalistką, więc potrafi profesjonalnie udawać, że sweterek ogromnie jej się podoba. Okręca się kilka razy przed kamerą, wysyła widzom buziaczki, żegna się i wyłącza sprzęt. Zdejmuje sweterek i rzuca go na kupę ciuchów, które ma zamiar sprzedać kiedyś na Olksie, jak tylko będzie jej się chciało.

Przesuwa lampę, zmienia trochę tło, ściąga różową koszulkę i wkłada czarną, a usta maluje inną szminką. Jest profesjonalistką, więc nie może być widać, że nagrywa filmiki jeden po drugim, by jak najszybciej mieć to z głowy. A potem powtarza: włącza nagrywanie, otwiera kolejną paczkę i piszczy z zachwytu nad dżinsową spódnicą z obszarpanym dołem. Ta zresztą naprawdę jej się podoba i Ce nie musi udawać.

Wyłącza kamerę i znowu sprawdza, co ciekawego na Insta. Nic. Ale Ce nie ma już jakoś ochoty na dalsze nagrywanie, chociaż obiecała sobie, że zrobi trzy paczki, a może nawet cztery. Trudno, nie uciekną. Wrzuca filmiki do komputera, daje filtry, przycinać nie musi, bo już się tak nauczyła, że nie ma zbędnych kawałków. Ustawia publikację na najlepsze godziny. I ma z głowy. A jest dopiero – znowu patrzy na komórkę – przed dziewiątą.

Wysyła do Dory wiadomość na WhatsAppie. Jak ona, Ce, pracuje i nie śpi, to Dory też nie musi gnić w pościeli do południa. Dory to najlepsza przyjaciółka Ce. „Najlepsza przyjaciółka”. Były w jednej klasie w gimnazjum, teraz są w liceum i od zawsze siedzą w jednej ławce. No i tak jakoś wyszło, że zawsze wszędzie chodzą razem. I dzięki niej, Ce, Dory trochę nawet podciągnęła się w ciuchach, zaczęła lepiej łączyć zestawy. Chociaż na pierwszy rzut oka widać, że wzoruje się na Ce i że jej nigdy nie dorówna.

I do tego Dory ma straszną matkę, taką, co musi, po prostu musi wszystko kontrolować. „Dziewczynki, dokąd idziecie?”, „Dziewczynki, o której wrócić”, Ce aż się wykrzywia na wspomnienie tych głupich tekstów. I naprawdę nie rozumie, jak Dory może to znosić. Ona, Ce, już dawno nauczyła swoją matkę, żeby się nie wtrącała i teraz gadanie jest tylko na temat porządku w pokoju. No

i czasem jeszcze tego głupiego wcześniejszego chodzenia spać. I późnego wracania do domu. Dobra, jej matka też jest dość straszna, ale i tak, Ce musi to sprawiedliwie przyznać, o niebo lepsza niż matka Dory.

No i umówiły się z Dory, że pójdą razem obejrzyć tę nową galerię handlową, tę, którą dzisiaj otwierają. Właściwie Ce i tak ma góry zbędnych ciuchów, plus te nieotwarte jeszcze paczki pod łóżkiem. Ale nowa galeria to zawsze nowa galeria, może uda się jakoś zabawić.

Chociaż, szczerze mówiąc, z Dory będzie ciężko, bo ostatnio zrobiła się jakaś drętwa. I ogólnie mało rozrywkowa. Ce nie bardzo ma ochotę ją wszędzie ze sobą ciągnąć. Tylko że nie ma lepszego pomysłu na tę sobotę. Więc trudno, będzie galeria z Dory. A może wydarzy się coś ciekawego? Przecież nigdy nie wiadomo, nie?

## ANDRIEJ

Andriej budzi się przed świtem. Zawsze tak ma. Nie pomagają ciemne zasłony i rolety. Na dworze pierwszy brzask, a on otwiera oczy. Pod koniec kwietnia to już naprawdę wcześnie, człowiek nie może porządnie się wyspać.

Jakaś cipa, której imienia sobie nie przypomina i w ogóle go to nie interesuje, śpi obok. Andriej się krzywi. Chyba wyraźnie mówił jej wieczorem, że ma wypierdalać. Nie lubi budzić się koło cip. Rano chce mieć spokój.

Boli go głowa, a kiedy odsłania żaluzje, blask słońca wwierca mu się pod czaszkę. Cipa mruczy i przewraca się na drugi bok. Andriej szturcha ją lekko, a kiedy cipa nie reaguje, robi to mocniej.

– Spadaj – mówi.

Cipa przysłania ręką oczy i uśmiecha się.

– Chodź do mnie na chwilkę.

– Spierdalaj, złotko.

Boże, jakie te cipy są głupie! Ta na przykład wcale nie rozumie. Próbuje się jeszcze przeciągać i pokazywać naprężony tyłeczek i cycki, ale Andrieja to nudzi. Miał już dość wieczorem i naprawdę sam nie rozumie, dlaczego wtedy jej nie wyrzucił. Więc teraz łapie ją z te długie kudły i wyciąga z wyra. Cipa wrzeszczy, co Andriej ma gdzieś, telewizor często chodzi na cały regulator i sąsiedzi są przyzwyczajeni do krzyków o świcie. Ciągnie cipę do przedpokoju, wraca do sypialni, zbiera jej łańchy i rzuca, żeby się ubrała. Powinna się cieszyć. Mógł ją przecież wystawić gołą na klatkę. Ciekawe, czy wtedy też by tak wrzeszczała.

Cipa szlocha, ale zbiera się szybko i po dwóch minutach jej nie ma. Andriej wyciąga komórkę i wybiera numer.

– Łejki, łejki, Jakub! Ptaszki już śpiewają, a ty jeszcze w wyrze?

– Jezu, Andriej, ty i te twoje teksty. – Chwila ciszy w telefonie. Andriej ma ochotę spytać, co jest nie tak z jego tekstami, ale słyszy: – Masz towar?

– A co, myślisz, że zapomniałem?

- Jezu, człowieku. Chociaż raz odpowiedz normalnie.
- Taaa – cedzi Andriej. – Mam.
- Dobra, to się zbieram. Będę u ciebie za czterdzieści minut.
- Za godzinę. Muszę się...
- Za czterdzieści. Mamy sporo spraw do załatwienia. Streszczaj się.

Połączenie się urywa. Andriej tego nienawidzi. Te pieprzone Polaczki w ogóle nie mają kultury. Jakies „do widzenia” może? Ale oni tylko potrafią gadać o pracy. Durny kraj.

Andriej wyciąga z szafy czyste ciuchy. Wczorajsze zostawia na podłodze, kiedyś pozbiera. Wkłada džinsy i zwykły podkoszulek, szary, taki jak nosi ten palant od Facebooka. Nie, żeby się wzorował na tym debil, tylko to naprawdę praktyczny strój: nie widać brudu i nie rzuca się w oczy. Idealny dla kogoś, kto ma kilka spraw do załatwienia.

Idzie do kuchni, robi sobie kawę, dolewa mleka. Mleko jest kwaśne. Andriej z chęcią cisnąłby kubkiem o ścianę i niech sobie to potem właściciel mieszkania sam zmywa. Ale te głupie Polaczki są wrażliwe na takie sprawy i Andriej już dwa razy zmieniał w tym roku lokal, a jeszcze nie ma maja. Więc tylko wrzuca kubek do zlewu. Właścicielowi się powie, że ups, sorry, kubek pękł.

Dzwonek do drzwi dźwięczy, kiedy Andriej jest już po drugiej kawie, bez mleka, za to z siedmioma łyżeczkami cukru. Andriej lubi cukier i żaden debil mu nie wmówi, że to niezdrowo. I po dwóch grzankach z dżemem. Bo Andriej uważa, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia.

Jakub wygląda marnie, jakby coś go dręczyło. Zresztą pewnie właśnie tak jest. Jakub ciągle się czymś martwi, coś wylicza, coś kombinuje. Głupi Polaczek, myśli, że życie to tylko robota, rano i w nocy. Andriej nie proponuje mu kawy. W gruncie rzeczy to zabawne patrzeć, jak tamten trze zaspane oczy i za wszelką cenę usiłuje nie ziewać.

Andriej, mimo kawy, sam też czuje się zmęczony, więc rozsiada się na kanapie w salonie, ale Jakub stoi już przy drzwiach.

– Chodź – mówi. – Mamy mnóstwo roboty, zanim otworzą tę galerię. Gdzie zaparkowałeś?

– Kawalek dalej – przypomina sobie Andriej. – Przy bloku nie było miejsca.

Jak zawsze. W tym pieprzonym mieście nigdy nie ma miejsca do

parkowania, a głupie Polaczki ciągle kupują nowe samochody. Niedługo do sracza też będą jeździć samochodami, jeden z drugim.

– Cholera, no tak – mówi Jakub. – Liczyłem, że przeładujemy towar pod domem. No nic, weźmiemy torbę.

Andriej zamyka starannie drzwi, dwa razy sprawdza, czy dobrze przekręcił klucze w zamkach. Włamanie mu niepotrzebne. Ma co prawda w dupie telewizor i meble, to nie jego. Ale nie chce, żeby psy chodziły i węszyły mu po domu. Mogliby za dużo wywęchać.

A potem zbiega za Jakubem po schodach.

– Słuchaj – mówi. – Przydałaby mi się działka. Dla rozruszania, wiesz. Mam dzisiaj dzień do dupy.

– Serio? – pyta Jakub.

Andriej potakuje, bo myśli, że to prawdziwe pytanie. Już tyle miesięcy siedzi w Polsce i jeszcze nie nauczył się rozpoznawać ironii. A te pieprzone Polaczki zadają pytania takim dziwnym tonem, żeby nie można się w tym połapać.

– A przyszło ci do głowy – pyta dalej Jakub – że te działki to mamy sprzedawać, a nie samemu brać?

– Ale stary, tylko jedną – jęczy Andriej. – Ledwo łązę po prostu.

Jakub się odsuwa. Znowu rusza po schodach.

Andriej przeciąga się, aż koszulka wędruje mu powyżej pępka. Właściwie to mógłby się cofnąć do mieszkania po jakąś pierśiówkę. Bo bez działki i bez wódy na pewno nie wytrzyma całego dnia, a już teraz, rano, czuć, że będzie upał. Ale będzie musiał skołować sobie coś na miejscu, bo Jakub nie zaczeka. Od paru dni truje Andriejowi, że to nowa galeria, że kto pierwszy, ten lepszy. I że później nie będzie miejsc do zaparkowania. Jak w całej tej pieprzonej Polsce.

## JAKUB

Jakub też budzi się przed świtem. Zawsze tak ma. Nie pomagają ciemne zasłony i rolety. Na dworze pierwszy brzask, a on otwiera oczy. Pod koniec kwietnia słońce wstaje już naprawdę wcześniej i Jakub nie może się porządnie wyspać.

Otwiera oczy i od razu sięga po komórkę. Musi być na bieżąco. Jak się robi to, co robi Jakub, to najważniejsze nie tracić kontaktu z klientami. I z dostawcami. Więc ciągle trzeba sprawdzać, czy nie przyszło nic na WhatsAppie.

Ale jest tylko wiadomość od matki. „Kubusiu, pamiętaj, zrób sobie w sobotę zakupy, bo potem wszystkie sklepy są zamknięte do środy”.

Jakub nienawidzi, kiedy ktoś mówi do niego Kuba, a Kubusiu to jeszcze gorzej. Bez przesady, przecież studiuje, a takie zdrobnienia są chujowe. Ale nie protestuje, bo to część jego kamuflażu. Jak udaje grzecznego syneczka, nikt go nie kontroluje.

Dzisiaj nie musi nikogo udawać. Starzy już poprzedniego wieczora rozpoczęli długi majowy weekend i zabrali Michała, młodszego brata, więc przez najbliższych dziesięć dni Jakub ma mieszkanie tylko dla siebie.

Chętnie by jeszcze pospał. Ale nie może. Bo musi wszystko przeliczyć. Zrobił to, co prawda, już wczoraj wieczorem, ale z rana chce jeszcze raz sprawdzić, czy gdzieś się nie pomylił. Bo jak się robi to, co robi Jakub, trzeba być wyjątkowo starannym. Błąd może po prostu za dużo kosztować.

Jakub zawsze był staranny, od dziecka. Najpierw miał najładniejsze szlaczki w klasie, a potem matka nigdy nie musiała mu przypominać o czystych skarpetkach. Jakub po prostu lubi, jak wszystko jest w porządku.

I dlatego będzie musiał jeszcze raz przemyśleć współpracę z Andriejem. Bo to nie jest dobry partner. Po pierwsze, brudas, u niego w mieszkaniu (już trzecim w tym roku, a dopiero koniec kwietnia) jest taki chlew, że Jakub brzydzi się nawet usiąść na kanapie. A po drugie, Andriej ma wszystko w dupie.

Ciągle szuka okazji, żeby się zabawić. Pieprzony Rusek!

Ale ma dostęp do dobrego towaru. Tylko że przecież nie on jeden. I Jakub zaraz po długim weekendzie rozejrzy się za nowym dostawcą. Bo Andriej jest niepewny i przez ten burdel prędzej czy później wpadnie.

Jakub wpaść nie zamierza. Wręcz przeciwnie, zamierza dobrze i długo żyć z dilowania. I nie widzi powodu, dla którego miałyby się to nie udać. Jeżeli wszystko dalej będzie robił tak starannie jak dotąd.

Ale najpierw idzie pobiegać. Pogoda wymarzona, o tej porze nie jest jeszcze za ciepło, można napawać się pięknem, kurwa, przyrody. Tylko w mieście przyrody nie ma za wiele i Jakub jest pewny, że to, co wdycha, odkłada mu się w płucach, jak u górnika. Za to osiąga inny cel: jest szybki. To mu wystarcza.

Stoi już z powrotem pod blokiem, kiedy dzwoni telefon.

– Łejki, łejki, Jakub! Ptaszki już śpiewają, a ty jeszcze w wyrze?

– Jezu, Andriej, ty i te twoje teksty. – Jakub urywa na chwilę. – Masz towar?

– A co, myślisz, że zapomniałem?

– Jezu, człowieku. Chociaż raz odpowiedz normalnie.

– Taaa – cedzi Andriej z drugiej strony. – Mam.

– Dobra, to się zbieram. Będę u ciebie za czterdzieści minut.

– Za godzinę. Muszę się...

– Za czterdzieści. Mamy sporo spraw do załatwienia. Streszczaj się.

Jakub się rozłącza i już wie, że tego dnia będą kłopoty z Andriejem.

Na razie postanawia o tym nie myśleć. Wyciąga z szafy czyste ciuchy. Wczorajsze zostawia na podłodze, matka wróci, to pozbiera. Po namyśle kopie je tylko pod biurko, bo matka wróci dopiero w następny weekend, nie chce się cały czas potykać. Wkłada dzinsy i zwykły podkoszulek, szary, taki strój nie rzuca się w oczy. Idealny dla kogoś, kto ma kilka spraw do załatwienia.

Idzie do kuchni, robi sobie kawę, dolewa mleka i okazuje się, że mleko jest kwaśne. Jakub wylewa je do toalety, bo skwaśniałe mleko może zatkać odpływ zlewu. Wypija czarną kawę, ale nie może się zmusić, żeby coś przelknąć. Zresztą całe to śniadanie jest przereklamowane. Zje coś później, w galerii.

Andriej wygląda marnie, kiedy otwiera mu drzwi, jakby chlał pół nocy, a drugie pół pieprzył się z jakąś dziunią i nie miał czasu się wyspać. Zresztą



pewnie właśnie tak było. Nie proponuje Jakubowi kawy, i dobrze, bo Jakub nie przełknąłby niczego, co wyszło z chlewu, jakim jest kuchnia w tym mieszkaniu. Andriej rozsiada się na kanapie w salonie i trze oczy. I teraz Jakub jest już na sto procent pewny, że będą kłopoty.

– Chodź – mówi. – Mamy mnóstwo roboty, zanim otworzą tę galerię. Gdzie zaparkowałeś?

– Kawalek dalej – przypomina sobie Andriej. – Tu przy bloku nie było miejsca.

– Cholera, no tak – mówi Jakub. – Liczyłem, że przeładujemy towar pod domem. No nic, weźmiemy torbę.

Andriej majstruje przy drzwiach, a potem zbiega za nim, Jakubem, po schodach.

– Słuchaj – mówi. – Przydałaby mi się działka. Dla rozruszania, wiesz. Mam dzisiaj dzień do dupy.

– Serio? – pyta Jakub.

Andriej potakuje, bo myśli, że to prawdziwe pytanie. Już tyle miesięcy siedzi w Polsce, a jeszcze nie nauczył się rozpoznawać ironii.

– A przyszło ci do głowy – pyta dalej Jakub – że te działki to mamy sprzedawać, a nie samemu brać?

– Ale stary, tylko jedną – jęczy Andriej. – Ledwo łązę po prostu.

Jakub się odsuwa. W milczeniu schodzą ze schodów i wychodzą na ulicę. Właściwie to Jakub sam by chętnie coś wziął. Ale robota nie poczeka. To nowa galeria, kto pierwszy, ten lepszy. Kto sobie ustawi nową klientelę, ten potem nie będzie musiał się martwić o zbyt. Więc optymalnie powinni być tam jeszcze przed otwarciem. Zresztą później może nie być miejsc do zaparkowania.

Jakub się przeciąga, mruży oczy od słońca. To piękny dzień i zapowiada się niezły utarg. Więc może nie ma się co martwić z góry. Ale Jakub zawsze o wszystko się martwi.

## DOROTA

Dorota widzi minę matki i już wie, że załączył się moduł „trucie”. „Córeczko, dokąd idziesz?”. „Córeczko, z kim wychodzisz?”. „Dorotko, o której wrócisz?”. „Kochanie, ja tylko chcę wiedzieć, gdzie ty jesteś”. „Jak będziesz miała dzieci, to sama zrozumiesz!”.

Nic dziwnego, że matka nie może awansować w robocie. Niby jest psycholożką, a nie wie, jak postępować z ludźmi.

Matka bierze głęboki wdech i pyta:

– Dokąd idziesz? – I po chwili dodaje: – Tak rano, w sobotę...

– Wychodzę.

Matka bierze jeszcze jeden głęboki wdech, a potem powoli wypuszcza powietrze. Widać nauczyła się tego na zajęciach z jogi, na których była całe trzy razy, bo więcej jej się nie chciało.

– To widzę – odpowiada. – Ale pytam dokąd.

I z kim. To będzie następne pytanie. Za chwilę. Jednak matka zamiast tego mówi:

– A zjadłaś śniadanie?

Przecież chyba wie, że to słowo wywoła awanturę. I ma rację.

– Nie będziesz mnie kontrolować! – krzyczy Dorota.

I oczywiście pada odpowiedź ta co zawsze:

– Dopóki nie jesteś pełnoletnia, będę.

Dorota prycha. A matka powtarza pytanie:

– Dokąd idziesz?

– Wychodzę z Ce.

Matka wzdycha.

– Nie pytałam z kim.

Jasne, nie pytała. Ale miała zamiar.

– Pytałam dokąd.

– Nie będziesz mnie kontrolować – powtarza Dorota, jakby zapomniała, że przed chwilą już to mówiła.

– A właśnie, że będę. I mogę po prostu dać ci szlaban. Mam do tego prawo.

Dorota przewraca oczami. „Prawo-srawo”. Ale nie mówi tego. Bo bardziej chce wyjść, niż się kłócić.

– Idziemy zobaczyć tę nową galerię handlową. Wiesz którą.

– Nie wiem.

Dorota znowu wywraca oczami, mimo to odpowiada:

– Oj, no! Tę nową. Raj czy jakoś tak.

– Musisz?

– Co?

– Musisz spędzać każdą wolną chwilę w galeriach handlowych? Naprawdę myślisz, że to takie wartościowe zajęcie dla dziewczyn w twoim wieku? A z kasą jest tak sobie. I ty dobrze o tym wiesz. Więc naprawdę nie rozumiem, po co chcesz łączyć po sklepach i narażać się na pokusy.

– Wiem, że jest kiepsko z kasą! To dlaczego nie pozwolisz mi iść do jakiejś pracy?

– Bo masz szesnaście lat. A w Polsce jest obowiązek szkolny. I ty masz się uczyć.

– Jasne. Dużo mi to da! Potem pewnie mam skończyć studia...

– Dokładnie tak.

– ...a potem zarabiać grosze w jakiejś korpo, tak jak ty. Serio, mamó?

Matka nie odpowiada. Pracuje jako psycholożka dłużej, niż Dorota żyje na tym świecie, i powinna mieć odpowiedź na wszystko. Ale nie ma.

W końcu mówi cicho:

– Córeczko, ja tylko chcę cię chronić. Jesteś moim jedynym dzieckiem...

Urywa. Dorota patrzy na nią przez chwilę z założonymi rękami, a później odwraca się na pięcie.

– Wrócę późno. Albo może przenocuję u Ce, jeszcze nie wiem.

Już z klatki schodowej dodaje:

– Nie czekaj na mnie.

– Zadzwoń! – krzyczy za nią matka. – Do cholery, masz mi mówić, dokąd idziesz! Naładowałaś telefon?

Dorota nie odpowiada. Tylko trzaska drzwiami.

## TERESA

Teresa patrzy w lustro i wcale nie widzi ładnej kobiety lat czterdzieści sześć, którą przecież, obiektywnie rzecz biorąc, jest. Widzi dziewczynkę.

No dobra, nie dziewczynkę, dziewczynę. Kogoś, komu czas zatrzymał się koło dwudziestki. Przecież jeszcze pamięta, jak wtedy było. Swój uśmiech bez kocich łapek i kształt podbródka. I oczy. O, właśnie, dobry przykład. Oczy przecież nadal są te same. Mniej więcej...

Przekleństwo każdej kobiety w średnim wieku: za dobrze pamięta siebie sprzed dwudziestu lat. Albo dwudziestu pięciu. Albo trzydziestu. Tak dobrze, że to właśnie tę twarz widzi w lustrze. Nie tę, którą pokazuje na ulicy, tylko dziewczynę. Bo nią przecież tak niedawno, do cholery, była!

Ale dziewczyna jest jakaś dziwna, ze zmarszczkami w kącikach oczu, z pobrużdżonym czołem, z lekko obwisłym owalem twarzy. Dziewczyna starowina. Potwór, którym Teresa nigdy nie miała zamiaru się stać, którego istnienia nawet wcześniej nie przeczuwała. Ale potwór ma nawet imię. Niewidzialna Kobieta.

Niewidzialna. Za stara i za młoda jednocześnie. Teoretycznie to niemożliwe, ale pieprzyć teorię. Wystarczy spojrzeć w lustro. Za stara, żeby obejrzał się za nią jakikolwiek sensowny facet. Teraz ściąga tylko spojrzenia panów po sześćdziesiątce, gdy rozglądają się za młodszą pielęgniarzką na jesień życia. A ona się na pielęgniarkę nie nadaje. Ona pogładziłaby jakiś męski brzuch, umięśniony i bez tłuszczu, zjechałaby dłonią po włosach niżej, aż do penisa, który staje pod wpływem dotyku, a nie od ukradkiem łykanej chemii. Ale tacy faceci są poza jej zasięgiem. Takiego mogłaby mieć tylko, gdyby mu zapłaciła, w wyspecjalizowanej agencji (mieszka w dużym mieście i wie, że są takie też dla kobiet, a co!). Takiego nigdy nie poderwie na ulicy ani w klubie, ani w pracy. Dla takich jest niewidzialna. Prześlizgują się po niej wzrokiem jak po ścianie albo po elemencie krajobrazu. A czasem nawet się z nią zderzają. Potracają, nie zauważają.

Bo jest też za młoda. Za młoda, żeby budzić szacunek i podziw. Patrzcie,

starsza pani, a jak świetnie się trzyma! (Zresztą, jeśli nadal będzie tak się odżywiać, unikać siłowni i w ogóle wszelkiego sportu, to na pewno nie będzie świetnie się trzymać. Będzie powłóczyć nogami, ledwo podnosić głowę na przygiętej do ziemi szyi i śmierdzieć starością. I będzie jej wszystko jedno). Lubi wyobrażać sobie siebie jako tę świetnie trzymającą się staruszkę. Taką, która już nie ma ochoty na seks. Albo – jeszcze lepiej! – która od czasu do czasu kocha się z eleganckim starszym panem (tu jakaś chemia z apteki byłaby jednak nieodzowna), trzymającym się równie dobrze jak ona. Z którym robi to bez pośpiechu, w staroświeckiej i kosztownej (ale nowej, śnieżnobiałej i wykrochmalonej) adamaszkowej pościeli, przy cichej muzyce i otwartych oknach, a podmuch ciepłego wiatru porusza białe lniane zasłony.

Ale nią nie jest, tą elegancką, seksowną staruszką. Jest kobietą po czterdziestce. Za młodą i za starą jednocześnie. Niewidzialną Kobieta. A o seksie w ogóle może zapomnieć. Mąż urwał się kilka lat wcześniej, klasycznie, tuż po czterdziestce, kiedy poczuł, że marnuje przy niej życie. Teraz marnuje je ze swoją byłą studentką, która w międzyczasie awansowała na asystentkę. W pracy utkwiała na średnim szczeblu i nie zostało jej już nawet grama energii, żeby piąć się w górę, zresztą po co. I jedyne, co nadaje życiu Teresy sens, to dziecko.

Tylko że dziecko, córka, sztuk jeden, nie jest już cudownym niemowlakiem ani jeszcze cudowniejszym przedszkolakiem. Teraz, kiedy ma szesnaście lat, nienawidzi jej, Teresy, jak zarazy. I kompletnie nie może zrozumieć, że jest dla matki najważniejsza i że ona, Teresa, chce ją tylko chronić, za wszelką cenę!

To wszystko jest takie klasyczne, takie do przewidzenia, że aż chce się rzygać.

Teresa patrzy w lustro, przygląda się tej dziewczynie starowinie, którą stała się nie wiadomo kiedy. Naciąga skórę przy uszach i przez chwilę dziewczyna staje się prawdziwa. Ale też nie do końca. Nie da się jednocześnie naciągnąć policzków, czoła i oczu. Zresztą naciągnięte też wyglądają sztucznie. Teresa opuszcza ręce i patrzy na swoją twarz. A potem zamyka oczy.

Z zaciśniętymi powiekami szoruje szybko zęby, a reszta porannej toalety nie wymaga lustra. Nie ma zamiaru nakładać makijażu, po co, skoro nie idzie dzisiaj do pracy. Niech skóra odpocznie. Wypoczęta wygląda równie źle jak zmęczona, ale Teresa ma przynajmniej wymówkę.

Człapie do kuchni, odsuwa kotkę, która wiję się wokół nóg, robi sobie śniadanie, na które nie ma ochoty, i kawę z mlekiem, która spełnia wyłącznie funkcję użytkową, dostarcza kofeinę do żył, bo smaku nie ma żadnego. A potem, siedząc przy stole i wpatrując się w ścianę, zastanawia się, co zrobić z dniem rozpoczętym obrazem śmierci przed blokiem.

Mogłaby wrócić do łóżka. Przykryć głowę kołdrą i udawać, że nie istnieje. Przez kilka godzin pewnie byłoby to możliwe.

Mogłaby zadzwonić do kogoś, wyjść, spotkać się z ludźmi. Tylko sobotnie przedpołudnie to nie jest pora, o jakiej ludzie chcą się spotykać. Wtedy ludzie nie mają nastroju na wspieranie samotnych matek po czterdziestce, które czują na karku ciężar menopauzy, bo są zajęci sprzątaniami mieszkań, gotowaniem obiadów i robieniem zakupów.

Mogłaby zapytać Dorotę, czy nie spędzą tego dnia razem. W kinie, na spacerze, mogłyby nawet też iść na zakupy. Nie, ten plan to kompletne nieporozumienie.

No dobrze, mogłaby sama zrobić zakupy. Na przykład kupić coś dla siebie. Nowy ciuch, ale używany, bo budżet samotnej matki po czterdziestce nie jest z gumy.

Teresa przynosi do stołu laptop, otwiera klapę. Kotka wskakuje na blat i Teresa zaraz ją zdejmuję. Właściwie nawet nie przepada za tym kotem, to zwierzak Doroty, chociaż musi przyznać, że czasami dobrze jest mieć w domu żywe stworzenie. Czuje wyrzuty sumienia, podnosi kotkę z podłogi i umieszcza sobie na kolanach. Kotka zaczyna mruczeć, a Teresa prześlizguje się najpierw wzrokiem po mejlu (nic, w końcu jest sobota), a potem Facebooku (nic, co nie wywoływałoby zgrzytania zębów, więc jak najszybciej zamyka to cholerstwo). A potem dochodzi do wniosku, że nie chce żadnych ciuchów. I tak ma ich za dużo, połowa w ogóle nie ogląda światła dziennego.

Zatrząskuje klapę laptopa, chowa twarz w dłoniach. Myśli, że musi z tym skończyć. Teraz, natychmiast! Powinna przestać siedzieć i użalać się nad sobą. W końcu jeszcze żyje. Nie jest zasuszoną staruszką, w ogóle nie jest staruszką! Może jeszcze wziąć coś z życia.

Powinna zrobić sobie kąpiel w wannie z pianą, świecami i relaksacyjną muzyką. W kąpieli poczytać książkę. Potem wyjść na spacer, skoro jest tak

pięknie. Najlepiej pojechać z własną córką na jakąś wycieczkę, tylko chciałyby zobaczyć takiego mądrego, któremu udało się zabrać na wycieczkę z mamusią szesnastolatkę...

I nagle wie, co zrobi!

Idzie do sypialni. Patrzy w lustro szafy. W pokoju panuje półmrok, więc zmarszczek nie widać. Widać za to błysk w oku.

Pójdzie do tej nowo otwartej galerii handlowej, do tego Raju czy jak mu tam. Po pierwsze, zobaczy, co robi dziecko. To najważniejsze. Bo przecież podobno z nastolatkami trzeba rozmawiać na ich własnych warunkach. Interesować się tym, co je interesuje. Więc Teresa pokaże, że interesuje się tym, co lubi córka.

A po drugie, może przy okazji coś jej wpadnie w oko. Coś na dobry początek nowego życia z nowym postanowieniem. Z postanowieniem, żeby wreszcie przestać być dziewczyną starowiną, żeby zacząć żyć!



## RUDY

Muzyczka gra *Heaven, I'm in Heaven*, a Rudy podśpiewuje. Cicho, żeby nie wyjść na wariata. Powinien być niewidoczny, wtopić się w tło. Ale naprawdę czuje się jak w niebie. A raczej jak w raju. No bo przecież w nim jest.

Rudy był już w setkach galerii handlowych, od lat nie przepuścił żadnego otwarcia, wszystko jedno, w którym mieście, jeździ po całym kraju. Więc widział to i owo. I gdyby miał dawać punkty za wystrój, ta dostałaby pełną dziesiątkę.

Podobno to robili jacyś znani dizajnerzy, w internecie pisało. Rudy kojarzy nazwiska, chociaż nie może ich sobie w tej chwili przypomnieć. Ale projekt im wyszedł naprawdę niezmiernie. Po prostu raj!

Rudy czuje, jakby czas zwalniał, jakby on, Rudy, naprawdę znalazł się w jakimś magicznym miejscu, a nie galerii handlowej. Jakby dookoła nie było hord kupujących, jakby był sam w rajskim ogrodzie.

Ściany, to znaczy to, co widać ze ścian pomiędzy witrynami sklepów, pokrywają malowidła egzotycznych drzew, które wychodzą na sufit. Wyglądają, jakby naprawdę patrzyło się na nie od dołu i jakby człowiekowi miał zaraz spaść na głowę egzotyczny owoc. Już to jest fajne, ale projektanci podostawiali jeszcze w alejkach sztuczne drzewa, a ich gałęzie sięgają tych namalowanych i czasami nie można odróżnić, które są które. I krzaki, może nawet nie wszystkie z plastiku. Ma się trochę uczucie, jakby trzeba było się przedzierać przez dżunglę, ale zawsze to lepiej, niż przeciskać się przez tłum kupujących. Rudy odmawia wypełnienia ankiety (którą można wrzucić do puszki i wygrać nawet małego merca, takiego klasy A), ale gdyby nie miał pilniejszych spraw na głowie, napisałby, że naprawdę mu się tu podoba.

Tylko w ankiecie raczej nie przewidzieli miejsca na to, co wzbudza jego największy zachwyty: że wśród tych gałęzi i krzaków łatwo się ukryć. A potem równie łatwo pojawić się niezauważonym. A o to Rudemu właśnie chodzi.

Oczywiście jeśli ktoś chce być niezauważony, nie powinien farbować włosów

na rudo. Ale to jest część strategii Rudego. Bo tak to działa: ludzie zapamiętują najbardziej charakterystyczną część wyglądu. Kolorową apaszkę, jaskrawą bluzkę, rude włosy... Kiedy Rudy potem zmieni ich kolor, nikt nie przypomni sobie jego twarzy. I o to właśnie chodzi.

Rudy jest w tak świetnym humorze, że aż musi się pilnować. Bo to nie jest normalne, żeby Polak w sobotę tryskał radością, nawet jeśli przechadza się po nowo otwartej galerii handlowej i ma w perspektywie dobry zarobek. A do tego łatwy. Nie, Polak musi spacerować po galerii z chmurną miną albo przynajmniej z miną skupioną. To pierwsze nie przychodzi Rudemu łatwo, więc wybiera skupienie. Tak lepiej, bo przecież jest robota do zrobienia.

Część pracy już wykonał. Obejrzał starannie wszystkie zabezpieczenia. Więc wie, że sklepy nie mają spuszcanych metalowych żaluzji, tylko szklane drzwi zamykane na dolny zamek, i to go cieszy. Nie, żeby planował wybijać szyby, to za dużo hałasu, a Rudy lubi dyskrecję. Ale chociaż otwarcie zamka w szklanych drzwiach i w metalowej żaluzji to mniej więcej tyle samo roboty, to rolety okropnie hałasują, kiedy się je podciąga. A drzwi po otwarciu zamka można cicho otworzyć i równie cicho zamknąć za sobą. I spokojnie zająć się swoimi sprawami.

Rudy widzi też, że supermarket w ogóle nie ma żadnego zamknięcia. Zna na pamięć wszystkie galerie handlowe w Polsce i wie, że takie rozwiązania stosuje się rzadko. Właściwie nie stosuje się ich prawie nigdy, widział coś takiego jeszcze tylko w Jankach pod Warszawą. Nazwa galerii nie kłamie, to prawdziwy raj... dla złodzieja. Ale Rudego to nie interesuje, do supermarketu się nie wybiera.

No więc wyczył te szklane drzwi i brak zamknięcia supermarketu. A także to, że chwilowo otwarte jest tylko jedno wejście, główne, to wychodzące na plac przed galerią i na parking na poziomie zero. Dwa boczne, na parking podziemny, na razie są zamknięte na głucho, z zaciągniętymi kratami i tabliczkami „chwilowo nieczynne”. A z wyjść awaryjnych, też sztuk dwa, nie planuje w ogóle korzystać, w galeriach takie drzwi zawsze są podłączone do alarmu. Na wszelki wypadek je sprawdza (sprawdzanie wszystkiego „na wszelki wypadek” to coś, co odróżnia zwykłego złodzieja od mistrza w tym fachu, którym Rudy już niedługo się stanie). Gdyby alarm się włączył, Rudy ma zamiar powiedzieć, że szukał kibla i się pomylił. Ale nic takiego się nie dzieje,

bo oba wyjścia ewakuacyjne też są zamknięte na głucho.

Bezpieczeństwo w tej galerii jest zerowe albo nawet ujemne. Widać, że za wcześniej ją otworzyli, pewnie po to, żeby zarobić, ile się da, przed długim majowym weekendem. Na przykład Rudy w kilku miejscach zobaczył rusztowania, przysłonięte byle jak plandekami. Normalnie w takim obiekcie nie ma prawa ich być, wystarczy, że to runie komuś na głowę i właściciele się nie wypłacą.

Ale niedopracowane bezpieczeństwo Rudemu nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Bo normalnie w galeriach największym problemem są kamery i strażnicy nocni. Ale i tu organizatorzy tej imprezy zadbali, żeby poczuł się jak w raju.

Na przykład podłączyli tylko cztery kamery. Zamontowali chyba ze sto, a działają tylko cztery. CZTE-RY! Niemożliwe, ale prawdziwe. Rudy starannie to sprawdził, dwa razy, bo sam nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Zamontował w telefonie skaner termiczny, specjalnie dopłacił za aparat z takim bajerem, bo to bardzo praktyczne. Rudy udaje, że strzela fotki (czyli to, co robią tu wszyscy, nie ma się przecież wyróżniać z tłumu), i ogląda w skanerze każdą kamerkę po kolei. Te włączone wydzielają ciepło. Te, które nie pracują, mają temperaturę otoczenia. Podstawowa termodynamika. *It's elementary, dear Watson.*

Działające kamerki obejmują patio na wprost głównego wejścia i początek dwóch wijących się korytarzy. Pozostała część galerii jest dla nich niewidoczna. A to właśnie ta pozostała część interesuje Rudego najbardziej.

Kiedy kończy sprawdzać kamery, namierza kanciapę strażników i kręci się w jej pobliżu tak długo, aż otwierają się drzwi i wychodzi czterech facetów. Jeden jest w garniturze, pod krawatem. Bardziej już nie mógłby wyglądać na wysokiego szczeblem pracownika korpo, no chyba że wypisałby to sobie flamastrem na czole. Trzech pozostałych ma na sobie piaskowe uniformy, wyglądają jak strażnicy parku safari. Co w sumie komponuje się trochę z nazwą tego centrum handlowego, więc może to specjalnie.

Rudy idzie kilka kroków za nimi, alejkami galerii. I nawet myśli, że może trochę się pospieszył z tym farbowaniem włosów na rudo, bo teraz akurat nie chce, by któryś z tej trójki zapamiętał jego fryzurę. Ale za późno na żale, więc Rudy po prostu udaje, że jest z kimś. Najstarszy trick świata! Najpierw

przysuwa się do rodziny, matki i babci z dwójką dzieci. Bachory są rozwydrzone, co ma dwie zalety: po pierwsze, wszyscy omijają grupkę wzrokiem, bo nikt nie lubi drących się dzieciaków, a po drugie, ani matka, ani babcia nie zwracają na niego uwagi. Nie zauważyłyby go nawet, gdyby się rozebrał i tańczył przed nimi z fiutem na wierzchu, bo młodszy chłopczyk leży na posadzce i zanosi się rykiem, a starsza dziewczynka wściekle tupie. Matkę odgarnia z twarzy kosmyki włosów, a minę ma, jakby chciała kogoś zabić. Rudy stoi dwa kroki od niej i wygląda na zniesmaczonego wujka. Idealny kamuflaż.

Ale ma minusy: przez te ryki Rudy nie może dobrze podsłuchiwać. Opuszcza więc rodzinę i staje przed wystawą jakiejś sieciówki obok kobiety w sukience w kolorze zielonego groszku. Kobieta jest ładna, poza tym nosi niebotyczne szpile, a Rudy bardzo lubi laski w szpilkach. W innej sytuacji bardziej by się postarał. Teraz musi się skupić na robocie. Czuje na sobie wzrok tego faceta z korpo, więc przysuwa się do Pani Zielony Groszek i prosi, żeby podała mu cenę z wystawy, bo zapomniał okularów. Jest schludny i ładnie pachnie (zawsze jest schludny i używa dobrej wody po goleniu, kiedy idzie do roboty), więc Pani Zielony Groszek się uśmiecha i przez chwilę rozmawiają o cenach. To wystarczy, żeby facet z korpo zdjął z niego spojrzenie i zakwalifikował go w myślach jako partnera kobiety. Potem Pani Zielony Groszek odchodzi, a Rudy idzie krok za nią, wbijając dla odmiany wzrok w ekran komórki. Facet z korpo i trzech strażnicy zostają w tyle, ale Rudy wie już, co chciał wiedzieć.

## JONASZ

Jonasz też czuje, jakby czas zwalniał. Czuje, że nie doczeka końca dnia pracy. Że ten koniec nigdy nie nadejdzie. Że on, Jonasz, umrze tu w tej galerii, a jego szkielet zostanie w niej na wieki wieków, a przynajmniej dopóki będzie istniała, wkomponowany przemyślnie w rajskie dekoracje.

Spokojnie, mówi sam do siebie. Jesteś po prostu zmęczony. Bardzo zmęczony, bo to były miesiące ostrego zapieprzu. Ale została jeszcze tylko ta jedna, jedyna rzecz, a potem się stąd zmywasz.

Strażników jest trzech. Przedstawiali się, ale Jonasz nie pamięta ich imion. I nie obchodzi go to. Jest zły, że to akurat on ma ich wdrażać i pokazywać zabezpieczenia. Nie mógłby tego zrobić ktoś inny? Czy to też należy do zadań, kurwa, specjalnych, które są podobno jego mocną stroną?

Zwłaszcza że dopiero co skończył użeranie się z wycieczką przedstawiciela inwestora. Grupka cały czas się rozłaziła, zupełnie jak dzieciaki w szkole. Jonasz miał straszną ochotę na nich nawrzeszczyć, ale – rzecz jasna – nie mógł. A oni co chwila przystawali, oglądali się, robili zdjęcia, a niektórzy nawet selfiki. Na litość boską, poważni ludzie, a zachowują się jak gimbaza!

Jonasz naprawdę się bał, że mu się pogubią, bo tłum w galerii gęstniał z minuty na minutę. Oczywiście przyszło tu dzisiaj całe miasto. Bo oczywiście to był najgłupszy z możliwych pomysłów działu promocji, który zmówił się z technicznymi, żeby otworzyć galerię właśnie na ten jeden dzień, w sobotę tuż przed długim majowym weekendem. Promocja sobie ubzduriała, że w ten sposób zwiększą zainteresowanie i podbiją słupki sprzedażowe w pierwszym dniu, a pierwszy dzień jest najważniejszy. Techniczni z kolei wymyślili, że to będzie taki dzień testowy i w weekend poprawią to, co nie działa. A nie działa najwyraźniej wiele rzeczy. I dlatego to Jonasz oprowadzał tę wycieczkę. Bo to Jonasz w całym biurze najlepiej potrafi zaprezentować pozytywne strony projektu. Jest specjalistą od zadań specjalnych! A przecież inwestor powinien skupić się na tym, na czym trzeba, czyli na tym, jak świetnie wydali jego pieniądze, a nie na przykład na niedziałających kamerach technicznych.

Kiedy wreszcie sobie poszli, Jonasz odetchnął. Ale na krótko, bo zadzwonił szef i powiedział, żeby jeszcze wdrożył personel nocny. Dokładnie takich słów użył. „Wdrożyć” oraz „personel nocny”. Bo są na niedoczasie i nie ma komu tego zrobić. A Jonasz i tak już jest na miejscu. I – tego szef nie powiedział, ale nie musiał, bez trudu dało się wyczytać między słowami – chodziło o to, by Jonasz poinformował strażników o niedoróbkach w galerii jakoś delikatnie. Żeby nie polecili od razu do Głównego Inspektoratu Pracy. A poinformować ich musiał, strażnicy nocni powinni przecież wiedzieć, z czym będą pracować. I dlatego ma to zrobić właśnie Jonasz, firmowy specjalista od zadań specjalnych. „Nikt tego nie zrobi lepiej niż ty”, słowa szefa. Tekst, na który Jonasz dawał się nabierać mniej więcej przez pierwszy rok pracy. A niedługo stuknie sześć lat, jak ciągle siedzi w tej korpo.

Jonasz znowu jest spocony jak mysz, chociaż klima działa i w galerii panuje idealna temperatura. Ani za ciepło, ani za zimno. Nie trzeba zdejmować marynarek, nie trzeba wkładać płaszczy, nie trzeba się chronić przed wiatrem, deszczem ani przed palącym słońcem. Mikrokosmos. Można spacerować w nieskończoność łukowatymi alejkami, a kiedy rozbolą nogi, usiąść na jednej z ławeczek otoczonych sztucznymi drzewami.

Te ławeczki to kolejny pomysł promocji. Początkowo sprzedaż się stawiała, że ludzie będą siedzieć, a nie łązić po sklepach. Ale promocja się uparła, bo po sklepach łążą kobiety, a do galerii przyjeżdżają pary. Faceci się nudzą i w innych galeriach często czekają na żony przed sklepami. Więc przestępują z nogi na nogę i co chwila dzwonią. „Kochanie, gdzie ty jesteś” i „długo jeszcze?”. Żony się irytują i kupują mniej. A jak mężowie siedzą sobie na ławeczkach i wygodnie oglądają na komórkach powtórkę meczu z poprzedniego dnia, to żony zostawiają w sklepach więcej pieniędzy. I dlatego w ławeczkach zainstalowano gniazdko dla ładowarek. Które dzisiaj nie działają. Ale mają, docelowo.

Podobnie jak wszystko inne. Ma działać, docelowo. Na razie technicy jeszcze wszystkiego nie podłączyli. Jak zawsze, kiedy robi się rzeczy na ostatnią chwilę, jedno się spieprzyło, innego nie dowieźli i tak dalej. A on musi teraz to wszystko opowiedzieć strażnikom, taktownie i w krótkich, żołnierskich słowach, bo naprawdę chce już iść do domu.

Ale odzywa się w nim profesjonalista. Zanim przejdzie do złych wiadomości,

zaczyna od tych dobrych. A w każdym razie od tych, które uważa za dobre.

– Jak panowie widzą, cieszymy się wielkim powodzeniem. Chociaż bardziej pasuje powiedzenie: tłum wali drzwiami i oknami. Przed chwilą otrzymałem informację, że od godziny jedenastej wszystkie miejsca parkingowe są zajęte. Wszyscyutkie. I podobno mieszkańcy dzielnicy się skarżą, że samochody pablokowały sąsiednie uliczki. Odnieśliśmy wielki sukces, panowie, wielki sukces. Na waszym miejscu cieszyłbym się, że pracuję w tak dobrej firmie.

Żaden z nich nie pracował wcześniej w galerii. Najpierw Jonasz myślał, że to straszny fakap i kto w ogóle ich zatrudnił. Teraz uważa, że to się nawet dobrze składa. Bo nie mogą zweryfikować tego, co im mówi.

Jeden strażnik kiwa głową. Drugi, ten z nadwagą, nie porusza nawet grubym karczychem. A ten trzeci pyta:

– Dlaczego jest nas tylko trzech?

Jonasz chrząka. Zasycha mu w gardle jak zawsze, kiedy kłamie. Ale przecież to, co ma zamiar powiedzieć, nie jest tak do końca kłamstwem. Po prostu nie jest całą prawdą.

– Na razie. – Uśmiecha się w sposób, który, na co liczy, można uznać za krzepiący. – Mamy dopiero pierwszy dzień. Docelowo będzie ośmiu strażników nocnych.

Docelowo. Ostatnio jego ulubione słowo. Powinien kazać je sobie wytatuować. Najlepiej na czole, ale w sumie na dupie też by pasowało.

– Przecież w nocy nie będzie tu tłumów. Za kilka godzin zamykamy, wypraszamy klientów i zostaniecie sami. Chyba potraficie ogarnąć kilkaset metrów kwadratowych kompletnie pustych sklepów, co? I to tylko do dziewiątej rano, bo potem przyjdą ekipy robotników... Dacie radę czy nie?

Dwaj strażnicy kiwają głowami w jednym rytmie. Nie wyglądają na najbystrzejszych. Bo ci najbystrzejsi rzadko pracują jako nocni strażnicy w galerii handlowej. Trzeci się rozgląda. Jonasz uważa, że z nim może być trudniej. Chociaż może wcale nie, może on, Jonasz, jest tylko zmęczony i przewrażliwiony.

– No dobra, panowie, to porozmawiajmy teraz o bezpieczeństwie. W butikach są szklane drzwi z zamkiem na dole... – Te drzwi mają specjalną nazwę, ale Jonasz nagle czuje pustkę w głowie. Mówi szybko dalej: – Otwarte

szeroko w dzień, zamykane na noc. Najemcy wolą takie rozwiązanie od spuszcanych metalowych rolet. Podobno ostatni klienci ich nie lubią, kojarzą im się z więzieniem albo, bo ja wiem, z rzeźnikiem...

Czeka, aż strażnicy się zaśmieją, choćby z uprzejmości. Ale oni stoją i po prostu na niego patrzą. Jakby ich samych prowadzili na rzeź. Jonasz chrząka i mówi dalej:

– Szklane drzwi zamyka się elegancko, pani sprzedawczyni po prostu się pochyła i przekręca klucz. Bez hałasu i bez złych skojarzeń. A całe założenie naszej galerii, cały wystrój, cała aranżacja mają przecież sprawić, żeby klient poczuł się wspaniale.

– Tylko, szefie, takie drzwi są bardziej narażone na włamanie. W końcu co metal to metal, szkło można stłuc.

To wtrąca ten chudszy. Jonasz patrzy na niego pobłaźliwie.

– No i po to właśnie jesteście wy, panowie. Oraz drzwi zewnętrzne. Bez obaw, te są zamykane na żelazne kratownice.

Znowu czeka na śmiech i znowu na próżno.

– Przecież tu w nocy nikogo nie ma. Tylko wy, panowie, a od środy, oprócz was, jeszcze pięciu innych strażników.

– Od środy... – powtarza głucho ten gruby. Jonasz udaje, że nie słyszy.

– Właściwie na dobrą sprawę można by w ogóle nie zamykać sklepów. Tak zresztą jest z supermarketem. Nie zamykamy go na noc. Waszym zadaniem jest sprawdzić, czy w środku nie zostali jacyś spóźnialscy, a potem po prostu zamykacie cały obiekt. Docelowo – przetyka ślinę, bo czuje w ustach gorzki smak – docelowo będą trzy główne wejścia, jedno na poziomie zero i dwa prowadzące na parking na poziomie minus jeden. Ale ponieważ dolny parking jest jeszcze nieczynny, pozostaje to na górze. Więc macie jeszcze mniej roboty. Tylko spuszczać kraty, klucze nosicie przy sobie, otwieracie rano, przed przyjściem pracowników.

Nadal patrzą na niego bez słowa.

– A w sklepach to już sprzedawczynie sprawdzają, czy nikt nie został. One to regulują z właścicielem sieci i one są za to odpowiedzialne, my się do tego nie wtrącamy. Wy musicie tylko się przejść, już po zamknięciu głównego wejścia pociągnąć za każde drzwi i upewnić się, czy zamknięte. Oczywiście na wszelki



wypadek jest też klucz uniwersalny, który pasuje do każdego zamka. Gdyby... bo ja wiem...

– Gdyby w środku się paliło?

– No na przykład. Chociaż to oczywiście nie będzie miało miejsca. W ogóle nie będzie miało miejsca nic nieprzewidzianego. Jak już mówiłem, wy tylko sprawdzacie, czy jest pozamykane.

– Sto siedemdziesiąt sklepów – mówi cicho ten trzeci.

Jonatan czuje, jak zalewa go krew.

– A tak – mówi sucho. – W końcu za coś wam płacą. Nie tylko za siedzenie całą noc z nogami na stole i gapienie się w monitory.

Urywa. Bierze głęboki wdech. W ten sposób nic nie osiągnie. Nie ma uczyć baranów roboty. Ma tylko przekazać im informacje i iść do domu. Nie on będzie rozliczał tych idiotów, jak coś zginie. On ma im tylko powiedzieć, co trzeba, potem podsunąć do podpisu bumagę z poświadczeniem, że zrozumieli, i wyjść stąd. W cholere!

– No więc, jak mówiłem – kontynuuje, już z uśmiechem – trzeba pociągnąć za każde drzwi i tyle. Potem zrobić obchód, co godzina. Nie musicie go robić wszyscy naraz.

– To znaczy we trzech... – wtrąca ten chudy.

– To znaczy we trzech – cedzi Jonasz przez zaciśnięte zęby. – Chwilowo we trzech, bo jak już wspomniałem, w przyszłym tygodniu będzie komplet załogi. Więc, jak próbowałem powiedzieć, kiedy mi pan przerwał, nie musicie robić obchodu razem. Właściwie dobrze byłoby, żeby jedna osoba przebywała przez cały czas w pomieszczeniu nadzoru technicznego. W waszej kanciapie – tłumaczy, kiedy napotyka ich puste spojrzenia. – Tam jest komputer, na który kamery umieszczone wzdłuż alejek kolejno przełączają obraz. Możecie też sterować ręcznie, za pomocą pilota, wybierać numer kamery. Na ścianie wisi schemat, zaraz przyjdzie szef informatyków i wszystko to wam pokaże.

– Już z nim rozmawialiśmy – wtrąca ten gruby. – Powiedział, że kamery nie działają. Jeszcze są niepodłączone. W sumie to na razie jest obraz tylko z pięciu czy sześciu.

Z czterech. Jonasz omal nie mówi tego głośno. Tylko cztery kamery podłączone są do systemu. Ale co to za różnica, cztery, pięć czy sześć. Żadna,

nie?

– Docelowo będą działać – odpowiada z mocą i myśli: jasne, docelowo będziecie mogli całą noc siedzieć w kanciapie i drzemać w fotelach. – A na razie po prostu róbcie częściej obchód. Jest was trzech, możecie się zmieniać. W dowolnych konfiguracjach.

Obraca głowę, bo coś przyciąga jego wzrok. Kobieta w sukience koloru zielonego groszku i na takich obcasach, w których można się zabić, lustruje bluzki na wystawie popularnej sieciówki. Chociaż jej sukienka na pewno nie jest z sieciówki. Obok kobiety stoi rudzielec w dżinsach i wiatrówce. Coś do niej mówi. Śmieją się. Jonasz zaciska szczęki tak mocno, że aż bołą go trzonowce, i odwraca wzrok.

– Czy wszystko jest jasne? – pyta.

Chudy wykonuje ruch głową, trudno dociec, czy to potwierdzenie czy zaprzeczenie. Gruby patrzy wzdłuż alejki, w kierunku supermarketu.

– Znaczący powiedział pan, że to nie będzie zamykane na noc?

– Dokładnie tak. Macie obejść całą powierzchnię i upewnić się, że nikt nie został. Zaraz po zamknięciu głównego wejścia.

Ten trzeci mruczy coś, ale nie mówi nic więcej.

Ruch sukienki w kolorze zielonego groszku znowu przyciąga wzrok Jonasza. Kobieta odsuwa się od wystawy i rusza przed siebie. Rudzielec idzie krok za nią, ale gapi się w ekran swojego telefonu. Gdyby Jonasz był z taką kobietą, nawet nie wyjąłby tego cholerstwa z kieszeni, nie oderwałby na sekundę wzroku od nóg w tych szpilkach pod samo niebo.

Zmusza się, żeby odwrócić wzrok.

– Czyli tak: robicie obchód co godzinę. Docelowo, kiedy podłączą wszystkie kamery i kiedy będzie więcej strażników, możecie sobie robić dłuższe przerwy, ale dzisiejsza noc to stan pełnej gotowości. Zrozumieliście?

Wszyscy trzech kiwają głowami.

– Pierwsza runda: sprawdzacie, czy nikt nie schował się w kioskach, w kib... w toaletach, w supermarkecie. A potem po prostu robicie kółko. Co godzinę! Zrozumieliście?

Znowu kiwają głowami.

- Zwracajcie uwagę na wszystkie nietypowe rzeczy.
- Na przykład jakie? – chce wiedzieć chudy.
- Dziwne hałasy... Zapachy... Dym...
- Przecież są czujniki.

Jonasz musi z całej siły się powstrzymać, żeby nie odchrząknąć. Zamiast tego kaszle.

– Są. Oczywiście. Ale i tak macie zwracać uwagę, na wszelki wypadek. Od tego jesteście. Czy wszystko jest jasne?

Tym razem przytakują, bez słów, ale zgodnie. A potem ten trzeci pyta:

– Ale to chyba, szefie, należy się jakaś premia, co? Bo jak my tylko we trzech, kamery nie działają...

- Działają! Po prostu jeszcze nie wszystkie.
- A do tego trzeba chodzić i wąchać. Szefie, to są trudne warunki pracy.
- No – dodaje ten z nadwagą. – I do tego nie mamy żadnej broni.

Jonasz wybucha śmiechem, trochę zbyt perlistym. Kilku kupujących się ogląda i Jonasz natychmiast poważnieje.

– A co byście chcieli? – pyta. – Pistolety?

– No nie, szefie. Ale chociaż jakiś taser. Albo pałkę. Co zrobimy, jak nam się tu ktoś włamie?

Jonasz wzdycha bardziej teatralnie, niż musi. Po to, żeby pokazać tym trzem, że tak naprawdę są wrzodami na dupie.

– Nikt się nie włamie. Po prostu musicie być widoczni, panowie. Chodzić po centrum co godzinę, jak mówiliśmy, a nie siedzieć w pokoju dla strażników i popijać kawkę. – Albo raczej wódkę, myśli, chociaż nie mówi. Za to patrzy znacząco na ich uniformy piaskowego koloru. – Po to macie mundury. Których, pragnę zaznaczyć, nie musieliście sami finansować, chociaż to jest powszechna praktyka. Dostaliście je gratis, od firmy. Po to, żebyście odstraszaali potencjalnych złodziei siłą swojego autorytetu.

Strażnicy, cała trójka, patrzą na niego z nieruchomymi twarzami, jakby mówił do nich po chińsku.

– No i macie przecież służbowe komórki. Możecie w każdej chwili zadzwonić na policję. Albo po straż pożarną...

Strażnicy jednym gestem wyciągają z kieszeni telefony. Chudy gapi się w ekran, ten z nadwagą dotyka swojego w kilku miejscach.

– Słaby zasięg.

Jonasz przewraca oczami.

– A jak myślicie, z czego jest zbudowana ta galeria? Brawo, zgadliście, z żelbetonu. A zbrojenia w ścianach zatrzymują fale elektromagnetyczne. I właśnie dlatego... – unosi palec, zanim któryś z mężczyzn wetnie się w jego słowa – i właśnie dlatego zamontowaliśmy specjalne wzmacniacze. Jeśli nie możecie złapać sygnału, po prostu musicie pójść na koniec galerii, jeden albo drugi. Tam sygnał jest jak żyłeta.

Wzmacniacze powinno być więcej. Konkretnie co kilkadziesiąt metrów, bo przy tych wijących się korytarzach sygnał co chwila ucieka. I będą, przecież będą. Docelowo.

Ten chudy chce jeszcze coś powiedzieć. Ale Jonasz unosi otwartą dłoń. A potem wyjmuje z kieszeni portfel. Wyciąga z niego trzy stówki.

– Premia ekstra. – Wręcza każdemu po jednej. – Bez podatku.

– Dzięki, szefie! – mówi chudy, a ten gruby znowu kiwa głową, tym razem z uznaniem. Trzeci chowa banknot do kieszeni. Uśmiechają się.

– No to do roboty, panowie – mówi Jonasz i znowu się ogląda. Ale sukienka w kolorze zielonego groszku już zniknęła w tłumie kupujących.

## JAKUB

Dzień jak dzień, robota jak robota, galeria jak galeria.

To znaczy dzień piękny, a najważniejsze, że dzięki temu całemu słońcu na niebie Jakub może bez podejrzeń założyć słoneczne okulary. W okularach nikt go nie rozpozna, a w każdym razie nie tak od razu.

W sumie to robota może też nie do końca jak co dzień. Bo otwarcie nowej galerii to zawsze zapieprz. Nazłazi się narodu we wszystkich kategoriach wiekowych, od gimnasty po panów po sześćdziesiątce, którzy nie tyle chcą, żeby im jeszcze stanął (po to mogą pójść legalnie do apteki), co żeby plecy ich nie bolały podczas łózkowych wygibasów. Jakub ma dla każdego coś miłego. I w różnych kategoriach cenowych. Dla zmęczonych amfę, dla tych, co nie mogą spać, piguły i dorotkę, dla tych, którym potrzeba kopa w życiu, ufo, batmana, supermana, aligatora i mistubishi, a dla tych, którym się nudzi – papierki. Ma nawet ziele, i to nie byle jakie, bo naprawdę daje kopa, Andriej przywozi mu od Ruskich jakąś nową odmianę. Gdyby nie fakt, że to jednak nielegalne, pewnie stałaby do niego kolejka.

A galeria, to nawet nie wie jaka. Nie był jeszcze w środku. Od rana krążą na parkingu, trzy razy zmieniali brykę i Andriej dwa razy dowoził towar. Jeśli tak dalej pójdzie, to do końca dnia zrobią większy utarg niż w ciągu całego miesiąca.

Jedyne, co Jakub wie o galerii, to że ten obiekt jest totalnie nieprzygotowany do otwarcia. Kamer na parkingu – zero, tylko tam, gdzie kiedyś mają być zamontowane, wiszą druty. Ochrony na parkingu – zero, tylko raz widzieli dwóch gości w uniformach, ale oni szybko się zmyli, pewnie mają od groma roboty w środku. Nawet policjanci tu nie zagląдают, chociaż powinni, zazwyczaj galerie zawierają umowę z komendą, że w dniach szczególnego nasilenia ruchu od czasu do czasu pojawia się patrol. A oni nie widzieli ani jednego. Normalnie żyć, nie umierać!

Szkoda tylko, że ten podziemny parking jeszcze nie jest oddany do użytku. Tam to by poszaleli. Może nawet Jakub dokooptowałby jeszcze kogoś do ekipy,

żeby się rozstawić z towarem w kilku różnych miejscach. Pewnie, mogą to zrobić, jak parking otworzą, ale wtedy będą już kamery i ochrona. Pierwszy dzień zawsze jest najlepszy na robienie interesów.

I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze, czas rozciąga się bez końca. Jakub co chwila patrzy na komórkę, pewny, że minęła co najmniej godzina, może półtorej, a to dopiero piętnaście minut, a czasami nawet dziesięć.

I po drugie, Andriej. Bo Jakub miał rację, że będą z nim kłopoty. Facet wyraźnie jest w słabej formie. Poci się i co chwila przysiada. Ociera czoło. Już cztery razy poszedł do galerii na kawę i przynajmniej tyle samo razy do kibla. I Jakub jest pewien, że Andriej wciągnął działkę. Albo wziął jakieś prochy. Albo nachlał się wody. Albo i jedno, i drugie, i trzecie.

Jakub jest wściekły, że w ogóle wziął go ze sobą. To prawda, że Andriej ma dojście do dobrego towaru, ale nie on jeden. Tu trzeba jeszcze przyłożyć się do roboty, a nie zachowywać jak panienka z ciotą. Jakuba zaczyna to wkurwiać. A jeszcze bardziej – martwić. Bo jeśli przy rozliczeniu za towar wyjdzie, że czegoś brakuje, to będą w dupie. Właściwie to on, Jakub, będzie.

Jakuba zaczyna boleć głowa. Czy ten motłoch musi się tak drzeć? Zwłaszcza dzieci. Jakub nie znosi dzieci, właściwie nawet nie przepada za swoim bratem, chociaż to już licealista. Jeśli o niego idzie, ludzkość mogłaby wyginać, byleby on nie musiał patrzeć na małych grzdyli. Rodzice to kiepscy klienci, wolą wydawać szmal na buty dla gówniarzy niż na kokę. A zanim gnojki dorosną na tyle, że same staną się klientami, Jakub pewnie już sto razy zmieni biznes.

Ociera pot z czoła. Nie do wiary, jak gorąco, chociaż pierwszy maja dopiero jutro. A te złamasy nie wpadły na to, żeby zbudować jakieś zadaszenie nad parkingiem. Jakub współczuje wszystkim, którzy po kilku godzinach w klimatyzowanej galerii spróbują wsiąść do bryki. Czyli sobie samemu też. Rany, co za burdel! Chociaż nie ma co narzekać, gdyby nie burdel, Jakub nie zrobiłby połowy tego obrotu, jaki właśnie robi.

Andriej podchodzi, blady i spocony, i mówi, że musi napić się jeszcze jednej kawy. Jakub mierzy go wzrokiem, ale tamten nie widzi spojrzenia albo nie chce widzieć.

– Później – mówi więc Jakub. – Nie widzisz, ilu mamy klientów? Przejdź się

jeszcze najpierw bliżej wejścia, do tej grupy małych. Tylko dyskretnie, żeby cię nie przycięli ze środka.

– A ty?

Jakub znowu mierzy go spojrzeniem, które mówi: nie przeginaj, gościu, a Andriej znowu udaje, że nie rozumie.

– Wiesz co? – mówi powoli Jakub. – Teraz ja pójdę się odlać, a później na kawę. A jeszcze później przejdę się i pooglądam ciuszki w galerii. Jasne?

Andriej wreszcie chyba skumał, bo mówi:

– Taaa. Jasne.

Jakub chce się odwrócić i odejść, ale Andriej łapie go za ramię. Jakub wyszarpuje się i odsuwa pół kroku, bo Andriej śmierdzi. Potem i czymś chemicznym.

– Jest jeszcze taka jedna sprawa... – Andriej się zacina. – Bo taki koleś... Wziął ode mnie towar, będzie już ze dwie godziny... I nie dał od razu kasy. Powiedział, że później zadzwoni...

No i są kłopoty!

Jakub kręci głową. Nie do wiary, że ktoś może być taki głupi. On, Jakub, nigdy nie daje na kredyt. Nie i już! Ani stałym klientom, ani przygodnym, ani tym nowym, których łowi tutaj, pod galerią. Tylko gotówka, i do tego odliczona, bo Jakub nie jest warzywniakiem i nie wydaje reszty. Prosto do ręki. I Jakub zawsze starannie sprawdza, czy hajs się zgadza. Po prostu lubi mieć porządek w swoich sprawach.

I już sobie obiecuje, że nigdy więcej nie weźmie Andrieja do roboty. Ten facet tylko generuje problemy. Jakub poszuka nowego dostawcy, takiego, który też lubi mieć sprawy w porządku, a nie jakiegoś ruskiego świra. Ale dzisiaj musi jeszcze wytrzymać. Zarobić, ile się da, pod wieczór zamknąć sklepik i wykonać parę telefonów. A na razie dotrwać do końca dnia!

Podaje Andriejowi swoją komórkę.

– Wstukaj mi numer tego żula.

Ręce Andrieja trzęsą się, kiedy bierze aparat. Czyli raczej wóda, po koce byłby spokojniejszy. Jakub cofa się o krok, żeby nie czuć wstrętnego zapachu alkoholu zmieszanego z potem, a potem chowa komórkę do kieszeni.

– Pilnuj biznesu. Ale pilnuj, do kurwy nędzy! Nie chcę tu wrócić za pół godziny i przekonać się, że rozdajesz towar za darmo jak jakiś pieprzony Czerwony Krzyż.

Andriej potakuje.

– Tak... Jasne.

Jakub odchodzi. Rzuca jeszcze przez ramię spojrzenie do tyłu. Widzi, że Andriej przysiada na betonowym kwietniku i ociera pot z czoła. I Jakub wie, że będzie z nim jeszcze więcej kłopotów.



## DOROTA

Oczywiście matka musi wszystko kontrolować! A zdziwiłaby się, gdyby się dowiedziała, o ilu rzeczach nie ma pojęcia!

Dorota nie może przestać obracać w głowie porannej kłótni, chociaż siedzą już z Ce w autobusie. Oczywiście musiała się odbyć ta idiotyczna dyskusja. „Zjadłaś śniadanie?” (najważniejszy, kurwa, posiłek dnia!). „Z kim idziesz?”. „Dokąd?”. „Nie masz nic lepszego do roboty?”. No prawdziwy cud, że matka nie spytała, czy odrobiła lekcje (nie odrobiła i nie zamierza!). Dorota naprawdę z całej siły powstrzymuje się, by nie powiedzieć, żeby się od niej odwaliła. Matka mogłaby docenić jej wysiłek.

Wygląda spódniczkę na kolanach. Ce ma prawie taką samą, ale „prawie” to najważniejsze słowo w tym zdaniu. Od razu widać, że spódniczka Doroty kosztowała o wiele mniej. Że w ogóle jej ciuchy są gorsze, chociaż Dorota stara się, jak może, wyglądać równie zajebiście.

Ce się nie odzywa i nie pyta, czemu Dorota milczy. Gapi się w ekran swojego telefonu, co chwila stuka w wyświetlacz i marszczy czoło. Wygląda jak matka Doroty, kiedy pod koniec miesiąca sumuje rachunki, a nie jak nastolatka, która jedzie do galerii poprzymierzać ciuchy.

Wreszcie to Dorota przerywa milczenie.

– Co tam tak sprawdzasz? – pyta.

– A, nic. – Ce wygasza ekran.

– Pokaż.

– Nic nie mam, serio. Skakałam po Insta, ale nic ciekawego dzisiaj.

To nie poprawia Dorocie humoru. Ce nie jest już jej najlepszą przyjaciółką? Znalazła sobie inną? Albo chłopaka – i nic nie powiedziała?

Nagle Dorota ma ochotę wracać do domu. Zamknąć się w pokoju, schować pod kołdrę i tak przesiedzieć cały dzień. Już lepiej kłócić się z matką, przynajmniej wszystko jest wtedy jasne.

– Powinnaś wrzucać więcej do sieci – mówi nagle Ce.

– Wrzucam – odpowiada krótko Dorota. Nie chce o tym rozmawiać.

Ale Ce chce:

– Serio, Dory. Nikt cię nie zauważy, jak nie będziesz postować.

Może nie chcę, żeby ktoś mnie zauważył, pragnie odpowiedzieć Dorota. Ale nie ma odwagi.

Nagle Ce wygląda przez okno i woła:

– Zobacz, to tutaj!

Dorota wygląda przez szybę. Ce zrywa się, rusza do drzwi, wciska przycisk, że chcą wysiąść. Śmieje się. Może to rzeczywiście nie było nic takiego. Może rzeczywiście tylko surfowała po Insta i już.

Dorota zamierza świetnie się bawić, w końcu po to tu przyjechała. To znaczy Ce na pewno będzie bawić się o wiele lepiej. Dorota też bawiłaby się wprost znakomicie, gdyby miała tyle kasy i gdyby mogła tą kasą szastać na prawo i lewo. Wtedy czułaby się jak w raj. A tak pewnie będzie miała wrażenie, że patrzy na wszystko przez grubą szybę, jak dziecko wgapione w wystawę sklepu z czekoladkami. Już nie raz tak było...

Ale co tam! Są przyjaciółkami. To ich dzień i już!

A dzień w ogóle też jest jak w raj: słońce i ani jednej chmurki. Ptaki śpiewają, to znaczy pewnie śpiewają, tylko zagłuszają je dźwięki z ulicy i muzyka z głośników przed wejściem. Dziewczyny robią sobie selfika przy fontannie, najpierw razem, potem każda z osobna. Dorota ma ochotę popuszczać bańki mydlane razem z dziećmi, ale Ce mija bańkarza, jakby w ogóle go nie zauważyła, i Dorota biegnie za nią.

– Tu jest super! – mówi, a Ce kiwa głową. To naprawdę najbardziej czadowa galeria ze wszystkich w mieście.

Idą powoli, szybko się nie da. Porywa je fala ludzi i wciąga przez drzwi. Ce robi jeszcze jednego selfika, z dziubkiem, ale i z przymrużonym okiem, żeby było widać, że to wszystko żart. A potem nagle są w środku.

Z tą nazwą to w ogóle nie przesadzili. Tu naprawdę jest jak w raj. Dorota co prawda nie wie dokładnie, jak tam jest, nie chodzi na religię. Chodziła w podstawówce, w gimnazjum poprosiła matkę, żeby jej odpuściła, a matka jeszcze uraczyła ją komentarzem, że dlaczego tak późno poszła po rozum do głowy. No w każdym razie z katechezy w podstawówce Dorota też niewiele

pamięta, a z raju to tylko tyle, że żyli tam Adam i Ewa.

Ale pewnie było tam pięknie, skoro to takie ważne miejsce. Pięknie jak tu!

Zaraz za głównym wejściem galeria przypomina wielki ogród, no właśnie rajski, albo jakąś dżunglę. Wszędzie dookoła są drzewa i Dorota musi naprawdę się przyjrzeć, by zobaczyć, że niektóre są namalowane na ścianach i suficie, a tylko niektóre – w 3D. Na patio naprzeciwko wejścia pluska prostokątna fontanna, a nad nią od sufitu do samej wody rozpięte są pionowe struny. Na nich pojawiają się obrazy, chyba jakieś laserowe: ogromne meduzy wielkości dwóch Dorot i dwóch Ce, razem wziętych, poruszają się powoli, magnetycznie, hipnotyzują. Ciekawe, czy w prawdziwym raju też był kiedyś ocean... Gra muzyka, nie żaden znany cover, tylko jakiś ambient, z szumem wody i śpiewem ptaków. W powietrzu pachnie kwiatami i jeszcze trochę wilgocią i liśćmi, ale nie tak jak w piwnicy, do której matka każe jej schodzić po słoiki z ogórkami i konfiturami od babci, tylko tak, jak musi pachnieć w dżungli. Promienie słońca wpadają przez wielkie szyby w suficie i prześwietlają meduzy, liście: te namalowane i te w 3D, i oświetlają tłum ludzi, tak że każdy wygląda, jakby miał aureolę wokół głowy. Prawdziwy raj!

– Oł, em dzi! No, czad – podsumowuje Ce. Wrzuca selfie na Insta i nagle chwyta Dorotę za rękę. – Gdzie idziemy najpierw?

Dorota sama nie wie. Trochę kręci jej się w głowie, od muzyki, od upojnego zapachu, a najbardziej od wielkich oczekiwań.

– A gdzie ty chcesz? – pyta.

Ce ciągnie ją pod wielki plan galerii, na interaktywnej tablicy. Pod planem kłębi się tłum, ale Ce potrafi robić łokciami i po chwili obie są na samym przodzie.

– Najpierw ciuuuuchyyyy! – mówi Ce głosem upiora z horroru. Jakiś koleś się śmieje. Ce nie zaszczycą go spojrzeniem. – Zobacz, Dory, tędy.

Wyciąga przyjaciółkę z tłumy. Dorota ma wrażenie, jakby była robotem sterowanym przez kogoś innego. Ale idzie chętnie. Ce zawsze ma dobre pomysły.

– Zaczniemy z tej strony – mówi Ce, a Dorota przytakuje. Wchodzą do jednej sieciówki, do drugiej, do trzeciej, do czwartej. Ce przegląda ciuchy na wieszakach, kopie w tych ułożonych w stosach, wyciąga rzeczy do

przymierzenia. Dorota wyjmuję jedną bluzkę, a po chwili namysłu też spodnie. Wie, że ich nie kupi, naprawdę już nie ma za co, a matka powiedziała, że kieszonkowego za maj może się spodziewać dopiero po długim weekendzie. Poza tym i tak woli poczekać na wyprzedaże pod koniec czerwca. Ale Ce niesie tyle ciuchów, że ledwo ją spod nich widać, i Dorota nie chce być gorsza.

Ustawiają się w kolejce do przymierzalni i gadają. O modzie, o ciuchach i o chłopakach. Dwie nastolatki, w dobrym humorze, w piękny dzień, w fajnym miejscu, które przyszły się powyglądać i poprzebierać. Dorota przez chwilę czuje się szczęśliwa.

Ce ma za dużo rzeczy, sprzedawczynie każe jej zostawić połowę, więc Dorota mówi, że ona je weźmie. Normalnie w sieciówkowych przymierzalniach panuje zasada: jeden klient – jeden boks, ale dzisiaj, przy tych tłumach, sprzedawczynie wyjątkowo pozwala im iść razem. Biegną do ostatniej wolnej kabiny, ledwo się w niej mieszczą z tymi stosami ciuchów.

Dorota wkłada spodnie, wygina się trochę przed lustrem, a potem je zdejmuje i mówi, że jakoś jej się nie podobają. Że chyba jest za gruba i najpierw musi się odchudzić. Że ma fałdki na brzuchu. Ce tego nie komentuje. Sama przymierza sukienkę, trzy bluzki, dwa T-shirty i spódnicę. Na koniec bierze spodnie, które zdjęła Dorota. Na Ce leżą idealnie i nie widać żadnych fałdek. Ce mówi, że je weźmie i jeszcze spódnicę, i bluzkę.

Ustawiają się w kolejce do kasy. Telefon Doroty wydaje jedno piśnięcie. Dorota wyciąga aparat z kieszeni, sprawdza, krzywi się.

– Co jest? – pyta Ce.

– Moja matka. Jezu! Znowu chce wiedzieć, gdzie jestem.

– LOL, dziewczyno, ile ty masz lat? – Ce kręci głową. – Weź wypieprz jej z telefonu WhatsAppa. Sama na pewno nie będzie umiała sobie z powrotem zainstalować.

Obie kulą się ze śmiechu, bo to prawda. Zresztą starzy Ce są tacy sami, beznadziejni, jeśli idzie o smartfony.

– Masz rację – mówi w końcu Dorota, ale wie, że i tak tego nie zrobi. Matka znowu urządziłaby jej awanturę. I kolejną. I kolejną. Aż dla świętego spokoju Dorota znowu zainstalowałaby WhatsAppa. Matka od rozwodu ma jakąś paranoję, cały czas chce wiedzieć, gdzie Dorota jest. Nie zabrania jej

wychodzić, po prostu chce mieć na nią oko na odległość. Dorota uważa, że mogłoby być gorzej.

Odpisuje: „Jesteśmy w galerii, wszystko OK”. Przy okazji sprawdza Insta. Jej post z dziubkiem przed fontanną dostał siedem lajków. Post Ce – czterysta siedemdziesiąt jeden. Dorota wciska telefon do kieszeni.

Ce mówi, że jest głodna, i Dorota też czuje, że jej burczy w brzuchu. Idą w stronę food courtu.

– Zobacz – mówi nagle Ce, ale nie pokazuje Dorocie żadnych ciuchów ani nic takiego, tylko ustawione z boku, przy ścianie, rusztowania. Na podłodze leżą metalowe rurki częściowo zasłonięte plandeką.

Dorota nie rozumie, co tu jest do oglądania.

– No raczej za wcześnie otworzyli tę galerię. Pewnie chcą natłuc kasy przed majowym weekendem.

– No – przytakuje Dorota szybko. – Jeszcze jakieś dziecko się przewróci i będzie.

– No wiesz, jak ktoś łązi z dziećmi na zakupy, to ma takie rzeczy na własne życzenie – komentuje Ce.

Dorota nie bardzo wie, co na to odpowiedzieć. Ce nie czeka, tylko kieruje się prosto w stronę McDonalda. Dorota wolałaby coś innego, może jakiś tajski makaron, tylko że Ce zawsze wybiera McDonalda. Znowu mają szczęście, wszystkie boksy są zajęte, ale kiedy podchodzą z tacami, rodzina z dwójką dzieci zwalnia mały stolik i Dorota myśli, że to jednak nie jest zły dzień. Rodzina zostawia po sobie niezły chlew, Ce z obrzydzeniem marszczy nos, a Dorota szybko zbiera puste pudełka i serwetki na tacę i odstawia na boczną szafkę.

– No, dzięki – mówi Ce. – Myślałam, że się porzygam.

Jedzą, gadają. Ce pije lodowatą colę przez słomkę, żeby nie zetrzeć szminki, a potem przypomina sobie, że plastik zaśmieca oceany, i z udawanym przerażeniem wyciąga słomkę z kubka. Dorota chichocze, po chwili obie ryją się z jakiegoś gościa, który kręci się w kółko na środku food courtu, jakby nie wiedział, po co tu przyszedł.

A potem Dorota pyta:

– Kim będziesz w przyszłości?

Ce patrzy na nią, jakby Dorota była kosmitką i przyleciała spoza Układu Słonecznego, żeby obejrzyć nowe centrum handlowe.

– W przyszłości? *Seriously*? W jakiej przyszłości?

Dorota już żałuje, że zadała to pytanie. Ale brnie dalej:

– No, w jakiejś. Wiesz, kiedyś. Jak będziesz... dorosła.

Ce nadal patrzy na nią jak na kosmitkę.

– Będę dorosła za rok i dziesięć miesięcy. Niecałe. Jak skończę osiemnaście lat.

– Wiem. No. Tylko...

– Tylko co?

Dorota nie wie, co powiedzieć. Czuje się jak ta głupia rybka, Dory, w tym idiotycznym filmie dla dzieci. Jeszcze kilka lat temu strasznie się jej podobał, ale teraz już przecież z niego wyrosła. Rybka, która nie pamięta, co przed chwilą mówiła i robiła. Ce upiera się, by tak nazywać Dorotę, według niej to strasznie śmieszne przydomko. I nagle Dorota ma wrażenie, że to do niej pasuje, że też jest głupia i nie potrafi zebrać myśli.

Ta minuta ciszy ciągnie się bez końca. Jakby Dorota wpadła w jakąś czarną dziurę albo coś takiego. W końcu Ce lituje się nad nią i przerywa milczenie.

– *Seriously*, Dory, powinnaś więcej postować na Insta – mówi.

Dorota nie rozumie, jaki to ma związek z jej wcześniejszym, niepotrzebnym pytaniem. Jeszcze bardziej czuje się jak ta głupia rybka.

Na szczęście Ce odrywa od niej wzrok. Patrzy na ludzi za plecami Doroty i nagle poważnieje. Przysuwa bliżej głowę i szepcze:

– O! em dzi! Na mojej drugiej. Tylko nie odwracaj się od razu.

Dorota oczywiście zaczyna się odruchowo odwracać.

– Dory, nie ruszaj się! – syczy Ce. – Schyl się, udawaj, że coś ci spadło.

Dorota pochyla się, a potem prostuje i jednocześnie okręca na siedzeniu i patrzy w kierunku, który pokazuje Ce.

– Widzisz? Jakub!

## TERESA

Długo trwa, zanim dociera do tej galerii. Bo dobrze wie, co powie Dorota, jeśli tam się na nią natknie. A raczej, co wykrzyczy!

Więc Teresa najpierw robi jednak ten makijaż, bo nie może się przecież pokazać ludziom bez. Potem jedzie do Tesco po wodę mineralną, chleb i kilka innych rzeczy, które nie zepsują się, jeśli poleżą trochę w bagażniku, nawet w upał. Później zahacza o fryzjerkę i umawia się na strzyżenie na przyszły wtorek. Co prawda mogłaby to zrobić telefonicznie, ale potrzebny jej dodatkowy pretekst, żeby opóźnić dotarcie do galerii. A na koniec wstępuje jeszcze do ulubionego sklepu dla zwierząt w zupełnie innej części miasta po żarcie dla kota.

Dobrze wie, że wszystko to mogłaby spokojnie kupić w supermarkecie w galerii. Tłumaczy sobie, że zanim tam dotrze, wszystkie miejsca parkingowe będą zajęte, i to nie tylko te w pobliżu wejść, po prostu wszystkie. Nie będzie przecież zasuwać z butelkami wody i ciężką karmą nie wiadomo jak daleko.

Kiedy wreszcie dociera, jest już po południu. No i oczywiście miała rację z miejscami parkingowymi. Nie ma już ani jednego, jedniutkiego. Całe miasto się tu zważyło. Teresa kiwa z uznaniem głową. Organizatorzy zastosowali stary trik: ograniczoną dostępność. Galeria otwarta tylko w sobotę, a potem zamknięta aż do środy, ludziska, jak nie przyjedziecie, to zabraknie dla was. Stary trick, ale co z tego, skoro ona sama daje się na to nabrać, ona i tysiące innych.

Znajduje miejsce w bocznej uliczce, i to tylko dlatego, że akurat ktoś wyjechał. Ledwo się wciska i omal nie zarysowuje karoserii. Przechodzi przez ulicę w niedozwolonym miejscu, bo nie chce jej się iść do światła, a potem rusza placzykiem do głównego wejścia.

Trzeba im przyznać, ładnie zagospodarowali przestrzeń. Parking umieścili trochę z boku i odgrodzili szpalerem drzewek w doniczkach. Niewiele zasłaniają, jednak plamy zieleni od razu tworzą przyjemną atmosferę. Bliżej wejścia potęguje ją jeszcze fontanna bez cembrowiny, taka, do której w upalny

dzień mogą wbiegać dzieciaki, otoczona – o cudzie nad Wisłą! – rzędem ławeczek. Latem ławeczki okażą się idiotyczne, nikt nie będzie siedział przy czterdziestu stopniach, choćby i obok fontanny. Ale ostatniego dnia kwietnia wygrzewanie się na słońcu ciągle kojarzy się z beztróską i swobodą. Zaprojektował to niezły psycholog.

Teresa jeszcze raz kręci z uznaniem głową na widok wynajętych bańkarzy, gdy hipnotyzują dzieciarnię ogromnymi mydlanymi bańkami puszczanymi na wiatr, stanowiska do malowania kredą na płytach chodnikowych i wielkiego ekranu z boku przy wejściu, na którym na przemian pojawiają się ptaki, liście i twarz kobiety z wydętymi ustami zdmuchującej puch z dmuchawca. Wszystko to jest, kurwa, idealne. Teresa mogłaby się założyć, że wieczorem będą stąd wywozić pieniądze taczkami.

Szklane płyty drzwi obrotowych rozsunięto na boki na oścież. Teresa wchodzi do środka. Nie, nie wchodzi, wpływa w tłumie innych osób. W centralnym patio trochę się rozluźnia. Wciąga powietrze głęboko w płuca, a właściwie nie powietrze, tylko mieszanek gazów przepuszczoną przez klimatyzatory i wyperfumowaną czymś, co kojarzy jej się z dziką przyrodą. Teresa wie, że to też część psychologicznego triku, że to specjalna kombinacja zapachowa, która ma wprawić kupujących w dobry humor i skłonić ich do sięgnięcia głębiej do portfeli. Ale wiedzieć to jedno, a poddać się nastrojowi... to zupełnie coś innego. Zadziiera głowę i podziwia drzewa, te namalowane i te wolno stojące, pewnie sztuczne, ale wyglądające całkiem jak prawdziwe. Słońce prześwieca przez gałęzie i złudzenie jest kompletne. Teresa nie zdziwiłaby się, gdyby nagle zobaczyła ptaki. A w każdym razie słyszy ich śpiew wpleciony w dźwięki muzyki, która leci z głośników.

Przymyka oczy. Chciałaby, żeby czas się zatrzymał. Żeby ta chwila trwała, jest taka perfekcyjna. Teresa nie myśli, nie martwi się, nie zastanawia, nie kalkuluje... Jest w raj!

Dobrze wie, że ten raj będzie ją drogo kosztować. Że się nie powstrzyma, sięgnie po kartę kredytową i będzie spłacać to cholerstwo miesiącami. Wie, a i tak czuje, jak przepelnia ją radość. *Heaven, I'm in Heaven* nuci w rytm muzyki. Po cholerę studia i dwudziestoletnie doświadczenie w pracy psychologa, skoro człowiek i tak ślini się na widok sklepów jak pies Pawłowa? Nie prościej byłoby przestać walczyć i po prostu się poddać? Rozłożyć ramiona i pozwolić unosić



się ciepłemu wietrzykowi? Jak w rajku...

Dobra, najpierw obowiązki! Teresa przysiadła na ławce i wyciąga komórkę. Cholera, tylko sześć procent, zapomniała naładować! Na szczęście nosi w torebce kabel, bo ten pieprzony aparat już ledwo zipie. Rozgląda się i cmoka z uznaniem, z boku ławeczki zamontowana jest seria gniazdek. Wciska w jedno wtyczkę, marszczy brwi i czeka na pojawienie się znaczka błyskawicy (ciekawe, co za kretyn to wymyślił jako symbol ładowania). Po chwili wyrzywa wtyczkę z kontaktu, wciska do drugiego i znowu nic. W trzecim to samo, więcej gniazdek nie ma. Czyli raj nie jest idealny. Pewnie się pospieszyli i otworzyli galerię, zanim wszystko podłączono.

No, w sumie nieważne, telefon jej dzisiaj niepotrzebny. Może to i lepiej, jak nikt z roboty nie będzie mógł się dodzwonić, w końcu to weekend. A te sześć procent... nie, już pięć, akurat wystarczy, żeby się odezwać do Doroty. Teresa wstukuje w WhatsAppie: „Gdzie jesteś”. Dwa niebieskie ptaszki wyskakują od razu, Dorota przeczytała, pewnie, ona przecież nie wypuszcza telefonu z ręki, nawet kiedy śpi.

Odpowiedź przychodzi dopiero po dłuższej chwili. „Jesteśmy w galerii, wszystko OK”. Teresie wpada do głowy, żeby zapytać o coś więcej, ale odgania tę myśl. Jeszcze będzie czas na kolejną awanturę. Przynajmniej wie, gdzie jest córka, więc może sobie wmówić, że ma nad nią kontrolę. Teraz wreszcie nadeszła chwila na zafundowanie sobie przyjemności. Na pozbycie się wiecznych wyrzutów sumienia, wiecznych zmartwień, wiecznej troski o Dorotę. Na bycie nie dziewczyną starowiną, nie matką, tylko kobietą. Przez duże K i z całą resztą liter!

Wstaje i rusza alejką powoli, dozuje przyjemność. Wie, że jeśli wejdzie do jakiegoś sklepu, wyjdzie z pełnymi torbami i pustym portfelem. Więc starannie wybiera miejsce, gdzie ma zostawić pieniądze. Bo przecież obiecała sobie nowe życie, prawda? Jedna rzecz, droga, za to starannie wybrana i dobrej jakości. Nie żaden chłam z sieciówki, jedna rzecz, która starczy na lata i która wykreuje nowy wizerunek Teresy, eleganckiej kobiety sukcesu. Kobiety przez duże K.

## RUDY

Rudy wie już, że dzisiejszej nocy, z soboty na niedzielę, galerii pilnować będzie tylko trzech strażników. Wie też, że docelowo ma być ich ośmiu, ale to „docelowo” zupełnie go nie interesuje, bo po jutrzejszym poranku nie zamierza już nigdy w życiu pojawić się w Raju. Nie jest typem, który spędza czas w galeriach handlowych. Chyba że chodzi o robotę.

Plan jest następujący: Rudy zostaje, kiedy wszyscy wychodzą po zamknięciu. Chowa się tak, żeby nie znaleźli go strażnicy. Nad tym punktem musi jeszcze popracować, ale spokojnie, zdąży, jest dopiero czternasta. W każdym razie chowa się, a kiedy już nikogo nie ma i galeria jest zamknięta, wychodzi. To znaczy ukrywa się jeszcze trochę, żeby poznać rytm obchodu strażników. Ale ponieważ to dopiero pierwsza noc, ponieważ facetów jest tylko trzech i ponieważ nie mają jeszcze ustalonej rutyny, na pewno będą więcej czasu spędzać w kanciapie niż w korytarzach galerii. Szybko się zmęczą.

Więc plan jest taki, że Rudy się ukrywa, a gdy strażnicy znikną z pola widzenia, włamuje się do sklepu.

Wybór tego sklepu jest właściwie oczywisty. W galerii, nie licząc tego pieprzonego molocha supermarketu, są tylko butiki z modą, kosmetykami, biżuterią, artykułami sportowymi i AGD. I chyba jeden z rzeczami dla zwierząt, tylko że Rudy nie zamierza kraść karmy dla szczeniaków. Ciuchy to chłam, ile musiałby wynieść, by cokolwiek zarobić? Podobnie kosmetyki, nawet te luksusowe. Najlepsza byłaby biżuteria, ale duże firmy, a tylko takie mają tu sklepy, nie ryzykują i Rudy gotów jest się założyć o planowany tej nocy zarobek, czyli o całkiem sporą sumę, że wszystkie zainstalowały już alarmy, zabezpieczenia i inne gówna. No a AGD jest, owszem, drogie. Oraz ciężkie. I jak niby miałby wynieść telewizor, żeby nikt tego nie zauważył?

Bo plan Rudego jest taki, że schowa się, poobserwuje strażników, ukradnie, co ma ukraść, a potem wcale nie będzie próbował się wydostać. Nie dałby rady tego zrobić: główne wejście będzie zamknięte na głucho, boczne w ogóle nie zostały jeszcze otwarte, a awaryjne zawsze, od pierwszego dnia, są podłączone

do alarmu. Więc według planu znowu się schowa i grzecznie poczeka do rana, może nawet uda mu się zdrzemnąć. A rano wyjdzie.

To znaczy nie tak od razu. Bo jutro pierwszy maja, we wtorek trzeci. Dla kupujących galeria zostanie otwarta dopiero od środy. Dlatego dzisiaj są dzikie tłumy.

Ale bez obaw, Rudy nie zamierza tu siedzieć do środy. Chociaż, gdyby było trzeba, pewnie dałby radę, chować to on się potrafi, a w supermarkecie, którego ci debile nie zaopatrzyli w żadne kraty, jest w bród jedzenia i pewnie znalazłaby się nawet poduszka pod głowę, szczoteczka i pasta do zębów. Ale nie będzie takiej potrzeby. Jutro, pojutrze i popojutrze zjawi się tu pełno ekip technicznych. W końcu kiedyś muszą to wszystko podłączyć i sprawić, żeby działało zgodnie z planem, a nie tylko z pobożnymi życzeniami.

Więc gdy przyjdą ekipy techniczne, a strażnicy z nocnej zmiany pójda sobie do domu, to Rudy grzeczniutko wyjdzie. Nikt nie zwróci uwagi, będzie tu się kręciła masa ludzi, a przecież robotnicy z jednej ekipy nie znają tych z drugiej. A poza tym oczywiście nie wyjdzie jako Rudy. Właśnie dlatego ma w plecaku tubkę farby do włosów. Ufarbuje je w umywalce, a później wyczyści zlew specjalnie przygotowaną gąbeczką i odrobiną cifa, który przelał do torebki foliowej. Żeby nie zostawić żadnych śladów. Wiatrówka jest dwustronna, szary T-shirt nie rzuca się w oczy, a džinsy to džinsy, nie? Nawet jeśli wejdzie w pole widzenia jednej z tych czterech działających kamer, nikt go nie rozpozna na ujęciu. A w kiblu kamer i tak nie ma, nigdy tam nie montują. Takie przepisy, i dobrze.

Więc Rudy sobie wtedy grzecznie wyjdzie. Z pełną torbą, tą czarną, płócienną, teraz zwiniętą w jego plecaczku. Przypominającą torby elektryków na tyle, że nikt nie zwróci na niego uwagi. Może nawet z kimś się przywita po drodze, to zawsze działa. A w torbie będzie miał... No, to przecież oczywiste! Skoro ciuchy są za tanie, telewizory za ciężkie, a biżuteria za dobrze zabezpieczona, to zostaje tylko jedna rzecz. Która jest lekka, mała i droga. I zabezpieczona tak sobie.

Telefony komórkowe. I Rudy wcale nie zamierza ich kraść ze sklepu AGD, tylko z saloników prowajderów. Tych już w czasie pierwszego okrążenia naliczył pięć. A jak wiadomo, każdy prowajder na takie otwarcie galerii ma u siebie dużo egzemplarzy najnowszych i najdroższych modeli, bo liczy na to, że

je opchnie. I Rudy mu w tym pomoże. Tylko nie podzieli się zyskiem.

Czysta robota: schować się, poobserwować, wyjść z ukrycia, otworzyć drzwi saloniku prowajdera, wejść, zamknąć za sobą drzwi, żeby nie przyciągnąć uwagi strażników, pobuszować w środku, załadować torbę, wyjść, ponownie zamknąć za sobą drzwi, znowu się schować, a potem powtórzyć wszystkie ruchy w kolejnym saloniku, aż do napełnienia torby. Rudy jeszcze tego dokładnie nie przemyślał, ale chyba zrezygnuje z kartonowych pudełek. Tam, gdzie zamierza opchnąć telefony, mają w dupie, czy aparaty są w oryginalnych opakowaniach. Za to bez pudełek więcej się zmieści do torby.

Może nawet na końcu poukłada je ładnie w szafkach, do których się włamie. Będzie miał mnóstwo czasu na taką zabawę. W ten sposób nikt się nie zorientuje, że coś ukradł, aż do środy. A w środę Rudy będzie daleko stąd i w ogóle nie będzie już Rudym.

Czysta robota i czysta przyjemność. No, po prostu jak w raj.

## JAKUB

Jakub wchodzi głównym wejściem do galerii, a właściwie wpływa przez drzwi, bo porywa go fala tłumu. Za drzwiami, gdzie ludzie mogliby się rozproszyć, bo patio jest wielkie, wszyscy i tak stoją zbici w kupę i gapią się na dekoracje z uniesionymi głowami. Dekoracje-sracje! Przecież to, kurwa, nie muzeum. Jakub nie rozumie sensu marnowania całego dnia tylko po to, żeby kupić jedną albo dwie szajsowate rzeczy. Naprawdę chciałby kiedyś zobaczyć, jak te wszystkie galerie idą z dymem. To byłby fajny widok. Tylko gdzie by wtedy sprzedawał towar? Przecież nie pod kościołem.

Ale teraz musi się skoncentrować na pracy, na złote myśli będzie mógł sobie pozwolić po wszystkim, wieczorem w domu.

Najpierw idzie się odlać do wypasionego kibla, w którym gra ta sama muzyka co w alejkach: jakieś popierdujące ptaki i szum wody. Potem zapina rozporek i wyjmuje komórkę. Odnajduje numer wstukany przez Andrieja.

Czeka na połączenie. Zazwyczaj nie gada przez telefon, nie odzywa się, milczy. Taki ma system. Jeśli musi coś potwierdzić, a nie tylko przyjąć zamówienie, odpisuje esemesa. Jego klienci o tym wiedzą, chociaż nie do końca rozumieją, dlaczego to robi. Ale Jakub naczytał się o systemach identyfikacji głosu, z których podobno coraz częściej korzystają policjanci. Nie wie, czy to rzeczywiście działa, jednak poważnie traktuje nowe technologie. Jak wszystko inne, bo w tym biznesie im poważniej traktuje się sprawy, tym dłużej człowiek pozostaje na wolności. A Jakub nie ma zamiaru głupio wpaść. Ma zamiar odłożyć trochę grosza i zainwestować w inny biznes. Tylko musi pozbyć się Andrieja...

Zanim zdoła się nakręcić z zamartwianiem, słyszy w słuchawce:

– Halo? Halo, kto tam?

Jakub milczy. Poczeka jeszcze chwilę, żeby ten debil po drugiej stronie zajarzył, o co idzie.

– Halo – słyszy znowu. – To ty, Jakub?

Nadal milczy.

– Dzwonisz w sprawie tej kasy, prawda? Ja ci ją oddam, przecież wiesz. Jutro oddam, dobra?

Jakub milczy.

– No, dzisiaj oddam, tylko później, dobra? Bo coś się, kurwa, spierdoliło. I teraz nie mogę...

Jakub milczy.

– Strasznie źle się czuję. Pikawa mi wali... Rany, strasznie mi łomocze.

Jakub milczy.

Koleś w słuchawce sapie. A potem mówi zdyszczanym głosem:

– Stary, ja mogę ci teraz dać pół. Naprawdę nie mam dzisiaj więcej. Proszę, zgódź się. Jestem w przymierzalni. Nie wiem, jak się, kurwa, nazywa ten sklep. Jakaś sieciówka. Z ciuchami... Z taką czerwoną wystawą. Jak możesz, to przyjdź, będę tu na ciebie czekał. Źle się czuję, nie mogę stąd wyjść...

Połączenie się urywa. Jakub patrzy jeszcze raz na wyświetlacz, a potem chowa komórkę do kieszeni.

Czuje, jak buzuje w nim wściekłość. Na tego półmózga Andrieja, który rozdaje dragi za *free*. A on, Jakub, musi potem po nim sprzątać.

Jakub wychodzi z kibla. Nie ma pojęcia, o jaki sklep idzie. Coś tam z ciuchami i z czerwonym. Podejmuje szybką decyzję: przejdzie się jedną alejką, a potem drugą. Jak nie znajdzie, to powie Andriejowi, że wylatuje z tej roboty teraz, natychmiast. I że to on spłaca długi.

Ale znajduje. Bardzo łatwo. Sklep jest rzeczywiście sieciówkowy, choć taki z wyższej półki. Nie żeby Jakub śledził te półki, on się tym nie interesuje, a tych, którzy się interesują, uważa za półmózgi. Ale to od razu widać: w środku nie ma dzikich tłumów, tylko najwyżej kilkanaście osób, pachnie inaczej, a towar, zamiast leżeć w stertach, jest minimalistycznie poukładany w niewielkie kupki. W ogóle wszystko jest niewielkie, pewnie oprócz cen, he, he.

W przymierzalni, powiedział. Są przymierzalnie damskie i męskie, Jakub zakłada, że chodzi o te drugie.

Bierze ze sterty dwa minimalistycznie i kurewsko drogie T-shirty. Nie chce iść do przymierzalni z pustymi rękami, ekspedientka mogłaby go zapamiętać.

A jeśli będzie się zachowywał jak typowy klient, nikt go sobie w życiu nie przypomni, nie w pierwszym dniu otwarcia.

Po tym też można poznać, że ten sklep to wyższa półka: przed kabinami nie stoi kilometrowa kolejka, w ogóle żadna nie stoi. Jakub stąpa po grubej wykładzinie, bezgłośnie pociąga za pierwsze drzwi, z drewna, sięgające od sufitu do podłogi, nie jak w tanich sklepach. Drzwi są zamknięte od wewnątrz. Drugie też, tak samo trzecie.

Jakub dochodzi do wniosku, że jednak pomylił sklepy. Ale pociąga jeszcze za kolejne drzwi i te się otwierają. Jakub zagląda do środka.

I widzi jakiegoś kolesia, w kącie, na podłodze. Kolo siedzi, a właściwie prawie leży, oparty o ścianę, ze spuszczoną głową. Wygląda, jakby spał. Albo był mocno nawalony.

Jakub szybko wchodzi, zamyka, przekręca zasuwkę. Kolo się nie rusza. Jest w wieku Jakuba, może niewiele starszy. Ubrany dziwnie, jak pedał, w koszulkę w paski i wąskie spodnie. W tych spodniach i w tej koszulce widać, że jest bardzo chudy: patykowate nogi i ramionka jak zapalki.

Jakub podchodzi i szarpie go za ramię. Głowa kolesia opada jeszcze bardziej, podbródek dotyka piersi.

I wtedy Jakub widzi: na podłodze, na miękkiej wykładzinie, obok nogi tego frajera. Opakowania po prochach.

Jakub ich nie dotyka. Rzuca na podłogę te kurewsko drogie, minimalistyczne podkoszulki, podchodzi dwoma szybkimi krokami, pochyla się i ogląda puste sreberka. Wyglądają trochę jak opakowania po prezerwatywach, ale nie do końca.

No tak, mex, mexik albo, jak kto woli, różowy kryształ. Fajnie daje kopa, ale nie jest dla wszystkich. A zwłaszcza nie dla tych z problemami z sercem. Kolesi najwyraźniej miał i nie wiedział. Albo wiedział i olał. Efekt ten sam.

Jakub prostuje się i wypuszcza powietrze z płuc. Trąca kolesia nogą. Zero reakcji, zresztą Jakub nie spodziewa się żadnej. Parę razy widział już frajerów, którzy źle zmieszali. Nie chce dotykać nadgarstka, żeby sprawdzić puls, bo nie jest pewien, czy ze skóry można pobrać odciski palców. Pochyla się i nadśluchuje, ale oddechu też nie słyszy. Ani nie widzi ruchu klatki piersiowej.

Ociera pot z czoła. W przebieralni jest duszno, nie ma czym oddychać.

Wiedział, po prostu wiedział, że dzisiaj będzie przesrany dzień.

Bierze z podłogi jeden z tych minimalistycznych, kurewsko drogich podkoszulków i ostrożnie podnosi przez materiał komórkę, która leży obok trupa. Kurwa, jest zabezpieczona pinem. Gdyby nie była, Jakub mógłby wejść w rejestr połączeń i skasować swój numer. A tak może tylko zabrać aparat ze sobą i gdzieś się go pozbyć, ale psy natychmiast zaczęłyby coś podejrzewać, gdyby znalazły gościa bez komórki. Dzisiaj bez komórki chodzą tylko stuletnie babcie, a i one nie – dzieci im kupują, żeby sprawdzać, czy staruszki jeszcze żyją.

Jakub odkłada telefon. Trzeba się zwijać, i to szybko. Ktoś w końcu znajdzie trupa i wezwie psy, a wtedy jego i Andrieja już nie może być na parkingu. I tak natrzaskali tyle kasy, że Jakub może przez tydzień leżeć do góry brzuchem.

No i jego własny aparat trzeba spisać na straty. Jakub wyrzuci go do śmietnika, tyle że nie tu, w galerii, tylko gdzieś w bocznej uliczce, najlepiej na osiedlu. Tam psy mogą sobie szukać do usranej śmierci.

Wyciąga z kieszeni komórkę, żeby ją wyłączyć, i zamiera z palcem na przycisku. I wtedy wpada na lepszy pomysł. On stąd spada, i to szybko, ale Andriej zostanie. Jakub pójdzie na parking i da mu komórkę. Jak psy namierzą numer, to on ją będzie trzymał w ręku.

Przez chwilę Jakub się zastanawia, czy Andriej go sypnie. I dochodzi do wniosku, że nie ma szans. Po pierwsze, to Rusek, nielegalnie w Polsce. Po drugie, nic o Jakubie nie wie. Ani gdzie mieszka, ani jak ma na nazwisko. Może tylko podać jego rysopis, ale takich jak Jakub w tym mieście mieszka kilkadziesiąt tysięcy, jeśli nie kilkaset. I po trzecie, nie będzie ryzykował. Jak nie sypnie, to posiedzi trochę w areszcie, a potem go deportują. I będzie dalej pracował w sieci, tylko że po ruskiej stronie. A jak sypnie... No, Jakub już mu współczuje.

Jakub wyciera z odcisków palców swoją komórkę, zawija w chustkę do nosa i chowa ją do kieszeni spodni, a potem obciąga T-shirt. Zabiera kurewsko drogie, minimalistyczne podkoszulki, wychodzi z przymierzalni i starannie domyka za sobą drzwi. Podkoszulki odkłada na miejsce, sprzedawczyni pyta, czy mu się nie podobają, a on mówi, że musi się jeszcze zastanowić, i nawet udaje mu się półgębkiem uśmiechnąć. Rusza do wyjścia, nie za szybko, nie za wolno, nie chce wzbudzać niczyjej uwagi. I nie wzbudza jej, ludzie w tym



sklepie patrzą tylko na ciuchy.

Kiedy wychodzi, wypuszcza z cichym świstem powietrze. Teraz już nikt go nie rozpozna, wmieszał się w tłum. Ale postanawia wrócić na parking inną drogą, niż przyszedł, koło McDonalda.

Przebija się przez ludzką masę, która płynie w przeciwną stronę. Ktoś popycha go prosto na rusztowania i stos metalowych rurek, Jakub omal nie zwała tego wszystkiego na ziemię, z trudem łapie równowagę. To go wkurwia jeszcze bardziej. Jeszcze mu tylko dzisiaj potrzeba złamanej nogi. Co za pechowy dzień!

W końcu wychodzi przed galerię, a potem na parking. Popołudniowe słońce razi go w oczy. Kurwa, upał. Globalne ocieplenie to jednak nie jest żaden pieprzony mit.

Podchodzi do Andrieja w momencie, kiedy tamten wyciąga towar i wręcza go lasce w topie i z gołym brzuchem. Jakub czuje drgnięcie w spodniach, laska zdążyła się już całkiem ładnie opalić, chociaż na pewno na solarce. Ale musi się skoncentrować. Ma dostatecznie dużo problemów.

– Muszę na chwilę gdzieś pojechać – mówi do Andrieja. – Zostawiam ci samochód. I komórkę.

Wyciąga z kieszeni chustkę, aparat wypada na ziemię. Jakub przeklina, Andriej schyla się i podnosi telefon. Teraz na obudowie są tylko jego odciski palców.

– Jakby co – dodaje jeszcze Jakub – to dzwoń na ten drugi.

Który ma zamiar wyrzucić do kosza, jak tylko się stąd wydostanie.

Andriej kiwa głową. Pochyla się i rzuca szeptem:

– Sekundę tylko, bo tu się zaraz, normalnie, kolejka ustawi. Możesz wydać towar temu frajerowi? – I pokazuje facecika w granatowej koszulce. Facecik lepiej by zrobił, gdyby, zamiast brać, przypakował trochę na siłowni.

Jakub może. Pewnie, że może. Mają branie. No i dobrze. Jak się pojawią psy, Andriej będzie zajęty i nawet się nie zorientuje, aż będzie za późno.

Jakub daje towar kolowi w granatowej koszulce i ogląda się w stronę galerii. To odruch, no, może jednak coś więcej. Może to jakaś intuicja albo Jakub sam nie wie co.

Bo przed galerią widzi dwie laski. Wydają mu się znajome. Trochę. Jakub nie

przyjaźni się z nikim, ale nie żyje przecież na pustyni (choć czasem by chciał, tam miałby mniej powodów do zmartwień), zna ludzi ze studiów i szkoły młodego.

Laski wyglądają trochę jak bliźniaczki, mają takie same plisowane spódniczki i można je odróżnić tylko po kolorze włosów, jedna tleni, a druga nie. Ale zdaniem Jakuba wszystkie laski wyglądają tak samo.

Obie trzymają w rękach komórki. Wycelowane w niego.

## DOROTA

Dorota widzi.

To rzeczywiście Jakub. Brat Michała z ich klasy.

Stoi przed wejściem do toalet i rozgląda się.

Ce uważa, że to najfajniejszy chłopak, jakiego zna. Że najbardziej cool, najprzystojniejszy, najlepiej zbudowany i najbardziej seksowny. Dorota, jak zawsze, zgadza się z przyjaciółką.

Często widuje go pod szkołą, ale nigdy z nim nie rozmawiała, chociaż bardzo by chciała. Jakub jest pierwszym chłopakiem, który jej się spodobał. Na pewno nie odmówiłaby, gdyby spytał, czy chce z nim gdzieś pójść.

Tylko jakim cudem miałby ją, Dory, o to spytać? Ją, dziewczynę, która ma przezwisko po głupiej rybce z filmu rysunkowego!

Dlatego nigdy o tym nikomu nie mówiła. O tym, że podoba jej się Jakub. Nawet Ce. To znaczy zwłaszcza Ce. Bo Dory nie jest pewna, co Ce by na to powiedziała. A właściwie to jest pewna. Miałaby bekę do końca życia!

– Nie gap się, wariatko! – Ce ciągle syczy, chociaż Jakub nie może jej usłyszeć. Stoi i sprawdza coś w komórce. A potem chowa telefon do kieszeni i rusza alejką. – Oł, em dzi, Jakub! Ciekawe, co tu robi? Chyba nie kupuje ciuchów.

– A dlaczego? – dziwi się Dorota.

– No, bo... No, wiesz. On jest taki wyluzowany. Wyobrażasz sobie, jak mierzy ciuchy w przymierzalni?

– A co, chcesz się założyć?

Obie parskają, Ce wylatują z ust resztki frytek. Wyciera wargi wierzchem dłoni i podnosi ze stolika telefon. Podaje go Dorocie.

– Krótka lekcja obsługi social mediów – szepcze. – Włącz na selfie.

Dorota wykonuje polecenie.

– No, na co czekasz, strzelaj fotę.

Dorota to robi, a Ce wrywa jej aparat.

– Nie, za słabe, widać tylko jego plecy, musimy podejść bliżej.

– Ale...

Ce patrzy na Dorotę spod rzęs.

– Dzisiaj nie ma „ale”. Dzisiaj cię uczę, jak wrzucać foty, które wszyscy będą lajkować. Idziemy!

Podrywa się od stolika i chwyta Dorotę za ramię.

– Wyciągaj swoją komórkę!

Dorota wyjmuje aparat z kieszeni. Patrzy na niego, jakby nie wiedziała, do czego służy.

– Rany, Dory! Nagrywaj film! – syczy Ce i Dorota posłusznie naciska czerwone kółko.

Idą, powoli. Jakub niewiele je wyprzedza, bo też ugrzązł. Nie muszą się specjalnie pilnować, żeby ich nie zauważył, nie ma na to szans w tym tłumie. Dorota trzyma telefon trochę w górze, obie udają, że robią do niego miny. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

A Jakub rzeczywiście wchodzi do sklepu. Sieciówkowego, za to takiego z górnej półki, w którym Dorocie nawet nie przyszłoby do głowy coś kupić i który jest, zdaje się, za drogi nawet dla Ce. Mimo to wchodzi za nim. W środku śledzenie jest trudniejsze, bo nie ma takiego ścisku jak w alejkach. Dziewczyny chowają się za wieszakami. Ale Jakub się nie ogląda. Bierze ze stosu dwa podkoszulki i idzie z nimi prosto do przymierzalni.

– Czyli jednak przyszedł po ciuchy. – Ce wygląda na rozczarowaną.

– A co ty myślałaś, że mu się rozpiął rozporek i chce dyskretnie zapiąć? – pyta Dorota.

Ce chce coś odpowiedzieć i nagle obie dostają ataku śmiechu. Aż zginają się w pół. Kilka klientek patrzy na nie z ukosa. Do dziewczyn podchodzi sprzedawczyni i pyta, czy może w czymś pomóc. Ce kręci tylko głową, bo ciągle nie mogą przestać się śmiać. Wybiegają ze sklepu, rzucają się na ławkę w alejce.

– Kompletnie cię pogięło – chichocze Dorota, a Ce wyciera załzawione oczy. Oczywiście popłynął jej tusz. To przypomina Dorocie, że przecież miały iść do Sephory, zrobić sobie próbny makijaż.

– Chodź, pójdziemy... – zaczyna i wtedy Jakub wychodzi ze sklepu. Nie widzi ich, skręca od razu w lewo i idzie przed siebie.

Ce natychmiast poważnieje. Zrywa się z ławki.

– No chodź! – syczy. – Ostatnia szansa.

Rusza, nie oglądając się na Dorotę. Która też wstaje z ławki, bo jakoś nagle nie chce zostać sama.

– Po co za nim łazimy? – pyta, kiedy zrównuje się z Ce, ale ta tylko potrząsa głową.

– Nie bądź głupia, wyciągaj telefon. Zrobimy wirala.

Dorota nie protestuje. Przeciskają się przez tłum za Jakubem. A on, tak jak wcześniej, idzie prosto przed siebie i tylko raz sprawdza coś w komórce. Kieruje się prosto do wyjścia.

Zanim udaje im się przepchnąć na zewnątrz, Jakuba już nie ma.

– Szkoda – mówi Ce.

Dorota opuszcza telefon. Nie chce pytać, czego Ce tak żałuje.

I wtedy znowu widzą Jakuba. Zmierza w stronę parkingu. Ruszają za nim szybkim krokiem, nie biegną, bo Ce mówi, że jak ktoś biegnie, to wszyscy go widzą. A one przecież nie chcą, by je zauważył.

Jakub zatrzymuje się przy drugim rzędzie samochodów. Rozmawia z kimś.

Ce szybko kuca i pociąga Dorotę za sobą.

– Filmuj! – szepcze. – Zresztą ja też ich nakręcę!

Dorota naprawdę chciałaby wiedzieć, po co to wszystko, ale Ce daje jej ręką znaki, żeby się schowała za samochodem.

Przesuwają się trochę w bok i widzą, że osoba, z którą rozmawia Jakub, to jakiś facet. Ma przerzucony przez ramię plecak. Jakub mówi mu coś do ucha.

– Ale numer – szepcze Ce. – Może są gejami? Jakub przecież, zdaje się, nie ma dziewczyny.

Dorota też tak myśli, przez chwilę. To raczej nie jest prawda. Po prostu rozmawiają. Może spotkali się na parkingu i tyle. Nic nadzwyczajnego.

Ciągnie za ramię Ce i chce się wyprostować, ma dosyć tego idiotycznego kucania za autem. I wtedy ten drugi facet ściąga z ramienia plecak i podaje Jakubowi paczuszkę zapakowaną w przezroczysty plastik. Wypełniają ją

białe kryształki błyszczą w promieniach słońca.

Dorota zamiera. A Jakub, całkiem jak w filmach, odchodzi dwa kroki i ukradkiem wręcza tę paczkę jakiemuś chudemu gostkowi. Tamten daje mu zwitek banknotów.

Dorota patrzy i nic nie rozumie. Spogląda na Ce w nadziei, że może czegoś się dowie.

Ale mina Ce mówi, że ona wie, i to doskonale.

Dorocie zaczynają się trząść ręce. Upuszcza telefon.

Komórka upada z trzaskiem na beton. Dorota nurkuje pod samochód, wyławia ją, ogląda ekran, czy pęknięty. Matka by jej urwała głowę, to nowy sprzęt. Potem Dorota podnosi się i widzi, że Jakub i ten drugi patrzą w ich stronę.

Ce uśmiecha się do nich, nieśmiało, jak mała dziewczynka. Cały czas trzyma w górze aparat i filmuje.

Dorota szarpie ją za rękę. Ciągnie przyjaciółkę z powrotem do galerii.

– Co jest? – Ce próbuje się wyrwać.

– Spadajmy stąd – szepcze Dorota, bo nagle zasycha jej w gardle.

– No coś ty, to przecież Jakub...

– Ce, chodź! – Dorota szarpie.

Ce nie chce się ruszyć z miejsca. Ma przyklejony do twarzy ten dziwny uśmiech, zdaniem Doroty po prostu głupi. Ale Dorota nie ma teraz czasu się nad tym zastanawiać. Wrywa Ce komórkę.

– Co ty robisz, oddawaj! – krzyczy Ce.

Dorota cofa się, trzymając aparat za plecami. Ce biegnie za nią. Dorota łapie ją za rękę i ciągnie za sobą. Ogląda się przez ramię i widzi, że Jakub rusza za nimi. Ten drugi coś do niego krzyczy z tyłu, ale Jakub nie zwraca na niego uwagi. Dorota nie puszcza ręki Ce, trzyma mocno jak niegrzeczne dziecko. Cały czas ściska w drugiej dłoni jej telefon.

Przed drzwiami grzęzną w tłumie. Dorota znowu się ogląda i widzi Jakuba, niedaleko. Ciągnie Ce i przepychają się dalej, przez masę ludzi, którzy zatrzymują się z rozdziawionymi ustami zaraz za wejściem, żeby podziwiać dekoracje. Dorota po raz pierwszy myśli, że to jednak idiotyczne.

– Dory, co ty wyprawiasz! – Ce wyrywa się w końcu z jej uścisku.

– Widziałaś, co oni robili?

Ce wzrusza ramionami.

Dorota ogląda się. Jakub jest już w drzwiach, za chwilę będzie koło nich.

Znowu chwyta przyjaciółkę za rękę.

– Szybko, Ce! – prosi błagalnym tonem. – Chodźmy stąd, szybko.

Ce patrzy na nią z tym samym dziwnym uśmiechem.

I w tym momencie włącza się syrena.

## TERESA

Przydałyby się jej nowe buty na niewysokim, ale fajnym obcasie, coś, co podkreśli cały strój, choćby składał się z dżinsów i T-shirta. Chociaż, z drugiej strony, przydałyby się też ciuch, co zastąpi wieczne dżinsy i T-shirty. Elegancka sukienka, inna od tych, które kupuje na Allegro, już przez kogoś noszonych. W takiej sukience i klapkach możesz iść do warzywniaka po ziemniaki, a do szpilek wygląda świetnie na eleganckim przyjęciu.

Czyli zdecydowane: sukienka! I może jeszcze buty. Tak sukienka koniecznie. Będzie tańsza.

Teresa mija najtańsze sieciówki i wchodzi do droższej. A nawet bardzo drogiej. Zawsze uwielbiała ciuchy tej firmy i uważała, że jej nie stać. Ale to przecież początek nowego życia. Ciężko pracuje, sama wychowuje dziecko, codziennie od świtu do zmierzchu boryka się z codziennością. Serio, nie zasługuje na nową sukienkę przyzwoitej firmy?

W sklepie jest sporo osób, choć nie tyle co w tanich sieciówkach. Wieszaki też ustawione w większych odstępach. Można spacerować, dotykać i wąchać. Teresa wącha nowe tkaniny, tak jak inni wąchają książki w księgarni. Kocha ten zapach. Rzecz z drugiej ręki nigdy tak nie pachnie.

Teresa ściąga z wieszaka cztery sukienki. Jedna jest czarna, ale ma boski, wytłaczany wzór. Druga w kolorze fuksji: po czterdziestce powinna nosić więcej barwnych ciuchów. Trzecia ciut przed kolano, a co? Nad czwartą Teresa zastanawia się dłuższą chwilę, w końcu ją bierze. Przecież przymierzanie nic nie kosztuje.

Do przymierzalni damskiej jest kolejka. Co prawda niezbyt długa, tylko że Teresa w ogóle nie ma ochoty stać. Chce chociaż raz poczuć się kobietą luksusową, a nie umęczoną i zagonioną. Rozgląda się i widzi przymierzalnię męską, na drugim końcu sklepu. Pewnie inne kobiety też na to wpadły, ale warto spróbować.

Miłe zaskoczenie, jednak nie wpadły, w męskiej przymierzalni nie ma



nikogo. Teresa kiwa głową ekspedientce, pokazuje, ile ma rzeczy, i idzie po puszystej wykładzinie. To też jest fajne w tym sklepie, że kabiny nie są po prostu boksami oddzielonymi zasłonką, której nigdy nie da się dobrze dociągnąć, więc cała kolejka widzi twój obwisły tyłek. Nie, tu kabiny mają drzwi od podłogi do sufitu, z drewna. Można wejść i odciąć się od świata.

Teresa wchodzi. I zatrzymuje się na progu. Drzwi za nią same cicho się zamykają.

Kabina jest przestronna i dobrze oświetlona, a duże lustro można ustawiać pod kątem. W lustrach odbija się ciało. Ciało mężczyzny, a właściwie chłopaka leżącego na podłodze.

Teresa rzuca sukienki na wykładzinę i przykłęka. Usiłuje sobie przypomnieć coś o metodach reanimacji. Trzy uciśnięcia i pięć oddechów czy odwrotnie? Najpierw zacząć reanimować, a potem krzyknąć, żeby wezwali karetkę, czy też odwrotnie? Bo nie da rady jednocześnie dmuchać w płuca i telefonować.

Pochyliła się nad ciałem. Sprawdza puls na nadgarstku. Nie może nic wyczuć, nie ma wprawy. Przytyka palce poniżej ucha, pamięta jeszcze ze studiów, że tam jest gruba tętnica, u niektórych gołym okiem widać, jak się porusza. Ale u chłopaka pozostaje nieruchoma. Teresa nic nie czuje, chociaż mocno dociska palce.

Podnosi głowę i rozgląda się po kabinie. To chyba jednak nie jest klient, który zasnął, nie ma żadnych ciuchów do przymierzenia.

Po chwili dociera do niej jeszcze więcej szczegółów. Obok chłopaka leżą papierki. Teresa nie zna się na narkotykach, nigdy nie brała, a teraz jest na to za stara i za biedna. Ale to wygląda na resztki po jakimś ecstazy albo innym świństwie.

Powoli podnosi się z podłogi. DEATH1 wiruje jej w głowie. Nie może myśleć o niczym innym. DEATH1. Przepowiednia się spełniła. Bo trudno o lepszy dowód, że to była przepowiednia.

Oczywiście ta rozsądna, racjonalna Teresa, ta, która na co dzień radzi sobie z rzeczywistością, mówi, że to przypadek. Cholerny przypadek! Rano widziała samochód z debilną tablicą rejestracyjną, a po południu znalazła zwłoki w sklepie. Zdarza się. Może nie często, przynajmniej Teresie do tej pory nie przytrafiło się to nigdy, ale okej, przecież może się zdarzyć. Czysto

teoretycznie. Może, prawda?

Ale ta przesądna, mroczna Teresa, ta, która najchętniej nigdy nie wystawiałaby nosa spod kołdry, a Dorotę trzymała na łańcuchu pod łóżkiem, żeby na pewno nic jej się nie stało, żeby mogła mieć nad córką pełną kontrolę, ta Teresa śmieje się upiornie. To nie przypadek! Tak miało być. Ta tablica rejestracyjna naprawdę była przepowiednią.

DEATH1. Śmierć numer jeden. Czy to znaczy, że będą następne?

Teresę dławi ze strachu. Próbuje oddychać, by się uspokoić, ale gardło ma ściśnięte, do płuc przedostaje się tylko cieniutka niteczka powietrza. Zmusza się do działania. Zostawia ciuchy i wychodzi z kabiny. Drzwi znowu cicho się za nią przemykają.

Co powinna najpierw zrobić? Zadzwoić po policję? Pogotowie? Czy zawiadomić ekspedientkę?

Wybiera tę ostatnią opcję. Podchodzi do panienki, która przy wejściu do poczekalni segreguje ubrania na wieszaku. Panienka podnosi głowę. Teresa nie wie, jak ma to powiedzieć.

I w tym momencie włącza się syrena.

## RUDY

Rudy ma ochotę uczcić ten wspaniały dzień i wyciągnąć komuś portfel. To byłaby łatwizna. Czysta przyjemność. Pryszcz. Ludzie naprawdę nie uważają. Kobiety nie zamykają torebek, faceci notorycznie wkładają portfele do tylnych kieszeni spodni, chociaż chyba już każdy debil wie, że to prosta droga do pożegnania z gotówką i kartami kredytowymi.

Rudy nie powinien tego robić. Powinien skoncentrować się na robocie. Usiąść, zjeść coś, napić się kawy i może jeszcze coli, bo to będzie długa noc. Ale po prostu roznosi go z radości.

W końcu decyduje się na telefon. Jeden jedyny, nawet nie jakiegoś najnowszego apple'a czy huaweia, tylko szmaciarskiego samsunga, i to ze starszych modeli. Przecież nie chodzi o tę gównianą komórkę, chodzi o czystą radość. I o przekonanie, że dzisiaj Rudy jest wszechmocny. I że gdyby zechciał, mógłby wzbić się w powietrze i latać pod świetlikami w suficie, pod tymi namalowanymi gałęziami i nad głowami zdziwionych kupujących. Wyciąga tego samsunga jakiejś pańci, która sądzi, że zapinana na magnes boczna kieszeń w torebce to najlepsze miejsce dla telefonu. I niech tak dalej uważa. Przynajmniej póki nie przyjedzie do domu i nie mąż jej nie opieprzy, że nie odbiera połączeń.

Rudy ma ochotę pieprznąć samsunga do kosza, ale strona praktyczna przeważa.

I to jest błąd.

Bo odejście od pierwotnego planu zawsze jest błędem. Zawsze! Nie po to wszystko przemyślał, opracował w najdrobniejszych szczegółach, żeby teraz zmieniać. Od razu przekonuje się o tym na własnej skórze.

Telefon pańci zaczyna dzwonić w jego rękę. To nie byłoby nic takiego, każdy chodzi z telefonem i każdemu dzwoni. Tylko że pańcia ustawiła sobie ryczenie krowy. Zanim Rudy jest w stanie zareagować, wszyscy się za nim oglądają. Pańcia też.

Rudy ma refleks. Uśmiecha się do niej, wyciąga rękę z telefonem i mówi:

– Wypadło pani z torebki.

Ale pańcia jest podejrzliwa. Wyszarpuje mu aparat, burczy coś, co może, choć nie musi znaczyć „dziękuję”, i odbiera rozmowę. Kiedy mówi do komórki, nie spuszcza oka z Rudego.

Rudy czuje, że za chwilę się zaczerwieni. Stara się rozluźnić mięśnie, wzruszyć ramionami gestem „a, co mi tam”, odwraca się i odchodzi. Powolnym, niespiesznym krokiem. Żeby nie wzbudzać dodatkowych podejrzeń. Poza tymi, które już wzbudził.

Idzie do kibla, prosto do kabiny, zamyka za sobą drzwi. Zamyka kłapę, siada na niej, oddycha głęboko, a potem opuszcza głowę, żeby dopłynęło mu do mózgu więcej krwi, bo ma wrażenie, że za chwilę zemdleje.

To było ostrzeżenie! Właściwie powinien być wdzięczny losowi, że otrzymał je właśnie tak, od jakiejś tam pańci, a nie na przykład od ochroniarza. Albo od policjanta.

Oddycha głęboko jeszcze kilka razy. Plan! Ma się trzymać planu! Choćby nie wiem co. I wtedy na pewno wszystko pójdzie dobrze.

Otwiera plecak. Na wszelki wypadek zrobi jeszcze raz przegląd sprzętu.

Komplet wytrychów, jest. Rękawiczki, cienkie, lateksowe, trzy pary (na wszelki wypadek), są. Chociaż, szczerze mówiąc, nie potrzebuje ich. Dziś na wszystkim w tej galerii handlowej będą miliony odcisków palców. Nikt tego w życiu nie przebadają. Ale Rudy ma się trzymać planu.

Dalej. Wielofunkcyjny scyzoryk (też na wszelki wypadek, Rudy nie planuje go użyć, ale nigdy nie wiadomo), jest. Cały zestaw farby do włosów, kolor herbaciany brąz, jest. (Rudy już się nauczył na własnych błędach: by przykryć rudy blondem, trzeba najpierw zdjąć kolor, a tutaj nie ma warunków, żeby się z tym pieprzyć. Więc chociaż szary blond to najpopularniejszy w Polsce kolor włosów, Rudy wystąpi jutro rano jako brunet).

Dalej. Gąbka do umycia zlewu i mała porcja cifa, jest. Rudy nie zamierza pozostawiać śladów, które mogłyby dać komuś do myślenia. Zwinięta w rulon i wepchnięta w plecaczek duża płócienna torba, jest.

Dalej. Zapalniczka, zwykły bic i paczka papierosów. Telefon na kartę. Jeden bilet na komunikację miejską (bilet, który skasował w tę stronę, starannie

podarł na strzępki i wyrzucił do trzech różnych koszy na śmieci). I kilka banknotów w kieszeni.

Rudy układa to wszystko od nowa w plecaczku, a później spogląda na wyświetlacz komórki. Już po siedemnastej, nawet nie zauważył, jak to zleciało. Tu, w galerii handlowej, czas płynie inaczej. Niby są świetliki w dachu, ale oświetlenie w środku, muzyka, zapachy powodują, że nikt nie unosi głowy. Nikt nie wie, czy jest dzień czy noc.

Dzisiaj galeria ma być otwarta do dziewiętnastej. Wyjątkowo tak krótko, bo normalnie do dwudziestej drugiej. Dziś jednak zastosowano zasadę ograniczonej dostępności: tylko jeden dzień, krócej niż zazwyczaj, ludziska, pospieszcie się, bo dla was zabraknie. Nie towaru: trzeba być idiotą, żeby nie wiedzieć, że w kapitalizmie początku dwudziestego pierwszego wieku towaru jest więcej, niż wszyscy ludzie na ziemi (a w każdym razie w krajach, w których ten kapitalizm jest) mogą skonsumować do końca życia. Ale zabraknie tego nastroju, tej euforii, tego przekonania, że wystarczy butelka perfum, nowy sweter i nowe buty, a będziemy piękniejsi, lepsi i szczęśliwsi. A to jest warte każdych pieniędzy.

Zostało jeszcze sporo czasu, choć Rudy zaplanował, że przystąpi do pracy przed godziną oficjalnego zamknięcia. Bo to też ma być taki test systemu.

Sprawdza drzwi do kabiny. Zapala papierosa, staje na klapie sedesu i wydmuchuje dym w kierunku czujnika. Raz, drugi i trzeci. I w tym momencie włącza się syrena.

WIECZÓR

## TERESA

Alarm przestaje wyc i Teresa chce powiedzieć: „Tam, w przymierzalni, jest nieżywy człowiek”, ale wypowiada tylko pierwsze słowa. Potem syrena znowu się włącza. Sprzedawczyni patrzy na Teresę i w jej oczach pojawia się panika. A może to odbija się panika Teresy.

Syrena znowu milknie, za to włącza się megafon. „Alarm przeciwpożarowy, proszę opuścić obiekt. Alarm przeciwpożarowy, proszę opuścić obiekt. Alarm przeciwpożarowy...”.

Przez chwilę Teresa czepia się głupiej nadziei, że to tylko ćwiczenia. No wiadomo, nowa galeria, dopiero co otwarta, trzeba sprawdzić systemy alarmowe. Ale gdyby planowali coś takiego, chyba uprzedziliby personel.

Podczas tych rzadkich okazji, kiedy Teresie zdarza się lecieć samolotem, przy każdej turbulencji szuka wzrokiem stewardes. Jeśli one są spokojne, to i jej nic nie grozi.

Teraz robi to samo. Przygląda się ekspedientce. I to, co widzi, wcale nie jest uspokajające.

– Proszę państwa, proszę opuścić sklep! – krzyczy ekspedientka. – Mamy pożar.

Nie nawołuje chłodno i profesjonalnie, jak stewardesa nalegająca, żeby zapiąć pasy i złożyć stoliki przed lądowaniem. W głosie ekspedientki brzmi czysta panika.

I klienci też reagują paniką.

Jedna z kobiet rzuca naręczne trzymany ciuchów tam, gdzie stoi, na podłogę. Biegnie do wyjścia drobnymi kroczkami, jest na obcasach. Druga rozgląda się niepewnie, łapie za ramię faceta, który chyba jest jej mężem. Ciągnie go do drzwi. Trzecia się nie patyczkuje, od razu biegnie, tak jak pierwsza. A za nią wszyscy pozostali klienci. Powstaje mały zator, ale szybko ustępuje. Teresa wie, że większy zator utworzy się przy wyjściach. Że ludzie zaczną się tratować. Chyba że ekspedientki z innych sklepów lepiej poradziły

sobie z sytuacją, choć nic na to nie wskazuje.

Panika wybucha też w głowie Teresy. Czysta, niepohamowana. Adrenalina zalewa ciało. Przed oczami robi się ciemno, nogi i ręce drętwieją, bo odpływa z nich krew. Teresa wie, jak to działa. Ale ta wiedza w niczym nie pomaga.

Nie może oddychać, bo właśnie spełnia się jej największy koszmar. Pożar. Pożar wielkiej galerii, w której są tysiące osób. A jedną z nich jest córka Teresy.

Dorota!

Teresa zna zasady ewakuacji dużych obiektów podczas pożaru, studiowała je wiele razy. To była jedna z racjonalnych (a więc kompletnie bezużytecznych) prób oswojenia największego lęku: wiedzieć, co w takich wypadkach robić. Nie tracić czasu na ratowanie mienia. Nie korzystać z wind (tu przynajmniej nie ma piętra, dzięki ci, Boże, za twe drobne łaski!), przy silnym zadymieniu dróg ewakuacyjnych poruszać się nisko przy ziemi oraz wzdłuż ścian, by nie stracić orientacji. I najważniejsze: po ogłoszeniu alarmu niezwłocznie kierować się do wyjść ewakuacyjnych! I zachować spokój.

Tego Teresa boi się najbardziej. Spokoju nikt nie zachowa, już to widzi. Bo w pożarze płomienie i dym rozprzestrzeniają się powoli, przynajmniej na początku, za to panika – szybko. W czasie wybuchu paniki zanikają więzi społeczne. Każdy myśli tylko o tym, jak uratować własny tyłek. I życie. Dla człowieka w panice inni przestają istnieć, stają się tylko przeszkodami na drodze, które trzeba jak najszybciej pokonać. W spanikowanym tłumie ludzie nawet nie są świadomi, że obok jest ktoś, kto może potrzebować pomocy, i że to, po czym właśnie stąpa, to plecy innego człowieka.

To psychologia. Do tego dochodzi jeszcze fizyka. W spanikowanym tłumie zagęszczenie ciał jest największe przy samym wyjściu, czasem (nawet często) dochodzi do jego zablokowania. Ludzie potrafią wytworzyć ciśnienie osiągające ponad cztery hektopaskale. Przy takim ciśnieniu wyginają się i łamią elementy metalowe. A co dopiero żebra, kończyny i czaszki. Statystycznie znacznie mniej ofiar umiera od ognia i dymu, niż zostaje stratowanych. Stąd potem nagłówki w gazetach. „Wybuch paniki na imprezie, studentka stratowana na śmierć”. „Wybuch paniki: 378 zabitych, 755 rannych”. „Kambodża: 339 osób stratowanych przez tłum”. To może się wydarzyć nie tylko w Kambodży. W każdej chwili może się wydarzyć też tutaj. I już się dzieje.



Teresa wie to wszystko. Ale ta wiedza znów w niczym nie pomaga. Bo ta mroczna, przesądna Teresa w jej głowie krzyczy i rechocze upiornym śmiechem, tak głośno, że zagłusza wszystko inne. Krzyczy: DEATH! DEATH! Widziałas dzisiaj śmierć! I teraz śmierć dopadnie ciebie. Albo twoją córkę! Albo was obie! Ha, ha, ha, ha, ha!

Teresa, ta prawdziwa, z krwi i kości, która próbuje ze wszystkich sił zachować resztki rozsądku i nie oszaleć, wyciąga z kieszeni komórkę. I widzi, że aparat jest czarny, rozładowany.

Sprzedawczyni krzyczy:

– Proszę opuścić sklep!

Teresa nie reaguje, więc sprzedawczyni popycha ją do wyjścia. Teresa omal nie upuszcza komórki, ale w końcu udaje jej się strząsnąć z ramienia rękę ekspedientki. Wybiega, a kobieta za nią. Sprzedawczyni zatrzymuje się tylko na krótką chwilę na progu i zamyka za sobą szklane drzwi, ale niedokładnie. Teresy to nie obchodzi. Chce tylko znaleźć Dorotę i wydostać się stąd.

Ludzie biegną i popychają się. Chociaż Teresa trzyma się ściany, co chwila ktoś uderza ją łokciem albo kopie. Teresa boi się, że jeśli porwie ją ludzka fala, ktoś podetnie jej nogi, przewróci i stratuje. Przyciska torebkę do piersi i idzie, najszybciej jak może.

Alejka się kończy i tłum wypycha Teresę na patio przy wejściu. Teresa próbuje przebić się na bok, ale nie może się zatrzymać.

Przynajmniej, wbrew jej obawom, drzwi wejściowe są szeroko otwarte. Zator, który się przy nich tworzy, nie osiągnął masy krytycznej. Masa ludzka porusza się, nie tkwi w miejscu. Jest szansa, że tym razem nikogo nie zdeptają.

Ale szansa to nie pewność. Teresa nie wyjdzie, dopóki się nie upewni, że córce nic nie grozi. Przebija się na obrzeża, gdzie ludzi jest mniej.

– Czy może mi pan pożyczyć swoją komórkę? Tylko na chwilę. A pani? Przepraszam, czy może mi pani dać na chwilę swój telefon? Hej, do pani mówię! Tak, głupia krowo, do ciebie!

Mogłaby krzyczeć do nich po chińsku. Nikt nie reaguje, nikt na nią nie patrzy. Wszyscy mają oczy utkwione w drzwiach i prą w tamtą stronę.

Jakiś debil popycha ją tak mocno, że Teresa traci równowagę. A potem w tłumie migają jej jasne włosy.

Teresa wspina się na palce i próbuje coś dostrzec między głowami.

– Dorota! – drze się, najgłośniejsz jak potrafi.

Alarm już nie wyje, za to megafony nadal każą ludziom „opuścić obiekt”, a poza tym masa ludzka produkuje tyle decybeli, że nie ma szansy, by dziewczyna coś usłyszała. Ale słyszy. Odwraca głowę. Teresa staje na czubkach palców i macha obiema rękami. Wali jakiegoś faceta w twarz. Ten nawet się nie ogląda, tylko sunie w stronę drzwi.

– Dorota! – wrzeszczy znowu Teresa. – Na bok! Idź na bok! Pod ścianę!

Nie wie, czy dziewczyna słyszy, ale ona łapie za rękę koleżankę (to chyba Cecylia, Teresa nie nadąża za zmianami jej fryzur i makijażu). Przepychają się pod prąd w kierunku Teresy. A ta czuje ulgę tak silną, że zaczynają jej mięknać nogi. Zaraz stąd wyjdą i po krzyku. I chociaż wie, że to głupie i bez sensu, składa sobie uroczystą obietnicę, że nie będzie już się kłócić z Dorotą o pierdoły. Że będzie bardziej wspierająca. Że pomoże dziewczynie się odnaleźć...

Dorota i Cecylia są już tylko o kilka osób od niej i Teresa widzi, że wcale nie zmierzają w jej kierunku. Brną pod prąd ludzkiej masy, mijają Teresę i dalej przepychają się w głąb galerii. Rusza za nimi. Ludzie blokują drogę. Teresa wbija jednemu facetowi łokieć w brzuch, a drugiemu w twarz. To pomaga, choć tylko na chwilę, a przy okazji sama obrywa w bok szyi, aż robi jej się ciemno przed oczami.

– Dorota! – krzyczy. – Co wy robicie?

Dorota odwraca głowę, jednak nie przestaje przepychać się pod prąd.

– Mamo!

Teresa nie jest pewna, czy córka naprawdę to krzyknęła, czy tak jej się wydaje. Ale to nie ma znaczenia. Pcha się w kierunku dziewczyn. Czuje, że utknęła, dotarła do zagęszczenia, w którym nie może zrobić kroku, może tylko pozwolić masie ludzkiej wynieść się na zewnątrz. A do tego nie może dopuścić.

## RUDY

Rudy się nie spieszy. Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy, jak mawiała jego babcia. A Rudy chce, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Wygląda ostrożnie z kabiny, ale w toalecie nikogo nie ma. Klienci nie zorientowali się, że ten alarm to od jego papierosów, i na wszelki wypadek dali nogę. I dobrze.

Teraz Rudy musi działać metodycznie. Zaplanowana czynność po zaplanowanej czynności, wszystko w określonym porządku.

Najpierw zapala kolejnego papierosa i podtyka go pod czujnik w innej kabinie. A potem w kolejnej i w kolejnej. Nie chce, żeby alarm zbyt szybko się wyłączył. Powinien wyc na tyle długo, by całkowicie opróżnili galerię z kupujących. Do oficjalnego czasu zamknięcia zostały niecałe dwie godziny, zanim wszystko przeszukają, zanim dojdą do wniosku, że syrena włączyła się przez gówniarzy palących w kiblu, minie co najmniej godzina. Więc dzisiaj już na pewno ludzi nie wpuszczą.

Teraz musi poczekać w spokoju, aż strażnicy wszystko ogarną. To może potrwać, bo nie wyglądali na zbyt inteligentnych. Ale to akurat dla niego, Rudego, lepiej.

Rudy chowa się w jednej z kabin. To też część planu. Wcześniej długo się nad tym zastanawiał i doszedł do wniosku, że to będzie najlepsze miejsce. Oczywiście prędzej czy później strażnicy przyjdą tu sprawdzić. Muszą mieć pewność, że nikt nie zasłabł i nie zostanie na noc. Ale po pierwsze, jak już się rzekło, nie mają doświadczenia. Po drugie, jak tylko tu wpadną, poczują woń dymu i natychmiast się zorientują, skąd ten alarm. Ucieszą się, że zapunktują u szefostwa za szybkie zlokalizowanie problemu, więc nie będą zbyt dokładnie się rozglądać. A po trzecie, zajrzą tylko do tych kabin, w których drzwi są zamknięte, całkiem albo prawie całkiem. Nie będą przecież sprawdzać tych otwartych, skoro od razu widać ich wnętrze. Rudy uchylił swoje drzwi i przymocował do ściany sznurkiem przyklepionym masą klejącą do wieszania plakatów. Coś jak plastelina, tylko że ta nie zostawia śladów. Chociaż to pewnie

zbytek ostrożności ze strony Rudego, kto tam będzie sprawdzał, czy nie ma plam na ściankach kabin w męskim kiblu. Ale używanie najlepszego sprzętu to też część planu.

Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy takie umiejętności mogą się przydać. Bo jego plan nie obejmuje tylko dzisiejszej nocy. Wybiega daleko w przyszłość.

Rudy nie zamierza do końca życia okradać galerii handlowych. Rudy ma zamiar apgrejdować na szpiega przemysłowego albo kogoś takiego. Można na tym o wiele lepiej zarobić niż na sprzedaży ajfonów. Tylko trzeba mieć dojscia, z ulicy nie rekrutują. Więc na razie Rudy szuka dojsć i ćwiczy umiejętności. Przy każdej okazji. Numer z dymem z papierosa i chowaniem się za drzwiami w kiblu przetestował już parę razy w innych galeriach. Zawsze działało. Ale Rudy wie, że należy ćwiczyć tak długo, aż pewne umiejętności staną się automatyczne, aż będzie robił wszystko odruchowo, bez zastanawiania się.

Jeszcze nigdy nie zostawał na noc. To jego pierwszy raz. Rudy czuje, że drży z podniecenia. Jeśli wszystko się uda, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jego następny skok będzie nie na galerię, tylko na coś znacznie, znacznie poważniejszego. Rudy jeszcze nie wie na co, ale wymyśli.

Więc Rudy przymocowuje drzwi, żeby trzymały się otwarte w jakiejś jednej trzeciej, a potem wsuwa za nie swój plecaczek i ostrożnie siada na podłodze. Przypomina sobie wszystko, co czytał o bakteriach w kiblach publicznych. Niepotrzebnie, to nie jest dobry moment na tego typu rozważania. I tak ma zamiar wyrzucić to ubranie (naczytał się o mikrośladach: tutaj, w galerii handlowej, ta wiedza jest akurat psu na budę, ale to kolejna rzecz, o której będzie musiał pamiętać, kiedy się apgrejduje, więc dlaczego nie zacząć już teraz?), a w domu weźmie gorącą kąpiel i doleje do wanny jakiegoś środka dezynfekującego. A na razie siedzi, zupełnie nieruchomo.

I wszystko dzieje się tak, jak sobie zaplanował. Słyszy kroki, otwierają się drzwi od toalet. Rudy zamiera. Powstrzymuje chęć zerwania się na nogi i rozplaszczenia na ścianie. Niewiele by to zmieniło, bo nawet na siedząco Rudy zajmuje niewiele miejsca. A strażnicy mogliby usłyszeć ruch.

To przebiega przez myśli Rudego w ułamku sekundy, a potem słyszy, jak jeden z ochroniarzy woła:

– Rysiek, chodź tutaj! Ktoś palił w kiblu!

Rysiek przychodzi. Rudy nawet ze swojej kabiny słyszy, jak tamten pociąga nosem.

– Czyli to pewnie dlatego włączył się alarm. No to super, idę powiadomić strażaków.

I wychodzi. Drugi, którego imienia Rudy nie zna, i prawdopodobnie nie pozna, idzie na koniec pomieszczenia i z powrotem. Nie słysząc, żeby otwierał drzwi, zagląda tylko do półotwartych kabin. Dokładnie tak, jak Rudy to przewidział.

A potem wychodzi. Nie waha się, nic nie zakłóca płynności jego ruchów, widać, że nie ma żadnych podejrzeń.

Rudy rozluźnia mięśnie i wypuszcza powietrze z płuc. Ale jeszcze się nie rusza. Bierze głęboki wdech i przepowiada sobie w głowie kolejność działań w fazie B.

Ta straszna matka Dory dopada ją, chwytając za ramię, aż Dory krzyczy z bólu. Ale matka nie puszcza, przyciąga do siebie i ściska, jakby Dory była jakimś małym dzieckiem albo coś takiego.

– Jezu, kochanie! – powtarza co chwila bez sensu.

– Mamo, puść mnie wreszcie – jęczy Dory i matka to robi. Widać, że niechętnie. Ciągle trzyma Dory za nadgarstek. Dziwnie patrzy na Ce.

– Chodźcie, idziemy stąd! Szybko!

Dory wyrывa rękę. Przez chwilę masuje nadgarstek i patrzy wrogo na matkę, ale obrywa od kogoś w plecy. Tłum cały czas pcha je w stronę wyjścia.

– Mamo, posłuchaj! – Dory krzyczy.

– Chodźcie, dziewczynki! – odkrzykuje matka. – Zaraz stąd wyjdziemy.

– Nie! – Teraz to Dory chwytając matkę za rękę. Ciągnie ją w kierunku przeciwnym do wyjścia.

– Dorotko! – wrzeszczy matka. – Dorotko, wyjście jest tam!

– Mamo, nie możemy wyjść. Później ci wszystko powiem.

Ce myśli, że to idiotyczne. Że Dory wszystko musi matce tłumaczyć. Że nie może po prostu czegoś zrobić sama. Ile ona ma lat, pięć? Bo ona, Ce, ma prawie siedemnaście i nie zamierza nikomu z niczego się spowiadać. Zaciska usta i brnie pod prąd. Walczy z napierającym tłumem. Jest ściśnięta ze wszystkich stron. Ma wrażenie, że zaraz pękną jej żebra i że jeśli jeszcze raz ktoś ją szturchnie, kopnie go w jaja (albo w cipkę). Pewnie nie zdołałaby tego zrobić, bo nie dałaby rady podnieść nogi, ale karmi się złością, żeby mieć więcej siły, a po chwili jest już po wszystkim. W jednym momencie tłum się rozrzedza, w następnym – wreszcie wokół niej robi się luźno. Ce odruchowo obciąga bluzę i sprawdza, czy nigdzie się nie rozdarła. Dorota podbiega i ściska ją z całej siły. Ona naprawdę jest strasznie dziecinna, nawet w takiej sytuacji.

Chce odepchnąć ręce „najlepszej przyjaciółki” i powiedzieć, żeby przestała się kleić, kiedy Dory sama ją puszcza i – wow, dla odmiany! – chwytając za rękę

matkę. Która ma naprawdę przestraszoną minę. Jakby sama była małą dziewczynką. Ale Ce nie ma ochoty tego analizować.

Dory spogląda na drzwi i kłębiący się przed nimi tłum. A potem szarpie matkę.

– Mamo, chodźmy stąd, prędko!

Matka przyciąga ją, łapie za ramiona.

– Tu jest pożar! – krzyczy dziewczynie prosto w twarz. – Pali się! Musimy uciekać!

– Moim zdaniem wcale się nie pali – wtrąca Ce.

– Masz kłopoty ze słuchem? – pyta złośliwie matka Dory. – Nie słyszałaś alarmu?

Ce nigdy jej nie lubiła. Zawsze miała wrażenie, że ona patrzy na nią, na Ce, jakby myślała, że sama jest lepsza. I ta jej Dory też.

– Słyszałam – cedzi Ce. – Ale widzicie tu jakichś strażaków? Jakby się paliło, to chyba wszędzie by biegali z gaśnicami. A oni w ogóle nawet nie weszli do środka.

Matka Dory ogląda się w stronę wejścia, na stojących za szybą strażaków, odprężonych, żartujących z ochroniarzami przy drzwiach. Ce przynajmniej czuje satysfakcję na widok jej głupiej miny.

– Pewnie ktoś palił w kiblu – dodaje. – To normalne w takich galeriach.

Matka Dory patrzy na nią przez chwilę, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu nie mówi nic. Przykłada swojej córce dłoń do czoła.

Ce parska. Trudno się dziwić, że Dory jest taka dziecinna, skoro matka traktuje ją na każdym kroku jak niemowlę. NA! KAŻDYM! KROKU!

Matka Dory rzuca jej, Ce, dziwne spojrzenie. A potem odwraca głowę do własnej córki.

– Kochanie – pyta spokojnie, ale niewyraźnie przez zaciśnięte szczęki – co się dzieje?

Dory wyszarpuje się, znowu spogląda na drzwi. Wygląda na nieźle spanikowaną. Ce nie rozumie dlaczego.

– Mamo, chodźmy stąd. Szybko! – Dory ciągnie matkę daleko od wyjścia, w głąb galerii.

Tym razem jej matka daje się pociągnąć. Idą pustą alejką. Ich kroki dudnią, bo ktoś wyłączył muzykę, a może wyłączyła się automatycznie, kiedy zaczął wyc alarm. Dory rozgląda się, krzyczy „tutaj” i pokazuje palcem kiosk w środku alejki. Stanowisko firmy kosmetycznej, całe w sztucznych kwiatach i liściach, jak reszta galerii. Jednej z tych firm, których Ce nie lubi, bo nigdy nie dają gratisów.

Dory wpada do środka, kuli się na podłodze, żeby nie było jej widać z zewnątrz. Ce wchodzi za nią i też siada. Matka Dory zatrzymuje się obok.

– Dziewczynki – mówi. – Nie możecie tu wchodzić. To jest własność jakiejś firmy.

– Mamo – syczy Dory. – Schowaj się, bo cię zobaczy.

– Kto? – dopytuje się ta pieprznięta matka. Ce ma ochotę przewrócić oczami, jak tego słucha. – Kto mnie zobaczy?

– Mamooooo!

W końcu matka Dory kuca obok nich. Widać, że czeka na wyjaśnienia. I nie może się doczekać.

– Kochanie? – pyta w końcu. – Co się dzieje?

– Ćśśśśś, mamo! – syczy Dory.

– Musimy stąd wyjść, i to szybko – zauważa jej matka. – Nie wiadomo, czy naprawdę nie ma pożaru. Może tu być niebezpiecznie. Poza tym nie wolno tu przebywać.

Ce widzi, że kiedy ta kobieta mówi „pożar”, blednie i zaczyna szybciej oddychać. Ciekawe! Aż żałuje, że wcześniej powiedziała to o żartujących strażakach i gnojkach palących w kiblu. Gdyby matka Dory bała się pożaru, szybciej by się stąd zmyła. I zostawiła ją, Ce, w spokoju. Ale wie, że tak łatwo nie będzie.

Nie mówi tego wszystkiego głośno. Dory też się nie odzywa.

– Co tu się dzieje, do diabła? – powtarza matka Dory, już podniesionym głosem.

Ce słyszała, że stara jej „najlepszej przyjaciółki” jest psychologką. No serio, w ogóle tego nie widać. Nie trzeba być psychologiem, by zrozumieć, że Dory się boi. I że w ten sposób to jej matka niczego się nie dowie.



Ce obiema rękami poprawia włosy, ślini palec i sprawdza, czy nie rozmazał jej się tusz pod oczami. A potem pyta Dory:

– Mogę już dostać mój telefon?

Ce stara się, by to pytanie było na maksa ironiczne, by Dory skumała, że Ce uważa takie zachowanie za żenadę. Ale Dory chyba tego nie widzi. Sięga do kieszeni, wyjmuje aparat, podaje Ce. Ręce jej się trzęsą, całkiem jak matce.

Ce ogląda się, żeby sprawdzić tło, robi dzióbek i strzela sobie selfika. Odkłada telefon i widzi, że matka Dory ma minę, jakby chciała Ce wyrwać komórkę i walnąć nią o ścianę. Kiedy Ce ją na tym przyłapuje, matka Dory wypuszcza powietrze z płuc i odwraca głowę. Też mi psycholożka!

Ce patrzy teraz na Dory. Jest przestraszona, ma całkiem białe wargi, jakby jadła kredę. Czego ta idiotka się boi?

Okej, nakręciły filmik z Jakubem i z tym drugim, tym koleśkiem, który też tam był, a którego Ce nie zna. Filmik, na którym widać (albo i nie, Ce nie miała przecież jeszcze szansy obejrzeć, jak to wyszło), jak dilują.

No i co z tego? Przecież pół szkoły kupuje od Jakuba. To żadna tajemnica. To znaczy, nauczyciele raczej nie wiedzą, starzy też nie, boby powiedzieli psom. Ale ona, Ce, wie od dawna. Chociaż sama od niego nie kupuje, bo nie lubi, jak jej po dragach szumi w głowie.

Okej, rozumie: Jakub nie chce, żeby to było nagrane. I pewnie dlatego za nimi pobiegł, i ten drugi koleś też. Pewnie będzie chciał, żeby to skasowały.

I tu Ce widzi pewną szansę. Jeszcze nie wie, jak to rozegrać, ale... Ale dobrze się składa, że ona ma coś, czego chce Jakub. Bo już od jakiegoś czasu próbuje go poderwać, kiedy Jakub kręci się pod szkołą. A on w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

Ce ciężko to przyznać przed sobą samą i w życiu nie powiedziałaby tego głośno. Bo przecież nikt nie ma prawa olewać Ce, gwiazdy szkoły, która ma tysiące followersów, i nie tylko na Insta, w realu też. Więc normalnie, tak na co dzień, udaje, że Jakuba nie dostrzega. A dzisiaj po prostu ma szczęście. Jakub nie może jej dłużej olewać. Teraz zrobi to, co będzie chciała Ce.

Jeszcze nie wie, co to będzie. Na początek na pewno kilka wspólnych selfików. Ce wrzuci je do sieci, żeby dać innym do myślenia. A potem zdecyduje. Na razie ma mocny argument. Ten argument nazywa się komórka

i Ce ściska ją w dłoni.

Dlatego to, że Dory uciekła, a Ce bez namysłu pobiegła za nią, też się nawet dobrze składa. Bo Ce obawia się, że gdyby Jakub do niej podszedł i ładnie poprosił, od razu oddałaby mu komórkę i pozwoliła skasować, co zechce. A tak nie będzie miał za łatwo. Matka Ce, oprócz tych swoich mądrości z obory o porządkach i spaniu, powtarza często, że „mężczyzna musi się postarać”. I Ce chyba wreszcie rozumie, o co jej chodzi.

Dory tego wszystkiego nie wie, bo skąd ma wiedzieć. Ce nigdy nie zwierzała się swojej „najlepszej przyjaciółce” ani z tego, że zwróciła uwagę na Jakuba, ani z tego, że on ją olewa. Ale czego ta głupia „najlepsza przyjaciółka” tak się boi? Ce jest zniesmaczona jej zachowaniem, tym trzymaniem mamusi za rączkę i całą tą paniką. Ciekawe, jaki jeszcze numer Dory wytnie. Chociaż to chyba już jest była „najlepsza przyjaciółka”, Ce czuje, że po tej kompromitacji lepiej, by ludzie nie widzieli ich razem.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi – mówi w tym czasie matka Dory. – Ale to nieważne. Wytlumaczycie mi na spokojnie w domu.

Patrzy przy tym na swoją córkę, ale Dory patrzy teraz na Ce. Jakby chciała, żeby Ce pokiwała głową i przyznała, że wszystko jest w porządku, że to spoko sprawa uciekać jak jakaś debilka i trzymać mamusię za rękę. Nie, Dory, myśli Ce. To nie jest spoko, a ja nie jestem twoją drugą mamuszką. Odwraca głowę.

Matka Dory znowu bierze wdech.

– A teraz chodźcie, spokojnie i bez paniki stąd wyjdziemy. Ten tłum przy drzwiach już się przewalił, nie musicie się bać, że was zgniotą.

No, chyba raczej nie tego boi się ta jej dziecinna córka. Każdy głupi by wiedział, a psycholożka to już naprawdę powinna. Jeśli jest taka w pracy, to Ce już się nie dziwi, że Dory nigdy nie ma na nic kasy.

Dory – to w sumie było do przewidzenia – nie odpowiada, tylko głębiej wsuwa się w kąt pod szafką. Jej matka przenosi spojrzenie na Ce, ale ona wzrusza tylko ramionami.

– Nawet jeśli się nie pali – matka Dory bierze w tym miejscu głęboki wdech – chyba nie zamierzacie siedzieć tu do jutra. A że jutro jest pierwszy maja, tak naprawdę musiałybyśmy tu zostać do środy. Umrzemy z głodu.

To miał być, zdaje się, żart, ale wyszedł czerstwy suchar. A w oczach Dory

nadal widać panikę. Klęka, ostrożnie wychyla się ponad ladę. Zerka na – zupełnie pustą, zdaniem Ce – alejkę i szybko chowa się z powrotem.

– Nie ma ich – szepcze.

– Kogo nie ma? – pyta jej matka.

– Widzieli nas – odpowiada Dory, jakby nie słyszała. – Ale może nas nie poznali.

– No przepraszam cię, moja droga – wtrąca Ce. – Mnie Jakub na pewno poznał.

– Ale... – jąka się Dory.

Ce uśmiecha się pod nosem.

– Jaki Jakub? – wtrąca się matka Dory, chociaż to nie z nią rozmawiają.

– Jeśli cię poznał, to tym bardziej. Na pewno będzie nas szukać – mówi Dory.  
– Musimy stąd spadać.

Jej matka podchwytuje, chociaż wyraźnie nadal nie wie, o co chodzi.

– Dokładnie, musimy spadać. Wstaniemy teraz i powoli pójdziemy prościutko do wyjścia...

Dory nie słucha, bo jest za bardzo zestrachana, żeby myśleć. Ce też nie słucha. Wyjmuje komórkę, a potem z plecaczka kijek do selfie, który zawsze ma przy sobie, bo przecież nigdy nie wiadomo, jakie ujęcie będzie potrzebne, nie? Montuje aparat i wystawia zza krawędzi lady tylko kawałek obudowy, ten z kamerą. Obraz na ekranie jest świetnej jakości, a do tego można go powiększać.

Ale nikogo nie widać, alejka jest pusta.

Ce czuje ukłucie rozczarowania. Niemożliwe, żeby Jakub znowu ją olał. Nie teraz, kiedy ona ma ten filmik, na którym na pewno wszystko wyraźnie widać. Jakub musi chcieć, żeby Ce go skasowała. A cena rośnie z każdą minutą, kiedy Ce go tu nie widzi!

Matka Dory przerywa jej rozważania.

– Słuchajcie...

Dory przerywa z kolei jej.

– Tam w sklepie – mówi szeptem. – Zobaczcie, tam są uchylone drzwi.

Ce mechanicznie odwraca głowę.

– To w tamtym sklepie był Jakub – stwierdza.

– Nie możemy tam iść – mówi szybko matka Dory. Zmienia się na twarzy. Teraz znowu wygląda, jakby się bała.

Ce przesuwa kijek z komórką i jeszcze raz lustruje wlot alejki. Ciągle nie widać Jakuba. Dlaczego?

– Mamo, chodź, tam się schowamy! – Dory błaga matkę. Jak rany, ta idiotka zaraz się poryczy. Ce nie pamięta, kiedy płakała przy ludziach. Chyba ostatnio jeszcze w przedszkolu. Zresztą nikt, kto ma makijaż, nie może sobie pozwolić na publiczne beczenie. Ce na pewno nie dopuści, żeby ktoś ją przypadkiem sfotografował z rozmazanym okiem.

Matka Dory nagle ustępuje.

– Dobrze – mówi. – Pójdziemy tam, poczekamy, a gdy ochłoniecie...

Dory nie czeka, aż matka skończy. Pochyliła się, wystawia głowę, znowu lustruje alejkę (Ce widzi na swojej komórce, że ciągle jest pusto), a potem puszcza się biegiem. Matka leci za nią, jakby się bała, że jej ucieknie. Ce wzdycha, chowa kijek, podnosi się i idzie za nimi powolnym krokiem. Nie ma zamiaru biegać jak jakaś głupia. Przed wejściem do sklepu jeszcze raz się ogląda, ale Jakuba wciąż nie widać i Ce zaczyna to naprawdę wkurzać. Już dawno powinien tu za nią, Ce, przyjść.

Dory stoi przy drzwiach i domyka je starannie, kiedy Ce wchodzi do sklepu.

Wnętrze jest jasno oświetlone, najwyraźniej jakaś głupia sprzedawczyni spanikowała w czasie alarmu i nie pogasiła lamp.

– Do przymierzalni – mówi półgłosem Dory.

Jej matka krzyczy:

– Nie!

Ale córka znowu ją olewa. A Ce idzie za nimi, powoli, i zastanawia się, czego zażąda od Jakuba w zamian za filmik.

## JAKUB

Biegnie za tymi dwiema laskami, które niejasno kojarzy ze szkoły młodego, i jest pewien, że je dopadnie. Bo one są na obcasach. To znaczy jedna jest na obcasach, ta z tlenionymi włosami, w krótkiej plisowanej spódniczce. Ta druga ma na nogach adidas. Ale po tym, jak biegnie, widać, że nie zostawi przyjaciółki.

Dziunie ruszają pędem z powrotem do galerii. Wyraźnie chcą się wmieszać w tłum. Nic im to nie da. Nie ma takiego, którego on, Jakub, by nie dogonił. W końcu nie po to codziennie katuje się bieganiem o piątej rano.

Jakub odwraca głowę i sprawdza, czy Andriej biegnie za nim. Jest, tylko trochę z tyłu. Jakby wczoraj tyle nie wypił, stawiłby się dzisiaj w lepszej formie. No i jakby nie chlał teraz, w robocie, i nie brał prochów. Jakub będzie szczęśliwy, kiedy zwiną go psy. Ale na razie musi się skoncentrować. Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione, zrób to sam.

Dziunie mają przewagę na starcie, wbiegają do środka, a Jakub jest tylko kilka kroków za nimi.

I wtedy rozlega się alarm.

Dziunie przystają na sekundę, zdezorientowane. Jakub nie. Ta w tenisówkach ma dobry refleks. Łapie drugą za rękę i biegną dalej. A raczej próbują, bo ludzie nagle wylewają się ze wszystkich sklepów, wypełniają patio i alejki gęstą masą i prą do wyjścia. Słyszą krzyki, ktoś kogoś zgniata, ktoś komuś miażdży palce u nóg, ktoś komuś wyrywa torebkę.

Dziunie nie mogą już dalej biec. Ale Jakub też nie. Porywa go ludzka fala.

Andriej się szamocze, bez sensu. I tak się nie wyrwą. Ale panienki też nie. Jakub rozluźnia mięśnie i bierze kilka głębokich wdechów, żeby dostarczyć im po biegu więcej tlenu. Daje Andriejowi znak, żeby przestał się rzucać, i powoli płyną z powrotem w ludzkim morzu. Jakub napina mięśnie, tworząc w ten sposób barierę obronną, żeby jakiś debil nie podciął mu nóg i nie przewrócił. Ale nie musi się obawiać, jest wyższy i lepiej zbudowany niż większość tego

plebsu. Więc bez obaw pozwala, żeby ludzka fala poniosła go w kierunku wejścia. Na zewnątrz sobie spokojnie poczeka, aż tłum wypchnie też dziunie. Wystrzelą jak korek z butelki, prosto w jego, Jakuba, ramiona.

Przez wielką szklaną ścianę Jakub widzi, jak z boku podjeżdża straż pożarna. Strażacy wyskakują, otwierają tył wozu, rozwijają węże, podpinają je do hydrantu. Niezły cyrk.

A potem następuje jakieś zamieszanie i strażacy przestają działać w idealnej synchronizacji. Ktoś, chyba ich szef, podnosi rękę i krzyczy. Jakub nie słyszy ani słowa w tym hałasie i z tej odległości, ale ze strażaków jakby uszło powietrze. Rozluźniają barki i ręce. Jeden rzuca końcówkę węża na chodnik. Drugi się śmieje. Trzeci macha rękami. Chaos trwa chwilę, a potem zaczynają pakować sprzęt.

Ludzie nie zwracają na nich uwagi, za to Jakub wie, co to znaczy. Falszywy alarm. Pewnie jakiś gówniarz zajarzał w kiblu i włączyły się czujniki.

Rozgląda się. Czeką, aż głośniki wybuchną komunikatem, że alarm odwołany i że, hej ludziska!, możecie znowu wydawać swoją kasę na gówniane rzeczy. Nie ma sprawy, jeśli o niego chodzi. Będzie wtedy niezłe zamieszanie, ścisk się rozluźni. Te dwie dziunie nawet się nie zorientują, a już przy nich będzie.

Tylko że głośniki nadal jazgoczą alarmem. Tłum nadal napiera i nadal próbuje jak najszybciej wydostać się z galerii. No jasne! Znaleźli gnojka, który palił w kiblu, ale na wszelki wypadek opróżniają galerię. Bo to nowo otwarty budynek i nie ma pewności, czy każdy system dobrze działa. A jeśli istnieje chociaż cień szansy, że doszło do zwarcia instalacji albo czegoś takiego, właściciele wolą nie ryzykować. Wywalą ludzi i na spokojnie wszystko sprawdzą. I tak już po siedemnastej, a dzisiaj miało być czynne tylko do siódmej. Wiele nie tracą.

Jakub nie może nic zrobić. Tłum rzuca nim na szklaną ścianę obok drzwi. Teraz musi się skoncentrować i milimetr po milimetrze pełznąć po szybie w kierunku otworu. Jest ściśnięty, boi się, że jeszcze trochę, a szyba pęknie i roztrzaska się na milion kawałków, które obetną mu uszy, nos i poprzecinają tętnice. Więc na chwilę wyrzuca dziunie z myśli i napina wszystkie mięśnie.

W końcu natrafia na framugę. Wczepia w nią dziesięć palców. Łamie

paznokcie, boli tak, jakby go zerwał. Przytrzymuje się z całej siły i wciąga siebie (a przy okazji kilku wczepionych w niego idiotów) w otwór. Teraz wystarczy tylko pozwolić zadziałać masie i po chwili jest na zewnątrz.

Natychmiast uwalnia się z tłumu i przywołuje gestem Andrieja. Pokazuje mu panienki. Przez szkło ścian widać, jak walczą z prądem i nawet im to wychodzi, nie przesunęły się ku drzwiom ani o metr.

– Teraz się tam nie wciśniemy – mówi Andriej.

Jakub tyle to sam wie. Narasta w nim irytacja. Ma ochotę powiedzieć Andriejowi, żeby spierdalał teraz, w tej sekundzie. Ale powstrzymuje się, to może poczekać. Za to złapanie tych lasek i wydobywanie od nich nagrania poczekać nie może.

Na razie niech Andriej się przyda. Jakub każe mu oblecieć galerię dookoła i sprawdzić, czy są jeszcze inne wyjścia. Na logikę powinny być, nikt przecież nie projektuje galerii na tysiące osób z jednymi drzwiami. Ale w tym bajzlu nic nie działa, więc może inne wyjścia też są zamknięte. Na co Jakub liczy.

Później, kiedy tłum się przewala, spróbuje wcisnąć się z powrotem do środka, pod byle pretekstem, że zgubił siostrę albo coś takiego. Patrząc na to z pewnego punktu widzenia, to nawet nie będzie tak całkiem kłamstwo. A potem się zobaczy.

## TERESA

Teresa zrobiła coś, czego nigdy nie zrobiłaby dobrowolnie: zamiast uciec, pozostała w budynku, który się pali. Gdyby nie Dorota, już dawno by jej tu nie było. Skonfrontowała ze sobą swoje lęki i ten o dziecko (oczywiście!) wygrał, ale to nie znaczy, że Teresa się nie boi. Boi się panicznie, aż nie może oddychać. Boi się i jednocześnie jest wściekła.

Ta głupia Cecylia, koleżanka Doroty, z bezczelnym uśmiechem pokazała jej, Teresie, że jak się boi, to nie myśli. I nie zauważyła, że to fałszywy alarm.

Ale przecież różnie może być. To nowy budynek, instalacje nie są jeszcze sprawdzone. Gdyby byli całkiem pewni, że to gówniarze z papierosami w kiblu, wpuściliby ludzi z powrotem. A nie wpuszczają. Znaczą chcą jeszcze sprawdzić. A to znaczy, że one powinny stąd wyjść, jak najszybciej!

Ale na razie, zamiast wyjść, Teresa siedzi z dziewczynami w przymierzalni. Wepchnęła je do pierwszej z brzegu, bo nie pamięta, czy trup jest w drugiej, czy w trzeciej. Nie chce tego sprawdzać. Chce tylko namówić swoją córkę, która chyba w ciągu ostatnich godzin całkiem zidiociała, a także jej przyjaciółkę-już-wcześniej-idiotkę do wyjścia, i jak najszybciej stąd zniknąć.

Bierze głęboki wdech.

– Posłuchajcie... – zaczyna, a Dorota syczy, żeby była cicho. I nie patrzy przy tym wcale na nią, tylko na Cecylię.

– Przestań! – warczy Teresa. – Nie, nie mam zamiaru być cicho! To jakiś absurd! O co wam chodzi?

Znowu to spojrzenie. Teresie zaczyna kręcić się w głowie. Przez chwilę boi się, że zemdleje. Opiera się plecami o ścianę. W głowie kołacze myśl, absurdalna, ale i tak Teresa nie może się jej pozbyć: ile jeszcze potrzeba czasu, żeby ten trup w kabinie obok zaczął śmierdzieć?

Na siłę próbuje nie myśleć o zwłokach, patrzy na dziewczyny. Wyglądają tak podobnie, jakby były siostrami. Spódniczki przed kolano, bluzy, jasne podkoszulki... Właściwie można je odróżnić tylko po odcieniu włosów (Cecylia



swoje farbuj i Teresie przez ułamek sekundy przychodzi do głowy, że co to za matka, która pozwala na to nastolatce) i po butach. Teresę to rozczula. Jakby jej własna córka rozdwoiła się i teraz Teresa musiała troszczyć się o obie.

– Nie chcecie mi powiedzieć? – pyta trochę ciszej.

Cecylia wpatruje się w swoją komórkę, nie podnosi głowy nawet na chwilę. Teresa czuje, że rozczulenie podobieństwem córki i jej przyjaciółki mija. Ma taką ochotę wyrwać Cecylii telefon, że musi zagryźć wargi, by tego nie zrobić.

Odwraca wzrok.

– Boicie się kogoś? Tego Jakuba czy jak mu tam?

Dorota kiwa głową. Nie chce spojrzeć matce w oczy.

– Zrobił wam coś złego?

– To Dory się boi – odpowiada nagle Ce. – Ona jest taka bojaźliwa.

– Nie ciebie pytam! – syczy Teresa.

Patrzy na Dorotę. Ale córka znowu odwraca się do przyjaciółki.

– Ce, widziałas przecież sama – mówi.

– No i co z tego? – Ce wzrusza ramionami. – Pół szkoły wie, że on diluje.

– Jezu, jak to diluje?! – denerwuje się Teresa.

Znowu jej nie słyszą.

– Ce – mówi Dorota. – On widział, jak go nakręciliśmy. Na pewno myśli, że wrzucimy to do sieci.

– Tia, Dory, to byłby genialny pomysł! Serio myślisz, że nie przyszło mi to wcześniej do głowy?

Teresa widzi, jak córka spuszcza głowę.

– Tylko nie mogę złapać pieprzonego zasięgu – dodaje Cecylia. – Ani jednej kreski.

Teresa wyrywa Cecylii aparat.

– Jaki filmik? – pyta.

Cecylia wzrusza ramionami. Dorota mówi ostrożnie:

– Sama zobacz.

Więc Teresa otwiera galerię, ogląda filmik. Dziewczyny jej nie przerywają.

– Kurwa mać! – klnie Teresa, głośno i wyraźnie.

Dorota znowu psyka. Ce znowu uśmiecha się tym pogardliwym uśmieszkiem.

– Gdy tylko wróci zasięg, wrzucimy to na Insta – mówi. – Może nawet zrobimy Insta story. Chociaż to, kurczę, chyba za długie. Może da się pociąć na mniejsze. Będziemy miały lajków w kosmos!

Sięga po komórkę. Teresa zaciska palce na telefonie.

– Czy wyście oszalały? – pyta.

– Ciszej, mamó – syczy Dorota.

– Czy was, kurwa, porąbało? – Teresa jest pierwszą przeciwniczką przeklinania przy dzieciach, ale teraz nie panuje nad językiem. – Przecież to jest dowód przestępstwa.

– Oj, mamó! – Dorota przewraca oczami. I znowu zerka na przyjaciółkę.

– Nie mów mi „oj, mamó”, do diabła! Kto to jest? Jakiś wasz znajomy? Macie mi natychmiast powiedzieć!

No i wiadomo już, że nic nie powiedzą. Krzyk tak działa na nastolatki, zacinają się w sobie. Teresa bierze kolejny głęboki wdech, już chyba setny tego dnia.

– Dobrze – mówi. – Rozumiem, że nie chcecie mi powiedzieć. Szkoda, bo na pewno mogłabym wam pomóc.

Robi króciutką pauzę, żeby zinterpretować wyraz oczu obu dziewczyn. W oczach Doroty widzi niepewność. A w oczach Cecylii coś, czego nie potrafi zrozumieć.

– Ale mam taki pomysł – mówi dalej Teresa. – Nie możemy tu siedzieć całą noc ani tym bardziej Bóg wie ile, bo jutro jest niedziela i galeria będzie zamknięta. Poza tym gdzieś się pali. Może to tylko mały pożar, który już został ugaszony, a może nie. Może spłonie cały budynek. Nie chcecie się – przelżyka ślinę – tu w środku usmażyć, prawda?

Zero reakcji. Teresa znowu ma ochotę potrząsnąć Dorotą, potrząsnąć Cecylią, potrząsnąć nimi obiema. Powstrzymuje się.

– Chcecie czy nie chcecie?

– No, nie, nie chcemy – odpowiada Dorota, ledwo ją słysząc.

– No dobrze, to już uzgodniłyśmy. – Krok po kroku, myśli Teresa. Wdech,

wydech i krok po kroku. – Czyli jakoś musimy się stąd wydostać.

Pauza. Twarze dziewczyn są bez wyrazu.

– Wyjdziemy z tego sklepu...

– Nie! – protestuje Dorota.

Teresa karci ją spojrzeniem i kontynuuje:

– ...i kogoś znajdziemy. Kogoś z obsługi, może ochroniarzy. Powiemy, że w panice się zgubiłyśmy. Poprosimy, żeby nas wypuścili. Mój samochód stoi zaparkowany kilka ulic stąd. Pojedziemy prosto do domu. Tam zrobię nam kolację i dużo zimnej lemoniady. Wy mi o wszystkim opowiecie, a potem zgłosimy sprawę na policję.

Milczenie.

– A jeszcze później zadzwonimy do rodziców Cecylii i poprosimy ich, żeby przyjechali po córkę.

– Wyjechali na długi weekend – mówi cicho dziewczyna.

– No dobrze, nieważne. Cecylia może nocować u nas. – Teresa nie ma najmniejszej ochoty gościć w domu tej idiotki, ale wie, że Dorota się bez niej nie ruszy. – Co wy na to?

Znowu milczenie, przez długą chwilę. W końcu Teresa sama przerywa ciszę.

– Słuchajcie, to poważna sprawa. Macie nagranie, jak ktoś sprzedaje narkotyki. Jakiś chłopak, którego, jak rozumiem, znacie. Tak?

Dorota kiwa głową. Cecylia bezczelnie patrzy Teresie w oczy i ani drgnie. Tylko na jej wargach błąka się uśmieszek.

– Więc musimy to zgłosić na policję. Sprzedaż narkotyków to przestępstwo. – Teresa czuje się, jakby tłumaczyła małym dzieciom.

Cecylia cmoka. Teresa znowu pohamowuje chęć, żeby strzelić ją w twarz. Chociaż może powinna to zrobić, przynajmniej ta idiotka by się opamiętała. Uroczyście przysięga sobie, że od jutra popracuje nad tym, by przemówić córce do rozumu. Żeby przestała się zadawać z tą kretynką.

Patrzy na Dorotę i widzi w jej oczach rozdarcie między matką i przyjaciółką. Między tym, co dobrze znane i bezpieczne, a tym, co nowe i podniecające.

Przecież to jeszcze dziecko, myśli. Wygląda jak kobieta, ma piersi i miesiączkuje, ale to jeszcze dziecko. Teresę kłuje w sercu z miłości. Ma ochotę

wyciągnąć ramiona i przytulić córkę. I nie robi tego. Nie chce kolejnej awantury.

– A teraz chodźmy już stąd, dobrze? – mówi tylko.

Minuty mijają i są długie prawie jak godziny. W końcu Dorota mówi cicho:

– Dobrze.

Teresa czuje ulgę, ale nie zwala jej to z nóg. Na to pozwoli sobie później, w domu. Teraz ma zadanie do wykonania.

Ogląda się na Cecylię. Ta nie mówi nic. Teresa oddaje jej komórkę.

– No to już – komenderuje.

Wychodzą z przymierzalni, powoli. Teresa pierwsza, Dorota za nią, jakby matka rzeczywiście mogła je ochronić przed realnym niebezpieczeństwem. Cecylia na końcu, dobre dwa metry dalej.

Rozglądają się. W sklepie – oczywiście! – nikogo nie ma. Podchodzą do szklanych drzwi, ciągną je do siebie. Teresa pierwsza wystawia głowę. Pusto. Cała galeria jest pusta.

Zaczyna się obawiać, że jednak tu utknęły. Zastanawia się, jak długo siedziały w tej przymierzalni. Może sprawdzono już instalacje, wszyscy sobie gdzieś poszli, a one naprawdę będą musiały tu zostać do rana albo nawet przez parę dni. Serce zaczyna jej walić, w ustach zasycha. Ma ochotę wrzasnąć: „Jest tu kto!?” , ale nie robi tego. Klepie się po kieszeni, upewnia, że nie zgubiła komórki, potem przypomina sobie o rozładowanym aparacie. Przecież dziewczyny mają swoje telefony. Najwyżej do kogoś zadzwonią. Cecylia mówiła, że nie może złapać zasięgu, ale to pewnie przymierzalnia izoluje. W patio, koło wyjścia, na pewno się dodzwonią. Na policję, straż miejską albo coś. Jeśli wlepią im mandat, to trudno. Chociaż jeśli ktoś będzie próbował wlepić im mandat, Teresa zrobi awanturę, że zostały tu zamknięte podczas alarmu przeciwpożarowego, że nikt nie zadbał o ich bezpieczeństwo.

Idą bardzo powoli pustą, krętą alejką. Kiedy dochodzą do końca i otwiera się przed nimi widok na patio i na szklaną ścianę z wejściem, Teresa oddycha z ulgą. Niepotrzebnie się bała, jest strażnik. Stoi przy drzwiach, rozmawia z kimś, Teresa widzi tylko dwie sylwetki, bo refleksy na szybie zasłaniają szczegóły.

Teresa odwraca się, żeby pokazać go dziewczynom, i znów widzi przerażenie

na twarzy córki. Dorota cofa się krok po kroku w głąb alejki, a potem pędzi, skąd przyszła.

Ce odwraca się i idzie za przyjaciółką. Ale nie biegnie. Jej biodra kołyszą się jak u modelki na wybiegu.

Teresa robi krok do tyłu, potem drugi. Nie może się zdecydować, co zrobić. Rozsądek podpowiada, by najpierw porozmawiać ze strażnikiem. Może po prostu powiedzieć mu, że córce odbiło. I żeby pomógł ją znaleźć, a i jej nienormalną przyjaciółkę też. Teresa wątpi, czy ochroniarz będzie zachwycony, chociaż ludzie zazwyczaj pomagają, kiedy idzie o dzieci. Nawet jeśli to są nastolatki z przestrojeniem hormonalnym.

Ale w końcu podejmuje decyzję i biegnie za córką oraz za jej debilną przyjaciółką. Boi się, że dziewczyny gdzieś się schowają i potem ich nie odnajdzie w labiryntach tego pieprzonego raj.

## ANDRIEJ

Andriej stoi i słucha, jak Jakub tłumaczy strażnikowi, już chyba po raz dziesiąty, że jego siostra jest gdzieś w galerii i że on musi jej poszukać.

Andriej sprawdził wcześniej wszystkie wyjścia. Są jeszcze dwa, ewakuacyjne, zamknięte w czasie pożaru. Zamykanie wyjść ewakuacyjnych w czasie alarmu przeciwpożarowego wydaje mu się trochę dziwne, coś jakby w czasie korków w mieście pozamykać ulice. Ale w tym pieprzonym kraju już nie takie rzeczy widział.

Więc Jakub gada, a Andriej stoi za nim i gapi się przed siebie. Galeria pozbawiona ludzi wygląda upiornie. Jakby nastąpił koniec świata. Na przykład po wybuchu wojny atomowej, którą wszyscy tak straszili jeszcze przed jego, Andrieja, urodzeniem. Na podłodze leżą śmieci: podeptane papierowe kubki, foliówki, nawet jeden but.

Z powrotem zaczyna słuchać rozmowy.

– Proszę pana, ona gdzieś tu jest, martwię się o nią. Proszę mi pozwolić zajrzeć do centrum monitoringu. Przecież macie tu jakieś miejsce, gdzie widać, co jest na ekranach kamer.

Strażnik chrząka.

– No właśnie. Wpuści mnie pan na chwilę, znajdziemy ją i już mnie tu nie ma.

Strażnik spogląda na Andrieja, który stoi pół kroku z tyłu.

– A ten pan?

– Kolega. Też się martwi. Pomoże szukać.

Strażnik zerka na sufit, jakby stamtąd miało spłynąć na niego natchnienie. A potem mówi:

– Nie mogę panów wpuścić do galerii po zamknięciu. Takie mamy przepisy. Zresztą sprawdzamy jeszcze, co dokładnie spowodowało ten alarm.

Kłamie. Gdyby to sprawdzali, pod galerią ciągle stałby wóz straży pożarnej

i kręciliby się strażacy. A oni sobie pojechali. Czyli wszystko już jasne, nie ma zagrożenia. Strażnik myśli, że on, Andriej, jest taki głupi, by się nabrać na jego gadkę.

– Bardzo pana proszę – powtarza Jakub – tylko na chwileczkę. Tylko wejść, popatrzeć na ekrany i wyjść. Już panu mówiłem.

– A ja już panu mówiłem – w głosie strażnika zaczyna się pojawiać nutka zniecierpliwienia – że nie mogę. Nie chcę, żeby mnie wywalili z roboty.

– Nikt się nie dowie...

Jakub nie jest przekonujący. Zdaniem Andrieja dupa z niego, nie brat. Nawet nie wygląda na porządnie zatroskanego. Strażnik chyba to wyczuwa. Kręci głową. Jeśli nawet na początku się wahał, to teraz przestał. Nie wpuści ich i już.

– Mogę jej sam poszukać – mówi. – Jeśli rzeczywiście pan myśli, że tu jest...

– Tak myślę – zapewnia Jakub, ale jakoś bez przekonania.

– To niech panowie poczekają tam. – Strażnik pokazuje dłonią wyludniony placyk przed galerią.

– Och, do kurwy – mówi nagle Andriej półgłosem, jakby to wcale nie było przekleństwo. Łapie strażnika za głowę i jednym ruchem skręca mu kark. Strażnik wali się na ziemię, bez dźwięku, jak kłoda. Jakub odskakuje. Andriej opiera się o szklaną ścianę i ciężko dyszy. Nie z wysiłku, bo przecież co to za wysiłek skręcić komuś kark. Sam nie wie dlaczego. Może z przyjemności...?

– Co?! No co ty?! – krzyczy Jakub.

– Daj spokój – mówi Andriej. – Trochę go stuknąłem i tyle.

Jakub przyklęka przy strażniku. Dotyka palcami szyi tuż za uchem, gdzie skóra jest wiotka. Maca i maca, przesuwa palce. Nie może wyczuć pulsu.

– Kurwa – mówi i wstaje.

– Weź się w garść, Kuba. Jeden strażnik mniej, jeden więcej...

Jakub jest blady. Mówi, że powinni stąd spierdalać, jak najszybciej. A potem sam dodaje, że jeśli to zrobią, nigdy nie złapią tych lasek. Kurwa, może by się zdecydował!

Andriej decyduje za niego. Chwyta nieprzytomnego strażnika za nogi i ciągnie do pierwszego z brzegu kiosku w alejce. Tak się składa, że kiosk należy do biura podróży. Dekorują go gęste krzaki, dookoła kontuaru piętrzą się jakieś

gałęzie i sztuczne palmy. Jakby Andriej chciał pojechać na wycieczkę, nigdy by jej nie wykupił w takim badziewiastym miejscu. Ale przynajmniej nikt nie dojrzy strażnika z daleka ani nawet z bliska.

Andriej rozgląda się. Przypatruje sztucznym i namalowanym drzewom pnącym się po ścianach.

– Tu na pewno są kamery – szepcze, chociaż przemysłowe kamery nie nagrywają dźwięku.

Jakub patrzy na Andrieja, jakby to była jego wina, że o tym zapomnieli.

– Gdzieś muszą być jego kumple – mówi półgłosem. – Przecież nie był tu sam. Zaraz tu przybiegną. Lepiej spierdalajmy.

Odwraca się do drzwi, ale Andriej chwyta go za ramię.

– Ty się, Kuba, zdecyduj – mówi to, co wcześniej pomyślał. – Przed chwilą chciałeś złapać te laski i zabrać im telefony. I upewnić się, że nikomu tego nie posłały, nie?

– No, tak – mówi Jakub. Ma białe wargi.

– No to może lepiej się pospieszmy.

– A inni strażnicy? – pyta.

Andriej się rozgląda.

– Widzisz tu jakichś? Skoro jeszcze nie przylecieli, to znaczy, że nie widzieli na monitorach, jak tu wchodzimy. Czyli nie ma ich w kanciapie, pewnie są na terenie.

Może walą konie w kiblu. Ale tego Andriej też nie mówi głośno. Pyta za to:

– To co, idziemy?

Jakub potakuje.

Andriej rusza przed siebie w stronę wejścia do alejek, kiedy Jakub mówi:

– Zaczekaj chwilę.

Wraca do kiosku, Andriej za nim. Jakub przygląda się strażnikowi, a po chwili rzuca:

– Pomóż mi.

I zaczyna rozpinać guziki munduru.

Andriej wybucha śmiechem, gromkim, aż echo się niesie po galerii. Jakub



psyka ze zniecierpliwieniem, że jeszcze ich ktoś usłyszy. Ale Andriej tylko klepie go po plecach.

– Ty to jednak masz łeb, Kuba. Pierwszy dzień, strażnicy się nie znają, co? Teraz nawet jak się na nich natkniemy, to wytłumaczysz, żeś jeden z nich. No, *charaszo, malczik!*

Jakub nie odpowiada. Ściąga mundur z trupa (Andriej to szanuje, myślał, że z Jakuba jest większy delikacik, a ścierwa się nie boi), i naciąga na swoje džinsy i T-shirt. Uniform pasuje na Jakuba, mniej więcej. Bluza jest trochę ciasna, a spodnie za krótkie, ale Jakub mówi, że ujdzie, nie wybierają się przecież na pokaz mody.

Jakub przeszukuje jeszcze kieszenie munduru. Nic w nich nie ma. Żadnej krótkofalówki, żadnej broni, nawet tasera. Amatorszczyzna. U nich w Moskwie to strażnicy w galeriach handlowych mają cały arsenał, czasem nawet pistolety. Ale te Polaczki to że niby przestrzegają prawa, śmiechu warte. Tylko klucze się przydadzą, pewnie uniwersalne, od wszystkich pomieszczeń.

Jakub wkłada szybko mundur i mówi, żeby się pospieszyć. Jakby to on, Andriej, się tu grzebał.

Andriej w sumie żałuje, że nie zapytali strażnika, gdzie jest ta ich kanciapa. Chociaż pewnie i tak by nie powiedział, na pewno nie po dobroci. A wystarczy przecież podejść do pierwszego z brzegu planu galerii, pełno ich w alejkach. I już wiadomo, dokąd iść. Wszystkie pomieszczenia gospodarcze są na lewo od food courtu, za korytarzykiem koło kibla.

No i zgadza się. Na drzwiach do korytarzyka jest napis STAFF ONLY, a dalej kilka par drzwi. Jakub idzie przodem, otwiera wszystkie po kolei. Najpierw widzą schowek, potem pakamerę z tablicami elektrycznymi, a za kolejnymi – miejsce, którego szukają.

Jakub wkracza pierwszy, na wypadek, gdyby ktoś tam siedział. Planuje powiedzieć, że jest w zastępstwie, bo tamten strażnik źle się poczuł. Co w pewnym sensie jest prawdą, nie? Andriejowi chce się rechotać na tę myśl, ale Jakub rzuca mu groźne spojrzenie. Nie wie, że on, Andriej, w ogóle się Polaczków nie boi.

W środku nikogo nie ma. Niestety, nie ma też monitorów. Na stole pod ścianą stoi jeden komputer, ekran wyświetla na zmianę obraz z czterech

kamer. Ściana za stołem jest już przygotowana, przykręcono nawet specjalne haczyki, tylko na razie nic na nich nie wisi. Tak jak Andriej myślał, amatorszczyzna. Tyle że przez tych pieprzonych amatorów, co nawet galerii nie potrafią oddać gotowej, oni będą mieli więcej roboty. Zamiast namierzyć cipy na monitorach i zgarnąć je w upatrzonym miejscu, będą musieli przeszukiwać pomieszczenie po pomieszczeniu.

Ale to właściwie da się zrobić w kilka godzin. Nawet będzie to wyglądało naturalnie: strażnik, który po prostu wykonuje swoje obowiązki. A on, Andriej, może robić za kumpla poproszonego o wsparcie. Przy takiej amatorszczyźnie, z jaką mają do czynienia, nikogo to nie powinno zdziwić.

Andriej rozgląda się po pomieszczeniu. Na wieszakach za zasłonką wiszą trzy komplety cywilnych ciuchów. Jedne z nich należą do strażnika, który ze skręconym karkiem leży teraz w boksie. Najwyżej, gdyby ktoś pytał, powiedzą, że poszedł do domu, jak stał, bo nagle poczuł się źle i nie miał czasu się przebrać. Co też w pewnym sensie jest prawdą. Ta myśl też strasznie bawi Andrieja.

Trzy komplety ciuchów. Serio? To znaczy, że poza tamtym strażnikiem jest tylko dwóch? No kurwa, nie do wiary! Trzech strażników na noc, w nowo otwartej galerii handlowej bez działającego monitoringu? Amatorszczyzna jak stąd do Wietnamu! Ale to ułatwia sprawę.

Andriej wygląda przez drzwi, sprawdza, czy nikt nie idzie. Jakub przygląda się planowi centrum handlowego, który wisi na ścianie na prawo od haczyków pod monitory.

A potem nagle odwraca się i podchodzi do płaskiej metalowej skrzynki.

## RUDY

Rudy siedzi za drzwiami kabiny w kiblu i czeka, aż ucichną wszelkie odgłosy. A potem czeka znacznie dłużej. Nie patrzy na komórkę, nie sprawdza godziny. Zapada się w sobie, pozwala, żeby czas płynął swoim nurtem. Nie śpi, siedzi nieruchomo z otwartymi oczami. Jest czujny, słyszy każdy dźwięk, choć oddech mu zwalnia, puls też. Rudy nie jest jakimś mistrzem medytacji, ale potrafi pogрузić się w czymś, co – gdyby ktoś chciał z nim na ten temat porozmawiać – określiłby słowem „trans”. Po takiej sesji czuje się oczyszczony, myśli sprawniej i ma szybszy refleks. Jak dla złodzieja – idealnie. A zwłaszcza dla złodzieja do zadań specjalnych, którym Rudy zamierza niedługo zostać.

Nawet kiedy wreszcie wychodzi z transu, nie sprawdza czasu. Nie musi. Ma całą noc. To o wiele więcej, niż potrzebuje na wykonanie tego prostego zadania. Tyle że Rudy przygotowuje się przecież do skoków o wiele bardziej skomplikowanych. Do których relaksacja i skupienie naprawdę będą potrzebne.

Otwiera oczy, rozgląda się. Przechyla głowę w jedną stronę, i w drugą, aż rozlegnie się ciche chrupnięcie w karku. Potem długo nadśluchuje. Kiedy upewnia się, że jest w toalecie sam, wstaje. Przeciąga się, musi rozruszać wszystkie stawy. Zarzuca na ramię plecak i wychodzi z kabiny.

Przed nim faza B, najtrudniejsza część zadania, wszystko inne to prościzna. Musi niepostrzeżenie dostać się do sklepu prowajdera. A najpierw jeszcze otworzyć wytrychem zamek. Rudy potrafi to zrobić naprawdę szybko, ale zawsze to kilkanaście sekund na klęczkach w alejce, gdy będzie widoczny dla strażnika, gdyby ten właśnie przechodził. Bo przecież strażnicy muszą czasami robić obchód. A on, Rudy, nie ma pojęcia, jak często.

Przynajmniej nie złapią go kamery. Pole widzenia żadnej z tych działających nie obejmuje okolic dwóch punktów prowajdera, które zamierza dziś w nocy obrobić.

Otwarcie sklepu to największe wyzwanie. Później, kiedy Rudy wejdzie do środka i zamknie za sobą drzwi, już nikt go nie zobaczy. Bo alejki są

oświetlone, co prawda nie tak jasno jak za dnia, ale dostatecznie wyraźnie, żeby strażnicy mogli go dostrzec z daleka. Za to w sklepach światła są wyłączone. Jak się patrzy z jasnego pomieszczenia w ciemne, nie widać nic. On zresztą nie będzie przecież pozostawał na widoku. Spakuje towar i zaszyje się w jakimś kącie, jeszcze ciemniejszym niż inne. Drzwi oczywiście zamknie za sobą od środka, wytrychy służą przecież nie tylko do otwierania. Bo strażnicy w czasie obchodu mogą pociągnąć za klamkę albo coś.

Później, w fazie C, w dogodnej chwili przeskoczy do drugiego sklepu. To już będzie łatwiejsze, bo Rudy, siedząc w ciemnym saloniku prowajdera i wyglądając na jasną alejkę, ustali rytm obchodu ochroniarzy. Wystarczy poczekać, aż skończą jedną rundę i sobie pójść. Naprawdę bułka z masłem.

A potem nastąpi faza D. Rudy posiedzi w sklepie do kolejnej przerwy w obchodzie strażników. Tym razem będzie musiał się skoncentrować i działać bardzo precyzyjnie. Natychmiast gdy znikną, przeskoczy do łazienki i od razu zabierze się do farbowania włosów. Zrobi to w damskiej, by wyeliminować tę mało prawdopodobną, choć jednak dopuszczalną możliwość, że któryś z ochroniarzy wróci się odlać.

Rudy ćwiczył farbowanie w domu. Teoretycznie (tak jest w instrukcji na opakowaniu) farbę trzeba trzymać na głowie przez pół godziny, ale po to, by mieć ładny, trwały kolor, a Rudemu nie zależy ani na jednym, ani na drugim. Za to zależy mu na czasie. Sprawdził, że po dziesięciu minutach farba łapie dostatecznie mocno. Jemu wystarczy osiem mierzone ze stoperem. Pozostałe dwie wykorzysta na wypłukanie włosów i umycie cifem umywalki. Zatarcie wszystkich śladów.

I ostatnia faza: E. Resztę czasu, aż do rana, ma zamiar spędzić w łazienkowej kabinie, za drzwiami, tak jak na początku. Będzie mu trochę niewygodnie, ale jak ktoś chce tylko wygod, nie powinien być złodziejem. Za to w łazience będzie miał toaletę i wodę, czyli dwie najbardziej potrzebne rzeczy.

A rano w galerii pojawi się nagle wiele nowych osób, robotnicy i technicy z torbami, sprzętem i tak dalej. Rudy będzie po prostu jedną z nich. Wydostanie się bez trudu, może nawet pogwizdując piosenkę.

Plan Rudego jest kuloodporny, wodoszczelny, nie ma najmniejszej luki. Poza jedną jedyną. Może się okazać, że ochroniarze wyruszą na obchód dokładnie w ciągu tych kilkunastu sekund, kiedy Rudy będzie otwierał sklep.

Ale to by oznaczało, że Rudy ma prawdziwego pecha. A wtedy niech go łapią, proszę bardzo, ten, kogo prześladowuje pech, nie powinien być złodziejem. Zwłaszcza złodziejem specjalistą, którym Rudy planuje niedługo zostać. Jeśli wydarzy się coś takiego, potraktuje to jako pstryczek w nos od losu i przemyśli plan na życie od nowa.

Rudy bierze głęboki wdech i rozpoczyna fazę B. Wychodzi na korytarz. Porusza się powoli, bo musi nadśłuchiwać. Poza tym chociaż ludzkie oko budową różni się od oka jaszczurki, to, podobnie jak jaszczurki, najłatwiej rejestrujemy gwałtowny ruch.

Rudy dociera do upatrzonego saloniku prowajdera, przykłęka, ogląda zamek, wybiera odpowiedni wytrych.

I wtedy słyszy kroki. Głośne stukanie podeszew o lastryko na posadzce. I ciche głosy, rozmowę.

Zamiera. Wie, że jest w pułapce.

Czyli jednak ma pecha. Strażnicy robią rutynowy obchód akurat w tej chwili i w tym miejscu, w którym się znalazł.

Trudno, przegrał, zanim gra na dobre się rozpoczęła. Ale nie można przecież cały czas wygrywać (nie żeby miał na koncie znów tak wiele wygranych).

Rudy rozgląda się jeszcze raz. I widzi, że drzwi w jednym ze sklepów, takiej sieciówce z ciuchami z trochę wyższej półki, nie są do końca dociągnięte. Szklana tafla skrzydła odstaje o dobre dwa centymetry od drugiej tafli.

Rudy podbiega na miękkich nogach, żeby robić jak najmniej hałasu. Szybko chwyta za klamkę i – chociaż jest niewierzący, a w każdym razie niepraktykujący – zmawia błyskawiczny paciorek, by drzwi nie zaskrzypiały. Ale w tej galerii wszystko jest jeszcze nowe i nie skrzypi. Drzwi otwierają się bezszelestnie. Rudy wpada do środka, przykłęka i obraca wytrych w zamku. A potem biegnie w głąb sklepu. Wnętrze jest jasno oświetlone, idiotka sprzedawczyni pewnie uciekła w panice, kiedy Rudy nadmuchał dymem do czujnika, i nie zgasiła światła. Oraz nie zamknęła drzwi. Rudy nie ma czasu szukać teraz kontaktu, poza tym boi się, że nagła zmiana jasności zaalarmuje strażników. Nadal na ugiętych nogach (zresztą wykładzina w sklepie jest miękka) bezszelestnie biegnie do przymierzalni i chowa się w ostatniej kabinie.

## JAKUB

Jakub nie może oddychać. Czuje, że na piersi coś mu leży, coś strasznie ciężkiego, jak wielki kamień, co jest nielogiczne, bo Jakub przecież stoi. Ale logika nie ma nic wspólnego z oddychaniem.

Wiedział, że tak będzie, po prostu wiedział! Wiedział od samego rana, od kiedy usłyszał głos Andrieja w słuchawce, że będą kłopoty. Tylko nie wiedział, że aż takie.

Andriej zabił strażnika. Skręcił mu kark, tak po prostu. Jakub znowu czuje, że coś go ściska i do płuc nie dostaje się powietrze. Na chwilę robi mu się ciemno przed oczami. Nie chce tego powiedzieć, nie chce tego przyznać przed sobą, ale po prostu się boi. Ma kurewskiego stracha.

Bierze głęboki wdech, potem wypuszcza powietrze. Andriej przypatruje mu się spod oka. Jakub stara się udawać, że wszystko jest w porządku. Teraz nie może myśleć o zabitym strażniku ani o jego mundurze, który ma na sobie. Teraz musi się skoncentrować na zadaniu, musi znaleźć dziunie i zabrać im telefony. A jeszcze wcześniej dopilnować, by nikomu nie wysłały filmików.

Po to tutaj przyszedł.

Jakub nie był mocny z fizyki ani z matematyki i normalnie ma to gdzieś. Nie planuje zostać inżynierem. Ani w ogóle nikim. Studiuje tylko po to, żeby starzy dali mu spokój. Za to zamierza zainwestować kasę z dilowania w jakiś biznes, który przyniesie jeszcze więcej grosza, a potem w kolejny i kolejny. Wiedza ze studiów mu niepotrzebna.

Ale na jednej rzeczy się zna: na zasięgach fal elektromagnetycznych.

Musi, nie? Jak się diluje, trzeba pilnować, żeby zasięg był. Nie ma zasięgu, nie ma kasy. Jak ktoś nie może się do ciebie dodzwonić raz i drugi, kiedy naprawdę tego potrzebuje, szybko znajdzie sobie nowego dilera z lepszym zasięgiem. Bo konkurencja jest duża. A człowiek, który musi się naćpać, to zazwyczaj człowiek niecierpliwy.

Więc Jakub ma całkiem niezłą wiedzę na temat tego, gdzie komórki działają,

a gdzie nie działają, i dlaczego. Na przykład u nich w mieszkaniu starzy wymyślili sobie taki niby filar między kuchnią a salonem. Jakub nie wie, co tam jest w tym filarze, ale to coś świetnie nadawałoby się do izolowania bunkrów. Za filarem nie ma żadnego sygnału z routera, zip, nul! Jakub kiedyś położył tam komórkę na szafce i potem pół dnia zastanawiał się, dlaczego nikt nie dzwoni. A jak zabrał telefon i przeniósł w inne miejsce, to odkrył dziewięćdziesiąt siedem nieodebranych połączeń. Nigdy więcej nie popełnił tego błędu.

Teraz podchodzi do ściany i stuka w nią kłykciami. Beton. W środku pewnie zbrojenie. Klatka dla fal elektromagnetycznych.

Z tego, co Jakub wie, w takich budynkach normalnie jest zero zasięgu. Tyle że w galerii handlowej nie mogą sobie na to pozwolić, nikt by tu nie przyszedł, gdyby nie mógł sobie zrobić selfika czy zdjęcia w wymarzonym sweterku i od razu wrzucić tego szajsu do sieci. Nikt z wyjątkiem kilku staruch, babć, które ciągle jeszcze myślą, że telefon służy do telefonowania.

Więc musi być jakiś wzmacniacz sygnału. Coś, co sprawi, że ten pieprzony żelazobeton nie przeszkodzi ludziom w zabawie.

I Jakub chyba go znalazł.

To znaczy nie sam wzmacniacz. W tak wielkim budynku musi ich być kilka, jak nie kilkanaście, pewnie są porozmieszczane na całym terenie, żeby nigdzie nie było martwego pola, nawet w kiblu, gdyby ktoś koniecznie chciał wrzucić na Insta selfika na sedesie. Na ścianie Jakub widzi metalową skrzynkę, na której ktoś napisał czerwoną farbą przypominającą lakier do paznokci: SYGNAŁ WI-FI. Skrzynka jest zamykana na mały kluczyk. Znalezienie go w szufladzie zajmuje Jakubowi pięć sekund.

Jakub aż tak nie zna się na fizyce, falach elektromagnetycznych i instalacjach, żeby wiedzieć, jak to działa. Ale wie jedno – gdy się wyłączy, to przestanie działać. Otwiera skrzynkę, przygląda się uważnie i przestawia wszystkie przełączniki z ON na OFF. A potem dochodzi do wniosku, że musi mieć pewność. Szarpie za skrzynkę. Jest przykręcona do ściany na odwal, jak wszystko tutaj. Jakub wyrywa ją bez trudu. Z tynku sterczy kilka drutów, mogą zostać.

Jakub wyjmuje swoją komórkę i sprawdza. Zero zasięgu. Próbuje wykonać połączenie i zostaje poinformowany o tym, co już wie.

Że teraz dziunie nie mogą wysłać filmiku do nikogo. O ile tego jeszcze nie zrobiły (a Jakub wątpi, żeby w panice wpadły tak szybko na ten pomysł). Teraz już na to za późno. Teraz może ich spokojnie szukać, choćby to miało trwać całą noc.

Tylko gdzieś tu, w tej pieprzonej galerii, są jeszcze dwaj strażnicy. Do niedawna było ich trzech...

Jakub odwraca się i widzi, że Andriej przygląda mu się od progu.

I znowu nie może oddychać. Znowu ściska go w płucach strach, którego sam przed sobą nie chce nazwać.

– Coś ty taki blady, Kuba? – pyta Andriej. Jego zimne oczy obserwują Jakuba, jakby był jakimś zwierzęciem w zoo.

– Bo muszę, kurwa, wszystko robić sam.

To jedyna odpowiedź, jaką jest w stanie wymyślić. Na razie musi wystarczyć.

I wystarcza.

– A, ja się na tym nie znam. – Andriej wzrusza ramionami i po chwili się śmieje: – Ale na czymś innym się znam, frajerze.

Podchodzi do biurka z monitorem. Otwiera jedną szufladę, drugą, trzecią. W czwartej znajduje to, czego szukał. Podnosi do ust piersiówkę i upija duży łyk.

I Jakub wie, że to wcale nie koniec jego kłopotów, tylko dopiero ich początek.



## DOROTA

W przebieralni śmierdzi nowością. Normalnie Dorota upajałaby się tym zapachem, wciągałaby go głęboko w płuca. Bo normalnie uważa, że jest strasznie fajny. Zapach czegoś, co chciałyby mieć. I czego nie ma.

Ale teraz zapach nowości ją drażni. Dorota chce wyjść. Najlepiej z galerii i pooddychać świeżym powietrzem, a nie takim przemielonym przez klimatyzatory. No dobra, może nie świeżym, może raczej pełnym spalin. Po prostu chce powąchać coś z prawdziwego świata, a nie z tego sztucznego rajy.

Matka dziwnie się wierci i też co chwila wciąga nosem ten zapach. Koniuszek jej nosa drga i w ogóle matka wygląda jak pies, który coś zwęszył. Może trupa? Normalnie Dorotę rozbawiłoby to porównanie, ale teraz nie jest jej do śmiechu.

Tłumi chęć, żeby zerwać się z miękkiej wykładziny i wybiec z przymierzalni. Zamiast tego przysuwa się do Ce.

Matka nagle chwyta ją, Dorotę, za rękę, po sekundzie namysłu chwyta też Ce. Łączy ich dłonie, jakby była jakimś awangardowym księdzem. Potrząsa lekko.

Dorota podnosi na nią wzrok i widzi, że Ce też.

– Powiedzcie mi – mówi matka cicho. – Proszę. O co tu chodzi?

Dorota patrzy na Ce. Ce wykrzywia wargi i odwraca wzrok. Gapi się we własny telefon.

Dorota czuje, jakby ktoś położył jej na ramionach stukilowy odważnik. Garbi się pod jego ciężarem.

– Mamo... – zaczyna.

Ce rzuca jej spojrzenie. Dorocie wydaje się, że jest w nim pogarda, ale też coś jeszcze, czego nie potrafi zrozumieć. Odwraca wzrok i stara się nie patrzeć na swoją najlepszą przyjaciółkę. Na matkę też nie. Wbija oczy w wykładzinę.

I zaczyna mówić.

W sumie historia jest krótka, nie zajmuje nawet pięciu minut. Dorota co chwila urywa. Nie spogląda na Teresę, tylko na Ce. Najlepsza przyjaciółka siedzi nadąsana w kącie i gapi się w komórkę. Nie dodaje ani słowa do historii Doroty.

Matka milczy, dopóki Dorota nie dociera do końca.

– Jesteś pewna, że tak właśnie było? – pyta.

Oczywiście, typowe! Matka zawsze musi wszystko sprawdzić.

– Myślisz, że kłamię?

– Wcale tak nie myślę. Ale to poważna sprawa. – Stara się ostrożnie dobierać słowa. – Możecie mi to jeszcze raz pokazać? Ten filmik?

Ce nadal nie rusza się ze swojego miejsca. Dorota wyciąga telefon. Wycisza dźwięk i puszcza filmik. Matka wpatruje się w ekran. Obraz nie jest zbyt ostry, trochę się trzęsie. Pewnie można by go podrasować. W każdym razie nawet teraz widać wyraźnie, kto jest na filmie i co robi.

– I co teraz? – pyta Dorota.

– Teraz musimy stąd wyjść. – Matka jeszcze bardziej niż dotąd stara się mówić powoli i łagodnym głosem.

– Mamo, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? – Teraz Dorota krzyczy, a potem łapie się za usta. Ktoś może ją usłyszeć. – Nie możemy stąd wyjść! Oni tam na nas czekają.

A Ce nadal nic nie mówi. Mogłaby dodać chociaż słowo, trochę ją, Dorotę, poprzec.

Matka odchrząkuje:

– Córeczko, oni już na pewno sobie poszli.

– A jak nie? Przecież sama widziałaś. Rozmawiali ze strażnikiem. Na pewno go przekonywali, żeby ich wpuścił. Na pewno już tu są.

– Kochanie, strażnik nie może wpuścić do galerii obcych osób po zamknięciu. No coś ty! Wywaliliby go z roboty.

– Ale sama widziałaś, że z nimi rozmawiał.

– Przez drzwi.

Jasne, matka jak zwykle wszystko wie lepiej. Można by pomyśleć, że zna położenie każdego człowieka na kuli ziemskiej. A już na pewno każdego

człowieka w tej galerii. Przed chwilą jeszcze nie wiedziała, kto to Jakub, za to teraz wie, gdzie on jest!

– Słuchajcie – mówi dalej matka zawsze przekonana o tym, że ma świętą rację. – Pójdziemy prosto do strażnika. Powiemy, że się zgubiłyśmy po ogłoszeniu alarmu, potem którejś z was było słabo, musiałyśmy napić się wody i posiedzieć w toalecie, aż dojdzie do siebie.

– Oni na pewno sprawdzają klopy po takim alarmie. – To Ce wreszcie decyduje się wziąć udział w rozmowie. Dorota zauważa, że jej najlepsza przyjaciółka ma rozmazany tusz pod oczami. Przez chwilę czuje krótkie ukłucie złośliwej satysfakcji, a sekundę później wyrzut sumienia. – Zwłaszcza gdy ktoś tam palił.

– W takim razie powiemy, że nie wiemy, gdzie byliśmy. – Matka ma odpowiedź na wszystko. – To nowa galeria, ma skomplikowany plan, zgubiłyśmy się. Kiedy wreszcie chciałyśmy wyjść, wszystkie drzwi były już zamknięte, a w środku nikogo. Więc postanowiłyśmy poszukać strażnika.

– Wezwą policję – mruczy Ce.

– Bo co? Bo się zgubiłyśmy w czasie alarmu przeciwpożarowego? – Matka zastanawia się przez ułamek sekundy. – A jeśli wezwą policję, to nawet lepiej. Wtedy od razu powiemy prawdę. Że was gonili, że się ukrywałyście. I pokażemy ten filmik. To jest dowód.

Dorota długo patrzy na Ce, ale Ce nie zaszczycą jej spojrzeniem. Wygląda, jakby się obraziła. Nie odrywa wzroku od telefonu.

– Cecyljo, czy tobie ten plan też odpowiada? – pyta powoli matka.

– W porzo – potwierdza Ce. Dorota doskonale wie, jak matkę drażnią takie skrótty.

– No to chodźmy.

Wysuwają się po kolei z przymierzalni.

Matka, pierwsza, przechodzi powoli przez cały sklep i pociąga do siebie drzwi. I nic. Ciągnie jeszcze raz, a potem pcha, ale ani drgną. Odwraca się do dziewczyn, posyła im uspokajający uśmiech i z całej siły napiera na klamkę. I znowu nic.

– Co jest, do cholery?

Przecież przed chwilą tu weszły. Dlaczego teraz nie mogą wyjść? Drzwi się

zacięły czy co?

Matka znów próbuje. Wali ręką. Nic to nie zmienia.

Dorota wie, że powinna podejść i pomóc. Tylko jakoś nie może. Stoi i ukradkiem zerka na Ce, ale ta w ogóle na nią nie patrzy. Dorota nie rozumie, co się stało. Co takiego zrobiła w ciągu ostatniej półgodziny, że Ce się na nią obraziła? I nawet nie chce powiedzieć o co.

Kątem oka Dorota widzi ruch w alejce. Odwraca się i dostrzega strażnika w mundurze. Jest na samym końcu i pewnie jej nie widzi, bo światło odbija się od szyby.

Matka też go dostrzega, krzyczy i wali pięściami w szkło. Ściana nie jest dźwiękoszczelna, strażnik natychmiast rusza w ich kierunku. Matka odwraca głowę, patrzy na Dorotę i Ce.

– Już załatwione. Zaraz nas uwolnią. Widzicie, to nie było takie trudne.

I nagle Dorota drętwieje. Matka coś dostrzega w jej oczach, bo nagle ją samą ogarnia przerażenie.

– Mamo, nie! – krzyczy Dorota.

Matka odwraca się do drzwi. Strażnik jest już po drugiej stronie. Tylko że to nie jest strażnik.

To Jakub w mundurze strażnika.

Za jego plecami stoi ten chudy blondyn, którego widziała na filmiku. Ten sam, który dawał Jakubowi dragi. Szczerzy zęby. Oczy ma z zimnej stali. A potem przyklęka na jedno kolano, wyciąga z kieszeni klucz uniwersalny i wkłada go do zamka.

## ANDRIEJ

Cipy są tak blisko, że Andriej nie może się powstrzymać, szczyrzy zęby w uśmiechu. Wcale nie musieli ich szukać, same przyszły.

Z tymi dwiema jest jeszcze jedna, starsza. Wygląda na mamusię i pewnie nią jest. Ale co to za różnica, dwie czy trzy.

Andriejowi przychodzi do głowy, że właściwie mógłby się najpierw z nimi zabawić. Obaj by mogli, bo w końcu od czego są cipy? Tylko Jakub na pewno się nie zgodzi. Straszny z niego sztywniak. Tak się zestrachał, gdy Andriej walnął tego strażnika, że omal w gacie nie narobił. Jak ktoś taki może sprzedawać dragi, to się Andriejowi nie mieści w pale.

A Andriej potrzebuje czasem trochę się zabawić, dawno już tego nie robił. W tej pieprzonej Polsce tylko praca i praca.

Oczy tej starszej cipy przy samej szybie są wielkie z przerażenia. Andriej uwielbia zapach strachu, jest bardziej podniecający niż najlepsze perfumy świata. Dałby sobie rękę uciąć, że czuć go od wszystkich trzech cip. Zapach jednocześnie słodki i kwaśny, i lekko pieprzowy. Kojarzy mu się z cynamonem, z ciasteczkami na Boże Narodzenie. Święta w maju, czemu nie!

Właściwie z tą starszą cipą też może się zabawić. Jest jeszcze niczego sobie, a zresztą co to za różnica, cipa to cipa. Ważne, żeby pachniała tym słodko-kwaśnym, cynamonowym strachem.

Napina bicepsy i czuje, jak członek twardnieje mu w spodniach. To naprawdę będą święta w maju! Przekręca powoli klucz w zamku.

I wtedy słyszy za sobą głos:

– Co panowie tu robią?!

Andriej, który ciągle klęczy przy drzwiach, powoli się obraca. Widzi, że Jakub też to robi.

I widzi dwóch strażników. Stoją na samym końcu alejki, śmiesznie pomniejszeni przez perspektywę. Jeden z nich macha ręką i krzyczy jeszcze raz:

– Co panowie tu robią?

– Ani słowa o tych dziuniach – syczy do Andrieja Jakub.

Jakby on, Andriej, był taki głupi i sam tego nie rozumiał.

– Po prostu ani słowa – syczy znów Jakub. – Jestem strażnikiem, a ty technicznym od elektryki. Sprawdzasz instalację alarmową. Zostaw te pierdolone drzwi i chodź do nich. Tylko spokojnie i na luzie. Mamy prawo tu być.

Andriej podnosi się, wkłada klucz uniwersalny do kieszeni. Nie podoba mu się, że Jakub mu rozkazuje. Będzie musiał coś z tym zrobić później.

Na razie idą w stronę strażników. Tak jak mówił Jakub, nie za szybko ani za wolno, wyluzowanym krokiem kogoś, kto ma prawo tu być. Jednak na tyle szybko, żeby oddalić się od sklepu z ciuchami, w którym siedzą cipy, żeby nie było ich widać zza zakrętu alejki.

– Dobry wieczór – mówi Andriej. Lekko zaciąga, jak zawsze, kiedy jest zdenerwowany.

– Co panowie tu robią? – pyta ponownie strażnik.

– Jak to co? – pyta Jakub. – Jestem w pracy.

Ochroniarze patrzą po sobie.

– A gdzie Romek? – pyta jeden.

– Źle się poczuł, musiał iść do domu. Wezwali mnie na zastępstwo.

– Nic nam nie powiedzieli.

– No, burdel tu mają.

Z tym trudno się nie zgodzić, więc tamci kiwają głowami.

– A coś kolega młody na ochroniarza – zauważa jeden.

Jakub wzrusza ramionami.

– Dorabiam na studiach – wyjaśnia.

– Ooo, kolega uczony – kwituje ten drugi. – Znaczy intelektualista. Szacuneczek. A ten pan? – pyta i pokazuje podbródkiem Andrieja.

– Elektryk – odpowiada Andriej, a potem już dodaje: – Przysłali mnie, żebym posprawdzał instalacje w związku z tym alarmem.

Robi wszystko, żeby nie zaciągać, ale słabo mu wychodzi, jak zawsze, kiedy

się denerwuje.

– E, to niepotrzebnie – cedzi strażnik. – Już ustaliliśmy, że to jakieś gnojki paliły w kiblu. Zgłosiliśmy do centrali. Nie powiedzieli wam?

Jakub macha ręką, żeby pokazać, co myśli o innych gnojkach, tych ubranych w garnitury, co siedzą w centrali.

– Oni tam robią w gacie na samą myśl o pożarze. Kazali koledze wziąć nockę i wszystko posprawdzać. Żeby było gotowe na jutro, zanim przyjdą inni techniczni dokończyć te roboty.

Strażnicy kiwają głowami. To brzmi przekonująco. Tak przekonująco, że nie ma sensu dzwonić do centrali i sprawdzać. Zresztą przecież i tak nikogo tam nie ma w sobotę wieczorem.

– A kolega z Ukrainy? – pyta strażnik.

Andriej potakuje. Naprawdę przyjechał z Moskwy, ale nie jest tu po to, żeby opowiadać swój życiorys.

– Robotę zabieracie Polakom – wtrąca ten drugi.

– Wam, Polakom, to niczego nie da się zabrać, bo i tak nie chce wam się pracować – Andriej mówi szybciej, niż myśli.

Jakub unosi pojednawczo rękę.

– Panowie...

– A tam w tym sklepie o co chodziło? – pyta ten chudszy strażnik i pokazuje ręką za plecami Andrieja i Jakuba.

Jakub ogląda się i odpowiada, jeszcze zanim Andriej otwiera usta:

– Coś tam migało w instalacji. – Nie ma pojęcia, co powiedzieć, jeśli spytają o szczegóły, ale ochroniarze tego nie robią. Jeden rzuca:

– I co, wszystko w porządku?

– A tak, już sprawdzone.

– No, dobra. – Drugi strażnik przestępuje z nogi na nogę. – To wy tu sobie z panem Ukraińcem sprawdzajcie, a my idziemy dalej robić obchód.

Odchrząkuje i robi taką minę, jakby chciał splunąć Andriejowi pod nogi, jednak w końcu połyka flegmę.

– Coś się nie podoba? – Andriej patrzy mu prosto w oczy. Ma napięte wszystkie mięśnie.

– A nic – odpowiada powoli strażnik. – My tu tylko nie lubimy uchodźców.

Andriej przysuwa się bliżej. Jakub łapie go za ramię. Pierwszy strażnik blokuje tego drugiego.

– Ja też za wami nie przepadam – cedzi Andriej i słuwa, on nie ma zahamowań.

– Ej, ty! To nie Moskwa! – wrzeszczy strażnik.

Jakub odciąga Andrieja kilka kroków do tyłu. Nie puszcza chwytu, odwraca się jeszcze i krzyczy do tamtych:

– Jak skończymy, to się zgłosimy!

A potem ciągnie Andrieja dalej.

– Popierdoliło cię?

Andriej słuwa jeszcze raz.

– To on zaczął.

– Uspokój się, kurwa! I nie pluj na podłogę. To naprawdę nie Moskwa!

Andriej mruży coś i strząsa rękę Jakuba z ramienia. Ogląda się. Strażnicy stoją, gadają i też na nich patrzą.

– Dobra – mówi.

– Uspokój się. I chodź.

Zawracają do sklepu, gdzie są te trzy cipy. Przed drzwiami jeszcze się oglądają, ale strażnicy zniknęli z pola widzenia za łukiem alejki. Andriej pochyła się do zamka, przypomina sobie, że już go otworzył, wstaje, popycha drzwi.

Sklep jest pusty.

Jakub sprawdza każde pomieszczenie: przymierzalnie, między półkami, za wieszakami, na zapleczu. Andriej stoi na środku z założonymi rękami, bo wie, że cip już tu nie ma. Musiałyby być kompletnymi bezmózgami, żeby siedzieć i czekać. A raczej nie są, bo inaczej złapałoby je wtedy przy wyjściu. Są głupie, jak każde cipy, ale nie aż tak.

Jakub wychodzi i wali pięścią w szklaną ścianę. Ściana jest za gruba, żeby pęknąć od jednego ciosu, więc Jakuba tylko boli ręka.

– *Chaliera* – zaciąga Andriej. – Musimy ich teraz znowu szukać od początku w tej pierdolonej gigantycznej galerii.



## JAKUB

Galeria rzeczywiście jest wielka. Parę tysięcy metrów kwadratowych. Kilkaset sklepów, food court, kible, zaplecze, supermarket, magazyny. Gigant. Gdyby Jakub chciał szukać dziuń, zajęłoby mu to z tydzień, a nie jedną noc.

Ale na szczęście nie trzeba łązić w kółko, wystarczy pomyśleć. Jak człowiek pomyśli, to może od razu wyeliminować połowę tych miejsc. A może nawet więcej niż połowę.

Na przykład food court. Od reszty galerii odgradza go krata spuszczana z sufitu. O ile dziunie nie mają do niej klucza – a skąd miałyby mieć? – tam się nie schowały. Jakub zagląda tylko pod plandeki obok rusztowań. Tam też pusto.

To samo dotyczy większości sklepów. Są pozamykane. Więc nawet nie trzeba w nich sprawdzać.

Tylko że... przecież dopiero co znaleźli panienki w zamkniętym sklepie. Co to oznacza? Że jednak mają jakiś pieprzony klucz? Że zdążyły tam się ukryć, zanim ekspedientka uciekła?

Andriej zaczyna coś mówić.

– Zamknij się! – warczy Jakub, a Andriej milknie.

Złość pomaga. Kiedy Jakub jest zły, nie boi się Andrieja. Kiedy jest zły, nie martwi się tak bardzo o wszystko. A teraz jest wkurwiony. Adrenalina zalewa mu żyły. I Jakub się cieszy, bo to o wiele lepsze uczucie niż wcześniejszy strach.

Do diabła! Znowu wali pięścią w szybę. Andriej spogląda na niego spode łba, ale Jakub nie chce rozmawiać z tym głupim Ruskiem.

Jeszcze przez chwilę delectuje się tym uczuciem złości, które wymiata z jego mózgu wszystkie inne uczucia. Rozumie jednak, że musi się opanować. Jeśli chce znaleźć dziunie i zabrać im telefony, musi zastanowić się jeszcze raz.

Do food courtu nie poszły. Nawet jeśli mają klucze, usłyszeliby odgłos podciąganej kraty. To kawał żelastwa, strasznie hałasuje.

Do sklepów może poszły, a może nie. Tym zajmie się potem.

Na pewno nie poszły do kanciapy strażników. Bo dziunie myślą, że oni, Jakub i Andriej, są ze strażnikami w zмовie. I dobrze, niech tak myślą.

Mogły się schować w kiblu. Tylko tak głupie chyba nie są. Przecież to pierwsze miejsce, jakie przychodzi do głowy.

Więc zacznijmy od tego, co najłatwiejsze. Od supermarketu.

Jakub odwraca się i rusza krętą alejką, aż do końca. Światła w supermarkecie są wygaszone, sklep wygląda jak czarna dziura. Idealna kryjówka.

I właśnie dlatego nie powinny wybrać tego miejsca. Nikt rozsądny by tego nie zrobił.

I właśnie dlatego je wybrały.

Andriej znowu zaczyna coś gadać za jego plecami, ale Jakub jest skoncentrowany. Ma przed sobą zadanie, wie, co robić. Teraz Andriej może już dla niego nie istnieć.

Ucisza go ruchem ręki. Nie chce spłoszyć panienek. Chce je podejść po cichu, znienacka, żeby nie zdążyły znowu uciec. Żeby Andriej i on dali radę je złapać.

Bo inaczej po dobroci nie oddadzą swoich telefonów. Gdyby chciały, już dawno by to zrobiły.

Matka Dory wygląda, jakby nic nie rozumiała. W sumie Ce to nie dziwi. Sama nie rozumie, dlaczego Jakub jest w jakimś dziwnym mundurze. Normalnie przecież super się ubiera, prosto, ale z klasą, jak ten cały Mark Zuckerberg.

Skojarzenie zajmuje jej ułamki sekund. On się przebrał za strażnika! Pewnie nie chcieli go wpuścić do galerii i Jakub coś wykombinował. Nie wiadomo, skąd wzięł ten uniform. Nieważne. Ważne, że najwidoczniej bardzo mu zależy na tym filmiku. A to jest dla Ce dobra wiadomość.

Jest z nim ten drugi koleś, którego Ce nie zna. I to ten drugi klęka, pochyla się nad zamkiem. Metal zgrzyta. Jakub cały czas patrzy przez szybę na Ce, ale ona nie potrafi odczytać jego wzroku. Próbuje się uśmiechnąć, luzacko, nie jak jakaś głupia, napalona panienka, jednak usta Jakuba pozostają nieruchome.

I nagle ten drugi się odwraca. Jakub też się odwraca.

A potem obaj odchodzą. Powoli, niespiesznym krokiem. I Jakub nawet nie daje jej, Ce, żadnego znaku, że tu za nią przyszedł. Nic. Nawet się nie ogląda. Tylko pochyla się do tego drugiego, mówi coś, jakby udzielał mu instrukcji.

Ce widzi, że Dory i jej matka tkwią w miejscu jak sparaliżowane. A gdy tamci znikają z pola widzenia, matka Dory ostrożnie uchyla drzwi, centymetr po centymetrze, żeby nie wydały dźwięku.

Kiedy są już wpółotwarte, odwraca się do nich.

– Zdejmij buty – mówi szeptem. – Szybko!

Ce patrzy na nią z nieruchomą twarzą. Co ona sobie wyobraża, ta matka Dory? Że może jej, Ce, rozkazywać? Ce ma swoją własną matkę, dziękuję bardzo!

– Szybko, powiedziałam! – syczy matka Dory.

Podbiega i przez sekundę Ce myśli, że ją spoliczkuje. Ale ona tylko chwytą ją za ramiona i potrząsa tak mocno, że Ce głowa lata do przodu i do tyłu.

– Czy ty mnie rozumiesz, Cecylio? – syczy nad jej uchem. – Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię?

- Dżizas, niech mnie pani puści. – Ce się szarpie.
- To mnie słuchaj! Masz zdjąć buty!
- A po co?
- Nie dyskutuj! Już!

Ce rozumie, że matka Dory się od niej nie odczepi, bo to wariatka, tyle to już wiadomo. Zrzuca swoje obcasy. Dory jest w zwykłych adidasach (niemarkowych, zdaniem Ce strasznie cienkich, z jakiegoś kiepskiego sklepu albo nawet z supermarketu, i do tego słabo wyglądających do spódnicy) i matka daje jej spokój.

– A teraz biegnijcie – mówi prawie bezgłośnie stara. – Do supermarketu. Tam się schowajcie, najlepiej jak potraficie. Nie rozdzielajcie się.

– A ty? – Dorota wczepia się w dłoń matki. Znowu zachowuje się jak małe dziecko. Ce patrzy na nią z niesmakiem.

Matka odsuwa ją, niecierpliwi się.

– Będę za wami. Ruszajcie. Już!

Wystawia na zewnątrz głowę, rozgląda się.

– Nie widać ich. Szybko!

– A ty? – powtarza płaczliwie Dory.

– Biegnij! – Matka wpycha ją za drzwi, a potem popycha także Ce. – Ja spróbuję złapać zasięg i zadzwonię na policję. Na pewno zaraz przyjadą. Do tego czasu po prostu schowajcie się i siedźcie cicho. Wyjdźcie dopiero, kiedy ja was zawołam, słyszycie?

Dory kiwa głową.

– Na pewno zrozumiałaś? Masz wyjść dopiero, jak usłyszysz mój głos. Tylko mój.

Matka nie czeka na kolejne potwierdzenie. Syczy jeszcze raz:

– Biegnijcie!

Ce chce powiedzieć, żeby się odwaliła. Że nie jest jej, Ce, matką, i żeby ją zostawiła w spokoju. Bo własna stara ma do niej więcej zaufania, skoro zostawiła ją samą na tydzień, nie?

Wtedy jednak Dory chwyta dłoń Ce tak mocno, że miażdży jej palce. Ce nie może się wyrwać, a Dory ciągnie.

Więc biegną. Ce w cienkich lureksowych skarpetkach ślizga się na posadzce, co chwila traci równowagę, ale Dory nie puszcza jej ręki. Palce bołą. Ce ma ochotę ją kopnąć.

Dobiegają do supermarketu, wpadają między rzędy kas. Przejścia są chronione barierkami. Dory prześlizguje się pod jedną, nie puszcza Ce, więc ona też musi się schylić i przejść pod spodem. Dory ciągnie ją w prawo, tam gdzie jest gospodarstwo domowe, gówniane ciuchy i tanie kosmetyki. Dobiega do rzędu kabin z krótkimi zasłonkami.

– Tu – szepcze.

– Sama sobie wchodź – odpowiada Ce pełnym głosem. – Jeśli oczywiście chcesz.

– Ale, Ce... – Dory nie rozumie.

– Dżizas, Dory, dlaczego ty jesteś taka tępa!

Ce odwraca się do niej tyłem. Wyciąga komórkę. Znowu nie ma zasięgu.

A Dory ciągle nie kmini, o co chodzi.

– Ale... – mówi. – Przecież Jakub nas goni. I ten drugi.

– On nas nie goni, idiotko! – warczy Ce. Postanawia wreszcie powiedzieć Dory, co o niej myśli. Żeby potem się nie dziwiła, że nie są już „najlepszymi przyjaciółkami”. – I jeśli w ogóle kogoś, to nie nas, tylko mnie.

Sądząc po minie Dory, jej była „najlepsza przyjaciółka” nie kuma kompletnie nic.

– Jak to ciebie?

Ce odwraca się tyłem. Dory okrąża ją, próbuje jeszcze raz.

– Ce, ja się tylko bałam, że on... No wiesz. Przecież mamy nagranie, jak diluje. To przestępstwo, tak powiedziała moja mama i...

– Moja mama! – przedrzeźnia ją Ce. – Moja mama! Twoja mama tamto i sramto. Ile ty masz lat, żeby się słuchać mamy? Weź, dorośnij wreszcie!

Dory nie wie, co odpowiedzieć.

– To... To co teraz? – pyta cicho.

– Nie mam pojęcia. – Ce wzrusza ramionami. – Ale ty możesz zrobić, co ci kazała „twoja mama”. – Zakreśla palcami cudzysłów w powietrzu. – Idź się gdzieś schowaj! Ja chcę znaleźć Jakuba. Bo on nas nie „gonił”. – Ce znów

pokazuje cudzysłów. – Nie rozumiesz, idiotko? Po prostu chciał pogadać. I na pewno nie z tobą, tylko ze mną. On nawet nie wie, kim ty jesteś.

Dory wygląda, jakby za chwilę miała się rozryczeć. Przetyka ślinę. Ce spogląda na telefon, ale ciągle brakuje zasięgu. Co za wieś w tej galerii!

– Ce... – mówi Dory ochryłym głosem.

– Och, zostaw mnie w spokoju! – rzuca Ce. Znowu się odwraca. Podnosi komórkę, robi sobie selfie z dzióbkiem, a potem majstruje przy aparacie. Naprawdę musi wrzucić coś do sieci. Już ze dwie godziny nie wrzucała. Jej followersi są przyzwyczajeni do stałego napływu kontentu.

I nagle Dory mówi:

– Mam pomysł.

Ce nie reaguje. Nawet nie wzrusza ramionami. Po prostu nic. Jakby Dory tam nie było.

– Możemy zrobić z tego grę.

Palce Ce zastygają nad ekranem. Dory widzi to i brnie dalej:

– No wiesz, taką jak miejska, tylko nie dla tylu ludzi. Dla nas.

Ce nadal słucha.

– No wiesz, taką grę „spędź noc w galerii handlowej i nie daj się złapać”. Kiedyś było takich dwóch koleś, pamiętasz? Schowali się w Ikei. Zebrali strasznie dużo lajków. My też możemy. Będziemy zamieszczać posty, gdzie jesteśmy i gdzie się chowamy. Wystarczy, że wytrzymamy do rana. Wiesz, jaki będziemy miały fejm?

Ce powoli się obraca. Ścisną w dłoni komórkę.

Dory czeka. W końcu spuszcza wzrok.

A Ce nic nie mówi, bo musi się zastanowić.

Jakub może mieć tysiące takich panienek jak Ce. Niestety Ce o tym wie, ale podobno trzeba znać swoje słabości. I przekuć je w siłę albo coś tam. Tak przynajmniej zawsze truje matka.

No to proszę bardzo, mamo. Moją słabością jest, że siedzę tu z byłą „najlepszą przyjaciółką” i jej matką wariatką, według których Jakub nas goni, bo nakręciliśmy filmik, jak diluje. A także to (i to trochę boli, co Ce musi przyznać), że Jakub nagle odszedł pozałatwiać swoje sprawy, jakby ona, Ce, nie

była najważniejsza. A teraz jeszcze Dory, ta „najlepsza przyjaciółka”, namawia ją do zagrania w jakąś kretyńską grę.

Przekuć te słabości w siłę? A gdyby Ce rzeczywiście zagrała w taką grę? Oczywiście nie w te idiotyzmy, które wymyśla Dory i wysila się przy tym tak, że zrobiła się czerwona na twarzy. A gdyby ona, Ce, wymyśliła własną grę? Właśnie taką jak gry miejskie? Gdyby jakoś zaangażowała w to Jakuba? Robiła mu z daleka foty i wrzucała je do sieci? Gdyby z tych fot wynikało, że Jakub się za nią ugania? To co, potem by zaprzeczył? Ciekawe jak? Przecież on nawet nie ma konta na Insta ani Snapchata. Więc wszyscy znajomi wiedzieliby, że Jakub szaleje na jej, Ce, punkcie.

Jak jest naprawdę, nie ma żadnego znaczenia. Zresztą: co to znaczy „naprawdę”. Prawdziwe jest to, co myślą inni. Jeśli będą myśleli, że Jakub się ugania za Ce, to też stanie się prawdziwe.

To nawet lepsze niż proszenie, by dał sobie zrobić kilka wspólnych zdjęć w zamian za filmik. O wiele lepsze!

Więc Ce mówi do Dory:

– Może być.

Dory ma minę, jakby się przestyszała. Po chwili jej twarz się rozpromienia. Wygląda to jeszcze bardziej idiotycznie, niż kiedy Dory jest przestraszona.

– Może być, powiedziałam – powtarza Ce już z irytacją.

Dory uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Och, Ce, ale zajebicie, że się zgadzasz! Mega zajebicie! Zrobimy sobie taką trasę! Będziemy się chować, wrzucać posty, a potem znajdować nowe miejsce na kryjówkę.

– A twoja mamusia ci pozwoli? – Ce nie może się powstrzymać.

– No... – Dory znowu wygląda jak dziecko, które zaraz się rozplacze. – No wiesz, mama kazała nam się schować, nie? I żebyśmy były razem. No to tak zrobimy. A o postach na Insta nic nie mówiła – dodaje ciszej.

Ce nie odpowiada. Próbuje się połączyć z siecią, ale ciągle nie może.

– No to może wymyślimy, gdzie będzie pierwsza kryjówka? – pyta Dory.

– Może być tutaj. – Ce nie odrywa oczu od ekranu. – Za tymi śmierdzącymi zasłonkami. Zdaje się, że chciałaś, nie?

– N...no tak – odpowiada Dory. Powoli wchodzi do jednej z kabin.

– Ce, a co zrobimy z tym filmem?

– Z jakim? – Ce potrzebuje sekundę, żeby zajarzyć. – A, z tym. No nie wiem. Można by go wrzucić do sieci, ale nie ma zasięgu.

Widzi ulgę na twarzy byłej „najlepszej przyjaciółki”. Matka wariatka by się gniewała, co? Bo przecież mówiła im, że to dowód przestępstwa.

– Tylko wiesz... – mówi Dory. – Tylko on nam nie pasuje do tej gry, nie?

– Nie za bardzo – zgadza się Ce. To prawda, filmik nie ma już znaczenia dla jej własnej gry, którą przed chwilą wymyśliła.

Słyszysz, jak Dory oddycha z ulgą.

– To może wrzucimy go jutro. Albo w ogóle kiedy indziej...

– Okej.

Jutro wszystko będzie inaczej. Bo do jutra rana połowa znajomych będzie wiedziała, że Jakub jest *crazy* na punkcie Ce. A druga połowa dowie się później, bo ludzie powyjeżdżali na majowy weekend.

Ce widzi, że Dory od razu poprawia się humor, chociaż osobiście ma to gdzieś. Ce musi się poważnie zastanowić, czy była „najlepsza przyjaciółka” przyda się do czegoś w tej grze. Na razie jeszcze tego nie wie, nie przemyślała szczegółów. Więc na razie pozwoli jej trzymać się blisko siebie.

A Dory znowu przynudza coś z tymi kabinami. Ce odchyła zasłonkę. Kabinki są wąskie, a zasłonka kończy się trzydzieści centymetrów nad ziemią. Jest półka, na której można położyć torebkę, ale widać, że kiepsko przymocowana. Kiedy stanie się na niej całym ciężarem, urwie się, to pewne.

– Jakby ostrożnie wejść i chwycić się u góry, to może wytrzyma – szepcze Dory za jej plecami.

– To wypróbujemy od razu – decyduje Ce. – Póki nikogo tu nie ma.

Wspina się na półkę i dla pewności przytrzymuje górnej krawędzi kabiny w miejscu, gdzie jej palce są niewidoczne z zewnątrz.

Dory wchodzi do drugiej przymierzalni. Zaciąga zasłonkę. Słysząc, jak staje na półeczce, bo ta trzeszczy pod ciężarem ciała.

I wtedy rozlega się jakiś dźwięk. To na pewno nie jest Dory. To coś innego. Ce nie potrafi tego określić.



Syczy do Dory, żeby siedziała cicho. Obiema rękami wczepia się w krawędź kabiny. Póleczka trzeszczy. Ce zamiera w bezruchu. Jej serce wali tak, że słycać je na pewno w całej galerii. Oddycha przez usta, najciszej jak może.

Musi zrobić Jakubowi zdjęcie z zaskoczenia. Najlepiej tak, by o tym nie wiedział, by wyglądało, że jej szuka.

Ściska mocniej komórkę i kciukiem wyłącza dźwięk.

Ktoś się zbliża. Ce nic nie słyszy, ale czuje to, tak samo, jak czuje własny puls.

## RUDY

Rudy zatrzymuje się w przymierzalni zaraz za progiem, z ręką przy ustach. Drzwi za nim same się zamykają, bezszelestnie, widocznie tak są ustawione. A Rudy nie może zrobić kroku, nie może się poruszyć. Widzi ciało. Martwe.

Właściwie Rudy nie powinien automatycznie zakładać, że to trup. Powinien rzucić się na pomoc, zbadać puls, udrożnić drogi oddechowe, zacząć sztuczne oddychanie i masaż serca. Tak jak w podręcznikach pierwszej pomocy. Nie pamięta co prawda, ile uciśnieć i ile oddechów, ale czy to ważne? Lepsze cokolwiek niż nic. Tylko że Rudy nie przypuszcza, by uciśnięcia i oddechy pomogły coś facetowi, który najwyraźniej trochę już tu leży, a obok niego kilkanaście opakowań z jakimiś prochami i dopalaczami.

Mimo to zmusza się. Klęka powoli, dotyka ciała. W galerii jest ciepło, ale jego ręka ma wyższą temperaturę niż na przykład ściana. A ręka trupa nie. To znaczy, że on tu już leży od dłuższego czasu.

Rudy naprawdę nie wie, co zrobić. Przynajmniej odpada dylemat: wezwać karetkę czy nie. Wzywanie karetki pomoże ostygniętemu trupowi mniej więcej tak samo jak uciskanie klatki piersiowej i wdechy.

Siada na podłodze. Wciska się w kąt przy drzwiach, chociaż trup nie zajmuje dużo miejsca. Ale Rudy jakoś nie chce być blisko niego.

Najlepiej będzie przeczekać. Po prostu przeczekać. A czekanie jest tym, w czym Rudy jest naprawdę dobry. Musi być, bo to spora część pracy złodzieja.

Może niedokładnie tak, jak sobie zaplanował, jednak blisko. Bo według planu też miał czekać, tyle że w salonie prowajdera. Dwa sklepy obok. Ale to tylko drobna zmiana. Minimalna. Gdy strażnicy znikną, Rudy natychmiast powróci do pierwotnego planu.

Rudy wciska się więc w kąt i próbuje miarowo oddychać, by się uspokoić i rozluźnić. A potem uświadamia sobie, że proces rozkładu ciała już musiał się rozpocząć i że mikroskopijne cząsteczki zwłok znajdują się w powietrzu. Zaczyna oddychać płytko i przez nos.

Zastanawia się, czy nie zmienić kabiny. Przymierzalnie znajdują się nieco z boku. Chociaż sklep jest oświetlony jak choinka w Boże Narodzenie, Rudemu powinno się udać niezauważenie przemknąć do innego boksu.

Tak, to dobry pomysł. W ten sposób Rudy będzie mógł zapomnieć o trupie. Jak to mówią: co z oczu, to z serca!

Rudy dźwiga się na nogi, przyciskając plecy do drewnianych drzwi. I wtedy słyszy głosy.

Są ciche, nie może rozróżnić słów. I dochodzą gdzieś z bliska.

Rudy zamiera. Próbuje nie oddychać. Próbuje namierzyć źródło dźwięku.

Dwie osoby. Kobiety. Jedna ma głos nieco niższy, druga nieco wyższy, ale to oczywiście nie jest użyteczna informacja. Ważniejsze, że są gdzieś blisko. Pewnie w sklepie...

Tylko jak się tam dostały? Mają klucz? Wytrych, tak jak Rudy?

A może to sprzedawczynie, które wróciły posprzątać po odwołaniu alarmu...

Jeśli tak, Rudy jest w czarnej dupie. Ma pecha jak stąd do kosmosu. Nie powinien być żadnym złodziejem, tylko podłogi myć. Co pewnie będzie robił, w pierdlu. Bo sprzedawczynie na pewno zajrzą do przymierzalni. I zobaczą Rudego stojącego nad zwłokami. I bardzo, ale to bardzo trudno będzie mu wytłumaczyć, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią tego faceta.

A zresztą, nawet jeśli na policji mu uwierzą, to zanim mu uwierzą, na pewno go przeszukają. Znajdą cały sprzęt i już po Rudym. Wyraźniej mógłby oświadczyć: „Jestem złodziejem na robocie”, tylko gdyby to wykrzyczał.

Rudy słyszy walenie własnego serca. A potem kilka słów z rozmowy kobiet. Coś w rodzaju „pójdziemy do strażnika i powiemy, że się zgubiłyśmy w czasie alarmu”.

Czyli nie sprzedawczynie?

Rudy nadśluchuje jeszcze uważniej. Przez te drzwi w luksusowej przymierzalni, szczelne od sufitu do podłogi, żeby klienci mieli zapewnioną intymność podczas przebierania, wszystkie dźwięki docierają stłumione. Wydaje mu się jednak, że kobiety nie są w sklepie. Tylko tu, obok, w sąsiedniej przymierzalni. Góra dwie kabiny dalej.

Znowu pojawia się pytanie, jak dostały się do środka, skoro Rudy zamknął drzwi. Ale odpowiedź jest oczywista nawet dla średnio inteligentnej osoby,

a Rudy uważa się za ponadprzeciętnie inteligentnego: weszły, zanim Rudy się pojawił.

Więc dlaczego siedzą w przymierzalni? Dlaczego nie wyszły? Dlaczego – jak sam słyszał – nie poszły do strażnika?

Zanim Rudy to rozkmini, rozlegają się kroki. A potem wyraźniejsze głosy. Czyli jednak wyszły. Rozmawiają. Są w głównej przestrzeni sklepu. Próbują wydostać się na zewnątrz. No, będzie im ciężko, jeśli rzeczywiście nie są sprzedawczyniami i nie mają klucza.

Rudy słyszy, jak wałą w drzwi. Wciska się jeszcze bardziej w kąt przymierzalni. Chociaż wie, że to mu nic nie pomoże. Bo jeśli za chwilę pojawi się tu ochroniarz i uwolni kobiety, pewnie przyjdzie mu też do głowy, żeby sprawdzić kabiny. Wtedy znajdzie Rudego. I trupa...

O Boże (choć Rudy nie wierzy w żadnego Boga), proszę, nie pozwól, by komukolwiek przyszło do głowy tu wchodzić. Niech strażnik po prostu wypuści te idiotki i już.

Bóg, w którego Rudy nie wierzy, chyba jednak wysłuchuje jego próśb. Do Rudego dociera rozmowa, potem krzyk, a potem zapada cisza. I ta cisza trwa bardzo długo.

Rudy dochodzi do wniosku, że gdyby mieli sprawdzać przymierzalnie, zrobiliby to od razu. Czyli jest bezpieczny. Ulga powoduje, że uginają się pod nim kolana i przysiadła na wykładzinie obok zwłok.

Teraz może czekać. Poczeka jeszcze długo, na tyle długo, żeby strażnicy wyprowadzili z galerii idiotki, które zgubiły się w jednej z dwóch (słownie: dwóch!) alejek i nie trafiły do wyjścia w czasie alarmu. A potem poczeka jeszcze dłużej, aż strażnicy skończą obchód i pójną odpocząć w kanciapie. A potem zrealizuje swój plan.

Bo może jednak wcale nie ma pecha. Może tak naprawdę ma szczęście. Skoro w chwili, kiedy omal nie nakryli go strażnicy, zobaczył uchylone drzwi do sklepu... Skoro kobiety były tu wcześniej, a jednak go nie usłyszały, nie zorientowały się, że wszedł... Skoro nikt nie sprawdził kabiny przymierzalni...

To znaczy, że Rudemu sprzyja szczęście. A szczęście jest dla złodzieja najważniejsze. Oczywiście umiejętności też, trzeba ćwiczyć i mieć wszystko w małym palcu. Ale bez szczęścia może sobie ćwiczyć do usranej śmierci.

A Rudy najwyraźniej szczęście ma. Więc może przypuszczać, że czeka go świetlana przyszłość.

Rudy siada pod drzwiami i odlicza w głowie czas. Nadśluchuje. Nic. Nawet jego własne serce już się uspokoiło.

Wreszcie dochodzi do wniosku, że może już wyjść.

Uchyła ostrożnie drzwi przymierzalni, wychodzi.

I wtedy widzi, że jednak wybrał zły moment.

## TERESA

Teresa patrzy, jak dziewczyny odbiegają. Co chwila zerka w drugą stronę, czy nie nadchodzą ci faceci. Maca po kieszeni w poszukiwaniu komórki. Wyjmuje aparat i przez długą chwilę niecierpliwie naciska, a potem przypomina sobie, że telefon padł.

Ma ochotę cisnąć telefonem o ścianę. I płakać z bezsilności. Ale nie ma na to czasu. Bierze się w garść, zrzuca z nóg buty, chwyta je w dłoń i jeszcze raz spogląda na koniec alejki, w kierunku, w którym odeszli tamci. Nie widzi ich. To dobry moment, żeby uciec.

I wtedy bardziej czuje, niż słyszy, coś za plecami. Ruch.

Odwraca się. Zamiera. Przy wyjściu z przymierzalni stoi jakiś facet.

Serce Teresy wali, puls zagłusza wszystkie dźwięki, nogi robią się miękkie i bezużyteczne. Adrenalina we krwi zamiast zmobilizować ją do ucieczki, osłabia, odbiera siły. Gdyby Teresa była w dżungli, zostałaaby pożarta. I zostanie, bo to jest dżungla, a w każdym razie coś w tym rodzaju.

I wtedy dostrzega, że ten facet jest inny.

Po pierwsze, jest niższy, drobny, chudy, jego podkoszulek nie napina się na napakowanych mięśniach. Na pierwszy rzut oka wygląda jak dzieciak, chociaż już po kilku sekundach Teresa widzi, że to dorosły mężczyzna. A po drugie, ma jaskrawo rude włosy. Gdyby widziała go wcześniej, zapamiętałaby.

Ale to, że wcześniej go nie widziała, niczego nie dowodzi. Może być przecież jednym z nich, tylko się rozdzielili. Teresa patrzy za plecy Rudego i widzi, że jedne drzwi od przymierzalni ciągle lekko poruszają się na zawiasach. Czy to te, za którymi leży trup?

Czyli to jeden z nich. A w każdym razie morderca. Wrócił zatrzeć ślady albo coś takiego. Teresa nie może sobie przypomnieć dokładnie żadnej sceny z dziesiątków oglądanych seriali.

Czuje, że za chwilę zemdleje. Opiera się dłonią o ścianę i głęboko wciąga powietrze. Ma w głowie tylko jedną myśl: dać dziewczynom jak najwięcej

czasu. Nieważne jak. Może tego mordercę zagadać, uwieść albo zabić, wszystko jedno. Ważne, żeby Dorota i ta jej popieprzona przyjaciółka zdołały znaleźć bezpieczne schronienie. Ważne tylko to, żeby ona, Teresa, zdołała je ochronić.

Bierze jeszcze jeden wdech i ciemność na siatkówkach oczu się rozjaśnia. Rudy daje mały krok do tyłu, jakby chciał się cofnąć do przymierzalni. A może tylko chce ją wyminąć i pobiec za dziewczynami. Teresa nie może na to pozwolić, za nic w świecie!

Przysuwa się nieco. Cały czas trzyma się ściany.

– Czego chcesz? – pyta.

To głupie pytanie, ale nic lepszego nie przychodzi jej do głowy. Rudy też nie bardzo wie, co ma odpowiedzieć. Otwiera usta i zaraz je zamyka.

– Zostaw je w spokoju – mówi dalej Teresa. – To jeszcze dzieci.

– Ja... ja nie wiem, o czym pani mówi – wyznaje Rudy.

– Po prostu zostaw je w spokoju. – Teresa przysuwa się jeszcze bliżej. Przychodzi jej na myśl, że mogłaby go walnąć w głowę butami Ce. Tylko dziewczyna zostawiła je przy drzwiach, Teresa nie może się teraz cofnąć.

Więc patrzy Rudemu prosto w oczy i jedną ręką powoli rozpina guziki bluzki. Morderca nie morderca, w końcu to jednak facet, może w ten sposób zatrzyma go choć na chwilę.

Na twarzy rudzielca pojawia się dziwny wyraz: zmieszania i jednocześnie przerażenia. Cofa się jeszcze bardziej.

– Co pani robi?

Teresa odpina kolejny guzik. Próbuje zapomnieć, ile ma lat. Próbuje zapomnieć, że nie jest już dwudziestoletnią laską z twardymi cyckami i gładką skórą. Że temu facetowi może wydawać się po prostu żalona. To teraz nieważne. Później, kiedy wreszcie się stąd wydostanie, będzie płakać nad utraconą młodością. A teraz to nieistotne, czy Rudy będzie napalony, czy tylko zniesmaczony.

– Tu nikogo nie ma – mówi Teresa. Ufa, że z przekonaniem. – Nikt nam nie przeszkodzi.

– Ale... oszalała pani?

– Zrobię wszystko, na co masz ochotę. – Kolejny guzik. – I jeszcze więcej.

Tylko zostaw je w spokoju.

Rudy cały czas się cofa, jest już prawie pod drzwiami kabiny z trupem. Teresa uznaje, że za nic w świecie tam nie wejdzie. Jeśli koniecznie musi dać się przelecieć, to jest pod dostatkiem miejsca w innych kabinach.

Rudy nerwowo przerzuca plecak z jednego ramienia na drugie. Trzyma tam pewnie jakąś broń. Albo narkotyki. Albo i jedno, i drugie. Teresie jest wszystko jedno. Chce tylko, żeby dziecko było bezpieczne, reszta nie ma znaczenia. Dlatego musi dać Dorocie dużo czasu... Jak najwięcej czasu...

– Wiem, że go zamordowałaś – mówi Teresa, gdy oczy Rudego śledzą ruch jej palców, jakby ona była fakirem, a on kobrą. – Ale to nieważne.

Rudy odrywa wzrok od jej biustu (czyli nie jest z nią jeszcze tak źle, prawda?), patrzy Teresie w oczy.

– Nikogo nie zabiłem!

– To nieważne – powtarza Teresa.

– Nikogo nie zabiłem. Naprawdę! Niech mi pani wierzy!

– Wierzę ci. – Głos Teresy jest miękkiej i hipnotyzujący. – Nikogo nie zabiłeś, jak sobie chcesz.

– Znalazłem go tu. – Rudy mówi płacząco. – Znalazłem go w przymierzalni, kiedy się schowałem... No nieważne, znalazłem go tu. Był już zimny. Naprawdę go nie zabiłem, przysięgam. Niech mi pani uwierzy.

Teresa jak we śnie zastanawia się, dlaczego Rudemu tak zależy, by mu uwierzyła. I nagle trzeźwieje. „Znalazłem go, kiedy się schowałem”.

– Powtórz to – mówi.

– Ale co? – Rudy głupieje.

– To, co powiedziałeś. Że się schowałeś.

Rudy kiwa głową, ruda czupryna rozwiewa się w podmuchu powietrza.

– Dokładnie tak. Schowałem się w przymierzalni i on tam już...

– Dlaczego się schowałeś?

Rudy spuszcza wzrok.

– Co tu w ogóle robisz?

Rudy prostuje plecy.



– To chyba nie pani sprawa, nie?

Teresa spuszcza wzrok i widzi, że bluzkę ma rozpiętą prawie do pasa, cały stanik na wierzchu. Szybko zapina guziki. Palce jej się trzęsą.

– Galeria handlowa jest już zamknięta – mówi, a dłońmi sprawdza, czy zapięła równo i nie pominęła żadnej dziurki.

– A jednak pani też tu jest. I do tego nie sama. – Rudy pokazuje głową buty Ce na podłodze przy drzwiach. – Co pani tu robi?

Teresa bierze wdech.

– Chowam się przed kimś. Tak jak ty.

Rudy powoli kiwa głową. Teresa widzi, że nie zamierza jej powiedzieć prawdy o sobie. Ale w tej chwili prawda o jakimś obcym facecie niespecjalnie ją obchodzi.

– Nie zrobisz mi krzywdy? – pyta za to powoli.

– Jezu, co pani! – Rudy unosi obie ręce, otwartymi dłońmi do przodu, gestem poddania. – Ja jestem maksymalnie nieszkodliwy. Mam tu swoje sprawy do załatwienia i tyle.

– Swoje sprawy...

I wtedy Teresę oświeca. Przecież to jasne. Rudy facet nie należy do obsługi galerii. Nie należy do bandy zboczeńców, którzy ścigają jej córkę. W ogóle nigdzie nie należy. Więc może być tylko jednym.

– Dobrze... – mówi z namysłem. – Nikomu nie powiem, że tu jesteś. Ale musisz coś dla mnie zrobić.

Rudy patrzy na nią z pytaniem w oczach.

Teresa w pierwszej chwili chce go poprosić o pomoc. O ochronę córki. Tylko co taki chudy rudzielec zdziała przeciwko dwóm napakowanym byczkom. Więc prosi:

– Zadzwoń na policję. Powiedz, że siedzimy tu zamknięci i że grożą nam jacyś zboczeńcy. Tylko tyle. Moja komórka się rozładowała...

Jeszcze nie kończy zdania, a już widzi, że „tylko tyle” to za dużo. Jeśli facet rzeczywiście jest złodziejem, ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, to ściągnąć sobie na kark policję.

Rudy cofa się jeszcze o krok. Opiera plecami o drzwi przymierzalni. Za

drzwiami jest trup. Teresa nie może przestać o tym myśleć, chociaż w tej chwili to bez znaczenia.

– Nie mam komórki – kłamie Rudy.

I Teresa widzi, że kłamie. I widzi, że on to widzi, że ona widzi.

– Powaga – zapewnia żarliwie Rudy. – Nigdy nie biorę, kiedy idę do roboty. Boję się, że zgubię albo coś, i ktoś mnie namierzy.

– Proszę cię – mówi cicho Teresa. – Moja córka jest w niebezpieczeństwie. I ta jej durna koleżanka... Pomóż im.

– Chętnie bym pomógł. Serio. Ale nie mam jak. – Rudy rozkłada ręce. To gest, który normalnie w mowie ciała oznacza szczerłość. Tym razem jednak Teresa nie wie, co on oznacza.

– Jeśli nie zadzwonisz na policję, powiem, że to ty zabiłeś tego chłopaka w przymierzalni.

Teresa wie, że groźba jest absurdalna. Bo najpierw musiałaby sama zadzwonić. I Rudy też to wie.

– Ciekawe komu. Z tego, co zrozumiałem, chowa się pani przed jakimiś ludźmi, którzy mogą zrobić coś złego pani i pani córce. Poleci pani do nich naskarżyć?

– Policjantom...

– Życzę szczęścia – przerywa jej Rudy.

Przez chwilę stoją, mierząc się wzrokiem. Teresa czuje falę rozpacz. Chce krzyczeć i płakać. Ale musi siedzieć cicho.

Rudy obserwuje ją spod oka, a potem mówi:

– Mam taką propozycję: niech każdy robi swoje. Pani ratuje córkę czy co tam pani zamierza. A ja się zajmę moją robotą. Spotkaliśmy się przypadkiem, a teraz grzecznie się rozejdziemy. I nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Co pani na to?

Teresa nie odpowiada. Czuje, że jej nogi znowu są miękkie. Opiera się o drzwi przymierzalni.

– No to super. – Rudy kiwa głową. – Nigdy się nie spotkaliśmy, nie znamy się, nie było tej sytuacji.

Wyciąga z kieszeni gumę do żucia, podsuwa jej.

– Dobrze na stres – wyjaśnia.

Teresa mechanicznie zamyka palce na opakowaniu. Rudy patrzy na nią, jakby czekał na „dziękuję” albo coś takiego, ale ona nie jest w stanie niczego wydusić.

– To narka!

Rudy podnosi dłoń, odwraca się i odchodzi. Przy drzwiach zatrzymuje się na chwilę, kuca, kładzie się na brzuchu i ostrożnie wygląda na zewnątrz, trzymając głowę prawie na poziomie podłogi. A potem podrywa się i znika. Jakby go tam nigdy nie było.

## JAKUB

Jakub każe Andriejowi czekać przy kasach i zabezpieczać tyły, a sam rusza w głąb sklepu. Olewa spojrzenie, które rzuca mu współnik, bo za chwilę to już będzie były współnik.

Gdyby on sam miał się chować w supermarkecie, wybrałby miejsce po prawej stronie kas. Bo po lewej są tylko półki z jedzeniem: ciastka, płatki śniadaniowe, soczki i alkohol. Przecież dziunie nie wcisną się do lodówki z serkami homogenizowanymi.

A po prawej jest gospodarstwo domowe, szajsowate ciuchy i gówniane kosmetyki. Wbrew pozorom tam też nie ma znowu tak wielu miejsc do ukrycia. Na regałach z kosmetykami widać by było nawet mysz, a z tyłu ta sama mysz nie prześlizgnęłaby się przez żadną wąską szczelinę. W gospodarstwie domowym jest co prawda kilka sprzętów w dużych kartonach, na przykład kosiarka do trawy (jaki frajer kupuje kosiarkę do trawy w supermarkecie?). Ale gdyby nawet dziunie wykrzeszały z siebie odrobinę pomysłu i schowały się w kartonie, musiałyby najpierw wyjąć z niego sprzęt, a ten gdzieś by tu stał. Poza tym same nie wstawiłyby się na półkę, nie?

Więc zostaje tylko dział z ciuchami. Jedne wiszą na okrągłych wieszakach sięgających Jakubowi do pasa, inne zalegają w skrzyniach, by klient mógł w nich do woli grzebać i utwierdzać się w przekonaniu, że trafił na nie wiadomo jaką okazję, tylko dlatego, że nie ma nic porządnie poskładanego. W wieszakach można się niezłe schować, a dziunia z odrobiną inteligencji mogłaby też zagrzebać się w skrzyni pod stosami śmierdzących chemią podkoszulków albo skarpetek.

No i są jeszcze przymierzalnie. Trzy gówniane kabinki z dykty przysłonięte wąską zasłonką, więc każdy może oglądać twój tyłek z cellulitem i sprane majtki.

Jakub przez chwilę waha się, od czego zacząć. Jak to najsprawniej zrobić. Z której strony je zejść, żeby mu nie uciekły. Nie ma ochoty ganiać się z dziuniami po supermarkecie. Chce tylko załatwić to, po co przyszedł.

Stawia na wieszaki: kabiny przymierzalni są zbyt oczywiste, a w stosie ciuchów trudno się szybko zagrzebać tak, żeby nic nie wypadło na podłogę. Ale pewności nie ma. Poza tym jak zacznie kopać w skrzyni, dziunie mogą się cicho wymknąć i zabawa zacznie się od nowa. Jakub zdecydowanie nie ma na to chęci ani czasu. To znaczy nie, czas ma, nawet do rana. Po prostu chce już zakończyć sprawę. Zabrać dziuniom telefony, zmusić, by mu zdradziły swoje hasła do mediów społecznościowych i innych głównianych serwisów, z których Jakub nie korzysta, ale wie, że wszyscy inni tak. Sprawdzić, czy nic nie wysłały. Skasować filmiki, a może nawet – jeszcze lepiej – zabrać panienkom aparaty, zniszczyć i wywalić części do kilku studzienek kanalizacyjnych w całym mieście.

Tylko Jakub nie wie, jak zmusi dziunie do podania haseł. Wolałby się za to zabrać bez Andrieja po tym, co zrobił strażnikowi. Bo panienki pewnie będą się stawiać.

Chociaż nie, może nie będą. Są przerażone. Gdyby nie były, już dawno poszłyby po rozum do głowy i znalazły prawdziwych strażników. Gdyby nie były przerażone, już dawno by na to wpadły. Ale są, więc zrobią wszystko, co im się każe. Więc Andriej jednak by się przydał, bo Jakub nie da rady złapać naraz wszystkich trzech.

Skoro dziunie mają dokładnie tyle rozumu co owce, to i zachowują się jak owce. Nie żeby Jakub znał się na owcach, ale tak się przecież mówi, nie? Owczy pęd. Wystarczy złapać jedną, a wszystkie pójdą za nią. Wystarczy, że Jakub schwyta jedną panienkę, a pozostałym oznajmi, że jeśli nie oddadzą mu telefonów i nie podadzą haseł, zrobi jej coś złego. Panienki tak się boją, że nie będą tego analizować, wykonają wszystkie rozkazy.

– Wyjdźcie – mówi półgłosem. Wie, że go słyszą, muszą go słyszeć. W supermarkecie jest całkiem cicho, słyszałyby nawet, gdyby szeptał. – Wyjdźcie. Nic wam nie zrobię.

Urywa i nadśluchuje.

– Po prostu sobie porozmawiamy – dodaje.

No dobra, Jakub widzi, że po dobroci nic nie działa. Przeciąga się, aż mu trzeszcza kości. A potem robi krok w kierunku przymierzalni.

Gdzieś z tyłu, z drugiej części supermarketu, dobiega go łupnięcie. Głuchy

dźwięk. Jakub zatrzymuje się, zamiera bez ruchu.

I słyszy słowa rosyjskiej piosenki śpiewanej rzewnym barytonem. Jakub jest pewien, że już ją kiedyś słyszał.

## ANDRIEJ

Jakub kazał mu stać przy kasach, ale kim jest ten dupek, żeby mu rozkazywać, co? Andriej będzie sobie stał, gdzie będzie miał ochotę.

Wyciąga z kieszeni piersiówkę, którą zarąbał z kanciapy strażników. Zdziwią się chłopaki, gdy skończą obchód! Andriej nie może się powstrzymać i śmieje się na cały głos. Dziwnie to brzmi w pustej, cichej galerii.

Jakub kazał mu stać przy kasach, ale Andriej ma to w dupie. Nie będzie sterczał jak jakiś głupek. Sam poszuka tych cip. Może nawet się z nimi zabawi, zanim Jakub się zorientuje. Ze wszystkimi to na pewno nie, ale może z jedną?

Łyka jeszcze raz z piersiówki i chowa resztę na później. Tu, w markecie, jest wódy pod sufit, ale teraz robią takie dziwne zabezpieczenia, zakrętki, których nie można odkręcić, i tak dalej. Po co kombinować, jak ma jeszcze spory zapas alko pod ręką.

Idzie powoli w kierunku, w którym poszedł Jakub. Nie widzi go, w supermarkecie jest ciemno, wpada tylko trochę światła z alejek. Ale to nieważne. Andriej po wódce zawsze ma lepszy wzrok.

Te cipy muszą gdzieś być. Andriej pociąga jeszcze raz z piersiówki i zakłada się sam ze sobą. Uważa, że schowały się tam, gdzie leżą ubrania i pościel. Bo przecież nie wlażyły na półkę z chrupkami, ha, ha.

Czuje dreszcz ekscytacji na plecach, penis znowu mu twardnieje. Andriej waha się, przeciąga moment przyjemności. Pójdzie sobie spacerkiem i poszuka. Nie będzie pytał Jakuba o pozwolenie. Zrobi, co zechce.

I wcale nie będzie cicho. Bo chce, żeby go słyszały. Żeby wiedziały, że się zbliża. Żeby próbowały spowolnić oddech, opanować drzenie, żeby modliły się, by coś go odciągnęło. Chce, żeby się bały. Jeśli będzie miał szczęście, zapach ich strachu przebije się przez ten chemiczny smród supermarketu i Andriej znowu go poczuje. Jak wtedy w sklepie. To najlepszy afrodyzjak.

Andriej upija jeszcze jeden łyk, zakręca starannie piersiówkę i chowa ją do kieszeni. I rozgląda się. Ma straszną ochotę się zabawić. Mógłby je jeszcze

bardziej postraszyć. Żeby jeszcze ładniej pachniały strachem, gdy już je dopadnie.

Macha ręką i zwała z regału paczkę z jakimś szajsem na śniadanie, jakimiś zdrowymi płatkami albo czymś takim. Łup! Fajny dźwięk, jakby ktoś tupał.

Od tej wódki chce mu się śpiewać, ale jedyne, co mu przychodzi do głowy, to *Oczy czornyje*. Może być, przecież to piękna piosenka.

– *Oczy czornyje, oczy strasnyje...* – zaczyna. W supermarkecie niesie się piękne echo.

Znowu macha ręką. Łup! I znowu. Łup, łup, łup!

– *Kak lublu ja was! Kak bojus' ja was...*

Przechodzi na drugą stronę regału, żeby stamtąd też coś pozrzucić. I wpada na Jakuba, który wysuwa się jak duch z bocznej alejki z proszkami do prania i pieluchami.

Andriej łapie się za serce, trochę teatralnie, dla fanu.

– Jezu! Stary, wystraszyłeś mnie!

Ale ten ponurak Jakub nie zna się na żartach.

– Co ty tu robisz! – syczy. – Miałeś pilnować przy kasach.

– Pomyślałem, że ci trochę pomogę. – Andriej szczyrzy zęby.

Jakub się wykrzywia, Andriej dostrzega to nawet w półmroku.

– Śmierdzi od ciebie wódą – mówi.

Andriej rozumie aluzję. To nieładnie pić samemu, trzeba się podzielić. Wyciąga piersiówkę z kieszeni. Jakub odtrąca jego rękę. Nie to nie, bez łaski. Andriej sam upija kolejny łyk. Jakub patrzy i pewnie myśli, że ma groźną minę, ale zdaniem Andrieja wygląda tylko śmiesznie. Po wódce wiele rzeczy wygląda śmiesznie.

Jakub rusza, nie ogląda się na Andrieja. Andriej wcale nie musi iść za nim. Może chodzić, gdzie mu się podoba, nikt mu nie będzie rozkazywał. Zanim jednak podejmie decyzję, słyszą wołanie:

– Hej! Jesteście tam?

To strażnicy. Bo kto inny mógłby krzyczeć w zamkniętej na noc galerii.

– Ukraińiec i ten drugi! Jesteście tam?

Jakub przeciska się pod barierką kasy i wychodzi do przodu. Andriej trzyma



się parę kroków za nim. Dwaj strażnicy wysuwają się z alejki. Mają zaciśnięte pięści, jakby się rwali do bicia.

– Ej ty, elektryk! – woła jeden z nich. – Rozwaliłeś instalację w naszej kanciapie.

– Zwarcie było – mamrocze Andriej. Nie bardzo może sobie przypomnieć, o jaką instalację chodzi.

– To leć i napraw, kurwa! Nie mogę się do starej dodzwonić z komórki. Wiesz, co jutro będę miał w domu?

Andriej potrząsa głową.

– Nie da się. Zwarcie było. Jak podłączę, to cała galeria pójdzie z dymem. I wtedy dopiero będziesz miał kwasy u swojej starej. – Chichocze, nie może się opanować.

Ochroniarz podchodzi bliżej. Pociąga nosem.

– Wcześniej zaczynasz, Ukrainiec – mówi. – Jeszcze nie ma północy.

– Nie twój zasrany interes! – wypluwa Andriej.

– Te, Ukrainiec, nie bądź taki ważny.

– Spierdalaj – kwituje Andriej.

Spodziewa się, że zaraz będzie napierdalanka. Pochyla lekko głowę. Najlepiej od razu uderzyć bykiem jednego, a potem drugiego prawym prostym. To zawsze działa.

Ale słyszy wybuch śmiechu.

– Dobra – mówi jeden ze strażników. W jego głosie brzmi pojednawczy ton, podchodzi i klepie Andrieja po ramieniu. – *Nie nerwuj się*. Jak tu skończycie, wpadnijcie do kanciapy, mamy flaszkę. Polak, Ukrainiec, dwa bratanki.

– To Węgier – poprawia go ten drugi i obaj wybuchają śmiechem.

– Mnie zabronili pić w pracy – wtrąca Jakub, jakoś niewyraźnie.

– Nam też. – Tamci znowu ryczą ze śmiechu. – Do rana nic nie będzie czuć. Tylko po kielonku sobie walniemy.

– Albo po dwa – dodaje ten drugi. – Nie, Ukrainiec? U was to wiedzą, że bez kielonka nie ma roboty, nie?

Kolejny wybuch śmiechu, kolejne odgłosy poklepywania i strażnicy odchodzą.

Andriej stoi i czeka, aż znikną za zakrętem alejki. Chętnie znowu wyjąłby piersiówkę, ale Jakub nie spuszcza z niego wzroku.

– Co jest, kurwa? – pyta w końcu Andriej. – Co się na mnie gapisz?

Jakub zaciska pięści. Ma tak zacięte wargi, że jeszcze trochę, a je sobie odgryzie. To też Andriejowi wydaje się strasznie śmieszne.

– Wracamy – mówi w końcu Jakub. Odwraca się i przechodzi pod bramką w kasie.

Andriej idzie za nim, tylko trochę trudno mu zachować równowagę, kiedy się schyla. Ale to też go śmieszy.

Widać, że Jakubowi już nie chce się bawić w podchody. Już się nie skrada, idzie prosto do działu z ciuchami. Tam zatrzymuje się na środku alejki. Andriej prawie wpada mu na plecy.

I słyszy ciche skrzypnięcie. Wyteża wzrok w półmroku. Dźwięk dochodzi od przymierzalni z tandetnej dykty, z zasłonkami kończącymi się trzydzieści centymetrów nad ziemią.

Andriej nie wierzy, jak można być tak głupim. Te cipy to nie półmózgi, to bezmózgi. Wybrały na schronienie miejsce, w którym najłatwiej można je znaleźć.

Powoli kuca, przybliży twarz do podłogi. Nie widzi nóg w prześwicie pod zasłonką. Może nawet te bezmózgi wpadły na to, by stanąć na półeczkach. Stąd to skrzypienie. I tak cud, że ta tandetna dykta nie rozpadła się na kawałki.

No i dobra, przynajmniej to załatwione. Byłoby lepiej, gdyby dopadł te cipy przed Jakubem. Ciężko będzie przekonać tego frajera, że jakaś zabawa im się należy. I nagle Andriej czuje, że znowu ma miękko w spodniach. Do dupy z taką robotą!

Andriej wyciąga flaszkę i łyka. Patrzy pod światło dobiegające z alejki. W piersiówce już prawie nic nie ma, pół łyka na dnie. Gdzie to się, kurwa, podziało?

W tym czasie Jakub podchodzi do kabiny i jednym szarpnięciem zrywa zasłonkę z przymierzalni.

## DOROTA

Jakub jest tak blisko, że Dorota słyszy jego oddech: przyspieszony, obrzydliwy. Czuje nawet odór z jego ust, jak z zepsutego zęba, chociaż pewnie tylko tak jej się wydaje, pewnie śmierdzi ta przymierzalnia i ohydna, stylonowa zasłonka. Ale to nieważne, czy jej się wydaje czy nie – Jakub jest blisko.

Dorota nie wie, co ma zrobić. Wpija się palcami w górną krawędź ścianki i próbuje maksymalnie odciążyć półeczkę, na której stoi. I modli się, żeby ta tandetna konstrukcja nie zawaliła się pod ciężarem ciała. I żeby Ce w sąsiedniej przymierzalni ich nie zdradziła.

To znaczy Dorota próbuje się modlić. Nie chodzi na religię, a przecież to tam uczą się różnych pacierzy, ewentualnie w kościele, ale nigdy nie była na mszy. Powtarza więc tylko w kółko: „Proszę, pomóż mi, proszę, pomóż mi”. W głowie nie ma jednak obrazu żadnego Boga, tylko matkę. Swoją własną, wkurwiającą matkę. Więc powtarza w myślach: „Proszę, pomóż mi, mamó, proszę, pomóż mi, mamó”. Porusza wargami, a potem przestaje, bo boi się, że z jej ust wydostanie się szept.

To i tak nie ma znaczenia. On tu jest, Jakub, brat Michała z ich klasy, najseksowniejszy chłopak, jakiego zna, oraz – jak się właśnie okazało – diler narkotyków. Jest tu, o kilka kroków od niej. I zaraz ją znajdzie. Znajdzie ją i znajdzie Ce, i nie pomoże im żaden Bóg, ani nawet matka.

A Jakub mówi:

– Wyjdźcie. Wyjdźcie. Nic wam nie zrobię.

Urywa i po chwili dodaje:

– Po prostu sobie porozmawiamy.

I wtedy dzieje się cud. Ale Dorota wpada na to dopiero po chwili. Bo najpierw, gdy słyszy rytmiczne łupanie, jest przekonana, że to jej serce. I że Jakub też to słyszy.

Dopiero kiedy dociera do niej głos, rozumie, że naprawdę coś się dzieje. Że modlitwa została wysłuchana.

Głos jest męski, a do tego nie mówi, tylko śpiewa. Jakaś piosenkę, Dorota nie rozumie słów, choć jest pewna, że zna tę melodię. Dobiega gdzieś z drugiej strony supermarketu.

Po chwili dołącza do niego dźwięk oddalających się kroków, coraz słabszy nawet w ciszy supermarketu. A potem Dorota słyszy jeszcze coś. W sąsiedniej kabinie Ce cicho chichocze.

Dorota ostrożnie schodzi z półki. Dykta, pozbawiona ciężaru ciała, odgina się i trzeszczy. Dorota słyszy, że Ce też się rusza w swojej kabinie. I zaraz zagląda do niej przez zasłonkę.

– Ale był blisko, co? – szepcze Ce. Jej oczy błyszczą w półmroku.

Dorota wie, że to nie jest dobry moment, by się nad tym zastanawiać, ale nie może przestać myśleć, czy Ce właściwie gniewa się na nią, czy nie. Bo od kiedy ogłosili ten alarm i Dorota uciekła z powrotem do galerii, Ce nie odzywała się prawie słowem. Potem wyśmiała ją, Dorotę, że jest idiotką. A teraz nagle zrobiła się miła. I jakaś dziwnie podniecona. Dorota nic z tego nie rozumie. I nie chce za bardzo analizować. Chyba się boi, do czego mogłaby dojść.

– Spadamy stąd – mówi tymczasem Ce. – To kiepskie miejsce. Nawet nie można zrobić porządnego selfie.

– Dokąd teraz? – pyta Dorota, a Ce nie odpowiada.

Odgłosy dochodzą z drugiego końca supermarketu. Gdyby udało im się prześlizgnąć do kas... Tylko co później? Alejki są oświetlone, gdyby tam poszły, byłoby je widać z daleka.

Ale nie mogą zostać tu, gdzie są. Bo jeśli oni wrócą...

Piosenka się urywa, Dorota słyszy gwałtowny, podniesiony głos, a potem drugi. Ktoś się kłóci.

Na palcach (choć Ce i tak jest tylko w skarpetkach) okrążają przymierzalnie. Przytulają się do półki z bielizną. Prześlizgują na drugą stronę, tam, gdzie w wielkich foliowych torbach leżą kołdry. I poduszki. I powłoczki. I ręczniki.

Dorocie zaczyna kręcić się w głowie. Nie wie, gdzie jest i jak stąd wyjść.

Słyszy coraz wyraźniej kłótnię, a później coś upada i roztrzaskuje się na ziemi, jakieś szkło. Dorota stara się nie oddychać. Widzi, że Ce przesuwają się w stronę kas, małymi kroczkami, jak te japońskie kobiety, których nazwy

Dorota nie może sobie przypomnieć w stresie.

Ce szepcze, prawie bezgłośnie:

– Schowajmy się w jednej z kas. W środku.

To dobry pomysł! Kasy są zabudowane, mają półki, a pod nimi dużo miejsca na nogi. Tylko żeby nie były podłączone do alarmu. Ale chyba nie zostawiają tam na noc pieniędzy, zresztą setki razy sama widziała, jak kasjerka zamykała kasę i wychodziła z pancernym, metalowym pudełkiem.

Kasy są bezpieczne.

Przekradają się przez dział kosmetyków, przesuwają blisko regałów. Dorota boi się, że coś potrąca. Że coś spadnie, coś się rozbije i tamci przybiegną, zanim one zdążą się zorientować, i...

Dorota nie słyszy już odgłosów kłótni. To niedobrze, bo teraz nie wie, gdzie są Jakub i ten drugi. Równie dobrze mogą być tuż za nimi. Równie dobrze mogą czekać przy kasie, za załomem regału, w kolejnej przerwie między półkami...

Zatyka ją, nie może oddychać.

Ce twierdzi, że to tylko zabawa. Matka – że to przestępcy. Dorota nie wie, komu wierzyć. Ale chwilowo i tak nie ma wyboru.

Dobiegają do pierwszej kasy z brzegu, wślizgują się do środka. Dorota potrąca stołek na kółkach, a on odsuwa się bezgłośnie. Wciskają się pod pulpit.

Ce wyciąga do góry rękę z telefonem. I zaraz ją opuszcza. Znowu naciska ekran. Kilka razy, aż bieleją jej opuszki palców.

– Tu też nie ma zasięgu. Co za kijowy sklep jakiś, no!

– Może coś jest nie tak z twoim telefonem – zastanawia się Dorota.

– Może. Sprawdź swój, Dory.

Dorota wsuwa rękę do kieszeni spódniczki. Wyjmuje komórkę. Też nie ma zasięgu.

I nagle zdaje sobie sprawę, że nie wie, jak znaleźć matkę. Ani matka, jak znaleźć ją!

## JAKUB

Zasłonka przymierzalni zostaje Jakubowi w ręku. Kabina jest pusta. Tylko półeczka mocno się odkształciła, to pewnie stąd ten trzask naprężonej sklejki.

Jakub szarpnięciem odsuwa zasłonkę z kolejnej kabiny. I z tej obok. Ze wszystkich.

Za żadną nikogo nie ma.

Uciekły. Przerobiły go i uciekły.

Andriej patrzy na niego pytająco.

A Jakub znowu czuje narastającą wściekłość. Ma ochotę walnąć pięścią w ścianę.

Odwraca się do Andrieja.

– Panienki się zmyły – cedzi przez zęby. – Przez ciebie!

– Jak to, kurwa, przeze mnie? – Andriej robi oczy niewiniątka.

– Tak to – syczy Jakub. – Gdybyś nie chlał w robocie, toby się ciebie nie czepiali. A gdyby się nie czepiali, już byśmy je mieli.

– Oj, daj spokój. – Andriej macha ręką. Wyciąga z kieszeni piersiówkę, wypija ostatni łyk, rzuca butelkę na podłogę. Szkło rozpryskuje się z trzaskiem.

Co za debil! Jeszcze tylko tego brakuje, żeby strażnicy znowu tu przylecieli!

Jakub nadśłuchuje, ale nic się nie dzieje. Dopiero kiedy jest pewien, że strażnicy nie przyjdą, szarpie Andrieja za ramię.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Andriej chwieje się lekko. Wypił piersiówkę wody, a jest tylko trochę wstawiony.

– Oj, stary, daj spokój. – Wyszarpuje się.

– Teraz przeszukamy supermarket – syczy Jakub. – Cały!

– Pewnie, Kuba, pewnie. Co tylko chcesz – chichocze Andriej.

Jakub nienawidzi, jak się do niego mówi Kuba. Ale Andriej, nawet pijany i rozbawiony, nadal jest przerażający. Jakub ciągle pamięta chrupnięcie kości

w karku strażnika. Nie ma dość adrenaliny w żyłach, by o tym zapomnieć.

Więc udaje, że nie dosłyszał. Oddycha kilka razy głęboko, a potem prostuje plecy. Musi się skoncentrować na zadaniu. Złapać dziunie, zabrać im telefony, wydobyć hasła, sprawdzić, skasować, zniszczyć, wyrzucić. I ma naprawdę wielką, ogromną nadzieję, że Andriej nie wprowadzi do tego planu swoich elementów. Ale nie chce o tym teraz myśleć.

Idą między regałami. W głównej alejce Andriej pilnuje, by dziunie nie wymknęły się bokiem. Jakub przeczesuje resztę, centymetr po centymetrze. Jest skrupulatny, jak chyba jeszcze nigdy w życiu, jak nie był nawet podczas podliczania dziennych działek.

Słyszy, że Andriej czka, a potem znowu chichocze. Poza tym nie słyszy nic. Nic też nie widzi, nic się nie porusza w mroku. Dziunie rozpląnęły się w supermarketowym powietrzu.

Wychodzą w końcu przed rzędy kas. Jakub buzuje od złości. To wszystko przez tego kretyna! Dziunie były o krok od nich, prawie je miał. Gdyby ten ruski debil nie chlał i nie prowokował kłótni, byłoby już po sprawie. A teraz trzeba będzie przeszukać całą galerię, sklep po sklepie.

Bo taki ma zamiar. Sklep po sklepie. Jakub jeszcze raz analizuje swój tok myślenia. Skoro dziuniom wcześniej udało się zamknąć w sieciówce, to muszą mieć uniwersalny klucz. A więc on, Jakub, musi teraz otworzyć każde drzwi i sprawdzić wnętrze każdego sklepu. Jednego po drugim.

Ale to nic, nie ma sprawy. Do pracowitych świat należy. Jeśli chcesz, żeby robota została zrobiona, zrób ją sam. A zwłaszcza jeśli chcesz, żeby została zrobiona dobrze.

Tylko problem w tych pieprzonych, wijących się alejkach. Pierdolony architekt! Wymyślił jakiś poroniony projekt i teraz on, Jakub, nie może kontrolować całej przestrzeni. W ten sposób mogą się bawić w chowanego do usranej śmierci. A konkretnie do rana, kiedy przyjdą tu ekipy i trzeba będzie spadać.

Muszą się rozdzielić. Postawi tego debila, Andrieja, na straży, a on sam będzie sprawdzał sklep po sklepie. Lepszego pomysłu Jakub nie ma.

Odwraca się i widzi, jak ten debil przytyka do ust flaszkę z napisem „Stolichnaya”. Jakub nawet nie zauważył, kiedy Andriej ściągnął ją z półki. Ani

kiedy otworzył. I jak otworzył. Przecież alkohol w supermarketach powinien być jakoś zabezpieczony.

– Przestań, kurwa, chlać! – warczy Jakub i chce mu wyrwać flaszkę.

Andriej zatacza się do tyłu.

– Hej – mówi. – Zostaw.

– Ty to zostaw! Kurwa, natychmiast.

Szarpie Andrieja, a ten znowu się odsuwa. Przykłada flaszkę do ust i jego stopy ślizgają się na czymś, co po całym dniu otwarcia sklepu powinna posprzątać sprzątaczką, tyle że Jakub nie widział tu żadnej sprzątaczkii.

Andriej wali się na podłogę. Jedną ręką próbuje amortyzować flaszkę i nie zauważa wystającego narożnika stanowiska kas. Uderza o niego głową. Upada miękko, jak szmaciana lalka. Flaszka rozpryskuje się w drobny mak, tak jak ta poprzednia.

– O żeż kurwa! – szepcze Jakub do siebie. Z głowy Andrieja leje się krew, rozlewa kałużą na podłodze, wsiąka w podkoszulek. Wygląda, jakby Andriej nie żył. I jakby to on, Jakub go zabił.

Ale żyje. Na skroni wyraźnie pulsuje tętnica, Jakub nawet nie musi się schylać, żeby zobaczyć. Ruskie łby są twarde. Poza tym po alko człowiek zawsze miękko upada.

Jakub nie może go tu zostawić, bo jeśli Andrieja zobaczą strażnicy, od razu wezwą policję, karetkę pogotowia i wszystkich świętych. Rozgląda się. Przez chwilę myśli, żeby go wcisnąć pod jedną z kas. Ale tam jest ciasno, nie zmieści się, a nawet jak się zmieści, nie będzie mógł oddychać. A Jakub nie chce, żeby Andriej się przekręcił, chociaż przed chwilą chętnie sam by go zabił. Jeszcze jeden trup naprawdę nie jest mu potrzebny. Jakub chce tylko zabrać dziuniom telefony. Skasować nagranie i sprawdzić, czy nie wysłały gdzieś dalej. I koniec. Nie ma więcej życzeń.

Co za popierdolony dzień!

Jakub chwyta Andrieja za nogi, bo tak jest łatwiej. Ciągnie go do najbliższego kiosku, przy wejściu do alejki. Na szafkach jest logo jakieś firmy kosmetycznej albo innej, Jakub się tym nie interesuje, bo nie jest pedałem. Ważne, że towar pochowany w szafkach i że na podłodze jest sporo miejsca. Jakub wpycha Andrieja do środka i ogląda rozmazaną na podłodze smugę krwi. Jak wyschnie,



nie będzie wyglądała jak krew, raczej jak syf po klientach, ludziom przecież zawsze coś się rozleje. Jakub chce wytrzeć smugę przy samym kiosku, żeby nie budziła podejrzeń, ale nie ma czym. W końcu rozciera ją podeszwą buta. Teraz to nawet jeszcze bardziej wygląda jak syf, który potem zdeptali inni klienci. Nikt się nie przyczepi.

Tylko przez tego pijaka wszystko diabli wzięli. Jakub już nie może go ustawić w jednej alejce i samemu sprawdzać w drugiej. Musi wymyślić coś innego.

Jakub się rozgląda. W końcu obok jest supermarket, sklep ze wszystkim, co potrzebne do życia, rozpalenia grilla, zbudowania domu i ubrania dzieciaków. Więc Jakub znajduje też coś, co pomoże mu zrealizować plan.

Coś banalnie prostego. Gumę do żucia. O smaku owocowym, bo Jakub nie cierpi miętowej. Sprawdzi sklep, potem go zamknie i zalepi zamek gumą. I dupa. Zamek będzie do wymiany, a przynajmniej trzeba go będzie profesjonalnie oczyścić. Inaczej nie da się otworzyć. I tak sklep po sklepie wyeliminuje wszystkie miejsca, w których dziunie mogły się schować. Trochę to potrwa, ale Jakub się nie spieszy.

Nabiera głęboko powietrza w płuca. To był cholernie pechowy dzień. Może noc będzie przynajmniej mniej pechowa.

## RUDY

Rudy jest wściekły. Bardziej na siebie niż na tę mamuszkę wariatkę, ale na nią też.

Siedzi za ladą saloniku prowajdera i wcale nie pakuje telefonów do torby, bo cały się trzęsie. Chociaż przynajmniej ta ostatnia część poszła zgodnie z planem: wyszedł z sieciówkowego sklepu, zostawiając matkę wariatkę i trupa w przymierzalni, błyskawicznie otworzył zamek, wszedł, zamknął za sobą i natychmiast się ukrył. Teraz, kiedy jego oczy już przyzwyczyły się do półmroku w sklepie, mógłby się wziąć do roboty.

Nie bierze się, bo nie może sobie darować braku należytej ostrożności. Zanim wyszedł z przymierzalni, powinien był się upewnić, że w sklepie nikogo nie ma. Serio, jak on chce być superszpiegiem, złodziejem wykradającym przemysłowe i państwowe tajemnice, jeśli nie potrafi zrobić tak elementarnej rzeczy? Jego babcia, która znała wiele powiedzonek, mawiała też: „takiemu to krowy pasać, a nie kraść”, i Rudy dokładnie tak się czuje, chociaż wie, że już nikt nie pasie krów.

Zanim wykonasz jakikolwiek ruch, sprawdź, czy droga jest czysta! To pierwszy i najważniejszy punkt planu. Rudy go zlekceważył. I teraz za to zapłaci.

Chociaż tak naprawdę musi przyznać, że dzisiaj wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Najpierw strażnicy. Pojawili się dokładnie w tej chwili, dokładnie w tej sekundzie, kiedy klęczał przed drzwiami salonu prowajdera, żeby je otworzyć. Gdyby przyszli minutę wcześniej, toby go minęli, gdyby przyszli minutę później, siedziałby już bezpiecznie w środku. Ale nie, oni przyszli właśnie wtedy!

Potem ten trup. Skąd Rudy mógł przypuszczać, że w sklepie, w przymierzalni, znajdzie trupa? To przecież nie jest chyba zbyt częste, zwłoki w sieciówkach, nie? „Nie jest zbyt częste” to zresztą niedomówienie roku! Nigdy, przenigdy, Rudy na żadnego się nie natknął ani nie słyszał o tym w wiadomościach.

Rudy nigdy wcześniej nie widział zwłok. Żadnego martwego człowieka. Nawet jego babcia umarła w szpitalu, a pogrzeb był z zamkniętą trumną, przecież to nie Ameryka. Ten trup w przymierzalni miał dziwnie zapadniętą twarz, jakby uszło z niej całe napięcie (co, jak Rudy przypuszczał, było prawdą). Nie jak manekin czy plastikowa lalka. Jak coś dziwnego, niepokojącego. Jak... No, jak trup.

No i jeszcze potem ta matka wariatka, którą Rudy przeoczył. Przeoczył, bo był zdekoncentrowany strażnikami i trupem. Tyle ma na swoją obronę. A wariatka prosiła go, żeby pomógł jej ratować córkę. I Rudy odmówił.

Oczywiście musiał, każdy na jego miejscu by tak zrobił. Rzecz w tym, że Rudy nigdy wcześniej nie odmówił nikomu pomocy. Jest uczynny, zawsze taki był, od małego. Sąsiadkom wnosi na górę siatki, pomaga sąsiadowi odpalić samochód (stary rżęch, jeszcze bez elektroniki, więc można go odpalić na dwa kable). Czasem bierze kota kuzyna na przechowanie, a raz spędził całe popołudnie z trzylatkiem innej sąsiadki. I nie przeprowadza staruszek na pasach tylko dlatego, że jak dotąd żadna tego nie potrzebowała. Więc myśl o tym, że odmówił kobiecie, która chce chronić córkę, dokucza mu jak kamień w bucie.

Rudy się zastanawia. Czy to wszystko razem wzięte, te dzisiejsze wydarzenia, znaczą, że wszechświat mu nie sprzyja? Że zła karma w jakiś sposób do niego powróciła?

Ale dlaczego? Nie jest przecież mordercą, tylko złodziejem, wykwalifikowanym złodziejem. Nikogo nie krzywdzi, bo trudno nazwać krzywdą zabranie kilkudziesięciu telefonów firmie produkującej ich miliardy. To tak jakby jakaś mrówka weszła mu na nogę i odmaszerowała z nitką z jego ubrania. Na zdrowie, mrówko!

Więc dlaczego? Czy właśnie dlatego, że odmówił matce wariatce pomocy w poszukiwaniach córki? Ale to chronologicznie się nie zgadza, bo wszystko wydarzyło się, zanim ją spotkał. Więc o co tu, do kurwy jasnej i cholery, chodzi?!

Rudy próbuje się uspokoić ćwiczeniami oddechowymi, tymi, które wykonuje codziennie wieczorem. Głęboki wdech, głęboki wydech, oczyścić umysł, nie myśleć o niczym. Kiedy dochodzi do wniosku, że jest już spokojny, próbuje się skoncentrować.

Jeszcze raz przepowiada sobie w myśli plan. Spakować telefony. Ustalić rytm obchodów ochroniarzy. Przenieść się do drugiego prowajdera. Też spakować telefony. Przedostać się do toalety. Zmienić kolor włosów. Doczekać do rana. Wyjść, pozdrawiając radośnie robotników. Precyzyjny plan i jeszcze bardziej precyzyjne wykonanie. Trening przed poważniejszą robotą. Wszystko dopracowane do najdrobniejszego szczegółu.

I nie myśleć. Jak najmniej myśleć. Działać jak maszyna.

Ale serce Rudego znowu zaczyna walić. Bo plan zakładał, że w galerii handlowej będą tylko on i strażnicy. A konkretnie trzech strażników, jak podsłuchał. A teraz okazuje się, że jest tu też matka wariatka, jej córka i ktoś, przed kim one uciekają. I zamiast pójść do ochroniarzy i powiedzieć, by wezwali policję (nie żeby Rudy chciał tu jeszcze policji, ale to jest logiczne i on na ich miejscu by tak zrobił), chowają się po kątach. Bawią w chowanego. I teraz Rudy musi uwzględnić nie tylko pozycję i ruchy ochroniarzy, ale też całego tego towarzystwa. A to jest po prostu niemożliwe.

Wykonuje kolejne ćwiczenia oddechowe i myśli. Czy ma kontynuować plan, czy przeczekać jakoś do rana, starając się jak najmniej rzucać w oczy.

Nie może się zdecydować.

W końcu postanawia, że zda się na los. Skoro ten rzuca mu pod nogi tyle przeszkód, to niech mu teraz podpowie, co robić dalej.

Rudy zamyka oczy i mówi sam do siebie: jeśli w tej szafce będzie nieparzysta liczba pudełek z telefonami, to jedzie dalej z planem. Jeśli parzysta, próbuje tylko doczekać rana.

Potem otwiera oczy i powoli, po cichu wyjmuje pudełka z szafki. Ustawia je na podłodze i liczy.

Nieparzysta.

Rudy otwiera pierwsze pudełko, wyjmuje z niego smartfona i wsadza do torby. A potem powtarza to samo z kolejnym. I z kolejnym. I z kolejnym.

Ale ta matka wariatka i jej córka, którym nie pomógł, dręczą go. Nie może o nich zapomnieć. I obawia się, poważnie, że karma do niego wróci. Bo zawsze wraca, nie?

## TERESA

Teresa zostaje sama i nie wie, co zrobić. Naprawdę nie wie. Nie wie, gdzie jest jej córka, nie może do niej zadzwonić, bo ten pieprzony telefon się wyładował! A nawet gdyby miała nowiutkie, pełne baterie, nie odważyłaby się, bo dźwięk dzwonek mógłby przyciągnąć tego świra.

Kiedy Dorota była mała, taka całkiem malutka, kiedy jeździła jeszcze w wózczyku i piła mleko z piersi, jej własny ojciec zabrał ją kiedyś na spacer. Później tłumaczył, że dziecko słodko spało na świeżym powietrzu i dlatego zamiast po godzinie, wrócili po trzech. No i rozładowała mu się wtedy komórka. Teresa myślała, że zwariuje. Piersi pękały jej od mleka, a głowa od precyzyjnie wyrysowanych scenariuszy tego, co się stało. Tymczasem oni chodzili po parku, dwieście metrów od bloku, a potem siedzieli na ławce, to znaczy ojciec Doroty siedział i czytał gazetę, bo Dorota spała.

Dokładnie tak Teresa czuje się teraz, minus te pękające od mleka piersi. Ale to, że Teresy nie bolą cycki, niczego nie ułatwia. Nie wie, gdzie jest jej dziecko. Jej jedyne dziecko! Nie wie, czy jest już w łapach dilerów narkotyków, czy zaledwie umiera ze strachu, kryjąc się gdzieś po kątach tej pieprzonej galerii. Teresa czuje mdłości, robi jej się ciemno przed oczami, boi się, że zemdleje albo narzyga na wykładzinę w – było nie było – eleganckim sklepie. Albo i jedno, i drugie.

Kazała Dorocie (i tej idiotce, Cecylii, która namówiła ją na wizytę w tej pieprzonej galerii) biec do supermarketu. Ale to nastolatki, wcale nie jest powiedziane, że zrobią, co im się każe. A raczej na pewno zrobią coś odwrotnego. A Teresa musi je znaleźć. Musi znaleźć swoją córkę!

Robi to samo co przed chwilą ten rudy złodziej: podchodzi do drzwi, kładzie się na wykładzinie, wystawia głowę na zewnątrz, stara się trzymać jak najbliżej podłogi. Nikogo nie widzi ani z jednej strony, ani z drugiej. Co wcale nie znaczy, że gdy Teresa wyjdzie ze sklepu, ktoś się nie pojawi. A konkretnie ten fałszywy strażnik, diler narkotyków i jego pomocnik. Którzy chcą zrobić krzywdę Dorocie, ale po drodze wyeliminują i Teresę.

I chyba z tego strachu przychodzi jej do głowy plan. Szalony i bez szans na powodzenie.

Teresa mogłaby zawlec ciało tego chłopaka z przymierzalni na patio, pod same drzwi. Zostawić je tam na podłodze. Patio jest jasno oświetlone, w nocy z zewnątrz musi być widoczne jak na dłoni. Prędzej czy później ktoś będzie tamtędy przechodził. Wezwie policję, pogotowie, wszystko jedno. Służby, które dostaną się do środka. A wtedy Teresa i dziewczynki będą uratowane.

To jest świetny plan, ale tylko w teorii. W praktyce Teresa jest pewna, że zanim zawlecze ciało alejką na patio, ci dilerzy przebrani za strażników ją zobaczą. Przecież oni na pewno gdzieś tu krążą. Szukają ich. Teresa wyrzuca z głowy scenariusze tego, co jej zrobią, jak ją znajdą. Myślenie o tym nie pomaga.

Oczywiście może mieć szczęście i natknąć się na prawdziwych strażników – jeśli oni tutaj w ogóle są. Tylko że wtedy Teresa będzie miała nawet większy problem, niż kiedy dopadną ją dilerzy. Obca kobieta taszcząca trupa nocą w zamkniętej galerii handlowej? No ludzie!

Ale innego pomysłu nie ma, mózg Teresy zafiksował się na tym. Teresa wie z pracy, jak to działa. Gdyby miała więcej czasu, mogłaby zastosować jakieś techniki autoperswazji, autosugestii, auto diabli wiedzą czego! Tylko czasu też nie ma. Musi zaryzykować.

Cofa się do przymierzalni. Uchyła drzwi ostatniej kabiny, staje na progu. Boi się podejść bliżej.

Wie, że to bezdennie głupie. Że tam leży kilkadziesiąt kilo białka, tylko ciało. A i tak ma nerwy napięte jak postronki, dotykanie trupa jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje.

Zaciska zęby, podchodzi, ustawia się z jednej strony, potem z drugiej. Prościej byłoby go wlec, trzymając pod pachami niż za nogi. Chyba. Teresa ma zerowe doświadczenie w transportowaniu zwłok.

W końcu zaciska zęby jeszcze mocniej, aż czuje, jak kość zgrzyta o kość. Chwyta trupa za rękę, ciągnie do siebie, a potem ujmuje pod pachy. Chłopak jest drobny i chudy, pewnie waży tyle co Dorota, Teresa powinna go zaciągnąć bez problemu, to w końcu niedaleko.

Teoria znowu zawodzi. Martwe ciało wydaje się ważyć tonę. Teresa ledwo

jest w stanie dowlec je do drzwi przymierzalni. Przy wyjściu ze sklepu jest już cała mokra, jeszcze chwila, a krople potu zaczną kapać na twarz trupa. Ta myśl wydaje się Teresie obrzydliwa.

Ale przynajmniej wysiłek pozwala zapomnieć o dilerach. Więc ciągnie zwłoki. W alejce idzie nieco łatwiej, zamiast wykładziny jest śliska podłoga. A i tak Teresa musi robić przerwę co kilka minut. W tym tempie nie dociągnie go do rana.

Zanim dociera na patio, sądzi, że minęły godziny, chociaż to pewnie tylko minuty. Bluzkę ma mokrą, pot płynie po nogach pod spodniami, a kręgosłup boli tak, że Teresa nie może się wyprostować. Ale nikogo nie spotyka. Nikt jej nie widzi. Choć Teresa nie chodzi do kościoła ani nie posłała Doroty na religię, to przez ułamek sekundy myśli, że może jednak tam w górze ktoś nad nią czuwa.

To znaczy czuwał. Ale przestał. Bo kiedy Teresa jest przy fontannie, tej z wciąż unoszącym się hologramem z fioletowymi, leniwie pływającymi meduzami, coś słyszy. Zamiera w bezruchu. Nie potrafi zidentyfikować dźwięku, jej własne serce wali zbyt głośno. Problem w tym, że dźwięk też jest coraz głośniejszy i po chwili Teresa rozpoznaje odgłos kroków. W tej alejce, z której przyszła.

Rozgląda się dookoła, jakby to miało coś pomóc. A potem szarpie trupa, napręża wszystkie mięśnie i podciąga bezwładne ciało na niską cembrowinę fontanny. Chwyta od spodu, ciało się wyślizguje, Teresa próbuje jeszcze raz i coś sobie naciąga w plecach. Ale to nie jest czas i miejsce na uzalanie się nad sobą. Wpycha zwłoki do fontanny. Woda wydaje plusk. Na szczęście instalacja z meduzami szumi cały czas, więc to chyba niezbyt zwraca uwagę. Chyba. Ale Teresa nie ma czasu zastanawiać się również nad tym. Nadśluchuje jeszcze przez chwilę, żeby mieć pewność, z której alejki dobiegają odgłosy kroków, a potem zgięta wpół szybko i cicho ucieka tą drugą.

Biegnie skulona, jakby uciekała pod ostrzałem. W każdej chwili ktoś ją może zobaczyć, dogonić, dopaść. W końcu nie wytrzymuje napięcia, wpada do jednego z kiosków ustawionych w środku. Wciska się w kąt, łapie oddech. Dłonie ma tak mokre, że ślizgają się, kiedy próbuje oprzeć się o podłogę.

Musi powtórzyć ten ruch, podbiec do następnego kiosku, a potem jeszcze jednym skokiem do supermarketu. Tam może łatwiej się ukryć, jest ciemniej,

przestrzeń oświetlają tylko lampy z alejek. Poza tym są tam regały, przymierzalnie i cała masa innych kryjówek.

Tylko że ona nie ma się chować. Ma znaleźć swoją córkę i ją ochronić.

Teresie trzęsą się ręce, a nogi ma tak miękkie, że musi usiąść. Próbuje się uspokoić głębokimi oddechami, ale nie może oddychać, musi nadśłuchiwać, czy nikt nie nadchodzi.

Wychyla się ostrożnie zza szafki, nie widzi nikogo, przebiega do następnego kiosku. To stoisko z kosmetykami, które Teresa chętnie kupuje. To znaczy kupowała. Po dzisiejszej nocy będzie omijać te sklepy szerokim łukiem.

Wpada do środka. Łąduje ślizgiem na podłodze.

I krzyczy.

To tylko krótki okrzyk, Teresa natychmiast zatyka sobie ręką usta. Ale i tak boi się, że ci zboczeńcy ją usłyszeli. A raczej jeden zboczeniec. Bo zwłoki drugiego leżą przed nią.

To już drugi trup tego dnia. Dwieście procent normy, Teresa nigdy wcześniej, w całym swoim życiu nie znajdowała się w pobliżu zmarłego: jej rodzice ciągle żyją, a śmierci dziadków nie pamięta, była za mała.

Teresa chce krzyczeć i płakać. Zaciska jeszcze mocniej palce na ustach. Jutro będzie miała siniaki. Chyba że do tego czasu sama będzie już trzecim trupem.



Jaka ta Dory jest dziecinna, oł em dzi, to prawie niemożliwe, a jednak prawdziwe. Normalnie jak dziecko. Ce, kiedy o tym myśli, nie może się powstrzymać od wywracania oczami.

Przecież są w tym samym wieku, a Dory nawet o cztery i pół miesiąca starsza. A zachowuje się, jakby była w podstawówce i grzecznie chodziła z rodzicami za rączkę.

I nawet teraz, serio! Wymyśliła tę wieśniacką grę. Oł em dzi, czy można sobie w ogóle wyobrazić coś głupszego? Serio? Ganiecie się po pustej galerii w nocy? Strzelanie selfików i wrzucanie ich na Insta? Z jakichś pieprzonych kryjówek? Kto to zalajkuje? Chyba jakiś debil. A Ce nie zależy na lajkach od debili.

Na szczęście coś nie styka z internetem. Ce chyba by się spaliła ze wstydu, gdyby miała u siebie na profilu taki szajs.

Ce zgodziła się na tę debilną grę nie po to, żeby się kompromitować przed całą społecznością Insta, tylko po to, żeby znaleźć się bliżej Jakuba. I cyknąć mu fotki, które udowodnią, że on na nią leci.

To było słabe z tymi przymierzalnikami. Nie dało się tam zrobić zdjęcia Jakubowi, bo te cholerne półeczki tak trzeszczały, że Ce musiała wczepić się obiema rękami w górną krawędź ścianki. No po prostu nie miała jak się stamtąd wychylić i niepostrzeżenie cyknąć fotę. I nie miała żadnego pomysłu, co powiedzieć, gdyby je tam znalazł. Bo „hełoł” to raczej strasznie wieśniackie.

W dodatku zanim coś wymyśliła, Jakub odszedł. A one się stamtąd zmyły. Ce nie może powstrzymać chichotu na myśl o jego minie, kiedy wróci, odsłoni tę syfiastą zasłonkę i nikogo nie zobaczy. Szkoda, że wtedy nie będzie mu mogła zrobić zdjęcia. Ale to nic, znajdzie inne ujęcie, jeszcze lepsze.

Teraz siedzą pod kasą, gdzie okropnie śmierdzi, chociaż supermarket był otwarty tylko jeden dzień. Ce musi sobie zatkać nos i oddychać przez usta. Poza tym wszystko idzie dobrze. Jakub i ten drugi nie wiedzą, że one tutaj są

i wszystko słyszą. Najpierw się pokłócili, a potem chyba pobili, bo Ce słyszy, jak jeden z nich zwała się na podłogę. Ma nadzieję, że to nie Jakub, ale nie może się wychylić i sprawdzić. Nie, to na pewno nie Jakub, który ma superkaloryfer i w ogóle wszystkie mięśnie, widać, że ćwiczy na siłce.

Tego Ce też bardzo żałuje, że nie mogła im zrobić zdjęcia, jak się biją. Już wie, jak by to skomentowała na Insta. Że biją się o nią. Ale byłby fejm!

Ce patrzy na Dory i widzi, że dziewczyna się trzęsie. Jest biała ze strachu. Ona naprawdę jest jednak strasznie głupia.

Ce kombinuje, co zrobić dalej. Pewnie trochę jeszcze mogą się chować, ale przecież nie całą noc. Kiedyś musi zrobić te foty. Więc zamiast uciekać, sama poszuka Jakuba.

Dory siedzi obok nieruchomo, ściśnięta pod pulpitem kasjerki. Ma wielkie oczy i białe palce zaciśnięte na podkurczonych nogach. Wygląda jak wystraszona mysz. Gdyby tupnąć, toby uciekła. Ce strasznie bawi ta myśl.

Nagle Dory podskakuje, a jej oczy robią się jeszcze większe. Bo słyszą, całkiem niedaleko, cichy okrzyk.

Cichy i krótki, ale to na pewno nie był Jakub. Faceci nie krzyczą w ten sposób. To musiała być kobieta. Czyli raczej to ta straszna matka Dory.

Dory najwyraźniej dochodzi do tego samego wniosku. Zrywa się na równe nogi, idiotka, Ce musi ją z całej siły pociągnąć za rękę, żeby znowu się schowała. Gdyby Jakub był gdzieś obok, zaraz by je znalazł.

Na szczęście go nie ma. A Dory pochyla się do Ce i szepcze:

– To mama.

Ce wywraca oczami i widzi niepewność na twarzy Dory. Tak, laska, będziesz musiała się zdecydować, czy bawisz się ze mną, czy ze swoją mamusią. Ale Ce tego nie mówi. Za to Dory powtarza:

– To mama. Gdzieś tu jest.

I zanim Ce zdąży coś powiedzieć, woła cicho:

– Mamo?

Ce też się wychyla z boksu kasjerki i widzi, jak coś się rusza w najbliższym kiosku, tym z kosmetykami. Oczywiście, matka Dory! Wystawia głowę tak nieudolnie, że Jakub już dawno by ją zobaczył, gdyby był w pobliżu.

Dory macha do niej ręką. Jej matka wychodzi z kiosku i biegnie do nich, skulona, jakby naoglądała się za dużo filmów wojennych. Dopada Dory i przytula ją, a przecież dopiero co się widziały. Ce znowu wywraca oczami. Żenada.

– Kochanie, nic ci nie jest? – pyta matka Dory. Na nią, na Ce, nawet nie spojrzy. I dobrze, bo Ce nie może się powstrzymać, żeby nie robić głupich min. „Kochanie, nic ci nie jest?”, powtarza w myślach i wykrzywia twarz.

A ta dziecinna Dory też się przytula do mamusi. Ce robi się niedobrze, gdy na to patrzy. Wyciąga smartfona, sprawdza. Nadal nie może złapać zasięgu.

– Musimy się schować w supermarkecie – decyduje matka Dory. – Chodźcie za mną.

– Ale mamo! – Dory ciągnie ją za rękę. – My już tam byliśmy. Jakub omal nas nie znalazł.

I wszystko matce opowiada. A ta robi się biała jak papier. Podnosi rękę do ust, zagryza wargi. Ce obserwuje to z zainteresowaniem. Ciekawe, czy kiedyś, kiedyś ona sama też będzie taka głupia, jak urodzi dzieci. Oby nie. Bo jeśli wszyscy tak mają, to nie warto się rozmnażać.

Wtedy matka Dory dochodzi do ciekawego wniosku. Tego Ce się po niej nie spodziewała.

– Mówisz, że przeszukali już supermarket? To dobrze. Na pewno tu nie wrócą. To znaczy może wrócą – dodaje szybko – ale nie od razu. Możemy się tam spokojnie schować i chwilę odpocząć. Nie jesteście zmęczone?

Nagle Ce uświadamia sobie, że naprawdę jest. I że okropnie chce jej się pić. I jeść.

Sprawdza na komórce czas. Godzina co prawda jeszcze młoda, Ce rzadko chodzi spać przed północą, a teraz, jak nie ma starych, to nawet o wiele później. Ale dużo się dzisiaj działo.

Dory więcej nie protestuje. Matka chwyta ją za rękę, wystawia głowę z boksu, rozgląda się i prowadzi córkę w głąb ciemnego marketu. Ce idzie za nimi. Po drodze ściąga z półki karton soku i paczkę herbatników. Matka Dory to widzi, nic nie mówi. No i dobrze, bo Ce nie ma zamiaru się tłumaczyć. To przecież nie jest kradzież, jak człowiek jest gdzieś zamknięty i nie może wyjść, nie?

Idą prosto do przymierzalni, tej, w której już były. Wciskają się do jednej

kabiny, chociaż ledwo starcza dla nich miejsca. Siadają na podłodze, z podkulonymi nogami. Matka Dory zabiera Ce – jakim prawem?! – paczkę herbatników, otwiera i kładzie na półeczce, żeby wszystkie mogły sięgnąć. Potem piją też jej sok. Nie mogły sobie wziąć drugiego?

A potem matka Dory mówi, żeby sobie trochę odpoczęły. Nawet się zdrzemnęły. Ona będzie czuwać i jak coś usłyszy, to je natychmiast obudzi i uciekną. Wychodzi z kabiny, a jej, Ce, każe przejść do drugiej, żeby miały więcej miejsca. Żeby mogły trochę pospać.

Ale Ce nie zamierza spać. Ma zupełnie inne plany. Tylko sobie trochę posiedzi, bo okropnie ją bolą nogi.

## JONASZ

– Jezu, co myśmy zrobili? – Marcin podnosi ręce i dramatycznym gestem mierzwi sobie włosy. Niespecjalnie ma co mierzwić, środek czaszki jest łysy, tylko po bokach nad uszami zostało trochę kosmyków, za mało nawet na zaczeskę.

– Daj spokój – mówi Jonasz. Lubi Marcina, ale tych jego teatralnych gestów to już nie za bardzo. Wolałby porozmawiać normalnie, a nie odgrywać koniec świata. – Daj spokój.

– Otworzyliśmy galerię totalnie nieprzygotowaną! Totalnie!

Jonasz kręci głową.

– Stary, wiesz, że przesadzasz, prawda?

Marcin patrzy mu prosto w oczy.

– Nie przesadzam. Tam nic nie działa. Straż pożarna nigdy nie powinna nam była tego klepnąć.

– Ale klepnęła. – Jonasz stuka w papiery na biurku. – Tu mam podpisany protokół zdawczo-odbiorczy. Jesteśmy kryci z każdej strony.

Marcin gapi się na kartki, chociaż przecież też je podpisywał.

– Stary. – Jonasz wkłada w tembr głosu całą uspokajającą siłę, jaką jest w stanie jeszcze z siebie wykrzesać po dziewiętnastu godzinach pracy non stop. – W tym protokole wszystko jest zgodnie z przepisami. Zainstalowaliśmy, co trzeba. Mamy gaśnice, węże, system alarmowy, spryskiwacze...

– Spryskiwacze! Zadziałały tylko trzy – jęczy Marcin.

Jonasz nie ma ochoty mu teraz tłumaczyć, że to nawet lepiej. Bo wystarczy, że jakiś głupek zapali w kiblu, i będą płacić klientom milionowe odszkodowania za zniszczone rzeczy.

– Hydraulicy coś odłączyli i nie zdążyli podłączyć – wyjaśnia, chociaż Marcin przecież to wszystko wie. – Wcześniej, na próbie ze strażakami, działały wszystkie. Podłączy się znowu i będzie git.

Marcin nie odpowiada. Jonasz wylicza dalej:

– Mamy supernowoczesne oddymiacze w oknach, zaprojektowane, żeby usunąć cały dym w ciągu kilku minut.

– Zacięły się.

– Czasem może się zdarzyć

– Może się zdarzyć? Czy ty w ogóle się słyszysz, chłopie? One mają działać za każdym razem! Każ-dym!

– Trzeba je tylko trochę podregulować. Jutro z samego rana zadzwonię do firmy. Przyjdą fachowcy i w pięć minut załatwią sprawę.

– Nie mamy kurtyn ogniowych!

Teraz to Jonasz przejeżdża ręką po włosach.

– Po raz setny ci powtarzam: strażacy odebrali instalację. Podpisali protokół. Czyli wszystko gra. Kurtyn nie mamy, bo nie są obowiązkowe. – Dochodzi do wniosku, że może Marcin zacznie go słuchać, jak przełączy się na korposlang. –

Nasz system przeciwpożarowy jest dedykowany przede wszystkim bezpieczeństwu klientów. Mamy oświetlenie ewakuacyjne, systemy sygnalizacji pożarowej, układ awaryjnego zasilania, dźwiękowe systemy ostrzegawcze, urządzenia alarmowe... Mało ci jeszcze?

– Tylko dwa wyjścia ewakuacyjne!

– To minimum wymagane w przepisach.

– Były zamknięte! Ludzie nie mogli się nimi wydostać!

Były zamknięte, bo elektrycy nie podłączyli tam jeszcze alarmu, a przecież nikt nie chce, żeby ludzie wychodzili sobie bokiem z towarem. Czy to tak trudno zrozumieć? Jonasz jednak nie mówi tego, tylko:

– Są przecież jeszcze wyjścia na parking na poziomie minus jeden...

– Też zamknięte!

– Bo parking jest jeszcze niewykończony...

– Ta cała pieprzona galeria jest jeszcze niewykończona! Przypomnij mi, dlaczego ją dzisiaj otworzyliśmy.

Jonasz milczy. Nie chce mu się gadać. Marcin wie równie dobrze jak on sam, że otworzyli, bo taki był termin otwarcia. Ustalony z inwestorami rok wcześniej. Zgłoszony w urzędzie miasta. Zgłoszony w straży miejskiej.

Zgłoszony na policji i w co najmniej pięćdziesięciu innych pierdolonych urzędach!

Powtarza jeszcze raz, już chyba setny:

– Strażacy podpisali protokół odbioru. Mamy wszystkie urządzenia przeciwpożarowe zgodnie z wymogami. Czego jeszcze chcesz?

– Żeby działały! – wybucha Marcin. – Wszystko rozgrzebane. Połowa czujników niepodłączona. Druga połowa raz działa, a raz nie, bo producent przysłał wadliwe egzemplarze.

– Jezu, Marcin, weź się uspokój. – Jonasz lubi Marcina, ale tej jego skłonności do histeryzowania to już nie za bardzo. – Otworzyliśmy tylko na jeden dzień. Jutro przyjdą elektrycy i wszystko poprawią. I będzie działało.

– No właśnie, na jeden, cały dzień! W sobotę! Przed długim weekendem! Był dziki tłum.

– No i dobrze. Przecież chcieliśmy, żeby był dziki tłum, nie?

Marcin zrywa się z krzesła. Jonasz daje krok do tyłu.

– Stary – mówi Marcin dobitnie – czy ty nie rozumiesz po polsku? Mieliśmy dzisiaj pożar.

– To nie był żaden pożar, jakieś gnojki paliły w kiblu, włączył się alarm...

– Włączył się alarm! Ludzie nie mieli jak się wydostać. Omal się nie stratowali przy głównym wyjściu.

Jonasz macha ręką.

– Nic się przecież nie stało.

– Jeden dzieciak złamał rękę!

– Po pierwsze, od złamanej ręki się nie umiera. A po drugie, stary, no weź: zabrałbyś dzieciaka w taki dzień do galerii, kiedy wiesz, że zwali się tam pół miasta? To nie nasza wina, tylko niedostateczny dozór rodzicielski. Gdyby matka nas pozwała, możemy zawsze powołać kuratora...

Marcin wali się z powrotem na krzesło. Odwraca do okna. Jonasz też patrzy przez szybę w ciemność. Chociaż to nie jest ciemność, z dwudziestego siódmego piętra widzą pomarańczową łunę nad całym miastem. *The city never sleeps!* Samochody mkną po ulicach i jest tylko trochę mniej tłoczno niż za dnia.

Jonasz nagle czuje zmęczenie. Takie potworne, obezwładniająca, obejmująca

całe ciało. Opiera się o ścianę. Gdyby usiadł, już by nie wstał, usnąłby i spał do rana. A on woli zakończyć tę idiotyczną rozmowę i wrócić do własnego łóżka.

– Marcin – mówi cicho i powoli. – Spójrz na mnie.

Marcin odwraca się na swoim krześle. W niebieskiej poświacie ledowych lamp ma podkrążone oczy i cień zarostu na policzkach. Jonasz pewnie nie wygląda lepiej.

– Marcin, nic się nie stało. Instalacje trzeba poprawić, to prawda...

– Bo przecież wiesz – Marcin nie słucha, tylko dalej gada – że alarm też trzeba było odłączyć, nie chciał przestać wyć. Więc jeśli w nocy coś się zapali... Jeśli ktoś w nocy zaproszy ogień...

– W nocy? – Zdaniem Jonasza Marcina naprawdę popierdoliło. – A kto miałby w nocy zaproszyć ogień? Ochroniarze?

Marcin wstaje, podchodzi do Jonasza i nagle chwyta go za klapy. Jonasz nie ma siły, żeby się wyrwać. Czuje nieświeży oddech kumpla, po całym dniu i połowie nocy.

– Strażników jest tylko trzech. Instalacja elektryczna jest do dupy. Może nastąpić spiećcie, zapłon, sam nie wiem co!

Puszczą. Jonasz poprawia marynarkę.

– Wiesz, jak często zdarzają się pożary w centrach handlowych? – pyta. – Wiesz?

Marcin nie odpowiada. Jonasz też tego dokładnie nie wie, więc zmyśla:

– W Polsce jest ponad pięćset galerii. A paliła się tylko jedna i od razu ugasili, nie trzeba było nawet ewakuować ludzi. No to sobie policz, jaka jest szansa, że akurat dzisiaj w nocy zjara się nasza galeria. No, policz sobie!

Marcin nie odpowiada, w sumie słusznie, bo to uwaga retoryczna. Siada z impetem za biurkiem, aż fotel na kółkach odjeżdża od blatu. Znowu mierzwi włosy rękami.

– Nie wiem – mówi cicho. – Sam nie wiem.

Jonasz nie chce już dyskutować z tym debilem. Chce wstać i wyjść.

– Idź do domu, Marcin – mówi. – Wyśpij się, potem pogadamy. A ja...

Nie chce tego powiedzieć. Ale czuje, że inaczej się nie da.

– A ja tam wpadnę i zobaczę, czy wszystko gra.



Marcin patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Serio, stary? Myślałem, że padasz z nóg.

– No tak. Wpadnę tylko na moment. Pogadam ze strażnikami, wiesz, rzucę pańskim okiem. No wiesz...

Marcin kręci głową.

– Pracuj z siebie.

– Daj spokój. – Jonasz ma jednak nadzieję, że Marcin powtórzy to potem na zebraniu zespołu. Nigdy nie zaszkodzi nastukać sobie dodatkowych punktów u szefostwa. – Wszystko będzie git. Jutro przyjdą robotnicy i poprawią instalacje. Choćby się waliło i paliło!

## TERESA

Teresa idzie alejką oświetloną jasno jak w dzień, ale światło ma siny odcień, skóra wygląda w nim jak u trupa. Teresa stara się poruszać bezgłośnie, stąpa na palcach, żeby obcasy nie stukały o posadzkę. Nie jest łatwo, bo lewe biodro rwie bólem przy każdym kroku. W galerii jest cicho jak w grobie, Teresa słyszy tylko dudnienie swojego serca. Zastanawia się, czy ten dźwięk wydostaje się z jej klatki piersiowej na zewnątrz.

Boi się obejrzeć za siebie. Wie, że póki tego nie zrobi, jest bezpieczna. Jak rodzina Lota podczas zniszczenia Sodomy i Gomory: kto oparł się pokusie rzucenia spojrzenia przez ramię, nie został zamieniony w słup soli. Ten diler narkotyków gdzieś tu się czai. Teresa jest tego pewna. Nie widzi go i nie słyszy, ale wie, że tu jest. I wie, że dopóki sama się nie obejrzy, on nie może jej schwytać.

Jakiś ruch za plecami: Teresa bardziej go wyczuwa, niż słyszy. Pokusa obejrzenia się przez ramię jest namacalna, Teresę swędzi skóra na karku. Podnosi dłoń, żeby się podrapać, i muska coś palcami. Własne włosy czy...

Teresie wydaje się, że słyszy za plecami oddech, głębokie wdechy i wydechy, rytmiczne jak bicie jej serca. Na szczęście biodro boli coraz bardziej. Na szczęście, bo Teresa próbuje się skoncentrować na tym bólu, to pomaga opanować odruch i nie odwrócić się. Idzie przed siebie. Ból rozlewa się na całą nogę i Teresa nie wie, ile kroków zdoła jeszcze zrobić. Dziesięć? Dwadzieścia? To i tak za mało.

Ale nie może się oglądać. Musi iść przed siebie. Do końca alejki, do supermarketu, w którym szaleje ogień. Teresa czuje na twarzy ciepło płomieni. Teraz to jeszcze przyjemne, choć kilka kroków naprzód i zaczną parzyć. Jeszcze kilka kroków i Teresa znajdzie się w piekle.

Ale nie może się zatrzymać, musi tam iść.

I wtedy Teresa się budzi, w środku nocy, w ciemnej i cichej galerii handlowej.

NOC

## TERESA

Teresa budzi się nagle. Nie wie, czy to przez jakiś dźwięk czy powiew, zmianę temperatury powietrza czy coś innego. Siada i jest kompletnie trzeźwa, nie tak jak w domu, kiedy przed drugą kawą nie próbuje nawet spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Bluzkę ma mokłą od potu. Nawet nie musi zbliżyć nosa do dekoltu, dobrze wie, że śmierdzi.

Dotyka palcami biodra. Boli. Zdrętwiało od twardej podłogi i od niewygodnej pozycji. W domu Teresa sypia na brzuchu z wyprostowanymi, rozrzuconymi nogami, jak ofiara gwałtu. Teraz podciągnięte pod klatkę piersiową nogi rwą, musi zacisnąć zęby. Poza tym Teresa trzęsie się z zimna. I ze strachu.

Cholera! Usnęła!

Miała pilnować dziewczyn, miała nadśłuchiwać, czy ktoś nie nadchodzi. I czy ktoś nie dobija się do wejścia, bo zauważył ciało. Miała uważać w ciemności i w razie czego obudzić Dorotę i jej koleżankę i zabrać je w bezpieczniejsze miejsce. I sama usnęła, jakby była dzieckiem. Taka z niej gówniana, nieodpowiedzialna matka! Ledwo usiadła na podłodze i oparła plecy o ściankę przymierzalni, zapadła w sen. Głęboki jak śmierć. Nic nie pamięta, z wyjątkiem tych kilku ostatnich minut sennego koszmaru.

Teresa gwałtownie siada. Galeria jest cicha, supermarket wciąż pogrążony w mroku.

Nie wie, która godzina, ile spała. Od kiedy ma komórkę, nie nosi zegarka, a teraz ekran jej aparatu jest czarny jak noc. Ma nadzieję, że to było tylko kilka minut. Że nic się nie stało.

Zresztą, gdyby ktoś tu przyszedł, usłyszałaby przecież. Zawsze śpi jak mysz pod miotłą. Najlżejszy szelest i już się budzi.

Przeciąga się, kuca, potem powoli wstaje. I natychmiast się chwieje, musi przytrzymać się ścianki przymierzalni. Zdrętwiała jej noga. Ostatni raz spała na ziemi, gdy miała chyba szesnaście lat, ale wtedy rozgrzewały ją ognisko, nielegalne piwo i pocałunki kolegi z klasy (którego teraz Teresie nie chce się

nawet odszukać na Facebooku).

W kabinach przymierzalni Dorota i Ce śpią tak cicho i spokojnie, że nie słyszy nawet ich oddechów. Jak wtedy, kiedy Dorota była niemowlęciem i ona, Teresa, budziła się w nocy po kilka razy ze strachu, że jest za spokojnie, żeby sprawdzić, czy córka jeszcze żyje. Teraz też śpią, jakby ich nie było.

Teresa czuje nagłe ułknięcie paniki. Podrywa się, nie obchodzi jej ból biodra ani zdrętwiała noga. Najciszej jak potrafi, odsuwa zasłonkę kabiny z prawej strony. Metalowe kółka wydają tylko cichy szelest, jakby ktoś szurał nogami.

Cecylia śpi niczym płód, zwinięta w kłębek, z nosem wciśniętym w kolana. Teresa widzi tylko prawą stronę twarzy, rozmazany makijaż, czarny krąg pod okiem. Przypomina dziecko, które pobrudziło się na placu zabaw. Teresa czuje napływ wyrzutów sumienia, że tak jej nie lubi. A to przecież ciągle jeszcze młodziutka dziewczyna, jak córka Teresy.

Opuszcza zasłonkę, odwraca się do drugiej kabiny i zagląda do środka.

Przymierzalnia jest pusta.

Teresa patrzy przez długą chwilę na podłogę i ścianki z dykty. Nie rozumie. Jest pewna, że Dorota położyła się spać właśnie tutaj. Pociera dłonią czoło, odchyła następną zasłonkę. I kolejną. I jeszcze jedną.

Doroty nie ma w żadnej kabinie.

Teresa obraca się dookoła własnej osi. Światła są przyćmione, ale potrafi rozróżnić kontury regałów i wieszaków. Nigdzie nie widzi córki.

– Dorota – szepcze. Boi się wołać.

Robi kilka kroków w jedną stronę i kilka w drugą. Niczego to nie zmienia.

Wraca do przymierzalni, odciąga do końca zasłonkę, za którą śpi Cecylia. Potrząsa ramieniem dziewczyny. Przez chwilę myśli, że umarła: ma wiotkie ciało, chłodną skórę i wygląda, jakby nie oddychała. Teresa potrząsa mocniej i Cecylia się porusza. Podnosi rękę do twarzy, trze pięścią jedno oko, potem drugie. I najwyraźniej przypomina sobie, gdzie jest i co tu robi. Siada.

– Gdzie jest Dorota? – pyta Teresa szeptem.

– Co?

– Dorota – syczy Teresa przez zaciśnięte zęby. Znowu ogarnia ją fala niechęci, zapomina, co wcześniej myślała o śpiącej dziewczynie. Teraz, kiedy

Cecylia już nie śpi, Teresa pamięta tylko, jaka jest paskudna, złośliwa i głupia. – Twoja podobno najlepsza przyjaciółka. Gdzie ona jest?

– No, w kabinie obok, nie?

I bezczelna. Teresa ze świstem wciąga powietrze.

– Nie. Tam jej nie ma.

– Serio? – Cecylia wyciąga szyję, rozgląda się. – Ale przecież tam była.

Teresa ma ochotę ją uderzyć, trzasnąć otwartą dłonią w brudny od tuszu policzek. Może wtedy dziewczyna się dobudzi i zacznie gadać z sensem.

– Ale teraz jej nie ma. Nie wiesz, dokąd poszła?

Cecylia kręci głową. Opiera się o ściankę przymierzalni. Znowu trze oczy.

– Dżizas, strasznie mi się chce do toalety – mówi.

I nagle wszystko staje się jasne. Dorota poszła się wysikać. Poszła po prostu do toalety. Zachciało jej się po tym całym soku, jaki wypila przed snem.

Ulga jest tak silna, że Teresa musi się oprzeć o ściankę przymierzalni. Córka poszła tylko siku...

Ale musi to sprawdzić.

– Zostań tu – mówi do Cecylii i idzie w stronę kas.

– Ja też muszę – protestuje dziewczyna.

– Zamknij się! – Teresa obraca się z palcem na ustach i mówi to, co miała ochotę powiedzieć od miesiący. I dodaje jeszcze, bo to jednak dziecko: – Po prostu na mnie poczekaj. Zaraz wrócę.

Cecylia coś mamrocze, ale zostaje w miejscu. Teresa stara się iść na palcach. Kiedy zbliża się do kas, światło z alejek staje się silniejsze, Teresa musi zmrużyć oczy, zanim jej źrenice przystosują się i zwężą.

Ciemna plama za kasami, częściowo rozdeptana i zamazana, coraz bardziej wygląda jak syf po dniu pełnym klientów i Teresa nie jest już taka pewna, czy to rzeczywiście krew. Nie może się powstrzymać i zagląda do kiosku, w którym wcześniej się ukrywała. I gdzie było ciało jednego z ich prześladowców. Nie bardzo wie, po co to robi. Na pewno nie chce się ekscytować widokiem trupa, w ciągu ostatniej doby napatrzyła się na zwłoki tyle, że starczy jej na całe życie, dziękuję bardzo! Może po prostu chce się upewnić, że wie, co się dzieje.

Ale w boksie nie ma trupa. Nie ma zwłok. Tylko jeszcze więcej brunatnej,

zaschniętej mazi na podłodze.

I jedna z szafek jest otwarta. Drzwiczki zostały wyłamane, zwisają na zawiasie. Czegoś takiego nie da się zrobić cicho i Teresa zastanawia się, dlaczego nic nie usłyszała. Naprawdę zasnęła aż tak mocno?

Ze środka wypadło kilka szminek, leżą na podłodze. Teresa nie wie, co o tym myśleć: o tych wyłamanych drzwiczkach, o rozwalonych szminkach i o trupie, który zniknął. Nie potrafi ocenić, co to dla nich oznacza. Ale teraz nie chce się nad tym zastanawiać. Chce znaleźć Dorotę i zaprowadzić ją w bezpieczne miejsce. Gdzieś, gdzie będzie mogła ją ochronić.

Przestaje zastanawiać się nad trupem i idzie dalej. W alejce jest jasno jak na scenie, palą się wszystkie światła pod sufitem, a sklepy po obu stronach są czarne. Teresa rusza prosto do najbliższej toalety.

Wchodzi do pomieszczenia na palcach, ale nikogo tam nie ma, nikt nie czai się na nią za drzwiami ani w żadnej kabinie. Tylko w umywalce, pierwszej od wejścia, leży szminka w odcieniu krwi. A na lustrze nad umywalką widnieją wielkie czerwone litery.

CO ZROBISZ, ŻEBY DOSTAĆ JĄ Z POWROTEM?

## DOROTA

Matka kazała im spać, odpocząć, zdrzemnąć się chociaż kilka minut. Powiedziała to takim tonem, że Dorota nawet nie próbowała dyskutować, chociaż wcale nie chciało jej się spać. Była za bardzo nabuzowana i za bardzo przestraszona. Gdyby leżała we własnym łóżku, przewracałaby się z boku na bok przez pół nocy, potem zasnęła na krótko przed świtem, na godzinę lub dwie przed tym, zanim matka zaczęłaby wrzeszczeć, że Dorota spóźni się do szkoły. Ale nie jest w łóżku. A w przymierzalni nie ma nawet dość miejsca, by się przewracać z boku na bok. Dorota może tylko zwinąć się w kłębek i leżeć nieruchomo z otwartymi oczami. Leżeć i nadśłuchiwać. I próbować wypatrzeć coś w mroku pod krótką, niesięgającą podłogi zasłonką.

Dorota słyszy, jak w sąsiedniej przymierzalni Ce zmienia pozycję, jak mruczy coś do siebie, jakieś przekleństwa, i jak kopie ściankę, pewnie dlatego, że nie może ułożyć nóg.

Ce, najlepsza przyjaciółka jeszcze od podstawówki. Zawsze były razem. Tylko ostatnio jakoś mniej. To znaczy siedzą w jednej ławce, trzymają się razem na przerwach, razem wracają do domu po lekcjach i nawet robią wspólne wypadki, jak ten do tej galerii.

Dorota nie potrafi tego określić, ale czuje, że coś jest nie tak. Już nie do końca wie, co myśli jej najlepsza przyjaciółka. Nie do końca rozumie te żarciki na Insta, którymi przerzuca się z innymi. I nie jest pewna, czy wie, dlaczego na większości wspólnych zdjęć wrzucanych do sieci Ce wygląda jak księżniczka, a ona, Dorota, jak żaba.

Tak samo teraz z tą grą. Ce najpierw była na Dorotę zła, potem spodobał jej się pomysł, ale potem jakby znowu się obraziła. Dorota dobrze ją zna i wie, kiedy Ce jest czymś zachwycona, a kiedy tylko udaje. A w każdym razie wiedziała do niedawna. Bo teraz już nie może się w tym połapać.

Dorota czuje, że drętwieje na tej twardej podłodze. Chciałaby się przewrócić na drugi bok, tylko nie ma miejsca. Więc bardzo powoli podciąga się do pozycji siedzącej. Uważa, żeby nie dotknąć ścianek przymierzalni, żeby nie



zaskrzypiała dykta. Bo zaraz zajrzy tu matka, i będzie. „Córeczko, co się dzieje?”. „Nie możesz zasnąć?”. „Jest coś, o czym mi nie mówisz?”.

Jest cała masa rzeczy, o których nie mówi matce! Bo nie chce, i już! Czy to tak ciężko zrozumieć? Matka ma dyplom z psychologii, powinna wiedzieć takie rzeczy.

Dorota wzdycha, też cicho, żeby matka nie usłyszała. Fajnie byłoby mieć takich starych jak Ce. Więcej kasy, mniej kontroli. A jej starzy? Ojciec ma w dupie kontrolę, bo najwyraźniej ma w dupie swoją byłą żonę i swoją córkę. Ale w związku z tym kasy też nie daje. A matka kasy nie ma, za to ma milion psychologicznych teorii. I Dorota czuje, jakby nosiła obrożę i smycz, za którą matka od czasu do czasu szarpie, żeby córeczka szła przy nodze. Całkiem jak pies!

Dorota znowu zmienia pozycję. Jest jej okropnie niewygodnie. Matka powinna była pomyśleć i przynieść jakieś poduszki, w tym supermarkecie na pewno je mają. Ale ona nigdy nie pyta, czego Dorota chce, uważa, że wie lepiej. A wcale nie wie!

Dorota próbuje rozprostować zdrętwiałe nogi i nie myśleć o tym, jak bardzo chce siku. Zamiast tego znowu myśli o Ce. Tyle że to jeszcze gorszy temat. Bo tutaj, w środku nocy, w ciemnym supermarkecie, Dorota musi wreszcie przyznać sama przed sobą to, co od dawna widzi, chociaż próbuje tego nie zauważać. Że Ce już jej nie uważa za swoją najlepszą przyjaciółkę.

Dorota czuje klucie w piersi jak wtedy, kiedy czasem okropnie pokłóci się z matką i długo na siebie wrzeszcza. Wtedy też ją tak kłuje. Podciąga nogi i kuli się, co jednak nie pomaga. Do tego w tej pozycji jeszcze bardziej chce się siku.

Wstaje, równie cicho i powoli, jak usiadła. Odchyła ostrożnie zasłonkę i patrzy na majaczące w mroku kontury regałów. Czeką, aż matka spyta, co się dzieje. Ale ona się nie rusza i nic nie mówi. Dorota wychodzi z kabiny i widzi, że matka usnęła. Rany, jak fajnie! Można pójść i się wysikać, i raz w życiu nie tłumaczyć się z tego, co się robi i dlaczego.

Na palcach omija matkę śpiącą na siedząco, z plecami opartymi o ścianę kabiny, z szyją przekrzywioną pod dziwnym kątem i otwartymi ustami. Nadśłuchuje, czy z kabiny Ce dobiega jakiś dźwięk, ale słyszy tylko miarowy oddech i cichutkie pochrapywanie. Jej była najlepsza przyjaciółka też usnęła.

W sumie szkoda, bo Dorota wolałaby iść z nią. Zawsze chodzą do kibla razem, to znaczy chodziły, kiedy jeszcze były najlepszymi przyjaciółkami. Ce też często chce się w nocy siku, więc na wszystkich koloniach, wycieczkach albo jak jedna u drugiej nocuje – zawsze idą we dwie.

Dorota wcale nie ma ochoty być sama w pogrążonej w półmroku galerii. Nie wiadomo, czy Jakub gdzieś tu się nie kręci, i ten drugi, obleśny koleś, co tak dziwnie na nie patrzył. Nawet przychodzi jej na myśl, żeby wysikać się w jakimś ciemnym kącie supermarketu. Ale jeśli Ce kiedykolwiek się dowie, Dorota nie będzie miała życia.

Ostatecznie idzie na palcach między regałami, aż dochodzi do kas. Tu jest jaśniej i Dorota musi się zatrzymać i poczekać, aż oczy przyzwyczają się do światła. A potem prześlizguje się pod barierką i widzi, że oznakowanie toalety nie jest tak daleko, kilkanaście metrów w głąb jednej z alejek.

Kiedy mija box z kosmetykami, dostrzega rozwaloną szafkę. Drzwi ledwo się trzymają. Na półkach stoją szminki, ustawione w równych rzędach w pudełkach bez pokrywek, żeby sprzedawczyni mogła łatwiej sięgnąć i pokazać klientce.

I nagle Dorocie przychodzi do głowy pomysł. Genialny!

*Yes!*

Wreszcie wymyśliła coś fajnego. Nie coś, na co Ce zareagowałaby tylko skrzywieniem albo zmarszczeniem brwi. Tylko superświetną rzecz. Coś, co Ce chciałyby wymyślić sama, Dorota jest tego pewna. I niech żałuje, że to nie ona na to wpadła!

Dorota wpada na pomysł nowej gry. Ale nie będą w nią grały razem z Ce, tylko ona sama. I zobaczymy potem, kto będzie miał więcej lajków.

Dorota wchodzi do boksu, uważa, by nie nastąpić na brązową, lepką plamę na podłodze. Schyla się i przegląda szybko szminki. Wyjmuje jedną w kolorze krwi. Tak, ta będzie najlepsza!

Chowa szminkę do kieszeni, a potem wycofuje się, bo ma wrażenie, że za chwilę pęknie jej pęcherz albo – co bardziej prawdopodobne – zsika się w majtki. Idzie szybko do toalety. Tam siada na sedesie (choć matka milion razy mówiła jej, żeby nie siadać w miejscach publicznych! Dorota ma to teraz w dupie!) i z ulgą czeka, aż wszystko z niej wyleci.

Potem podchodzi do umywalki, pierwszej od wejścia. Patrzy na swoje odbicie i nagle, niespodziewanie uśmiecha się do siebie w lustrze.

Ale się wszyscy zdziwią! A najbardziej Ce, kiedy też przyjdzie się wysikać. Bo na pewno niedługo przyjdzie, Dorota jest tego pewna. Za dobrze zna swoją byłą najlepszą przyjaciółkę.

Zdejmuje nasadkę szminki, wrzuca ją do umywalki, odkręca sztyft i pisze na powierzchni lustra: CO ZROBISZ, ŻEBY JĄ ODZYSKAĆ?

To będzie gra dla Doroty. Tylko dla niej. Niech wszyscy się zastanawiają, co się z nią stało. Ona będzie robić takie dziwne, enigmatyczne zdjęcia w różnych miejscach w galerii i budować z tego Insta story. I zbierać lajki. I wreszcie stanie się zajebista. Milion razy bardziej zajebista niż Ce!

Do tego niepotrzebny jej ten głupi film, na którym Jakub diluje. Zresztą przecież Dorota nie chce, tak naprawdę wcale nie chce, żeby chłopak, w którym buja się od dwóch lat, poszedł siedzieć. Więc wyciąga komórkę i wszystko kasuje. Matce powie, że samo się tak porobiło, przecież ona kompletnie nie zna się na komórkach i na filmach. To dobra decyzja i Dorota czuje ulgę, kiedy strzela fotkę. Najpierw samego napisu na lustrze, a później, po namyśle, także siebie w środku tego napisu. Na zdjęciu śmieje się od ucha do ucha. A później przychodzi jej do głowy coś jeszcze. Bierze szminkę i maluje nią starannie usta. I wow, to jest to! Wygląda zupełnie inaczej, bardziej dorośle. Już nie przypomina gorszej wersji Ce, w tańszych ciuchach. Teraz w ogóle nie widać, że Dorota ma byle jakie ciuchy!

Strzela jeszcze kilka fotek. Wybiera najlepszą, ale ciągle są problemy z zasięgiem. To nic, później wrzuci.

Uśmiecha się znów do siebie w lustrzanym odbiciu i ciągnie drzwi prowadzące z toalet na korytarz do alejki.

I wpada na Jakuba.

## ANDRIEJ

Andriej ma suche usta, tak suche, że nie może połączyć warg. Język też jest wysuszony, Andriej próbuje dotknąć nim podniebienia, nie jest pewien, czy mu się to udało. Chce przełknąć ślinę, ale z tym też kiepsko.

Dopiero po dłuższej chwili jest w stanie zamknąć usta. Czeka, aż śluzówka zwilgotnieje, porusza językiem. Dopiero wtedy kaszle.

Czuje, że zaraz pęknie mu czaszka. Powoli sięga ręką nad głowę, dotyka włosów. Są lepkie. Boi się dotknąć skóry. Za bardzo boli.

Ktoś go walnął.

To na pewno ten pieprzony Jakub.

Ten chujowy świętoszek, który tylko potrafi liczyć kasę, który nie pozwala jemu, Andriejowi, na odrobinę zabawy. Co to za życie, do kurwy nędzy! Bez panienek? Bez flaszki? Andriej ma dosyć i przysięga sobie tu, leżąc na twardej podłodze i mrużąc oczy przed ostrym światłem sufitowych lamp, z eksplodującą od bólu głową, przysięga sobie, że rzuci to w cholerę. Znajdzie inny układ. Albo wróci do siebie. Ci pieprzeni Polacy nie potrafią żyć.

Rzuci to w cholerę, tylko najpierw pokaże Jakubowi, że jest jeszcze trzeci sposób, by się zabawić, nie tylko panienki i wóda. Można jeszcze komuś przypierdolić. To czasami nawet lepsze niż seks.

Andriej czuje, że jego ciało zaczyna produkować adrenalinę. Głowa boli mniej, gardło też nie jest już takie suche. Otwiera oczy, natychmiast znowu je zamyka, mruga, trze powieki, w końcu udaje mu się uchylić je odrobinę, w szparki, by źrenice przyzwyczyły się do światła. Kiedy już coś widzi, unosi się na łokciu. Ma ochotę znowu pomacać głowę, ale wie, że to będzie bolało. Zamiast tego maca szyję. Nic po niej nie cieknie, to dobrze, rana już się zasklepiła.

Rozgląda się. Przez chwilę nie wie, gdzie jest, ale później kojarzy, że to musi być jeden z tych kiosków ustawionych w centrum alejki tego całego pieprzonego centrum handlowego. Andriej kopie szafkę, rozlega się głośny

trzask i odpadają drzwiczki. Dziadostwo.

Powoli podnosi się z podłogi, patrzy wokół siebie. Czuje się, jakby wyglądał zza krzaka, cały kiosk otaczają jakieś sztuczne badyle. Strasznie wydziwiają ci Polacy, jakby ktoś jego, Andrieja, pytał.

Siada, opiera głowę na rękach, czeka, aż obraz przed oczami przestanie wirować. Zastanawia się co dalej.

Plan jest jasny: znaleźć Jakuba i spuścić mu bęcki. Co później, to się pomyśli. Trzeba będzie jakoś się wydostać z tej galerii, ale wszystko w swoim czasie. Może po prostu pójdzie do strażników, powie, że skończył robotę i żeby go wypuścili.

Zastanowi się nad tym potem, bo teraz strasznie chce mu się pić. To dlatego ma takie suche gardło. Wstaje powoli, opiera się o szafki, a kiedy jest już pewien, że nie zwali się z powrotem na podłogę, rusza w kierunku supermarketu. Trochę się zatacza, ale z każdym krokiem idzie mu coraz lepiej. Kiedy dochodzi do bramek przy kasach, potrafi nawet przypomnieć sobie, w którym miejscu są regały z alkoholem. Znajdzie jakąś flaszkę, a potem ruszy szukać Jakuba.

## TERESA

Dorota była ruchliwym dzieckiem, koszmarem każdej matki. Nie miała ADHD ani nic podobnego, po prostu lubiła biegać. Teresa wiedziała oczywiście, że to niezbędne dla rozwoju mózgu, że psychomotoryka, że nabywanie nowych umiejętności, że to, że tamto. Ale teraz śmiać jej się chce z tych wszystkich głosów potępienia na widok dwu- i trzylatków prowadzonych na smyczkach jak psy. Gdyby wtedy były w sklepach takie smycze, kupiłaby dziesięć, na zapas.

Ledwo Dorota nauczyła się raczkować, już potrafiła wspiąć się na stół. Właziła na blat i bez sekundy zastanowienia skakała na dół. Teresa nauczyła się nie spuszczać z niej oka nawet na moment. Za każdym razem udawało jej się złapać córkę, ale raz czy dwa musiała sama rzucić się na podłogę, żeby zamortyzować upadek dwunastokilowego ciała.

Potem, kiedy Dorota już chodziła, a zaraz później biegała, spacerowanie stało się koszmarem. Nie chciała siedzieć w wózku i nie chciała iść za rączkę. Chciała biec przed siebie, a spróbujcie dwulatki wytłumaczyć, co to są światła na skrzyżowaniu i ruch uliczny. Teresa nauczyła się trzymać ją dyskretnie za kołnierz, a Dorota nauczyła się, że matka zna nowy trick. Sięgała więc rączką do tyłu i gdy odkryła podstęp, wyrwała się, rzucała na chodnik i wrzeszczała.

Teresa tak strasznie bała się wtedy popełnić błąd. Bała się, że nie zdąży, że nie złapie córki dwa centymetry nad podłogą, że kaptur małej wyslizgnie się z ręki i Dorota wbiegnie na jezdnię, pod koła samochodów, które nawet z przepisową prędkością pięćdziesiąt na godzinę (a kto jej przestrzega?) rozjadą ją na miazgę.

To trwało dobre dwa lata, może dwa i pół, dla Teresy całą wieczność. Była przekonana, że włosy jej posiwieją, twarz pokryją zmarszczki jak wąwozy, umrze i kości rozpadną się w proch, podczas gdy córka ciągle będzie się szarpała, uciekała, rzucała na chodnik i waliła w niego małymi nóżkami.

A potem nagle, z punktu widzenia Teresy, nastąpił pokój. To znaczy Teresa tak wtedy myślała, bo z czasem okazało się, że to tylko zawieszenie broni.

Dorota się uspokoiła. Stała się słodką, zabawną dziewczynką, która uwielbiała spacerować z mamą za rękę w statecznym tempie, a nie biegać z wywieszonym językiem, która przepadała za wspólnymi wizytami w kawiarniach i w sklepach z ciuchami, która potrafiła świetnie doradzić, w czym Teresie bardziej do twarzy, i która wśród westchnień zachwytu ekspedientek w każdej drogerii próbowała na swoich małych usteczkach kolory szminek. Miała wtedy długie włosy, prawie do pasa, zawsze uczesane w warkocz spadający na jedno ramię i grzywkę, bo wszystkie spinki się wyslizgiwały. Kiedy Teresa umyła jej głowę i spacerowały w słońcu, Dorota wyglądała, jakby otaczała ją aureola. Teresa czuła, że urodziła anioła, jakąś lepszą, czystsza istotę, która zasługiwała na lepszą matkę.

I znowu myślała, że tak będzie już zawsze, że zestarzeje się szczęśliwa, a przed śmiercią córka poda jej szklanek wody i potrzyma za rękę.

A potem Dorota podrosła jeszcze trochę. I zamieniła się w potwora. To znaczy w normalną nastolatkę. To znaczy w kogoś, na kogo istnienie jej własna matka, w końcu psycholog z dyplomem, nie została przygotowana ani przez pracę, ani przez życie.

I Teresa milion, nie, dwa albo nawet trzy miliony razy zastanawiała się, czy życie bezdzietnej singielki, ewentualnie z psem i jakimś dochodzącym kochankiem, nie byłoby lepsze. Zastanawiała się tak po każdej awanturze, po każdym poranku, kiedy obie warczały na siebie, mijając się w kuchni, za każdym razem, kiedy Dorota zamykała się w łazience i nie reagowała na stukanie, kiedy nie odpowiadała na dzień dobry, kiedy żądała (nie prosiła, tylko żądała!) markowych ciuchów, kiedy nie odbierała telefonu i kiedy na wyrzuty, że znowu nie zrobiła zakupów, nie wyrzuciła śmieci, nie pościeliła łóżka, nie zmieniła żwirku kotu, reagowała pustym spojrzeniem i wzruszeniem ramion. Gdyby Teresa dostawała złotówkę za każdą myśl, że wtedy, szesnaście lat temu, popełniła błąd, decydując się robić to bez prezerwatywy, nie musiałaby dzisiaj kupować przecenionych sweterków na Allegro.

A teraz oddałaby nie tylko wszystkie przecenione sweterki świata, ale całe swoje życie, żeby córka była przy niej i żeby Teresa mogła ją opieprzyć, że znowu jej nie posłuchała.

Teresa opiera się o umywalkę, bo nogi się pod nią uginają. Tak zwyczajnie, po prostu, mięśnie wiotczeją i odmawiają współpracy. A potem mięśnie rąk

robią to samo i Teresa osuwa się na podłogę. Kuca i opuszcza głowę nisko, między kolana. Mdli ją ze strachu, żołądek wypełnia ciężka, paskudna bryła, nie może zebrać myśli. Czuje gorąco na twarzy jak po bieganiu albo podczas orgazmu. Ręce jej drżą, chociaż składa dłonie i z całej siły przyciska palce do siebie. Wargi ma suche, ale w ustach brak śliny, by zwilżyć je językiem.

Tyle razy w życiu żałowała, że ma dziecko, i teraz jest na najlepszej drodze, by go już nie mieć. Zboczeniec, którego imienia nie mogła sobie nawet przypomnieć, złapał Dorotę. Pewnie wtedy, kiedy poszła się wysikać. Bo ta idiotka, jej własna córka, nie mogła chociaż raz w życiu posłuchać matki i zrobić tego, o co ona, Teresa, ją prosiła. Na przykład siedzieć cicho w ukryciu. A nie łązić samotnie po galerii handlowej i wystawiać się na śmiertelne niebezpieczeństwo. No i doczekała się!

Teresa podrywa głowę i uderza potylicą o porcelanę umywalki. Mroczy ją na moment, przygryza język do krwi. To ją rozwściecza jeszcze bardziej. Naprawdę nie wiadomo, po co urodziła i wychowała takiego półmózga, który nie rozumie...

Boże!, myśli. Boże, co ja robię?!

Zaciska powieki z całej siły, aż światło zmienia barwę z pomarańczowej na czerwoną, i Teresa zaczyna widzieć rozmyte, czarne kształty.

Boże, to przecież moja córka. Mój skarb, moje słoneczko. Moja dziewczynka, która chodziła ze mną za rączkę w aureoli złotych włosów i która w kawiarni zawsze zlizywała osad po kawie z mojej filiżanki, a potem krzywiła się i mówiła, że gorzki. Która była dumna z tego, że jako pierwszej w przedszkolu wypadł jej mleczak. Która potem trochę wstydziła się pierwszych stałych górnych jedynek, wielkich jak łopaty na tle małej twarzyczki.

Była taką mądrą dziewczynką. Bez mrugnięcia okiem przechodziła test odroczonej przyjemności i czekała na cukrową piankę, żeby po półgodzinie dostać dwie. To świadczy o wysokim ilorazie inteligencji i podobno wróży powodzenie w życiu. Umiejętność sterowania swoim losem.

Była taka mądra. I była miłością jej, Teresy, życia. Zawsze, od kiedy dostała na porodówce do ręki to małe wrzeszczące coś. Do dzisiaj.

Kurwa! Teresa myśli o niej w czasie przeszłym!

DEATH1, upiornie chichocze ta mroczna przesądna Teresa. DEATH1!



Widziałaś dzisiaj śmierć. Czego się spodziewałaś? Że potem będą kwiatki, śpiew słowika i łagodny powiew wiatru? Nie, po takiej przepowiedni musi być krew i zniszczenie!

Dość! Teresa wali się obiema pięściami w czaszkę. Dość! Jej córka żyje i będzie żyła, ona, Teresa, nie dopuści, żeby ta historia skończyła się inaczej!

Dźwiga się powoli. Nogi mrowią, kiedy krew zaczyna w nich krążyć. Teresa czeka, aż uczucie minie, a potem rozgląda się.

Nic nie widzi. Tylko napis na lustrze. I szminkę w umywalce.

Puszcza zimną wodę, ochlapuje twarz. Pojawia się myśl, że rozmaże makijaż, że tusz popłynie i że będzie miała pod oczami kręgi jak panda. A potem, w ułamku sekundy, myśl znika. Teresa ochładza jeszcze skronie i kark.

Zboczeniec ma Dorotę. Może już coś jej zrobił...

Teresa chwyta się za głowę. Wsuwa palce we włosy, szarpie, aż z bólu pojawiają się łzy w oczach. Nie o tym masz myśleć, idiotko! Skup się!

Zboczeniec ma Dorotę. Zostawił wiadomość. Dla niej, dla Teresy. To znaczy, że traktuje Dorotę jako zakładniczkę. Jako kartę przetargową. Czegoś od Teresy chce i daje jej do zrozumienia, że jeśli Teresa spełni jego życzenie, dostanie córkę z powrotem.

Mądrzejsza, dojrzała Teresa krzyczy: Nie wierz mu! Ale ta zrozpaczona, bardziej naiwna i miękka Teresa wierzy. Wierzy, bo chce dostać córkę z powrotem, i jest gotowa zrobić wszystko. Czyli dokładnie tak, jak zboczeniec napisał na lustrze.

– Co mam zrobić? – szepcze Teresa, chociaż wie, że nikt jej nie słyszy. Ani nawet nie widzi, bo w łazience nie ma kamer. Ale mimo to powtarza trochę głośniejsz: – Co mam zrobić?

## JAKUB

Gdyby wyciągnął rękę, zdołałby ją złapać, za podkoszulek albo za włosy. Ale zaskoczyła go. Nie spodziewał się jej zobaczyć w kiblu. W ogóle nikogo się tu nie spodziewał, sprawdził kabiny już wcześniej. Teraz tylko chciał się wysikać i zanim poszedł do męskiej, dla porządku postanowił sprawdzić jeszcze raz w damskiej. No i bingo. *Kto nie rabotajet, nie kuszajet*, jak by pewnie powiedział ten debil Andriej.

A poza tym wygląda jakoś inaczej, prawie jej nie poznaje. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili w ogóle nie poznał, dopiero później do niego dociera, że to przyjaciółka tej blondynki. Nie potrafi powiedzieć, na czym polega różnica, po prostu teraz jest jakoś starsza. I ładniejsza.

I dlatego nie zdążył jej złapać. A dziunia ma niezły refleks. Zobaczyła go, skoczyła do tyłu i teraz siedzi w jednej z kabin zamknięta na cztery spusty.

Jakub zastanawia się, czy nie rozwalić zamka kopniakiem. Co prawda zamontowane drzwi wyglądają na solidne, to nie cienka ścianka z dykty, tylko gruba konstrukcja od sufitu do podłogi. Ale i tak dałby radę, kilka kopów i po sprawie. Tyle że kilka kopów plus odgłos pękających drzwi to strasznie dużo hałasu. A Jakub nie chce alarmować strażników, którzy gdzieś tu przecież łażą, chociaż niewykluczone, że chłają w swojej kanciapie. Pewności jednak nie ma, więc Jakub woli załatwić sprawę po cichu.

– Wyjdź – mówi półgłosem. Tak, żeby usłyszała go tylko dziunia za drzwiami i nikt poza tym.

Panienska nie odpowiada. Jakuba to nie dziwi. Laska się boi, to widać.

– Wyjdź – powtarza. – Nic ci nie zrobię.

– Czego chcesz? – słyszy w końcu. Pytanie jest stłumione, drzwi solidniejsze, niż myślał.

– Chcę, żebyś wyszła.

Cisza.

– Wiem, że możesz tam długo siedzieć – mówi Jakub. – Ja tutaj też.

Co nie jest do końca prawdą, bo strasznie chce mu się łać. Ale zawsze może to zrobić do umywalki, żeby mieć na oku drzwi od kabiny.

Nie ma żadnej odpowiedzi, więc Jakub mówi:

– Nie ma sprawy, poczekam.

Puszcza wodę w umywalce, sika, myje ręce. Na sąsiednim lustrze ktoś nabazgrał czerwoną szminką: CO ZROBISZ, ŻEBY JĄ ODZYSKAĆ? Pewnie jakieś gówniary się bawiły, zanim zaczął się alarm przeciwpożarowy.

Ze środka kabiny nie dochodzi żaden dźwięk.

– Wyjdź – powtarza Jakub, już sam nie wie po raz który.

– Czego ode mnie chcesz?

Głos jest żałosny i nieco piskliwy. Nie pasuje do tej ładniejszej i starszej laski, którą Jakub przed chwilą widział.

– Chcę usunąć dowody. – Jakub dochodzi do wniosku, że równie dobrze może jej powiedzieć. Nie wie, czy to coś da, ale nie spieszy się. Miał spędzić pół nocy na szukaniu dziuń, a tu proszę, jedna sama do niego przyszła.

– Za...zabijesz mnie? – pyta dziunia.

Jezu, jakie one wszystkie są głupie. Gdyby miał zamiar ją zabić, to czy by o tym powiedział? Odpowiada więc po prostu:

– Nie.

– Kłamiesz!

Jakub wzdycha.

– Nie, nie kłamię. Chcę tylko twój telefon. Żeby usunąć ten film.

– Ja nie mam żadnego filmu. – Odpowiedź pada natychmiast. – Skasowałam.

– I tak chcę sprawdzić – naciska. – A jak nie masz, to chcę sprawdzić u twojej koleżanki. I jeszcze w poczcie, czy nigdzie go nie wysłałyście.

– Nie wysłałyśmy, tu nie ma zasięgu!

Czyli numer z kablami zadziałał. Przynajmniej to jedno.

– No dobrze – mówi Jakub tak łagodnie, jak tylko potrafi. – To pokaż mi swoją komórkę. A potem pójdziemy obejrzeć komórki tamtych dwóch. I rozstaniemy się w pokoju.

Jezu, ale pieprzę, myśli. Jakbym się naoglądał jakichś pierdolonych

westernów. A ostatni pierdolony western Jakub widział w telewizji, gdy miał chyba dziesięć lat.

Ale dziewczyna za drzwiami się nie śmieje. Milczy.

– Jak ci oddam komórkę, pozwolisz mi wyjść? – pyta.

– Najpierw musisz mi pokazać swoje konta na Instagramie, Fejsie, WhatAppie i co tam jeszcze masz. Muszę się upewnić, że nikomu nie wysłałaś tego filmu.

– Nikomu nie wysłałam! Już ci mówiłam, że tu nie ma zasięgu.

Jakub o tym wie. Ale i tak musi sprawdzić.

– Dobra, pokażę ci – decyduje panienka.

– I jeszcze komórki twojej przyjaciółki i tej drugiej...

– To moja matka. – Głos dziuni przybiera ponury ton.

– Nie zgodzi się, żebyś sprawdził jej telefon?

– No raczej!

Zapada cisza. Jakub intensywnie myśli. Potrzebna mu współpraca tych dziuń. Może je gdzieś dopaść, może zabrać im telefony, ale musi, musi! się upewnić, że żadna z nich niczego nie wysłała, zanim on wyrwał ze ściany kable.

– Mam pomysł – mówi nagle dziunia.

– No?

– Poczekaj, muszę się jeszcze zastanowić.

Jezu, jakie one są bezdennie głupie, wszystkie! Dlaczego gadają, skoro nie mają nic do powiedzenia? Dlaczego najpierw otwierają usta, a dopiero potem używają mózgu?

– Już wiem – mówi dziunia tak nagle, że Jakub drga. – Ale nic mi nie zrobisz?

Jezu!

– Gdybym chciał ci coś zrobić, już dawno rozwaliłbym te drzwi jednym kopem, nie sądzisz?

Panienka milczy.

A potem przekręca zamek. Uchyła drzwi ostrożnie, po centymetrze, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Gdyby Jakub kopnął w nie teraz, otworzyłyby się bez hałasu.

Nie robi tego. Nie musi. Dziunia wychodzi sama.

Jest przestraszona. Jakub odsuwa się o dwa kroki, robi jej miejsce. Ale ona stoi w otwartych drzwiach i nie może się zdecydować, czy znowu je zatrzasać czy wyjść.

W końcu wyciąga przed siebie komórkę. Trzyma ją na otwartej dłoni, jakby karmiła dużego, groźnego psa i bała się, że odgryzie jej palec.

– Nie jest zabezpieczona – mówi i zanim Jakub zdoła pomyśleć, że te panienci są nieprawdopodobnie głupie, dodaje: – Możesz sobie przejrzeć wszystko w środku.

Jakub wchodzi do galerii, potem do poczty, WhatsAppa i na Instagram. Dziunia nie ma konta na Fejsie. A na Snapie i tak wszystko po chwili znika.

Jakub przegląda wszystkie apki w aparacie, jednak nie znajduje żadnej innej do wysyłania plików. W końcu oddaje telefon. Dziunia chwyta go szybko, jakby się znowu bała, że ją pogryzie.

– No dobra. To co z komórkami tamtych dwóch?

Dziunia odsuwa się o krok. Potem o drugi. Jakub spina mięśnie. Jeśli będzie teraz próbowała zwać, musi ją złapać.

Ale ona podchodzi tylko do umywalki. Tej, na której ktoś napisał szminką ten głupi tekst: CO ZROBISZ, ŻEBY JĄ ODZYSKAĆ?

– Posłuchaj – mówi i Jakub słucha.

## RUDY

Jeśli plan może się spieprzyć jeszcze bardziej, to właśnie się spieprzył. Jakby mało było tego, że omal nie nakryli go strażnicy, że znalazł trupa w przymierzalni, że jakaś wariatka pokazywała mu cycki i błagała o pomoc dla córki i że teraz musi zwracać uwagę nie tylko na ochroniarzy, ale też na kilka innych osób.

Okej, Rudy rozumie, nie zawsze wszystko wychodzi tak, jak się chce. Jego babcia mawiała: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Przekładając to na słowa bliższe filozofii Rudego: przypadek jest bardzo istotnym elementem życia.

Dlatego Rudy, ćwicząc swój plan, dopuszczał pewną elastyczność. Na przykład to, że miał przesiedzieć w galerii całą noc, aż do przyścia porannych robotników. Co dawało mu spory margines czasu na różne nieprzewidziane wydarzenia. Albo na przykład to, że spakował wielofunkcyjny scyzoryk, chociaż plan nie przewidywał jego użycia. Ale, jak Rudy wie z doświadczenia, zawsze lepiej mieć coś w tym stylu przy sobie. Właśnie na takie okoliczności.

Ale tyle zbiegów okoliczności naraz? Tyle niefortunnych wydarzeń? Gdyby Rudy umiał obstawiać takie ciągi przypadków, już dawno wygrałby w totolotka i nie musiał obrabiać sklepów.

A teraz jeszcze to!

Rudy słyszy, jak ktoś po kolei otwiera sklepy. Rudy nie wie, kto to: czy matka wariatka, czy ochroniarz, czy może ten świr, który szuka tej całej córki. Wie tylko, że kroki należą do jednego człowieka. Zatrzymuje się na kilka minut, a potem znów rusza, jest coraz bliżej. Tych kilka minut odstępu to zapewne czas na przeszukanie lokalu. To kilka długich minut, czyli ten ktoś szuka dokładnie. Więc Rudy nie zdoła się ukryć, w sklepie prowajdera nie ma zresztą gdzie. Zostanie odkryty.

Rudy czuje się schwytyany w pułapkę. Jak zwierzę. Od lat jest wegetarianinem, ale gdyby wciąż jadł mięso, właśnie teraz podjąłby decyzję, żeby przestać. Bo zaczyna rozumieć, jakie to uczucie, kiedy się idzie na rzeź.

Serce mu wali, ręce ma spocone i kiedy je wyciera, zostawia na dzinsach wilgotne smugi, czuje, jakby oddychał przez watę.

Podnosi się z podłogi. Musi coś zrobić. Musi coś wymyślić. Dzisiaj jest zła noc, cały wszechświat sprzysiął się przeciwko niemu, Rudemu. Ale jeśli on, Rudy, pokona te przeciwności, jeśli dzisiaj mu się uda, jeśli wyjdzie stąd z torbą towaru, a nie w kajdankach (Rudy nie ma wielkiego pojęcia, jak wygląda aresztowanie, wie tylko tyle, ile widział w filmach kryminalnych), to znaczy, że nadaje się do poważniejszej roboty.

Nagle Rudy rozumie. To przecież było proste. Tak proste, że Rudemu chce się śmiać. Dlaczego najprostsze rozwiązania zawsze najtrudniej dostrzec?

Dzisiejsza noc to test. Taki sprawdzian. I nie tego, czy Rudy potrafi wykonać plan, bo to było wiadomo już wcześniej. Dzisiejszy egzamin dotyczy tego, czy Rudy potrafi improwizować.

Dzisiejsza noc nauczyła go, że choćby nie wiadomo, ile myślał, nie przewidzi wszystkich przeszkód. Więc kiedy się pojawią, musi nauczyć się reagować spontanicznie. Spontanicznie i skutecznie.

Wszechświat nie dlatego rzuca mu kłody pod nogi, że chce, by Rudy zrezygnował (albo by go złapali!). Wszechświat naprawdę chce, by Rudy został lepszym złodziejem. Mistrzem w swoim fachu! I to jest prawdziwy trening przed nowymi wyzwaniami.

Kiedy Rudy wreszcie to rozumie, czuje się spokojniejszy. Złość opada (pomagają też wdechy i wydechy) i myśli jaśniej.

Musi po prostu kontynuować swój plan, wprowadzając na bieżąco modyfikacje. Jedną z nich będzie to, że zamiast się włamać do drugiego prowajdera, Rudy przemknie teraz do kibla. Na wszelki wypadek do damskiego, bo statystycznie po tej galerii w nocy kręci się więcej mężczyzn niż kobiet.

W kiblu zaczeka, stosując ten sam trick co wcześniej, czyli uchylone drzwi, które nie będą nikogo zachęcać do sprawdzania kabiny. I będzie na bieżąco monitorował sytuację. Jeśli ten ktoś – ktokolwiek to jest – sobie pójdzie, Rudy może zaryzykuje włamanie do drugiego salonu. A jeśli nadal będzie się kręcił po alejkach, Rudy poczeka. W końcu ma już więcej niż pół torby towaru, i tak będzie z tego całkiem niezła kasa.

Musi też zmodyfikować sprawę zmiany koloru włosów. Nie może tego zrobić teraz. Albo przefarbuje się później, już po wszystkim, albo... No cóż, to będzie ryzyko, przyjść i wyjść stąd z rudymi włosami. Ale bez ryzyka nie ma życia, nie? To już nie jest powiedzonko babci, sam to wymyślił. I tego właśnie przeznaczenie usiłuje go nauczyć dzisiejszej nocy.

Rudy wstaje z podłogi, ostrożnie podchodzi do drzwi. Nie widzi ani nie słyszy tego kogoś, kto sprawdza sklepy, nie potrafi ocenić, gdzie on teraz jest. Więc wykorzystuje ten moment, żeby cicho i powoli przekręcić wytrych w drzwiach. Żeby mieć otwartą drogę.

Potem wraca po torbę. I czeka. Nadśluchuje. Bo kiedy tylko usłyszy, że ten ktoś przeszedł przez kolejne drzwi, ruszy.

Oblicza w myślach, ile ma kroków do kibla. To tuż obok, sąsiedni lokal. Dzięki tym wszystkim krzewom i sztucznym palmom Rudy bez trudu się tam prześlizgnie.

Szybko podnosi z podłogi torbę. Teraz będzie najtrudniejsze. Musi przemknąć do kibla, ale jeszcze wcześniej zamknąć zamek wytrychem. Nie może go zostawić otwartego, to byłaby jasna wskazówka, że ktoś tu jest.

Dłonie ma mokre od potu i wytrych się ślizga. Rudy przekłada metal do lewej ręki, a prawą starannie wyciera o džinsy. Musi zapamiętać, żeby następnym razem brać trochę talku. Chociaż nie! Talk zostawia wszędzie białe ślady. Cholera, Rudy musi wymyślić coś lepszego.

I nagle kątem oka rejestruje ruch. Schyla się, a potem na czworakach pełźnie za najbliższą szafkę. Zostawia pod drzwiami torbę. Jest czarna, nie wyróżnia się na ciemnej wykładzinie. Raczej nikt nie zwróci na nią uwagi.

Oświetlenie w sklepie jest wygaszone, a w alejce jasno świecą lampy, więc Rudy ryzykuje i wystawia głowę zza szafki. I zachłystuje się powietrzem.

Alejką idzie jeden ze strażników. Ale Rudy go nie zna. To żaden z tej trójki, którą wcześniej widział. Strażnik ma źle dopasowany mundur. Za krótkie spodnie i trochę za ciasną bluzę. Guziki napinają się na piersi.

Strażnik popycha przed sobą jakąś dziewczynę, nastolatkę, na pewno jeszcze niepełnoletnią. Dziewczyna ma usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką, trochę rozmazaną. Poza tym jej twarz jest biała, jakby pod skórą nie krążyła krew. Tylko oczy wydają się wielkie i ciemne. Wyglądają jak oczy myszy, którą



Rudy raz, jeden jedyny w życiu, złapał w pułapkę. Rudy wypuścił wtedy tę mysz, zwabił ją do słoika i wyniósł do piwnicy. Nic nie wskazuje jednak na to, żeby ten strażnik miał wypuścić dziewczynę. Trochę ją pcha, a trochę ciągnie, w każdym razie ona na pewno nie idzie z własnej woli. Mijają sklep prowadzący i znikają za zakrętem korytarza.

Tętno Rudego znowu skacze pod sufit. Jak tak dalej pójdzie, to się wykończy. Jeszcze jest za młody, zresztą nie po to zrezygnował z mięsa, biega i ćwiczy na siłowni, żeby umierać na zawał.

Rozgląda się jeszcze raz, a potem ostrożnie podnosi torbę i otwiera drzwi. Wychodzi, natychmiast przykuca, szybko przekręca wytrych w zamku. Dłonie nadal ma mokre, ale teraz o tym nie myśli. Schyłony, jak to robią w filmach pod ostrzałem kul, biegnie na ugiętych nogach do toalety. Wpada do środka.

I zamiast się schować, zatrzymuje się w miejscu. Gapi się na lustro nad pierwszą z brzegu umywalką. Ktoś napisał na nim szminką czerwoną jak krew: CO ZROBISZ, ŻEBY JĄ ODZYSKAĆ?

Jest jej zimno, boli ją noga i głowa. I chce siku. I jeszcze pić. A do tego coś tu śmierdzi, jakiś chemiczny smród taniego plastiku. Co za syf!

Ce przez chwilę nie wie, gdzie jest. I dlaczego potrząsa nią ta okropna matka Dory. I jeszcze pyta o córkę.

A potem sobie przypomina. Galeria handlowa, alarm przeciwpożarowy, Jakub, idiotyczne zachowanie Dory i ta jej głupia matka.

Która właśnie pyta, gdzie jest córka. A skąd Ce ma to wiedzieć? Przecież to nie ona jest jej mamuszką. Burczy coś na odczepnego i trze oczy. A matka Dory zostawia ją i odchodzi. Gdzieś w mrok supermarketu. Tak po prostu. I to tyle w temacie „nie bójcie się, pośpijcie trochę, ja będę czuwać”.

Nie żeby Ce się bała. Nie ma czego. W tym głupim supermarkecie nawet nie jest całkiem ciemno, po kilku sekundach oczy się przyzwyczajają i w poświacie z alejki Ce może bez trudu rozróżnić kształty regałów, a nawet zobaczyć, co na nich stoi. Więc widzi sterty tanich ciuchów. To pewnie one tak śmierdzą.

No i dobrze, że sobie poszły, Dory ze swoją głupią mamuszką. Bo chociaż może Dory przydałaby się Ce do jej gry – gry, której szczegółów Ce ciągle nie obmyśliła, bo usnęła – to była „najlepsza przyjaciółka” strasznie ją irytuje. No i nie będą powstrzymywać Ce przed znalezieniem Jakuba i zrobieniem wreszcie tych zdjęć. I pokazaniem ich całemu światu. Jak złapie zasięg.

Ce wstaje, przeciąga się. Ziewa. Wcale nie zamierza zachowywać się cicho. Jeśli Jakub pierwszy ją znajdzie, to jeszcze lepiej. Bo Ce nagle wie, co powie, gdy go zobaczy. Powie po prostu: zrobimy to tutaj czy znajdziemy jakieś bardziej zaciszne miejsce? Nie zna faceta, któremu nie opadłaby szczęką, gdyby usłyszał na przywitanie taki tekst. A fota z taką opadniętą szczęką: bezcenna!

Ale nikt nie nadchodzi. Ce powoli rusza między regałami. Mija dział kosmetyków i dział chemii, i dział pieluch. Musi napić się soku, w ustach ma tak sucho, że ledwo porusza językiem. A kto wie, może jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, język jeszcze dzisiaj się przyda. I nie tylko do mówienia.

Właściwie powinna najpierw pójść do toalety, ale soki są bliżej niż kibel. Znajduje półkę, sięga po karton. I nagle nieruchomieje, bo słyszy jakiś dźwięk zza regału z napojami. Ce ostrożnie odstawia sok i rozpiną górny guzik bluzy, po chwili namysłu kolejny. Poprawia włosy, obciąga spódniczkę, po sekundzie podciąga ją jednak wyżej. Żaden facet nie patrzy na ciuchy, za to na nogi – każdy.

A potem wychodzi zza regału.

I widzi tego drugiego. Tego kumpla Jakuba. Tego typa, który tak dziwnie się na nią patrzył przez szybę w sklepie.

Ce jest strasznie rozczarowana, że to nie Jakub. Ale to nic. Chudy koło ją do niego zaprowadzi. Ce po prostu powie, że musi z Jakubem pilnie porozmawiać, że ma mu coś ważnego do powiedzenia... Że na przykład... Nic nie przychodzi jej do głowy, ale to przecież nieważne. Każe mu zaprowadzić się do Jakuba i już.

Tamten nie od razu ją widzi. W supermarkecie jest ciemnowo, a chudy zajęty obalaniem browaru. Nie pierwszego, Ce widzi szereg pustych butelek na podłodze. Tylko dwie stoją, pozostałe leżą, a jedna, kopnięta przed chwilą, toczy się z cichym turkotem, który w pustym supermarkecie wydaje się okropnie głośny.

Ce potrząsa włosami. I dopiero ruch przyciąga uwagę typka. Odsuwa browar od ust i gapi się na nią, jakby wcześniej wieczorem nie widział jej przez szybę w sklepie.

– Cześć – mówi Ce. Słowa z trudem przechodzą przez wyschnięte gardło. Najchętniej wyjęłaby typkowi butelkę z ręki i sama łyknęła, ale trochę się brzydzi. Nie browaru, browar to nawet lubi, tylko koło jest jakiś obleśny, nie chciałaby dotykać tej samej butelki co on.

Tak czy inaczej nie doczeka się odpowiedzi. Typ cały czas się na nią gapi z butelką zawieszoną w połowie drogi do ust.

– Gdzie jest Jakub? – pyta Ce, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, bo milczenie typa ją drażni.

Koło nadal nie odpowiada. Powoli rozwiera palce i butelka z nich wypada. Uderza z hukiem o płytki i rozpada się na milion kawałków z ciemnego szkła.

Ce odskakuje, jest w samych skarpetkach i nie chce się skaleczyć. Do tego

butelka była prawie pełna i browar rozprysnął się dookoła. Kolo zachowuje się, jakby w ogóle nie zarejestrował, co się stało. Przez chwilę jeszcze patrzy nieruchomo na Ce, a potem rusza w jej kierunku.

Ce nie ma czasu, żeby zareagować. Typ – na pewno nieźle już nawalony tym całym piwem – jest okropnie szybki. Łapie Ce za rękę.

– Cześć, laleczko!

Zionie alkoholem i Ce chce się rzygać. Próbuje wyrwać rękę, ale to nic nie daje. Jak na takiego szkieletora kolo jest okropnie silny. Więc Ce odwraca głowę i mówi:

– Zaprowadź mnie do Jakuba.

Typ w ogóle nie słucha. Przyciąga Ce do siebie, centymetr po centymetrze. Pewnie mógłby to zrobić jednym szarpnięciem, ale najwyraźniej ten powolny ruch sprawia mu przyjemność. Nie spuszcza wzroku z dekoltu Ce. Po co ona w ogóle rozpiniała te guziki?

– Zaprowadź mnie do Jakuba! – Ce tym razem krzyczy. Efekt jest taki sam jak poprzednio. Typ jest już bardzo blisko, Ce czuje jego dotyk na całym ciele. Zaraz się porzyga!

A typ wsadza jej rękę pod spódnicę i szarpie za majtki. Ce chce się wyrwać, odepchnąć go, przytrzymać bieliznę, wszystko jednocześnie. Ale nie może, bo typ wolną ręką chwyta ją za gardło i ściska tak, że Ce robi się przed oczami ciemno, ciemniej, niż już jest.

– Zaraz cię zaprowadzę, nie szarp się, laleczko – szepcze kolo i śmierdzi jeszcze bardziej. – Tylko trochę się zabawimy. Bo wy, Polacy, to tylko praca i praca. A co to za życie bez zabawy, co?

Ce chce krzyczeć, wrzeszczeć. Ale też nie może. Dłoń zaciska się na gardle i Ce tylko skrzeczy, za cicho, żeby ktoś mógł ją usłyszeć. Zresztą tu nikogo nie ma.

Typ sięga jeszcze głębiej pod spódnicę i zrywa majtki. Ce czuje jego dłoń pomiędzy nogami. To boli, tak samo jak gardło.

I nagle Ce wie, że już dłużej nie wytrzyma. Więc puszcza. Czuje ciepłą strugę moczu na udach, potem na łydkach, a potem na stopach i w lureksowych skarpetkach.

Kolo odskakuje. Potrząsa z obrzydzeniem dłonią, którą przed chwilą trzymał

między nogami Ce. Kilka kropel trafia Ce w twarz.

– *Ty suka!* – wrzeszczy typ po rosyjsku. – Obszczałaś mnie. *Suka!*

Struga moczu przestaje lecieć po udach Ce tak nagle, jak zaczęła. Ce nie wie, co ma zrobić. Nigdy jeszcze jej się to nie przytrafiło, nigdy! Dżizas, dobrze, że tu nikogo nie ma. Że nikt nie widzi, że Ce, gwiazda Insta, zlała się na podłogę jak dziecko!

To nie najlepszy moment na wstyd. Bo typ znowu doskakuje. Ale tym razem Ce jest szybsza. Uchyła się, unika jego wyciągniętych rąk i rzuca do ucieczki między ciemnymi regałami.

## TERESA

Teresa patrzy w oczy swojemu odbiciu w pomazanym szminką lustrze nad umywalką. Ścisła mocno głowę w dłoniach. Myśli.

Nic nie wie. Nie wie, gdzie ten zboczeniec przetrzymuje Dorotę. Nie wie, czy już jej nie skrzywdził (DEATH1! DEATH1! Teresa ciężko przełyka ślinę i z wysiłkiem odsuwa od siebie tę myśl). Nie wie, czego od nich chce, chociaż tego właściwie może się domyślić: zboczeniec chce się pozbyć filmu, który dziewczynki jej pokazały, tego, na którym handluje narkotykami. I jest jeszcze coś, o czym Teresa nie wie, a co jest najważniejsze. Nie wie, czy przy okazji zboczeniec będzie też chciał pozbyć się naocznych świadków.

Nie wie nic, a w każdym razie nic, co mogłoby się przydać. Nie wie na przykład, czy zboczeniec jest sam. Dziewczyny mówiły, że było ich dwóch, i dwóch majstrowało przy zamku tamtego sklepu, w którym się chowały, a potem ona, Teresa, widziała na własne oczy zwłoki jednego w boksie z kosmetykami. Ale zwłoki zniknęły...

Nie wie, czy w galerii są jacyś normalni, prawdziwi strażnicy. Wcześniej widziała, też na własne oczy, jak jeden z nich dyskutował ze zboczeńcami przy wejściu. Co się z nim później stało? Wpuścił ich i poszedł do domu? Był sam w tak ogromnej galerii? Jeśli nie, gdzie są inni? Ktokolwiek, ktoś, kto mógłby pomóc uwolnić Dorotę. Ktoś kompetentny, kto zna się na takich sprawach i umie postępować z przestępcami. Nie ktoś taki jak ona, zrozpaczona, rozhisteryzowana psycholożka z korporacji.

Łzy płyną jej po policzkach i mieszają się z tuszem do rzęs, który i tak już wcześniej rozpuściła woda.

– Co ja mam zrobić? – Teresa pyta znowu swoje odbicie w lustrze, ale odbicie, jak to odbicie, nie odpowiada.

Teresa zaczyna płakać coraz bardziej. Maże się jak dziecko. Policzki ma całe czarne od tuszu i nie robi nic, żeby je wytrzeć. Nie może wykonać ruchu. Może tylko łkać, zgięta w pół nad umywalką, i patrzeć na czarne krople spadające na

plastikową skuwkę szminki.

– Moje dziecko – jęczy. – Kurwa, moje dziecko...

Tusz szczypie w oczy i Teresa przyciska palce do powiek. Nos ma wilgotny, ledwo może oddychać. Dobrze wie, że płacz nic nie pomoże, że powinna działać. Tylko nie wie jak. Nie wie, od czego zacząć... Co zrobić...

Pochyla głowę i wsadza pod kran. Woda włącza się automatycznie, zimny strumień moczy bluzkę, ścieka za dekolt. Teresa obmywa twarz. W końcu podnosi głowę, wyciąga z suszarki kilka papierowych ręczników i wyciera się. Próbuje też wytrzeć włosy, chociaż to z góry skazane na niepowodzenie, zimne krople nadal skapują za kołnierz.

Teraz z lustra patrzy na nią inna Teresa. Ma czerwone plamy na skórze, a pod oczami szare kręgi od niedokładnie zmytego tuszu. Mokre włosy nadają jej wygląd przestraszonej myszy. Albo innego gryzonia.

Ale Teresie jeszcze nigdy w życiu nie zależało mniej na tym, jak wygląda.

Przez długą chwilę patrzy sobie w oczy w lustrze i próbuje z nich coś wyczytać. Widzi pustkę. I strach. A powinna widzieć determinację i złość. Przerazona niczego nie zdołała.

W końcu potrząsa głową, odwraca się i wychodzi z toalety. Bardzo powoli, bo jej ciało jeszcze nigdy nie wydawało się tak ciężkie.

Na korytarzyku, który prowadzi do głównej alei, widzi kamerę. Zatrzymuje się, wpatruje w czarne oko.

W alejce jest pusto. I cicho. Teresa nie widzi, żeby cokolwiek się zmieniło w czasie, kiedy jej życie waliło się w gruzy.

Teresa patrzy najpierw w lewo, potem w prawo, potem jeszcze raz w lewo, jak przy przechodzeniu przez jezdnię. Ale nie dostrzega żadnego znaku, żadnej instrukcji.

– Co mam zrobić! – krzyczy. A właściwie próbuje, bo z gardła wydobywa się jedynie skrzek. Odchrząkuje i krzyczy jeszcze raz, głośniejszym głosem: – Co mam zrobić?!

Nikt nie odpowiada.

Teresa rozgląda się bezradnie. Rusza przed siebie, po kilku krokach staje, pociera czoło. Nigdy go tu nie znajdzie. Zboczeniec schował się gdzieś z jej córką w tej wielkiej galerii i Teresa może równie dobrze szukać ich przez całą noc. A rano, kto wie? Może zboczeniec się znudzi i zabije Dorotę? Może

wcześniej znajdą go strażnicy i zboczeniec zabije Dorotę? Może jak tylko pracownicy galerii zobaczą napis na lustrze i otwarte sklepy, wezwą policję i wtedy zboczeniec zabije Dorotę? Każdy scenariusz, który pojawia się w głowie Teresy, kończy się śmiercią córki.

– Gdzie jesteś?! – krzyczy jeszcze raz. – Co mam zrobić?! Czego ode mnie chcesz?!

Wydaje jej się, że słyszy jakiś odgłos od strony supermarketu. Zatrzymuje się i nadśluchuje, jednak dźwięk się nie powtarza. To pewnie Cecylia, kolejna przestraszona dziewczynka, tylko chwilowo bezpieczna. Teresa powinna do niej wrócić, powinna się nią zaopiekować. Ale musi to wreszcie przyznać sama przed sobą: ma gdzieś, czy Cecylia się boi czy nie. Ona, Teresa, musi odnaleźć swoją córkę. To jedyne, co ją obchodzi.

I wtedy wpada na pomysł. Odwraca się na pięcie i biegnie z powrotem do toalety. Jej nogi już nic nie ważą. Chwyta z umywalki szminkę, otrząsa ją z kropel wody i wybiega.

Na korytarzu zastanawia się przez sekundę, a potem pada na kolana i pisze na podłodze wielkimi literami:

CO MAM ZROBIĆ?

Odchyła się, patrzy na napis, dźwiga się na nogi. Wybiega z korytarza do alejki i tam znowu pisze na podłodze to samo. Kilkanaście metrów dalej znowu. I znowu.

Nie potrafi powiedzieć, ile czasu upłynęło, kiedy znowu podnosi się z kolan. Wie tylko, że ze szminki pozostała sama obsadka i że zostawiła napisy w kolorze krwi we wszystkich ważnych punktach. Jeśli ten zboczeniec gdzieś tu jest – a musi być – prędzej czy później je zobaczy. I da jej znać.

Teresa stoi w głównym hallu, na wprost szklanej ściany wejścia, tam gdzie zbiegają się alejki. Tak łatwo byłoby złapać coś ciężkiego i rozbić tę szybę. Galerie na pewno mają alarm. Natychmiast pojawiłaby się ochrona, może nawet policjanci. Powiedziałyby im, co się stało. To przecież profesjonaliści, szybko znaleźliby Dorotę.

Martwą.

Teresa chowa twarz w dłoniach i stoi bez ruchu.

I omal nie umiera na zawał, kiedy słyszy głos.



## DOROTA

Drżą jej ręce, kiedy podaje mu telefon. Ale nie przestaje myśleć, że jest przystojny, nawet w tym głupim mundurze. Co nie zmienia faktu, że i tak się go boi. Ale nie może przecież siedzieć zamknięta w kiblu do końca życia.

To znaczy mogłaby. Bo przecież nie musiałyby do końca życia, wystarczyłoby do rana. Rano pewnie ktoś tu przyjdzie, jakaś sprzątaczką albo coś. I wtedy Dorota mogłaby zacząć krzyczeć, wołać o pomoc, walić w drzwi. Ktoś by ją w końcu usłyszał.

Tylko że wcześniej przyszedł jej do głowy ten pomysł. I Dorota wie, że na drugi taki świetny nie wpadnie choćby za milion lat.

Jakub przegląda jej komórkę. Potem oddaje telefon, a ona znowu nie może opanować drżenia rąk. Strasznie głupio to wygląda. Więc żeby odwrócić jego uwagę, Dorota podchodzi do lustra, na którym napisała wcześniej szminką CO ZROBISZ, ŻEBY JĄ ODZYSKAĆ?

– Posłuchaj – mówi do Jakuba.

Zatyka ją. Gardło ma kompletnie suche. Pochyliła się nad umywalką i nabiera dłońmi wody. Jakub czeka cierpliwie. Nie rusza się z miejsca, za co jest mu wdzięczna, bo ciągle się boi i nic nie może na to poradzić.

– Chcesz sprawdzić telefony mojej matki i Ce? – pyta w końcu.

– Ce?

– No, Cecylii, wiesz, mojej przyjaciółki.

Jakub kiwa głową.

– Wiem, jak je zmusić, żeby ci pokazały.

– Może wystarczy poprosić. Jeśli mnie do nich zaprowadzisz...

– Nie wystarczy!

Dorota jest tego pewna. Matka nigdy w życiu nie pokazałaby mu dobrowolnie telefonu, narobiłaby rabanu, wezwała strażników, a Dorota nawet nie chce sobie wyobrazić, jaki potem miałyby szlaban. Do końca życia. Albo

przynajmniej do osiemnastki.

– To nic nie da – tłumaczy. – Matka jest przewrażliwiona. No wiesz, narkotyki i takie sprawy.

Jakub znowu kiwa głową, rozumie.

– Ale jeśli będziesz udawał, że mnie porwałeś, to sama do ciebie przyjdzie. I zrobi wszystko, czego chcesz.

– Porwałeś? – powtarza Jakub.

Dorota widzi w jego oczach niepewność.

– Oj, no na niby! Powiedziałaś przecież: „udawał”.

– I co to da?

Rany, czy on nic nie rozumie? Matka z tą jej obsesją na punkcie bezpieczeństwa Doroty dostanie szału. Zrobi wszystko, czego Jakub zechce. A Ce? No, Ce będzie jej zazdrościć.

Bo przecież Dorota nie jest ślepa, widzi, że Ce zależy na Jakubie. I że zgodziła się na tę głupią grę (Dorota sama musi przyznać – pomysł z survivaliem w galerii handlowej w nocy był strasznie głupi), bo ma jakiś własny plan. A teraz okaże się, że Dorota i Jakub są razem, po jednej stronie. Ce się skreśli. I niech się skreśla! Dorota czuje, że to naprawdę nie jest już jej najlepsza przyjaciółka.

Tłumaczy wszystko Jakubowi. To znaczy bez tego kawałka z zazdrością Ce.

– Matka jest nadopiekuńcza. Jak się dowie o moim porwaniu, zgodzi się na każde żądanie. Gwarantuję ci!

– A skąd będzie wiedziała o porwaniu? – W głosie Jakuba nadal słychać powątpiewanie.

Dorota patrzy na lustro z wiadomością wypisaną krwistą szminką.

– Gdy się obudzi, zacznie mnie szukać, jestem pewna na stówę. I na pewno tu przyjdzie, bo wie, że ja... – Nagle się czerwieni. – No nieważne, przyjdzie. I zobaczy ten napis.

– I będzie myślała, że ja cię porwałem?

– No, a co? Przecież to jasne!

Jakub nie odpowiada i wcale nie wygląda, jakby to było dla niego jasne. Patrzy na lustro, potem w podłogę. Myśli. Dorota nie chce, by za dużo myślał.

Przecież jej plan jest perfekcyjny.

– No dobra, założmy, że udajemy, że cię porwałem. I co ma być dalej? – pyta w końcu Jakub.

– No dalej... Schowamy się gdzieś. I każemy matce przyjść tam razem z Ce i z telefonami.

– A jak się z nimi porozumiemy? Tu nie ma zasięgu, nie możesz do niej zadzwonić.

Dorota tego nie wie. Tak daleko jej plan nie sięga. Spuszcza wzrok.

– Dobra, coś się wymyśli – mówi Jakub. – To chodźmy.

Dorota na niego patrzy i widzi, że coś mu przyszło do głowy. Wolałaby wiedzieć, dokąd mają iść. Ale boi się zapytać. W ogóle nagle nie jest już taka pewna, czy to niby-porwanie i wzywanie matki to rzeczywiście dobry pomysł. Ale nie może się teraz wycofać. Jakub zabije ją śmiechem, Ce dowie się i zabije ją śmiechem, cała szkoła się dowie i zabije ją śmiechem.

Wciąga powietrze, prostuje plecy, podnosi głowę.

– To chodźmy – powtarza ostatnie słowa Jakuba.

– Tylko skoro niby cię porwałem, nie możesz tak sobie iść koło mnie. – Jakub się zastanawia. – To będzie niewiarygodne.

– To co chcesz zrobić?

– Cholera, najlepiej byłoby, gdybym cię związał. – Jakub klepie się po kieszeniach munduru. – Nie mam czym. Będę musiał cię tak prowadzić przed sobą, z ręką na plecach, jakbyś naprawdę chciała uciec.

Daje krok w jej kierunku. Dorota mimowolnie się cofa. Jakub się uśmiecha.

– Tylko ci pokażę, okej?

Dorota kiwa głową. Jakub podchodzi, chwyta za rękę i delikatnie wykręca na plecy. To nie boli, jest tylko trochę niewygodne i Dorota rzeczywiście nie mogłaby się wyrwać. To znaczy gdyby chciała.

– Może być? – pyta Jakub.

Dorota przytakuje. Nie przestała się bać, właściwie serce wali jej jeszcze mocniej. Ale może to nie ze strachu. Może to dlatego, że Jakub jest tak blisko.

– Wyjdziemy stąd. Przejdziemy powoli korytarzami. Zaprowadzę cię w miejsce, z którego będziemy mogli skontaktować się z twoją matką.

Dorota nie pyta, co to za miejsce, bo od tego łomotu serca prawie nic nie słyszy. Jakub trochę ją ciągnie, a trochę popycha w kierunku drzwi toalety. Wyprowadza ją na zewnątrz.

W alejce nie ma nikogo. Oboje, Dorota i Jakub, rozglądają się, ale widzą tylko puste, ciemne sklepy i wymyślne dekoracje. Te wszystkie udawane drzewa i krzaki zaczynają działać Dorocie na nerwy. Chciałaby wiedzieć, dokąd Jakub ją prowadzi, i chciałaby mieć pewność, że matka rzeczywiście do niej przyjdzie.

Ale teraz już za późno, żeby się wycofać. Zresztą przecież Dorota sama tego chciała, nie?

## ANDRIEJ

Andriej biegnie za cipą, za tą głupią suką, która na niego nasikała. Ciągłe nie może w to uwierzyć. Dziesięć razy wytarł rękę o spodnie, ale nadal czuje wilgoć między palcami. To suka! Urządziła go, ale on też ją urządzi.

Biegnie i trochę się zatacza. Strasznie go boli głowa, po prostu pęka, i piwo nic nie pomogło. Pewnie od tego uderzenia. Bo on, Andriej, stracił czujność i ten idiota Jakub mu przypierdolił. Ale dobrze. Andriej mu odpłaci.

Już nie wie, co ma zrobić najpierw. Złapać cipę czy szukać Jakuba, żeby mu spuścić wpierdol. Z jednej strony cipa nie ucieknie, galeria jest zamknięta, he, he. Z drugiej w sumie Jakub też nie ucieknie. A Andriej jakoś nie ma ochoty na zabawę w chowanego z żadnym z nich. Pewnie przez ten pękający łeb.

Widzi znak kibla i postanawia, że skręci tam na chwilę. Najpierw umyje ręce mydłem, co najmniej trzy razy i dokładnie między palcami. A później napije się trochę wody. Chociaż nie pamięta, żeby woda mu kiedykolwiek pomogła na ból głowy. Najlepszy byłby solidny klin, nie żadne piwo, tylko wódka albo spirytus. Andriej jest rozdarty, czy powinien najpierw gonić za cipą i za Jakubem, czy solidnie się napić. Ale najpierw umyje ręce i pozbędzie się wreszcie zapachu siuszków tej suki.

Skreca do krótkiego korytarzyka, który rozgałęzia się na część męską i żeńską. I wtedy przychodzi mu do głowy, że cipa mogła się tu schować. To dlatego znikła mu tak szybko z oczu!

Oczywiście cipy są za głupie, by myśleć, więc na pewno schowała się w damskiej. Zresztą, żadna różnica. Andriej sprawdzi wszystkie kabiny po kolei. Jest pewien, że w którejś ją znajdzie. A wtedy pokaże tej głupiej małej Polce, jak się bawią Rosjanie!

Otwiera kopniakiem drzwi. Wcale nie próbuje być cicho ani się skradać. Jeszcze czego! Chce, żeby cipa go słyszała i żeby się bała. Żeby siedziała w kabinie i trzęsała ze strachu tym swoim chudym tyłkiem, dopóki Andriej po nią nie przyjdzie i nie pokaże jej, do czego jeszcze, oprócz srania, może służyć

tyłek.

Zatacza się, znosi go na rzą� umywalek pod ścianą. Na lustrze nad jedną z nich, tą od wejścia, jest coś napisane. Andriej mruży oczy, litery rozmywają się w ostrym świetle jarzeniówek. To na pewno przez to uderzenie w głowę. Jak już Andriej załatwi sprawę z cipą, na poważnie zajmie się Jakubem, obiecuje mu to.

W końcu odczytuje napis. CO ZROBISZ, ŻEBY JĄ ODZYSKAĆ? Co to za pierdoły? Pewnie jakieś gówniary bawiły się, zanim jeszcze ogłoszono alarm. Andriej nie zamierza się nad tym zastanawiać, zresztą z tym łupiącym przy każdym ruchu łbem zastanawianie się jest trudne.

Podchodzi do umywalki, wsadza głowę. Woda zaczyna lecieć automatycznie, trafia go prosto w ranę. Andriej wyje z bólu, szarpie do tyłu i uderza raną o kran. Wyje jeszcze głośniej, zatacza się, a potem z rozmachem kopie umywalkę. Raz i drugi, i trzeci. Niestety umywalka jest porządna, nic się z nią nie dzieje, u nich w Rosji już by się rozleciała w drobny mak. Tylko woda przestaje lecieć.

Andriej znów się zatacza i wali pięścią w lustro. Tafla pęka, a z jego dłoni zaczyna kapać krew. Czerwone krople rozmywają się, kiedy uderzają w mokrą porcelanę.

Andriej klnie, wsadza kłyckie do ust, ssie. Ma ochotę coś rozwalić, coś zniszczyć. Cipa w kabinie może już zacząć się bać!

W końcu pochyla się i starannie myje ręce. Skaleczenie jest płytkie, właściwie to zadrapanie, krew przestaje lecieć i tylko sączy się spod skóry.

Potem Andriej odwraca się i przygląda kabinom.

Żadna nie jest zamknięta. Cipa udaje mądralę, co? Zostawiła uchylone drzwi, że niby jej tam nie ma, więc on nie sprawdzi i pójdzie dalej? Ale trafiła na cwane.

Andriej kopie pierwsze drzwi. Odbijają się z trzaskiem od ściany i wracają na miejsce. W środku jest pusto. Kopie następne i trzecie, też nic. Przymierza się do kopnięcia czwartych, gdy nagle łupie go w czaszce i aż się zgina w pół. Mruga, a kiedy obraz się wyostrza i Andriej próbuje się wyprostować, znosi go na bok. W końcu udaje mu się stanąć prosto. Jest wściekły i dlatego w kolejnego kopa wkłada całą swoją siłę, a ma jej sporo, nie to co te rachityczne Polaczki.

No i bingo. Drzwi nie odbijają się od ściany, tylko od czegoś miękkiego, co się za nimi znajduje. Od chudego tyłka tej głupiej cipy.

Andriej wpada do kabiny. I głupieje.

Bo zamiast cipy stoi tam jakiś facet z rudymi włosami. Też chudy i też trzęsie się ze strachu. W tym pieprzonym kraju są same tchórze.

Andriej chwytą go za kołnierz i wyciąga z kabiny. I wtedy dopiero dostrzega wielką czarną torbę. Wykręca rudemu rękę do tyłu, żeby nie uciekł, kopniakiem wysuwa torbę i schyla się, by do niej zajrzeć.

Kiedy się prostuje, wiruje mu w głowie i robi się czarno przed oczami. Wkurwia go to.

– Pan złodziej, co? – mówi i kopie rudego w goleń. Ten piszczy i zwija się z bólu.

Andriej nie musi go już trzymać.

– Fajny urobek – dodaje jeszcze i dla czystej przyjemności kopie rudego w biodro. Rudy zwija się w drugą stronę. – Dużo za to dostaniesz?

Chłopak milczy. Patrzy w podłogę.

– No, dużo? – Andriej szturcha rudego butem, ale nadal nie otrzymuje odpowiedzi.

Więc przymierza się do trzeciego kopniaka, ale kręci mu się w głowie. Opuszcza nogę, bo stojąc na dwóch czuje się pewniej.

– Chyba trzeba będzie wezwać ochronę – mówi. – Bo to nieładnie kraść.

Wcale nie ma zamiaru nikogo wzywać, po prostu strach rudego sprawia mu przyjemność.

Właściwie to cipa nie ucieknie. Jakub też nie. Więc Andriej z rozkoszą skopie tego strachajkę do krwi. Tak, żeby nie mógł się ruszać. Tak, żeby już nigdy nie mógł się ruszać.

Spluwa, bo czuje w ustach gorzki posmak, a potem przymierza się do kolejnego kopa. Najlepiej w głowę, chociaż fajnie byłoby też w gardło.

I wtedy słyszy głos.

## JAKUB

Jakub nie jest do końca pewny, o co chodzi tej dziuni. Dlaczego tak nagle zmieniła front i zamiast uciekać i kryć się po kątach, sama wylazła z kabiny, pozwoliła mu obejrzeć swoją komórkę i jeszcze wymyśliła, jak zwabić matkę i tę drugą panienkę. Jakub nie jest do końca pewny i właśnie dlatego nie bardzo mu się to wszystko podoba. Ale nie ma lepszego pomysłu. Musi załatwić sprawę z telefonami, docucić Andrieja i zmyć się stąd, zanim coś jeszcze się spieszy.

Chociaż nie, nie będzie cucił Andrieja. Przypomina sobie, że przecież miał zamiar zostawić go samego na parkingu, żeby znalazły go psy, kiedy już odkryją trupa. Nawet dał Andriejowi swoją komórkę. A swoją drogą, ten trup musi ciągle być w przymierzalni...

Jakub potrząsa głową. Powinien się skoncentrować. Teraz ma zadanie do wykonania. Trochę ciągnie, a trochę popycha dziunię, wykręca jej rękę do tyłu, lekko, żeby nie bolało, tylko wyglądało, jakby robił coś, czego ona nie chce. Dziunia próbuje zsynchronizować swoje kroki z jego, ale płaczą jej się nogi i jest sporo niższa. Więc nie idą szybko.

Koło food courtu skręcają w lewo, w wąski korytarz. Na drzwiach wisi tabliczka „Staff only”. Jakub cały czas się zastanawia, czy dobrze robi. I nie widzi innego wyjścia.

– Dokąd idziemy? – pyta dziunia.

Jakub nie zamierza tłumaczyć, bo się boi, że dziunia zacznie się wyrывać i wrzeszczeć. Chociaż gdyby teraz wrzeszczała i się wyrывała, może nawet wyszłoby to bardziej autentycznie. Wszystko jedno.

Odpowiada więc:

– Zobaczysz.

I popycha drzwi do stróżówki.

Czuje, jak dziunia sztywnieje. Ale nie wrzeszczy ani się nie szarpie. Zresztą Jakub na wszelki wypadek wzmacnia uścisk.

Obaj strażnicy siedzą na krzesłach, z nogami na biurku, kurtki mundurów są



rozpięte prawie do pasa. Na tym samym biurku stoją dwie flaszki, obie puste. Ochroniarze mają w ręku po puszcze piwa, a Jakub widzi jeszcze dwa sześciopaki obok nogi biurka.

– O, pan kolega młody – wita go jeden i unosi puszkę, jakby chciał wznieść toast. – Przyszedłeś się z nami napić? Zapraszamy, zapraszamy, jest tego dużo.

Jakub zatrzymuje się w progu. Musi mieć na twarzy wypisane „chlanie w pracy”, bo drugi strażnik dodaje:

– No co, specjalna okazja. Nowa galeria, trzeba oblać, inaczej będzie pech. Racja?

Jakub nic nie mówi, za to ten pierwszy strażnik przytakuje.

– No, ale chyba nas nie zakablujesz, kolego młody, co? – odzywa się drugi.

Jakub przecząco kręci głową. Wpycha dziunię do środka, zamyka za sobą drzwi.

– A co to za panienka? – pyta pierwszy strażnik. – Narzeczona wpadła pomóc w pracy?

Obaj parszczą śmiechem. Ten pierwszy opluwa mundur piwem. Zrywa się z krzesła i strząsa dłonią krople. Drugi nie może przestać się śmiać.

– Nie, to złodziejka – mówi Jakub. Czuje, jak ciało dziuni jeszcze bardziej sztywnieje, jednak nie zamierza poluzować uścisku. – Nakryłem ją na sklepie.

Bo oni chyba tak właśnie mówią, ci strażnicy. „Na sklepie”. A Jakub nie chce, by nabrali podejrzeń.

– Kolega młody, ale pracowity! – Pierwszy strażnik beka, a potem jeszcze raz wznosi toast piwem. – Gratulować.

– Ale, ten... – mówi drugi. – To przecież nie trzeba tak zaraz dzwonić na policję, nie? Można później.

Jego alkoholowy oddech czuć aż przy drzwiach, więc Jakub rozumie, o co mu chodzi. Ale wcale nie miał w planach wzywania policji.

– Można później – zgadza się ze strażnikiem. – Bo widziałem jeszcze dwie. Tylko mi uciekły i gdzieś się schowały.

– No patrz pan, kolego młody – dziwi się pierwszy. – Ledwo galerię otworzą, a ludzie kradną. Normalnie plaga jakaś, nie?

– To my koledze pomożemy – ofiarowuje się ten drugi. – Tylko najpierw

trochę tego. – Pokazuje ręką puste flaszki. – Musimy chwilę odpocząć.

– Ja mam inny pomysł – mówi Jakub.

Prowadzi dziunię do krzesła i ją sadza.

– Nie ruszaj się stąd – mówi.

– Kolega młody się nie boi, my pomożemy przypilnować. Taka ładna panienka!

Obaj strażnicy rechoczą, ten, który wcześniej opluł się piwem, opluwa się jeszcze raz.

Jakub widzi, że dziunia się boi. Ma rozszerzone oczy i płytko oddycha. Nie zauważa, kiedy Jakub do niej mruga. Więc nachyla się i mówi:

– Spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą.

Niewiele to pomaga, ale po chwili dziunia zaczyna oddychać wolniej i głębiej, chociaż nadal wygląda na przerażoną. Jakub odwraca się do strażników.

– Mamy tu taki jakiś mikrofon połączony z głośnikami na galerii? – pyta.

– Radiowęzeł?

Jakub przytakuje.

– Kolega młody mówi tak od razu. A pewnie. Każda galeria ma. Normalnie leci przez to muzyczka, ale jak trzeba, to się nadaje komunikaty, jak ten o tym pożarze.

Strażnik schyla się, sięga do szuflady i wyciąga mikrofon na okrągłej podstawce.

– Tu trzeba podłączyć z tyłu. – Pokazuje końcówkę kabla. – Do komputera. I potem w takim programie się przełącza. Dokładnie to ja nie wiem, nigdy tego nie robiłem.

Jakub sięga po kabel i schyla się do komputera pod biurkiem. Wcisną wtyczkę w gniazdko. Monitor się wybudza, od razu wyskakuje ikonka z mikrofonem. Jakub ją naciska, reszta jest prosta.

– Kolega młody się, widzę, zna – mówi z uznaniem ten drugi strażnik. – Może piwka?

– Za chwilę.

Jakub zerka na dziunię. Siedzi nieruchomo ze złączonymi nogami i dłońmi na kolanach, jakby już ją związał. Jeszcze raz puszcza do niej oko, ale wyraz jej

twarzy się nie zmienia. Sięga po mikrofon i zaczyna mówić.

## TERESA

Teresa podskakuje, kiedy rozlega się głos. Ale czego się spodziewała? Że zboczeniec zostawi jej na lustrze drugą wiadomość? Że tak sobie będą wymieniać pisane szminką liściki? Że nagle się przed nią pojawi?

W każdym razie nie spodziewała się tego, chociaż gdyby tylko była w stanie zebrać myśli, uznałaby, że to logiczne: w końcu galeria musi mieć jakiś system nagłaśniania, z którego leci ta cała słodka do porzygania muzyka.

Przez to wszystko nie słyszy pierwszych słów. Tylko:

– ...jeśli chcesz dostać ją z powrotem.

– Chcę – mówi szeptem Teresa. A potem krzyczy na całe gardło: – Chcę! Zrobię wszystko, czego zażadasz!

Nie ma odpowiedzi. Teresa rozgląda się, co jednak niczego nie zmienia. Stoi sama na skrzyżowaniu alejek w pustej, zamkniętej na noc galerii handlowej.

Przez chwilę ma wrażenie, że to wszystko jej się przywidziało: ten napis na lustrze i ten głos. Ale po chwili głośniki znowu dudnią:

– Zrobisz to, co ci każę.

Teresa kiwa głową. Nie wie, czy zboczeniec widzi ją przez kamerę. Nie wie, jak potwierdzić, że jest gotowa do współpracy.

– Idź teraz na główne patio. W miejsce, z którego rozchodzą się alejki. Masz na to minutę. Jeśli cię tam nie będzie za sześćdziesiąt sekund, twoja córka...

Głos się urywa. Teresa czeka na ciąg dalszy, a potem zrywa się do biegu. Przeklina wijącą się alejkę, bo buty ślizgają się, kiedy bierze zakręty. Dysząc, wypada na patio. Nie wie, ile upłynęło sekund. Ale chyba się wyrobiła.

Rozgląda się. Patio jest puste i ciche, alejki też. Na pewno są tu jakieś kamery ukryte w liściach sztucznych palm. Teresa nie wie, co dalej zrobić. Czeka. Czeka. I jeszcze dłużej czeka.

W końcu nie wytrzymuje. Klęka i ogryzkiem czerwonej szminki pisze na podłodze. CO MAM ZROBIĆ?

I znowu ma wrażenie, że to wszystko jej się przywidziało: ten napis na lustrze i ten głos. Ale po chwili głośniki znowu dudnią:

– Skasuj film w swoim telefonie.

– Nie mam go – mówi Teresa. Chociaż nie wie, z której strony obejmuje ją kamera, porusza wyraźnie ustami, jakby rozmawiała z kimś, kto musi czytać z ruchu warg. – Nie mam go. To Cecylia go ma.

Znowu rzuca się na kolana, żeby to napisać szminką na podłodze, na wypadek, gdyby ruch warg to było za mało. Ale nie pisze nic, waha się. Waha się, czy powinna to powiedzieć temu zboczeńcowi.

– Nie wiem, która z was nagrywała – mówi głośnik. – Ale macie go skasować, jasne?

Teresa otwiera usta, żeby odpowiedzieć, a potem je zamyka. Rzuca się na kolana, znajduje szminkę i pisze na sztucznym marmurze:

JASNE.

Podnosi głowę.

Cisza trwa bardzo długo. W końcu głośnik mówi:

– Nie wierzę ci.

Teresa ma wrażenie, że się przesłyszała. Pisze: NA PEWNO! OBIECUJĘ!

– Nie wierzę ci – powtarza głośnik. – Sam tego dopilnuję. Jeśli chcesz, żeby coś zostało dobrze zrobione, zrób to sam.

Teresa podnosi się z kolan.

– Co mam w takim razie zrobić? – pyta cicho, a potem podchodzi do liter, które napisała na samym początku. CO MAM ZROBIĆ?

– Przyrowadź ją do mnie. Tę drugą. Przyrowadź do... – Chwila ciszy. – Do tego miejsca, gdzie są restauracje. Czekał przed kratą.

Teresa znowu kiwa głową.

– Obie tam czekajcie. I macie mieć przy sobie telefony.

– Dobrze – odpowiada, chociaż pewnie nikt jej nie słyszy.

– Dziesięć minut. Za dziesięć minut chcę was tam widzieć. Bo jeśli nie...

Głos znowu się urywa. Teresie przemyka przez myśl, że albo mikrofon rwie, albo ten zboczeniec ma straszne upodobanie do dramatyzmu. Odpędza tę myśl. Teraz jest ten moment, kiedy naprawdę musi się skoncentrować.

Musi znaleźć tę debilną przyjaciółkę swojej córki i przyprowadzić ją do food courtu. I dopilnować, żeby wzięła ze sobą komórkę. To wszystko jest bardzo łatwe i Teresa nie potrzebuje nawet całych dziesięciu minut.

Cecylia pewnie ciągle śpi w supermarkecie. To znaczy Teresa ma taką nadzieję. Musi po prostu tam pójść, obudzić ją i opowiedzieć jakąś bajeczkę. Że przysłała pomoc albo coś takiego. To nie powinno być trudne.

Musi też uważać, by nie wpaść na tych prawdziwych strażników. Jeśli oni w ogóle gdziekolwiek są.

No i jest jeszcze jeden problem. Jej własna komórka nie działa, bateria padła. Teresa nie będzie mogła udowodnić zboczeńcowi, że nie ma filmiku. Nieważne. Po prostu odda mu telefon. Zrobi cokolwiek, on zechce. Zrobi wszystko, by odzyskać Dorotę.

Teresa czuje, jakby znowu rozpadała się w środku na dwie osoby. Ale tym razem to nie jest mroczna, przesadna Teresa i Teresa racjonalna. Tym razem jedna jest mądra i cyniczna, dojrzała, która niejedno już w życiu widziała, bo – umówmy się – nie ma dwudziestu lat. Ta Teresa mówi: przecież wiesz, jak to się skończy. Zboczeniec nie może zostawić świadków. Zabije was wszystkie, ciebie, Dorotę, nawet tę głupią Ce. Załatwi was. Po prostu nie chce mu się was szukać, chce, żebyście same do niego przyszły, jak jakieś pierdolone owce czy tam inne krowy do rzeźni. Złapał Dorotę, by cię zwabić. Nawet przez sekundę nie zamierza puścić jej wolno. Ani żadnej z was. To podstęp.

Za to ta druga, która jest naiwna, prostsza i o wiele młodsza od tej pierwszej, młodsza o co najmniej dwadzieścia lat albo może i o czterdzieści, jakby tamta była jej matką albo nawet babką, pyta: po co ma nas zabijać? Zrobimy, co chce, i nas puści. Nie zabije nas, bo to brudna robota. Zawsze są jakieś ślady. Nie będzie ryzykować. Pozbędzie się dowodów. Wie, że nikt nam nie uwierzy. Puści nas.

Starsza i dojrzała i – co tu dużo mówić – mądrzejsza Teresa przypomina sobie ciało tego drugiego zboczeńca. Zmasakrowaną, zakrwawioną twarz. Jego też zabił – mówi tej młodszej. Już jednego załatwił. Właściwie to dwóch, tego chłopaczka w przymierzalni też. Myślisz, że zawaha się przy was? Co to za różnica – dwa trupy czy pięć?

Ale ta bardziej naiwna, młodsza i bardziej przebojowa Teresa jej nie słucha.

Już nie. Wie, że zrobi wszystko, by odzyskać córkę. Wszystko.

## RUDY

Rudy się boi. Chyba nigdy w życiu tak się nie bał. Dreszczyk emocji, który normalnie czuje podczas swoich – perfekcyjnie przecież zaplanowanych – skoków, to nie strach. Dreszczyk emocji jest przyjemny, a strach boli. Bolał od niego mięśnie, żołądek, łupie w głowie, dławi w gardle. Serio, Rudy nie czuje kopniaków tego wariata. Ból strachu zasłania wszystko inne.

Ale jeszcze gorsze od bólu jest to, że już sam nie wie, czy los mu sprzyja czy nie. Czy to ostateczna kara i upokorzenie, czy kolejny test, który ma sprawdzić jego pomysłowość.

Zwija się z bólu na kafelkach łazienki. Widzi tylko buciory tego świra, bo świr chyba znowu przymierza się do kopniaka. Rudy podciąga kolana do brzucha, osłania głowę dłońmi.

I nagle słyszy głos.

Chwilę trwa, zanim docierają do niego dwa fakty. Po pierwsze, głos rozlega się z głośnika podwieszonego gdzieś pod sufitem. Dlatego niektóre słowa są niewyraźne, gulgotliwe. A po drugie, ktokolwiek to mówi i cokolwiek to jest, to nie do niego.

I dlatego nie rozumie, o co chodzi, chociaż podejrzewa, że to ochroniarze muszą wymieniać między sobą instrukcje. Głośnik mówi najpierw o odzyskiwaniu, a potem o kasowaniu plików. I o tym, że ktoś ma za dziesięć minut przyjść do food courtu. I jeszcze na koniec o jakiejś córce, może chodzi o tę córkę matki wariatki, ale z tego to Rudy w ogóle nic nie rozumie, bo transmisja urywa się w pół zdania.

Rudy nie ma pojęcia, o co chodzi, za to świr rechocze. W ogóle nie wygląda na kogoś, kto się boi, że ochroniarze mogą go tu nakryć. Raczej na ubawionego. Czka, zatacza się i jeszcze raz kopie Rudego, tylko już lekko, bez przekonania.

– Zbieraj się, złodziej – mówi. – Przejdziemy się kawałek.

Czeka, aż Rudy podniesie się z podłogi. A potem kopniakiem podsuwa mu torbę. Chwyta za kołnierz i wypycha na zewnątrz.



W alejce nikogo nie ma. Świr najwyraźniej wie, dokąd idą. Zbliżają się do food courtu, przed kratą skręcają w lewo, w korytarz z napisem „Staff only” na drzwiach.

Rudego bołą plecy i brzuch od kopniaków i strasznie go mdli. Nie ma siły dźwigać torby z telefonami. Ale boi się odezwać i zaprotestować.

Świr popycha drzwi na końcu korytarza, znowu łapie Rudego za kołnierz i prawie wrzuca do środka.

A tam siedzą ci, których ze wszystkich osób na świecie Rudy chciał najbardziej uniknąć dzisiejszej nocy. Ochroniarze.

Chociaż chyba nie stanowią wielkiego zagrożenia i na pewno nie zajmują się ochranianiem. Siedzą rozparci na krzesłach, z nogami na stole pełnym butelek. Tylko jeden z nich trzyma w ręku mikrofon i coś majstruje przy komputerze.

– O, pan Ukrainiec też do nas przyszedł – mówi jeden.

Drugi dodaje:

– Coś pan, też złapał jakiegoś złodzieja?

Ten trzeci, ten przy komputerze, mruczy tylko:

– No proszę, zmartwychwstałeś.

Rudy dopiero teraz dostrzega, że z tyłu kanciapy siedzi na krześle dziewczyna. Ta sama, którą Rudy widział wcześniej w alejce, ta z czerwonymi ustami, którą ciągnął i popychał trzeci strażnik. Teraz, z bliska, Rudy widzi, że dziewczyna nie ma więcej niż szesnaście lat i jest wystraszona. Czy to jest córka tej wariatki?

– Ale chyba nie na wódeczkę, co? – mówi tymczasem do świra jeden z ochroniarzy. – Bo wódeczkę to pan Ukrainiec już nam podpierdolił. Przez pana Ukraińca musieliśmy sobie przynieść nową z supermarketu. Jak otworzą po świętach, trzeba będzie uregulować.

– No – wtrąca drugi. – To trochę nieładnie, panie Ukrainiec, bo tu drogo. Może się pan dorzucisz, jak pan nam wygenerowałeś koszta.

Świr (Ukrainiec?) puszcza kołnierz Rudego, podchodzi do pierwszego ochroniarza, tego bliżej drzwi, i bez uprzedzenia uderza go pięścią w czoło. Ochroniarz zwała się z krzesła na podłogę i już się nie rusza. Ten drugi ma czas się poderwać, ale nic poza tym – pięść zboczeńca trafia go w gardło. Ochroniarz charczy, a potem oczy uciekają mu w głąb czaszki i upada koło tego

pierwszego.

Rudy czeka, aż świr zaatakuje trzeciego, bo trzeci najwyraźniej też nie zamierza się bronić. Ale nic takiego się nie dzieje. Świr klepie ochroniarza po plecach.

Ochroniarz zrywa się z krzesła, jakby tamten raził prądem.

– Jezu – mówi. – Andriej, coś ty narobił.

Przykłęka przy mężczyznach, sprawdza puls jednemu, potem drugiemu.

– Nic im nie będzie. – Świr rechocze. – Pośpią sobie. Na pewno są zmęczeni.

Trzeci ochroniarz, który tak naprawdę chyba wcale nie jest ochroniarzem, zwłaszcza że naprawdę dziwnie wygląda w za małym mundurze, przeciąga tamtych dwóch pod ścianę, układa w pozycji bocznej bezpiecznej, jak na kursie BHP.

Potem patrzy na Rudego.

– A to kto? – pyta.

– Złodziej. – Świr rechocze. – Zobacz, Kuba, ile towaru nakradł. Może się z nami podzieli?

Patrzy na Rudego, a kiedy nie dostaje odpowiedzi, przymierza się do kolejnego kopa. Strażnik (nie strażnik, w każdym razie koleś w mundurze) go odpycha.

– Już starczy, Andriej.

Tamten przez chwilę wygląda, jakby miał zamiar dla odmiany dokopać koledze. Ale po sekundzie odpręża się, wybucha rechotem i bierze sobie piwo spod stołu.

– A co to za śliczna panienka? – pyta.

Rudy widzi, jak oczy dziewczyny jeszcze bardziej rozszerzają się ze strachu, a twarz bieleje.

– To ta druga? – dopytuje świr. – Bo jedna mi przed chwilą zwała. Ale nie szkodzi, znajdzie się.

– Siadaj, Andriej – mówi niecierpliwie ten w mundurze. – I nie przeszkadzaj. Szybko skończymy i spadamy stąd.

Świr wali się na krzesło, teraz wolne, bo spadł z niego strażnik, i przechyła puszkę piwa do ust. Ten drugi majstruje przy komputerze. Na ekranie

wyświetla się widok z czterech kamer. Ten w mundurze wpatruje się w nie tak intensywnie, jakby zobaczył coś ważnego.

## JONASZ

Jonasz obiecał Marcinowi, że sprawdzi, co w galerii, ale tak między nami mówiąc, co tam się może dziać? Gdyby cokolwiek się wydarzyło, od tego są ochroniarze. Mają wbite w komórki bezpośrednie połączenie do agencji ochrony i do policji. A każde nieautoryzowane otwarcie drzwi natychmiast włącza alarm i ochroniarze, ci z agencji, przyjeżdżają w ciągu dziesięciu minut. Albo nawet szybciej, bo w nocy nie ma ruchu.

Jonasz najchętniej poszedłby prosto do domu, walnął się do wyra i pospał przynajmniej do dziesiątej rano. Dłużej nie może, musi iść do galerii (w pieprzoną niedzielę!) i rzucić na wszystko pańskim okiem. Wiadomo przecież, że jak nikt nie będzie pilnował robotników, to nie zrobią tych instalacji do środy, a wtedy to już naprawdę wszystko musi być na tip-top. Ale przecież nikt nie każe mu być tam o świcie.

Przeciąga się i myśli. Pokusa, żeby podać taksówkarzowi domowy adres, jest ogromna. Ale Jonasz zawsze jest tak cholernie obowiązkowy. Ziewa, myśli, że trudno i że jutro pośpi po prostu pół godziny dłużej. I każe się zawieźć do galerii.

Kiedy wysiada z taksówki, przeciąga się jeszcze raz. Płaci taksówkarzowi i prosi, by poczekał (a co tam, i tak weźmie to na firmę). Że tylko skoczy na minutkę coś załatwić i że zaraz wraca, i zrobią jeszcze jeden kurs. W samochodzie śmierdzi papierosami, chociaż taksówkarz, starszy facet, nie palił w czasie jazdy. Bez dyskusji kiwa głową, odchyła się na siedzenie i zamyka oczy.

A Jonasz idzie do głównego wejścia przez pusty plac z wyłączoną na noc fontanną i myśli, że jednak bez sensu tu przyjechał. Z zewnątrz galeria wygląda jak wszystkie budynki w okolicy: na opustoszałą. Tylko domy są ciemne, bo o tej porze (Jonasz spogląda na zegarek i stwierdza, że rany boskie!, jest już po drugiej) nie świeci się nawet w oknach. A w galerii przez szklaną ścianę sączy się światło. Kosztuje to majątek i gdyby to od niego, Jonasza, zależało, gasiliby na noc, może zostawiali tylko jakieś małe lampki awaryjne. Ochroniarze mają

przecież latarki, nie? Ale raz że przepisy, a dwa że prestiż: jak to by wyglądało, gdyby po zamknięciu galeria zamieniała się w grobowiec? Ma zachęcać do zakupów, nawet wtedy, kiedy nie można ich robić. Więc stąd światło w alejkach i na patio, żeby przez wielką szklaną ścianę można było podziwiać tę niesamowitą sztuczną dżunglę. No i oczywiście te wszystkie neony na froncie. Jonasz musi przyznać, że nawet ładnie to wygląda. Wesoło.

Noc jest piękna, jakby już było lato, w ogóle nie czuć wiosennego chłodu. Gdzieś niedaleko coś musi kwitnąć, bo w powietrzu nie czuć spalin, tylko zapach kwiatów. W sumie Jonasz jest zadowolony, przynajmniej może przejść się kawałek bez pośpiechu. Szkoda, że mieszka daleko, prawie na drugim końcu miasta, bo najchętniej wróciłby do domu piechotą. To byłby świetny relaks po takim ciężkim dniu. Lepszy niż siłka.

Zatrzymuje się przed szklaną ścianą, zagląda do środka. Wszystko wygląda, jak powinno: cisza i spokój. Tylko podłoga jest brudna: na środku patio widać wielką rozmazaną plamę, jakby ktoś coś napisał czerwoną farbą. Z miejsca, w którym stoi, Jonasz nie może odczytać napisu, ale i tak się wkurza. Przecież wynajęli firmę sprzątającą. Czy on naprawdę musi sam wszystkiego pilnować? Czy to tak trudno ogarnąć, że po całym dniu otwarcia galerii trzeba umyć podłogi?

Ale brud to tylko brud, a Jonasz zupełnie spokojnie zdąży jutro opierdzielić firmę sprzątającą, na czym świat stoi, a nawet wypowiedzieć umowę i znaleźć innych ludzi do roboty. Nie musi tego robić w środku nocy. Właściwie w tym momencie mógłby się obrócić i pójść do domu. Pojechać, poprawia się w myślach. Wziąć długi gorący prysznic, obalić jedno piwo, a może dwa (naprawdę nie zamierza jutro wstawać przed dziesiątą) i walnąć się do łóżka. Przed snem przeszkolować Facebooka, bo cały dzień nie miał na to czasu. I wreszcie porządnie się wyspać.

Ale Jonasz nic nie poradzi na to, że jest taki obowiązkowy. Chociaż nic z tego nie ma, co najwyżej kłopoty. Skoro obiecał Marcinowi sprawdzić, to sprawdzi, a nie tylko zajrzy przez szklaną ścianę.

Wzdycha, wyjmuje telefon i wybiera numer jednego ze strażników. Dowiadyuje się, że abonent jest czasowo niedostępny. Podobnie drugi i trzeci. Co jest, do diabła? Powyłączali te komórki? Przecież mieli wyraźnie powiedziane: cały czas włączone i cały czas przy sobie.

Jonasz naprawdę jest wkurzony. Miał nadzieję, że za pięć minut będzie już siedział w taksówce. Ogląda się. Auto stoi tam, gdzie stało, a w środku jest ciemno.

Jonasz musi się dostać do środka, ale przecież nie ma kluczy. Jeszcze by tego brakowało, żeby nosił przy sobie klucze do wszystkich obiektów, którymi zarządzają. Stuka w szybę. Najpierw delikatnie, później coraz mocniej. To grube szkło, na pewno nie pęknie od stukania.

Nic to nie daje. Nikt nie reaguje, nikt nie pojawia się w zasięgu wzroku. Galeria jest pusta, tylko sztuczne liście na szczytach sztucznych drzew poruszają się delikatnie, bo przecież klimatyzacji też nie mogą wyłączyć na noc, chociaż kosztuje więcej niż oświetlenie.

Jonasz czeka przez dłuższą chwilę (bo może strażnicy robią obchód gdzieś dalej i nie słyszą), a potem powtarza całą sekwencję. Najpierw wybiera numery do wszystkich ochroniarzy, potem stacjonarny, a potem wali w szybę, teraz już naprawdę mocno. Nic. Nikt się nie pojawia.

Pewnie nie robią obchodu. Chociaż mówił im wyraźnie: co najmniej dwóch ludzi cały czas na terenie obiektu. Co najmniej dwóch! I przez cały czas! Czy to tak trudno zrozumieć?

Ale ci ochroniarze nie wyglądali na bardzo inteligentnych i te cztery proste słowa okazały się dla nich najwyraźniej za trudne. Pewnie wszyscy trzej siedzą razem w kanciapie i oglądają pornosy na komputerze. Albo – co gorsza – chłają. Jeśli tak, pożegnają się z pracą jeszcze tej nocy. Jeśli Jonasz poczuje od któregokolwiek z nich chociaż molekułę wody, to – przysięga na wszystko! – wywali go z roboty szybciej, niż koleś zdoła powiedzieć „przepraszam”. Wezwie ochronę, zabezpieczą obiekt (trudno, firma zapłaci), a jutro znajdzie nowych strażników. W ten właśnie sposób jego plan, żeby w niedzielę dłużej pospać, a potem wpaść tu tylko na chwilę i rzucić pańskim okiem, idzie się jebać!

Jonasz odwraca się od szyby, przecina plac w kierunku taksówki. Płaci kierowcy za czekanie i go zwalnia. Kierowca nie jest zadowolony, w sumie kto by był. Dużo przyjemniej zarabia się, drzemiąc w ciepłym samochodzie, niż jeżdżąc po mieście i szukając o tej porze frajera. Ale Jonasz podejrzewa, że trochę mu tu zejdzie.

Znowu wyjmuję komórkę i dzwoni do firmy ochroniarskiej. Nie, nie mieli żadnego zgłoszenia od swoich strażników, wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Nie, nie włączyły się żadne systemy alarmowe, przeciwpożarowe też nie, to jest spokojna noc. Nie, niestety nie dysponują dodatkowymi kluczami, nikt im nie przekazał kompletu, klucze mają tylko strażnicy na obiekcie.

Jonasz z wściekłością wdusza czerwoną słuchawkę, chciałby cisnąć telefonem o ziemię. Co za burdel! Chyba Marcin naprawdę ma rację: za wcześnie otworzyli tę galerię. Nic nie działa!

Tyle że Jonasz nie byłby Jonaszem, gdyby nie potrafił pozbierać tego wszystkiego do kupy. Nie wyśpi się, nie zje, ale udowodni, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Zaczyna chodzić w jedną stronę, a potem w drugą, jak lew w klatce. Już nie czuje zapachu kwiatów ani tego, jaki to upojny wieczór. Czuje tylko wściekłość.

Przeszukuje internet, znajduje numer do pogotowia ślusarskiego. Niech tu przyjadą i włamią się do środka. Jonasz już dopilnuje, żeby obciążyć kosztami tych pieprzonych ochroniarzy!

Wybiera numer, naciska zieloną słuchawkę i odwraca się w stronę szklanej ściany.

Po drugiej stronie szyby kobieta, której nie zna i której nigdy nie widział na oczy, biegnie w jego kierunku.

Jonasz rozłącza się i czeka, aż kobieta podejdzie bliżej.

Ce ucieka. Podłoga na pewno jest z czegoś sztucznego, choć wygląda na kamienną, i Ce ślizga się w lureksowych skarpetkach, teraz mokrych od jej własnych sików. Ale nie zatrzyma się, żeby zdjąć skarpetki. Za bardzo się boi. Słyszy za sobą tupot nóg tego kola, tego kumpla Jakuba, który zerwał z niej majtki i omal jej nie udusił. I jego ciężki oddech. I przekleństwa.

Korytarz wije się i Ce ucieka dalej, za zakręt. Tupot i przekleństwa są teraz cichsze, jednak Ce wie, że ten potwór ciągle za nią biegnie. Jezu, jak to dobrze, że jest pijany! Ce nigdy nie biegała, a na WF zawsze przynosiła zwolnienia. Ma szczęście, dobrą figurę, nie musi się pocić, żeby świetnie wyglądać. Ale teraz jest cała mokra i nawet nie wie, czy to pot czy siuśki.

Najgorsze jest to, że nie wie, dokąd ma biec. Dory zniknęła, matka Dory też, a zresztą nawet gdyby gdzieś tu były, przecież nie dałyby rady obronić Ce. Ce nie wie, gdzie jest Jakub. I nie może tak biegać w nieskończoność. Już brakuje jej oddechu, w ustach ma sucho, płuca palą. Nogi są jak z drewna i Ce boi się, że za chwilę się przewróci.

I nagle zza załomu alejki wychodzi matka Dory. Ce wpada na nią całym impetem, prawie się przewracają.

– Co się dzieje? – pyta matka Dory i łapie Ce za rękę. Ce próbuje się wyrwać, ale matka Dory jest silniejsza, a Ce już w ogóle nie ma pary.

– Ten facet... – próbuje wykrztusić Ce, jednak z suchego gardła wydobywa się tylko skrzek.

– Mów, co się stało! – poganiana ją ta wariatka.

I wtedy Ce wybuchła płaczem. Całkiem jak małe dziecko. Całkiem jak ta dziecinna Dory, była „najlepsza przyjaciółka”, która zostawiła ją, Ce, samą w supermarkecie z jakimś zboczeńcem. Nie może opanować łez, nos wypełnia się gilami, musi je otrzeć dłonią, bo nie ma żadnej chustki.

Matka Dory stoi i patrzy. Ciągle trzyma Ce za rękę, ale nie robi nic, żeby ją przytulić albo otrzeć jej łzy. Wpatruje się w Ce, jakby miała wobec niej jakieś



plany. Jakby była lwicą, a Ce jakąś głupią antylopą!

Ce wciąga gluty, ociera jeszcze raz łzy wolną dłonią i zdaje sobie sprawę, że nie słyszy już za sobą tupotu stóp. Odwraca się. Nikt nie wybiega zza zakrętu.

Dlaczego ten zboczeniec jej nie goni? Przewrócił się? Umarł? A może usłyszał matkę Dory i teraz się skrada?

A matka Dory pyta:

– Czemu jesteś taka mokra?

Ce szlocha.

– Ten zboczeniec... – Słowa nie chcą przejść przez obolałe gardło.

– Coś ci zrobił?

Ce zastanawia się tylko przez ułamek sekundy, a potem kiwa głową. No bo przecież zrobił. I zrobiłby więcej, gdyby mu nie uciekła.

Twarz matki Dory tężeje, jakby zamarzła w dziwnym grymasie.

– Boli cię? Krwawisz? Możesz chodzić? – pyta.

Zdaniem Ce to dziwne pytanie. Jeśli matka Dory naprawdę myśli, że ten świr ją zgwałcił, powinna mówić o policjantach i lekarzu. I o pigułce „dzień po”. Ale Ce nie roztrząsa tego, nie teraz. Mruczy, że jest okej.

– To chodź ze mną.

– Dokąd? – udaje się wycharczeć Ce.

Znowu się szarpie. Matka Dory nie puszcza.

– Chodź. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Czy ona naprawdę nie rozumie? Tu nie ma bezpiecznego miejsca! Bezpiecznie byłoby tylko przy Jakubie, ale on gdzieś zniknął, został tylko ten jego zboczony koleżka!

I nagle Ce przypomina sobie odgłosy walki, które słyszały, siedząc pod kasą. I odgłos walącego się ciała.

Może ten wariat zabił Jakuba? Może zrobił to, bo Jakub nie był taki zboczony jak on, i teraz sam będzie je ścigał. Jedną po drugiej?

Ce nie wie, co ma zrobić. Właściwie najchętniej odruchowo wtuliłaby się w matkę Dory. Żeby się nią, Ce, zaopiekowała i jeszcze zorganizowała czyste ubranie, bo to zaczyna już śmierdzieć i w mokrych skarpetkach jest zimno w nogi.

Ale matka Dory stoi tak sztywno, że myśl o przytuleniu wylatuje Ce z głowy. Więc tylko charczy:

– Gdzie jest Dory?

Matka Dory przez chwilę nie rozumie, dopiero potem chwyta, że chodzi o córkę.

– No właśnie, w bezpiecznym miejscu. Ciebie też chcę tam zaprowadzić, Cecylio.

Ce słyszy w jej głosie coś, czego nie chce. Kłamstwo. Łgarstwo! I matka Ce nie patrzy na nią, tylko gdzieś w bok. Podobno jest psycholożką, tyle że kłamać to ona najwyraźniej nie umie.

Ce znowu się ogląda. Boi się. Po raz pierwszy tego wieczora i tej nocy czuje paniczny strach.

I do tego ma mokre nogi. Które śmierdzą.

Spogląda na dół. Matka Dory też, ale chyba nic nie widzi.

– Chodź – mówi. – Musimy już iść.

I ciągnie ją mocno za rękę. Ce się opiera, jednak nic to nie daje. Tylko się ślizga w zasikanych skarpetkach. Boi się krzyczeć. I boi się tu zostać. Ale boi się też iść, nie wiadomo dokąd i po co. Do tego matka Dory ma taką dziwną minę. Jakby... jakby... Jakby coś postanowiła.

Ce widzi na podłodze napis. Jest pewna, że wcześniej tu tego nie było. Koślawe litery wyglądają jak namazane czerwoną szminką.

– Co to jest? – pyta.

Matka Dory w ogóle jej nie słucha. Po prostu zaciska dłoń na ręce Ce i ciągnie.

I w ten sposób wychodzą na patio. Po drugiej stronie szklanej ściany jest miasto. Co z tego, że noc? Tam jest bezpiecznie! Powinny wywalić czymś szybę. Na pewno mają tu podłączony alarm, zaraz przyjedzie policja. I to się wreszcie skończy.

Tylko...

Tylko Ce miała plany. Zmontować kilka fot Jakuba, zrobić z nich Insta story. Jeśli Jakub jeszcze żyje... Ale przecież Jakub to Jakub! Jakiś pijany Rusek nie mógł go zabić, nie? To po prostu niemożliwe!

Tak, Jakub na pewno żyje, tylko Ce nie może kontynuować swojej gry tak jak teraz, rozczochrana, zasikana, z rozmazanym makijażem. Oł em dzi, to by była wtopa! Nigdy więcej by na nią nie spojrział. I na pewno całe liceum by wiedziało.

To już z dwojga złego Ce woli wezwać policję. Jak tu wkroczą, Jakub będzie się musiał martwić o własny tyłek. A resztę Ce rozkmini później. To jej zasada w życiu i jak dotąd nieźle się sprawdzała!

Ale matka Dory nie zatrzymuje się na patio. Ciągnie Ce dalej, w stronę food courtu. Aż do kraty zagradzającej wejście do restauracji i do rusztowań zostawionych tam przez robotników.

Ce nie wie, czego ona chce. Mogłaby już przestać ją ścisnąć tak mocno, bo to boli. Ce znowu się szarpie. Matka Dory odwraca się. Ma takie dziwne oczy, że gdyby nie trzymała jej za rękę, Ce dałaby krok do tyłu. A może w ogóle uciekła. Oł em dzi, ona ma oczy jak wariatka z horrorów.

I wtedy matka Ce z całej siły wali ją w twarz. Aż echo niesie się po pustych alejkach. Ce upada na kolana. W pierwszej chwili nie czuje nic, bo to szok, dopiero po chwili skóra zaczyna palić.

Ce nic z tego nie rozumie. Nic a nic.

A matka Ce podnosi głowę i krzyczy:

– Możesz przyjść i ją sobie wziąć! Tylko przyprowadź moją córkę!

## ANDRIEJ

Andriej właściwie jest rozczarowany.

Po pierwsze, Jakub w ogóle nie zareagował, kiedy on, Andriej, znokautował strażników. Nawet nie mruknął. I nie dał Andriejowi pretekstu, żeby jemu też dopierdolić. Teraz Andriej musi znaleźć taki pretekst sam.

Po drugie, ta stara cipa od razu na wszystko się zgodziła. Jakub jej powiedział, żeby przyprowadziła do food courtu tę sukę, która na niego, Andrieja, nasikała, a stara cipa od razu poleciała spełnić życzenie.

Za łatwo to poszło. Liczył na więcej zabawy.

Chociaż w sumie to było do przewidzenia. Suka zawsze broni swoich szczeniaków. No to ta mamuśka też. Tak ich broni, że nie używa mózgu (jakby cipy kiedykolwiek używały mózgu, ha, ha!). Więc żeby odzyskać córkę, spełni każde życzenie. A przecież powinna się domyślić, że jak przyprowadzi tę młodą sukę, to żadna z nich stąd nie wyjdzie. Już on, Andriej, tego dopilnuje. A na pewno nie ta, która go obsikała. Jeszcze żadna tak nie zrobiła i ta już na pewno więcej w życiu tak nie robi. Tego Andriej też zamierza dopilnować.

– Pójdę po nie – mówi do Jakuba. Jakub nie odpowiada. Wpatruje się w ekran monitora.

Andriej łapie przerażone spojrzenie cipy na krześle. Prawie o niej zapomniał. Podchodzi bliżej, nachyla się i obwąchuje ją jak pies. Cipa nie krzyczy (spokojnie, jeszcze będzie!), tylko gapi się na Andrieja rozszerzonymi oczami. Ładnie pachnie, strachem, ale też czymś więcej, trochę kwiatami, a trochę potem, potem młodej dziewczyny, która nie ma jeszcze zmarszczek ani obwisłych cycków, ani zwiotczałej skóry. Gdyby to zależało od niego, Andrieja, robiłby perfumy o takim zapachu.

Oczywiście prędzej czy później cipa zacznie pachnieć brzydko. Na przykład kiedy Andriej zaciśnie palce na jej gardle i puszcza zwieracze. Albo kiedy zacznie śmierdzieć rozkładem. Ale Andriej nie zamierza zostać w tym miejscu na tyle długo, żeby to poczuć.

Tylko na tyle długo, żeby się zabawić.

Andriej właściwie zaczęłyby zabawę już teraz. W spodniach ma twardo, jak już dawno nie miał. Jednak rezygnuje z tego pomysłu, bo tamte dwie nie będą czekać w nieskończoność. Najpierw obowiązki. To się podobno nazywa zasada odroczonej przyjemności czy jakoś tak. Dzieciaki, które rozumieją, że jak poczekają na cukrową piankę, to po półgodzinie dostaną dwie pianki, mają wyższy iloraz inteligencji i lepiej sobie radzą później w życiu. On, Andriej, też sobie nieźle radzi, na inteligencję nie narzeka i doskonale wie, że później będzie miał jeszcze bardzo dużo przyjemności.

– Zostaw ją – mówi Jakub.

Andriej chętnie by odszczeknął, że nie będzie mu rozkazywał jakiś Polaczek, gdy cipa wykorzystuje moment i odsuwa się razem z krzesłem aż pod ścianę. Andriej nie próbuje jej zatrzymać. Niech się boi, będzie jeszcze ładniej pachniała. Odwraca się do Jakuba i powtarza:

– Pójdę po nie.

– Lepiej ja pójdę... – odpowiada Jakub nieuważnie. Nie odrywa oczu od monitorów. Nie widać na nich cip, bo kamery koło food courtu nie są podłączone. Andriej nie widzi, co tam jest ciekawego. – Ciebie się przestraszą.

– A ciebie nie? – pyta Andriej. Szuka pretekstu, żeby przypierdolić Jakubowi, jakiegokolwiek, najdrobniejszego.

– Nie, bo ja wezmę ze sobą tę dziewczynę – tłumaczy Jakub, jakby w ogóle nie kumał zaczepki. – Ona im powie, że nie mają się czego bać. W końcu chcemy tylko ich telefony...

Andriej ma w dupie telefony, chce czegoś całkiem innego.

Zerka na rudego złodzieja, którego przyprowadził, ale to jakiś cienias. Stoi pod ścianą, ze spuszczoną głową i stara się nie oddychać. I dobrze, widać już czegoś się nauczył.

Andriej podchodzi do Jakuba. W sumie po co mu pretekst. Jak chce się komuś przypierdolić, to trzeba to zrobić, a nie czekać nie wiadomo na co. Wystarczy walnąć od tyłu w kark. Albo całkiem mu przetrąci, albo tylko trochę uszkodzi, w każdym razie Jakub na pewno nie pozbiera się szybko z podłogi. I nikt nie będzie już jemu, Andriejowi, mówił, co robić!

– Tam ktoś jest... – odzywa się powoli Jakub.

Andriej patrzy w monitor. Nikogo nie widzi.

– Za szybą – dodaje Jakub i Andriej dopiero teraz dostrzega ruch. Jakiś facet. Widać tylko zarys sylwetki, tylko tyle, ile oświetla światło padające przez szklaną ścianę z galerii.

– To pewnie nocny pijaczyna – mruczy.

– Chyba nie. Stoi już od dłuższego czasu.

– Jeden facet?

Jakub przychyła się bliżej do monitora.

– Trudno powiedzieć. Za ciemno.

– No to trzeba pójść i mu przypierdolić – sugeruje Andriej. Tej nocy przypierdolenie komuś wydaje mu się lekarstwem na wszystko.

Jakub nie zwraca na niego uwagi, co też jest wkurwiające.

– Jest w garniturze – mówi, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, w co ubrał się jakiś koleś pod drzwiami, i to w nocy. – To nie pijak.

Andriej widział już niejednego pijaka w garniturze, ale nie chce mu się gadać. Chce mu się walnąć Jakuba w kark, żeby się zamknął.

I wtedy facet podchodzi jeszcze bliżej, a blask z galerii oświetla go całego. Rzeczywiście jest w garniturze. W rękę trzyma telefon.

Wali w szybę. I wygląda, jakby spodziewał się, że ktoś mu otworzy. Jakby miał prawo tutaj być.

Teraz Andriej też nie odrywa wzroku od monitora. Facet w garniturze wali jeszcze raz, daje krok do tyłu i znika w ciemności, a potem znowu się z niej wyłania. Przykłada telefon do ucha. Dzwoni. Wybiera kolejny numer, znowu dzwoni. To powtarza się kilka razy. I nagle aparat stojący na biurku obok komputera zaczyna brzęczeć.

Andriej wyciąga rękę po słuchawkę.

– Nie odbieraj! – krzyczy Jakub i blokuje telefon ciałem. – Zwariowałeś?

Andrieja to wkurwia, to słowo, które sugeruje, że coś z nim, z Andriejem, jest nie tak.

– Bo co? – pyta.

– Bo to na pewno ten facet. Dzwoni do ochroniarzy. Co mu powiesz?

– Że wszystko w porządku. A może nie? – Andriej rechocze i ogląda się na

cipę na krzesle pod ścianą. Jej twarz jest biała, tylko oczy wyglądają jak dwie czarne dziury.

– Nie odbieraj – powtarza Jakub. – Może zrezygnuje i sobie pójdzie.

I telefon przestaje dzwonić. A zaraz potem facet znika.

Andriej słyszy, jak Jakub wypuszcza powietrze z ust, więc mówi:

– No i poszedł sobie. To ja idę po te cipy.

Wie, że Jakub nie lubi tego słowa. I dlatego wymawia je głośno. Chce, żeby Jakub obrócił się i skarcił go spojrzeniem, zawsze to robi, głupi pętaś. I wtedy, w czasie tego obrotu, on, Andriej, przypierdoli mu w kark, tak jak to wcześniej zaplanował.

Tylko nie doceniał tej głupiej cipy na krzesle.

Musiała go obserwować przez cały czas. Niby taka wystrachana, a jednak czujna.

Bo kiedy Andriej zaciska dłoń w pięść i podnosi rękę do ciosu, cipa krzyczy:

– Jakub, uważaj!

Jakub zatrzymuje się w pół obrotu. I dlatego Andriej nie trafia w kark, tylko w szczękę. Ale i tak dostatecznie mocno. Głowa Jakuba odskakuje do tyłu, a on sam zwała się z krzesła na podłogę. Zdaniem Andrieja odgłos, z jakim czaszka uderza o lastryko, jest bardzo przyjemny. No, teraz już są kwita. Przywalił Jakubowi tak jak on jemu, a nawet mocniej.

A jeśli chodzi o tę małą cipę, Andriej dochodzi do wniosku, że w sumie to od początku z nią powinien się zabawić, nie z tą drugą. Bo tamta suka potrafiła tylko na niego, Andrieja, nasikać. A ta jest odważniejsza, zrywa się z krzesła i wskakuje mu na plecy.

Nawet jest całkiem niezła. Chociaż przeraźliwie głupia. Ale w końcu wszystkie cipy są głupie, nie? Więc dlaczego ta miałaby być inna? Atak cipy tylko bawi Andrieja. Nawet dobrze nie czuje uderzeń jej pięści. Jakby próbowało go pobić dziecko, śmiechu warte.

No nic, cipa będzie musiała poczekać, bo on musi najpierw coś załatwić. Andriej jednym ruchem ręki ściąga ją sobie z pleców, a drugim przyciska palcem jej tętnicę szyjną. Wystarczy kilka sekund i cipa traci przytomność.

Andriej puszcza ją i cipa upada na podłogę, wydając podobny dźwięk jak

wcześniej Jakub. Andriej podnosi wzrok i przygląda się rudemu złodziejowi, który nie ruszył się ani na krok ze swojego kąta przy drzwiach.

– Tobie też dopierdolić? – pyta.

Rudy cofa się o krok. Wbija wzrok w ziemię i milczy. Mądry chłopak. Wie, że jedno słowo za dużo, w zasadzie w ogóle jedno słowo, i Andriej się nie opanuje. Ma od rana kiepski dzień, więc wszyscy powinni naprawdę uważać.

Kiedy Andriej jest już pewien, że rudy palant nie wykona żadnego niepotrzebnego ruchu, nachyla się nad mikrofonem, naciska guzik i mówi wolno i wyraźnie:

– Hej, ty, mamuśka. Słyszysz mnie? – Nie czeka, aż stara cipa da jakiś znak, na przykład pojawi się w polu widzenia kamer na patio. Mówi dalej: – Przed głównym wejściem stoi jakiś facet. Spław go. Bo inaczej wiesz, co się stanie z twoją córką.

Bierze wdech i dodaje:

– Po prostu coś wymyśl. Powiedz, że jesteś sprzątaczką i nie masz kluczy albo coś takiego. Tylko nie spieprz tego.



## TERESA

Boże, co ja robię, myśli Teresa. Czy ja kompletnie oszalałam?! Czy jestem tak samo niemoralna jak ci dilerzy?!

Chcę zaprowadzić do nich tę dziewczynę? Którą przed chwilą zgwałcił jeden z tych zboczeńców? Która cudem mu uciekła i przybiegła do mnie po ochronę? A ja tak ją chronię, że złapałam za rękę i przywlekłam tutaj? Żeby ją jeszcze raz zgwałcili? A potem zabili?

Naprawdę chcę oddać to dziecko zboczeńcom? Bo przecież to jest dziecko, tak samo jak Dorota i wszystko jedno, że ona, Teresa, tej całej Cecylii nie cierpi. Nie może tego zrobić! Nie może, nie może, nie może!

Debilna przyjaciółka córki patrzy na nią i wyraźnie się jej boi. Klęczy i trzyma jedną dłoń przy policzku. Między palcami widać czerwoną skórę.

Teresę zalewa fala wstydu i nienawiści do samej siebie. Jak mogła ją uderzyć?! Jak mogła coś takiego zrobić dziecku?

Robi krok do tyłu.

– Idź stąd – mówi.

– Co?

Rzeczywiście jest głupia, Teresa zawsze to wiedziała. Ale to niczego nie zmienia. Głupia czy nie, przecież to czyjeś dziecko. Jej matka co prawda ma w dupie, co robi córka, wyjeżdża sobie na dziesięć dni i nie interesuje jej, że dziewczyna chodzi samopas. Ona, Teresa, nigdy by sobie na to nie pozwoliła.

Tak, niezła z niej świętoszka. Która właśnie przed chwilą chciała przyprowadzić cudze dziecko do dwóch dilerów narkotyków...

– Spieprzaj – mówi głośniej. – Zjeżdżaj stąd czy jak wy tam mówicie. Tylko najpierw daj mi swój telefon.

Ce patrzy na nią i w ogóle się nie rusza. Nawet nie mruga.

– Telefon! – wydziera się na całe gardło Teresa. – Dawaj telefon i spierdalaj stąd! Już! Schowaj się gdzieś! I nie wychodź aż do rana! Schowaj się.

Ce powoli podnosi się z kolan, a potem wycofuje tyłem, krok po kroku. Nie spuszcza z Teresy oczu, jakby się bała, że matka przyjaciółki znowu ją uderzy.

– Daj mi telefon! – drze się jeszcze raz Teresa i przez ciało Ce przebiega dreszcz. Odwraca się i rusza przed siebie. – Telefon! Daj mi telefon! – krzyczy za nią Teresa. Ale Ce już znika za załomem korytarza.

Uciekła. Nie dała Teresie komórki. I teraz Teresa nie będzie mogła udowodnić, że nie mają filmiku tych zboczeńców. Nie będzie mogła odzyskać Doroty.

Teresa podnosi ręce, szarpie się za włosy. Opiera plecami o ścianę, a potem ugina nogi i osuwa na podłogę.

Siedzi tak, w ciszy, nawet nie płacze. Nie może. Próbuje myśleć, wymyślić jakiś plan B. Tylko taki nie istnieje. Kazali jej przyprowadzić Ce i oddać telefony. A Teresa nie ma ani jednego, ani drugiego.

Próbuje coś wymyślić, ale cała skupia się na nadsluchiwaniu kroków, które będą wyrokiem dla Doroty. Zamiast nich dobiega ją głos z głośnika.

– Hej, ty, mamuśka. Słyszysz mnie? Przed głównym wejściem stoi jakiś facet. Spław go. Bo inaczej wiesz, co się stanie z twoją córką.

Coś trzeszczy, następuje chwila ciszy. A potem głos odzywa się jeszcze raz:

– Po prostu coś wymyśl. Powiedz, że jesteś sprzątaczką i nie masz kluczy albo coś takiego. Tylko nie spieprz tego.

Jeszcze dwa trzaski i koniec.

Teresa powoli podnosi się z podłogi. Strasznie boli ją głowa, potwornie. Dałaby pół zawartości konta (a więc niespecjalnie dużo) za aspirynę.

Idzie powoli w stronę wejścia. Jest jeszcze w alejce, przed wyjściem na patio, a już widzi faceta za szybą. Wygląda na zniecierpliwionego.

Teresa bierze głęboki wdech i rusza truchtem w jego stronę.

To koniec udręki. To cud! Zaraz podbiegnie, wszystko mu wykrzyczy przez szkło. Poprosi, by zadzwonił na policję. Policjanci znajdą sposób, żeby dostać się do środka, przecież muszą mieć jakieś procedury na takie okoliczności. Złapią tych zboczeńców. Ocalą jej córkę. I wszyscy, szczęśliwi, pójdą do domu...

A wtedy głośnik gdzieś pod sufitem mówi:

– Pamiętaj, że twoja córka jest tu ze mną.

Teresa drętwieje. Zatrzymuje się. Nie może zrobić kolejnego kroku, nie może podejść do szklanej ściany.

Facet znowu stuka w szkło. Patrzy prosto na nią.

– Nie spieprz tego – mówi głośnik.

I milknie.

Teresa nie wie, co ma zrobić. Ma lodowate dłonie i stopy, gulę w żołądku, za to w głowie – pustkę.

Facet stuka jeszcze raz, a potem macha ręką. Widzi ją wyraźnie, nie rozumie, dlaczego do niego nie podchodzi. Za chwilę rozpęta się piekło. Teresa musi coś wymyślić, i to szybko.

Gwałtownie wciąga powietrze. Chociaż stoi tyłem do kamery, czuje na plecach wzrok zboczeńca. Patrzy na nią przez zespół soczewek, kabel i ekran monitora, a i tak włoski podnoszą jej się na karku.

I wtedy przypomina sobie o trupie, którego sama tu przywlekła i wrzuciła do fontanny.

Boże! Jak mogła być taka głupia?! Jak mogła w ogóle pomyśleć, że to dobry plan?! Jeśli ten facet za drzwiami zobaczy zwłoki i zadzwoni na policję, Dorota jest już martwa. Jak ten pieprzony nieboszczyk w fontannie!

Teresa rozgląda się. Przez chwilę nie rozumie, dlaczego trupa nie widać w kamerach, ale gdy przesuwają się kawałek, widzi, że hologram z meduzami zasłania im fontannę. Za to z przodu, od strony oszklonego wejścia, widok jest kompletny, *full frontal*.

Teresa musi coś zrobić, coś wymyślić. Szybko, bo facet przestępuje z nogi na nogę. Klasyczna mowa ciała. Zniecierpliwienie. Tylko jak zawsze, kiedy trzeba szybko wpaść na pomysł, głowa jest pusta.

Teresa wsuwa rękę do kieszeni. Wyjmuje gumę do żucia, którą dał jej ten rudy złodziej kilka godzin temu, chociaż Teresie wydaje się, że to było milion lat. Odwija kawałek z papierka i wkłada do ust. A potem powolnym krokiem idzie w stronę drzwi.

Zatrzymuje się dwadzieścia centymetrów od szkła. Stara się zasłaniać facetowi widok na fontannę. On pokazuje na migi, żeby otworzyła drzwi. Teresa pokazuje mu, też na migi, że nie ma klucza.

– Nie mam klucza! – krzyczy w stronę szklanej tafli. Nie wie, jakiej grubości

jest szkło i czy facet w ogóle coś słyszy.

Najwyraźniej tak, bo odkrzykuje:

– Proszę otworzyć drzwi!

Głos dobiega całkiem wyraźnie.

– Nie mam kluczy! – krzyczy jeszcze raz Teresa. I dodaje: – Ja tu tylko sprzątam!

– Pani jest sprzątaczką?! – pyta facet.

Teresa kiwa głową.

– I nie ma pani kluczy?!

Teresa kręci głową, tak energicznie, że na sekundę traci równowagę.

– Dlaczego?!

– Nikt nie daje kluczy sprzątacze! – odkrzykuje Teresa. Nie wie, czy to prawda. Ale facet też nie wygląda na takiego, co wie.

– To co pani zrobi, jak pani skończy?! Będzie tu pani siedziała do rana?!

– Stróż nocny mnie wypuści.

– A gdzie on teraz jest?

– A bo ja wiem? – Teresa macha ręką w kierunku za plecami. – Gdzieś tam.

Znowu ciamka gumą, miarowy ruch szczęk ją uspokaja. Jak to wszystko się skończy, chyba będzie musiała kupić sobie kilka paczek i żuć w pracy. Jeśli to wszystko się skończy...

– Pani go zawoła! – poleca facet.

Teresa odwraca się, rozgląda i bardzo pilnuje, żeby mieć przy tym bezradną minę. I żeby nie przesunąć się ani o milimetr z miejsca, w którym stoi i zasłania facetowi widok na fontannę i zwłoki.

Wypluwa gumę w garść i drze się na całe gardło:

– Jurek! Jurek! – Bo to pierwsze imię, jakie wpada jej do głowy.

Oczywiście odpowiada cisza.

– Jurek! – krzyczy jeszcze raz Teresa. – Jakiś pan cię potrzebuje!

Czeka przez chwilę, jakby rzeczywiście spodziewała się odpowiedzi. A potem wkłada z powrotem gumę do ust i odwraca się do drzwi. Wzrusza ramionami.

– Pewnie nie słyszy. To wielki teren.

– Jest tylko jeden strażnik?

Teresa znowu wzrusza ramionami. Nie wie, jak brzmi prawidłowa odpowiedź. Więc woli nic nie mówić.

Facet patrzy na coś w głąb galerii. Teresa czuje, że krew odpływa jej z twarzy. Powoli odwraca głowę. Na podłodze widzi wielkie litery napisane czerwoną szminką. Nawet z tej odległości może odczytać: CO MAM ZROBIĆ?

Wypuszcza powietrze z ulgą i mówi pierwsze, co jej przychodzi do głowy:

– Widzi pan, jak napaskudzili?! Nie wiem, czy to w ogóle zejdzie! Może różowe zostać!

– Co to za napis? – chce wiedzieć facet.

Teresa znowu wzrusza ramionami.

– Strażnik mówił, że jakaś gra miejska tu była na otwarcie! Albo coś, ja się tam nie wyznaję!

– Jaka gra miejska, do diabła?

Facet sięga po telefon, chwilę patrzy w wyświetlacz, a potem chowa aparat do kieszeni. Teresa żuje gumę i stara się wyglądać na znudzoną. Nie jest najlepszą aktorką świata. Pewnie wygląda raczej na śmiertelnie zmęczoną i przerażoną. Przypomina sobie o szarych kręgach źle zmytego tuszu pod oczami i liczy, że w tym świetle wygląda jak przepracowana i źle opłacana kobieta, która nie ma czasu o sobie dbać.

– I wszystko w porządku? – pyta facet, trochę bez sensu.

Teresie dudni w głowie tylko jedna odpowiedź. Nie! Tu jest dwóch zboczeńców, którzy polują na mnie i na moją córkę, i jeszcze na tę debilną koleżankę. Porwali Dorotkę i zaraz zrobią jej krzywdę. Niech pan ją ratuje! Niech pan zadzwoni na policję!

– Jasne – mówi. I na wypadek, gdyby facet nie dosłyszał, kiwa głową.

Ale on znowu patrzy na coś w głębi galerii.

– A co tam pływa w fontannie? – pyta.

– To... Ja nie wiem... To manekin jakiś albo coś. Chyba też z tej gry miejskiej.

Teresa czuje, że jej nogi robią się miękkie. Zaraz zemdleje. A wtedy facet na pewno wezwie pogotowie i Dorota umrze.

Bierze wdech, wypuszcza powietrze, zaciska dłonie w pięści. Dziwna

miętkość nóg ustępuje.

– To może pan spyta strażnika – mówi.

– No właśnie, chciałbym jednak z nim porozmawiać!

Teresa ponownie napełnia płuca i ponownie wypuszcza powietrze.

– On tu gdzieś jest. Jak pan poczeka, to może zaraz przyjdzie.

Facet milczy. Przygląda się Teresie. Ona ma wrażenie, że musi coś powiedzieć. Ale nie wie co. Więc gapi się na niego bez słowa. W końcu dla większości ludzi to niekomfortowa sytuacja. Może ten facet nie będzie wyjątkiem.

I nie jest. Przynajmniej na tyle przydaje się jej wiedza psycholożki.

– Gdy pojawi się strażnik, to niech mu pani powie, żeby natychmiast do mnie zadzwonił. Jonasz Wojnar. Ma mój numer wklepany w komórkę. Wszyscy trzej mają.

Teresa kiwa głową, ciamka gumą i udaje, że rozumie, choć docierają do niej tylko dwa słowa. „Wszyscy trzej”. Czyli gdzieś tu w galerii powinno być trzech prawdziwych strażników. Którzy mogą jej pomóc uratować Dorotę!

– Niech pani wraca do pracy – mówi ten facet w garniturze.

Nogi Teresy są ciężkie jak z ołowiu i Teresa nie ma nawet dość siły, żeby podnieść którąkolwiek z nich i przestawić w inne miejsce. Ale facet nie zwraca już na nią uwagi. Wpatruje się w ekran komórki i odchodzi.

W końcu Teresie udaje się odwrócić i powlec do końca patio, tam, skąd odchodzą alejki i gdzie nie widzą jej kamery ani gdzie nie zobaczy jej facet w garniturze, gdyby przyszło mu do głowy wrócić. Opiera się plecami o ścianę.

Trzech strażników. W tej galerii jest trzech strażników! A dilerów tylko dwóch. Jeśli Teresie uda się znaleźć ochroniarzy, może ma chociaż małą, maleńką szansę...

Czuje, że nie utrzyma się już dłużej w pionie. Musi gdzieś usiąść i spokojnie wszystko przemyśleć. Najlepiej będzie w kiosku biura turystycznego, ustawionym na samym początku alejki i zasłoniętym sztucznymi krzewami.

Krok za krokiem, na ołowianych nogach, Teresa podchodzi do kiosku. Ale nie wchodzi do środka.

Bo w środku leży ciało mężczyzny. W średnim wieku, przeciętniaka,

z brzuszkiem. Rozebrane do bielizny.

Teresa powoli osuwa się na podłogę. Chowa twarz w dłoniach.

Z tego, co się orientuje, właśnie zabiła własną córkę.

## RUDY

Rudy nienawidzi samego siebie. Jak mógł być takim tchórzem? Jak mógł pozwolić, żeby jakiś facet zrobił krzywdę kobiecie? Zresztą to jeszcze nawet nie kobieta, tylko dziewczyna, praktycznie dziecko. I on, Rudy, powinien był stanąć w jego obronie.

Tylko za bardzo się boi. Boi się bólu. Nigdy wcześniej nic go tak nie bolało jak wtedy, kiedy ten świr skopał go w kibelu. Rudy nawet nie wiedział, że może tak boleć. Nie chce, by to się powtórzyło. Zrobi wszystko, by tego uniknąć.

Dlatego spuszcza wzrok, wbija go w podłogę i próbuje wtopić się w ścianę. I nie odpowiada na pytanie Ukrainca, który ewidentnie szuka zaczepki.

Udaje się. Tym razem. Bo Rudy nie ma złudzeń, będzie jeszcze następny raz, może nawet kilka. Ale tym razem nie oberwał.

Co nie zmienia faktu, że nienawidzi siebie.

Za tchórzostwo, ale jeszcze bardziej za to, że nawet teraz nie może przestać myśleć o prześladowającym go pechu. O tym, dlaczego szczęście tak nagle go zawiodło. Czy to jakieś karmiczne koło? Zrobił kiedyś coś bardzo złego, co teraz do niego wraca? Ale to musiało być chyba w poprzednim życiu, bo w tym Rudy nie może sobie przypomnieć nic takiego. Przecież nie może chodzić o kradzież! Okrada tylko bogatych. Firmie Samsung czy innej ubędzie, jak on ukradnie dwadzieścia telefonów albo nawet pięćdziesiąt? Ktokolwiek to zauważy? Główni udziałowcy nie będą mogli sobie kupić po czwartym jachcie? Serio? Przecież to śmiechu warte.

Musi chodzić o coś innego. Rudemu przelatuje przed oczami całe życie. Próbuje sobie przypomnieć, gdzie nawalił. I nie może. Regularnie dzwoni do matki. Na poważnie chodził tylko z dwiema dziewczynami i rozstał się z nimi w taki sposób, że do dzisiaj są najlepszymi przyjaciółmi. Nie ma co prawda zwierząt (nie może ryzykować pozostawienia sierści na miejscu włamania, to naprawdę *level 101*), ale regularnie wpłaca pieniądze na hospicjum. Zawsze daje też na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy i napiwki w knajpach. Mówi



„dzień dobry” sprzątaczkom i ma szacunek dla ludzi ciężkiej pracy, takich jak nauczyciele albo kierowcy autobusów. Przeklina minimalnie, pije mało i tylko ze znajomymi, nie pali, nie bierze dragów. Więc dlaczego?

Wariat, który go skopał, przerywa te rozważania.

– Chcesz wpierdol? – pyta.

Rudy kręci głową. A właściwie głowa sama się porusza, bez jego, Rudego, udziału.

– To teraz masz być grzeczny – kwituje świr.

Ewidentnie czeka na odpowiedź.

– Do...dobrze. – Słowa z trudem przechodzą Rudemu przez gardło.

– Masz tu na mnie grzecznie poczekać. Ja za chwilę wrócę. Tylko pójdę i przyprowadzę tamte panienki.

Rudy nie wie, czy ma znowu przytaknąć, czy lepiej siedzieć cicho. Wybiera to drugie. Prawidłowo, jak się okazuje.

Świr podchodzi do telefonu stacjonarnego i jednym szarpnięciem wrywa kabel ze ściany. A potem chwyta mocniej aparat i uderza nim o biurko, raz, drugi, trzeci. Każde uderzenie to brzęk pustych butelek na blacie, ale – o dziwo (Rudemu nawet w takiej chwili przychodzą do głowy bzdurne myśli), żadna się nie przewraca. Przy czwartym uderzeniu na wszystkie strony tryska deszcz plastikowych części. Rudy kuli się. Boi się podnieść ręce, żeby zasłonić twarz.

Świr schyla się i wyjmuje z kieszeni strażnika, tego, z którym chyba był zakumplowany, a któremu i tak na końcu przywalił, coś, co wygląda jak klucz uniwersalny. Przy okazji kopie nieprzytomnego i jeszcze na niego spluwa. Rudemu robi się niedobrze na ten widok, ale nie chce nawet myśleć, co świr by z nim zrobił, gdyby teraz tu się wyrzygał.

A świr sprawdza, czy klucz działa przy drzwiach od kanciapy. Schyla się, rozrywa sześciopak z piwem i bierze dwie puszki. Jedną otwiera i wypija duszkiem, do dna. Odstawia puszkę, beka, ociera ręką usta i otwiera następną. Ale z niej już nie pije. Rudy rejestruje każdy jego ruch. W końcu świr wychodzi, nie zaszczycając Rudego nawet jednym spojrzeniem.

Rudy czeka, aż przebrzmi dźwięk przekręcanego w zamku klucza i kroki na korytarzu. A potem osuwa się na podłogę. Nie ma siły stać. Ani pomysłu, co zrobić dalej.

Dziewczyna porusza się. Wydaje cichy jęk, potem drugi. Rudy patrzy na nią, boi się przysunąć bliżej.

W końcu dziewczyna otwiera oczy. Przez chwilę Rudy ma wrażenie, że ona nie oddycha, aż wreszcie ze świstem wciąga głęboko powietrze. I natychmiast zaczyna kaszleć. Podrywa się do siadu, zgina w pół i zanosi suchym, szeleszczącym charkotem. Powinna napić się wody. Rudy chętnie by jej podał szklankę albo coś, ale jest tylko piwo.

Wreszcie dziewczyna się uspokaja. Prostuje plecy i dostrzega Rudego. I znowu się kuli.

Rudy unosi obie ręce.

– Spokojnie – mówi, chociaż sam nie jest spokojny. – Nic ci nie zrobię.

Dziewczyna patrzy na niego bez ruchu, dokładnie tak samo jak mysz złapana wtedy w pułapkę.

– Serio – dodaje Rudy. – Ja nie mam z nimi nic wspólnego.

– A kim... kim ty jesteś?

– Ja... To nieważne. Mnie też złapali.

Dziewczyna dotyka dłonią czoła. Wygląda, jakby nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje.

– Co... co się stało?

– Nie pamiętasz? Ten świr ścisnął cię za gardło. Myślałem, że cię udusi, a on najwyraźniej chciał po prostu odciąć ci dopływ tlenu do mózgu, żebyś straciła przytomność. To chyba profesjonalista, bo skąd inaczej by wiedział, co zrobić...

– Rudy sam słyszy, że ma słowotok, ale i tak nie może go powstrzymać.

Dziewczyna czeka, aż skończy, a potem na kolanach pełźnie do tego strażnika. Tego, który był kumplem świra, a jednak oberwał w łeb.

– Jakub... – Dotyka jego ramienia.

– On mocno oberwał – mówi Rudy. – Nie wiem, czy...

Dziewczyna nie słucha. Przekręca faceta, który ma na imię Jakub, na plecy, przytyka ucho do jego klatki piersiowej. Nietypowa, zdaniem Rudego, metoda sprawdzania, czy ktoś żyje, ale chyba skuteczna.

– Jakub! – dziewczyna potrząsa ochroniarzem. Który – Rudy dostrzega to dopiero teraz, bo wcześniej ze strachu niewiele widział – jest chyba trochę za

młody na ochroniarza. Wygląda góra na studenta. Więc kim on właściwie jest? Rudy nic z tego nie rozumie, tej nocy to najwyraźniej stan permanentny.

Dziewczyna rozgląda się, zostawia na chwilę Jakuba i podpełza do ochroniarzy. Prawdziwych. Rudy widział ich w południe, czyli jakiś milion lat temu. Dziewczyna sprawdza im puls i oddech i Rudy czuje wstyd, że sam o tym wcześniej nie pomyślał.

– Oddychają. – Dziewczyna odwraca się od niego. – Ale nie wiem, czy wszystko z nimi w porządku. Musimy wezwać pomoc!

– Nie ma jak. – Rudy pokazuje szczątki telefonu. – Ten świr go rozwalił.

Dziewczyna maca się po kieszeni, wyjmując komórkę.

– Też nie dasz rady. – Rudy macha teraz ręką w drugim kierunku. – Zniszczyli przekaźnik. Tu jest zbrojony beton, klatka Faradaya, żaden sygnał się nie przedostanie. Rozumiesz?

Dziewczyna chyba jednak nie rozumie, patrzy na niego całkiem nieruchomo. Nawet nie mruga. Wygląda to trochę upiornie. Rudy przetyka ślinę.

– A ten świr zamknął drzwi na klucz – dodaje. – Jesteśmy tu uwięzieni.

Dziewczyna powoli podnosi się z podłogi, przytrzymuje krawędzi biurka, jakby kręciło jej się w głowie. Potem podchodzi do drzwi i szarpie za klamkę.

Odwraca się do Rudego.

– Może byś spróbował kopnąć w zamek.

Chyba się naoglądała za dużo filmów!

– Zobacz, te drzwi otwierają się do środka – tłumaczy Rudy. – Nawet jak kopnę, nic nie da. Poza tym to grube drewno, trzeba by mieć jakieś narzędzia.

– Nie możemy tu zostać! – W głosie dziewczyny zaczyna pobrzmiwać piskliwa histeria.

Rudy wzrusza ramionami. Zaczyna się już godzić ze swoją karmą.

Bo przecież to jego wina. Dostał ostrzeżenie, jedno, potem drugie. I zlekceważył je. Tak bardzo chciał zrealizować swój plan, że był głuchy na to, co los do niego mówił. Wręcz wrzeszczał. A Rudy nie słuchał. Więc to, co się teraz dzieje, jest tylko naturalną konsekwencją.

Zgubiła go chciwość. A właściwie nie: zgubiła go chęć zrealizowania swojego planu za wszelką cenę. Pokazania, jakim jest świetnym złodziejem.

I udowodnienia, że może już brać się za bardziej ambitną robotę. Zgubiło go to, że nie wycofał się w porę, kiedy jeszcze mógł. Czyli pycha. Według starożytnych Greków najgorszy grzech: przekonanie o własnej wspaniałości. Jak uczy historia, każdy, kto zaczyna ją odczuwać, przegrywa. Więc Rudego w ogóle już nie dziwi to, co się dzieje. I szykuje się, że będzie musiał za swoją pychę zapłacić.

Dziewczyna coś krzyczy. Rudy otrząsa się z zamyślenia.

– Tam jest moja mama! Ten wariat ją złapie i zrobi jej krzywdę! Musimy jej pomóc!

– Wiesz – mówi Rudy powoli – to raczej twoja mama mogłaby nam pomóc. Skoro jest tam na zewnątrz. Miała szansę, ale z niej nie skorzystała. Przecież przed wejściem był jakiś facet. Mogła mu powiedzieć, co się dzieje. Ale ona spławiła go, tak jak jej kazali ci tutaj.

I patrzy znacząco na Jakuba.

– Co ty wiesz?! – krzyczy dziewczyna. Rudy już chce poprosić, żeby ściszyła głos, skoro on siedzi na podłodze metr od niej, jednak nie zdąża, bo ona wrzeszczy dalej: – Moja mama się o mnie boi! I dlatego zrobiła dokładnie to, co jej kazali!

Chowa twarz w dłoniach i szepcze:

– To wszystko moja wina. Boże, jaka ja jestem głupia!

Rudy ma ochotę dotknąć jej ramienia i powiedzieć, że czasem tak bywa, czasem nic się nie składa i los rzuca kłody pod nogi. Ale dziewczyna podrywa głowę. Patrzy na Rudego, jakby go dopiero teraz zauważyła.

– A ty w ogóle kim jesteś? Pracujesz tu?

– Można tak powiedzieć – odpowiada Rudy, bo przecież można, nie?

– No to chyba musisz znać jakiś sposób, żeby wezwać pomoc.

Rudy wzrusza ramionami. I jeszcze raz rozgląda się po kanciapie. Nie widzi nic, co mogłoby się przydać. Działa mikrofon podłączony do głośników w galerii (to znaczy chyba działa, świr go nie zniszczył), jednak komunikaty są słyszalne tylko wewnątrz obiektu, nie na zewnątrz. Krzesło na kółkach nadałoby się do rozwalania drzwi, jak jego, Rudego, głowa. Puste butelki też są do niczego. A w torbie jest co prawda pełno telefonów, ale może się nimi co najwyżej pobawić w domino – nawet gdyby miały aktywne karty (a nie mają, bo

Rudy kartami nie handluje), bez wzmacniacza nie połączą się do sieci. Podobnie jak własna komórka Rudego i dziewczyny.

Ten facet, a właściwie chłopak na podłodze, ten Jakub czy jak mu tam, lekko się porusza. Dziewczyna przysuwa się do niego. Bierze za rękę. Jeszcze raz przykłada mu głowę do klatki piersiowej, żeby wyczuć, czy chłopak oddycha.

– Jakub – mówi cicho. – Jakub, obudź się. Musimy coś zrobić. Jakub, słyszysz mnie?

Zdaniem Rudego nie da się nic zrobić. Czas na modyfikację planów był i minął. Bo on, Rudy, mógł w ogóle z tego zrezygnować już w momencie, kiedy nakryła go baba, której świsnął telefon. To było pierwsze ostrzeżenie, a on je totalnie zlekceważył. Mógł już wtedy odpuścić, w ogóle nie ciągnąć tego dalej, nie palić szlugów w kiblu, nie wywoływać alarmu, nie...

Urywa. Gapi się tępo na dziewczynę, gdy ta tarłosi Jakuba za ramiona, a potem – całkiem bezsensownie – klepie go po twarzy.

Rudy już wie, co mógłby zrobić, żeby wezwać pomoc.

## JAKUB

Jakuba strasznie boli głowa i naprawdę długo trwa, zanim przypomina sobie dlaczego. To znaczy tak do końca nie jest pewny. Pamięta tylko, że się odwrócił, by opieprzyć Andrieja, a potem już nic. Tylko ból.

Próbuje otworzyć oczy, ale razi go światło, mruga. Czuje, że ktoś dotyka jego policzka, potem ręki, potem czoła, potem znowu policzka. Trochę, jakby siadała na nim natrętna mucha, taka majowa, której nie można odgonić. Chce poruszyć ręką, ale to wydaje się zbyt skomplikowane. Więc koncentruje się jednak na otwieraniu oczu.

Kiedy już mu się to udaje, widzi sufit, a kątem oka głowę dziewczyny. Jeszcze sekunda i kojarzy, że to ta dziunia, której szukał po całej galerii. Kolejna sekunda i przypomina sobie wszystko. Spotkał ją w kiblu, pokazała mu, że nie ma filmiku w swoim telefonie, i wymyśliła coś, by zwabić jej matkę i tę drugą dziunię (choć Jakub bardzo się wysiła, nadal nie może sobie przypomnieć imienia tej koleżanki). Przyszli do kanciapy i on, Jakub, całkiem niezłe się dogadywał z ochroniarzami i zdołał wezwać matkę przez głośnik. I wtedy pojawił się Andriej. I wszystko się popieprzyło.

Jakub z wysiłkiem odwraca głowę i widzi ciała dwóch ochroniarzy na podłodze.

– Nie ruszaj się – mówi ta dziunia. Znowu dotyka na zmianę jego policzka i czoła, jak mucha. – Możesz mieć wstrząs mózgu. Może lepiej leż, dopóki nie zbada cię lekarz.

Jakub nie zamierza jej słuchać.

– Jaki lekarz? – Dźwiga się na łokciu. – Tu nie ma lekarza.

– Musimy go wezwać. Bo oni – dziewczyna pokazuje podbródkiem strażników – nie odzyskują przytomności i ja nie wiem...

Głos dziewczyny się załamuje, ale Jakub nie zamierza jej pocieszać.

– Gdzie jest Andriej? – pyta.

– Kto? – dziwi się dziewczyna.

– No, ten mój... znajomy.

– Ten, co cię walnął w głowę? Zamknął nas tu na klucz. I poszedł szukać mojej mamy...

Znowu załamuje jej się głos. Zaraz się rozryczy. Jakub nie cierpi, jak ktoś płacze.

Chociaż trochę dziewczynie współczuje. Ale jeszcze bardziej tej drugiej i matce, jeśli Andriej je znajdzie.

– Musimy iść za nim – mówi. Nie zależy mu tak bardzo na tych dziuniach, za to na ich telefonach, owszem. A nie ufa Andriejowi. Musi na własne oczy zobaczyć skasowane pliki i przejrzeć katalogi „wysłane” na wszystkich kontach.

Próbuje usiąść, jednak robi mu się czarno przed oczami. Dziewczyna chwyta go za ramię.

– Nie podnoś się – powtarza.

I wtedy odzywa się ten dziwny facet, ten, którego przyprowadził Andriej. Ten – Jakub to też sobie przypomina – złodziej. Z rudymi włosami, choć i bez tego wygląda jak wypłosz.

– Wiem, jak sprowadzić pomoc – mówi.

Przysuwa sobie wielką czarną torbę, wywala z niej rzeczy. A konkretnie setki telefonów bez opakowań, jeszcze z folią na wyświetlaczach. Najwyraźniej Andriej chociaż raz miał rację.

Ale rudy złodziej nie szuka telefonów. Z dna torby wygrzebuje zapalniczkę, taką w typie zippo. I paczkę fajek. Podsuwa im w wyciągniętej ręce.

– Dziękuję, nie palę – mówi mechanicznie Jakub. Nigdy nie palił. Albo się biega, albo się jara szlugi.

A teraz ma strasznie wyschnięte gardło. Marzy o łyku wody, niestety w kanciapie jest tylko piwo.

– Nie, nie rozumiecie – mówi złodziej, wyraźnie podekscytowany. – Jak zapalimy, to się włączy alarm. Tu są czujniki dymu.

Jakub zerka na sufit. Złodziej ma rację. Zresztą to logiczne, w tak wielkiej galerii czujniki muszą być dosłownie wszędzie.

– Pewnie będzie dzwoniło na zewnątrz – trajkocze złodziej. – Albo u firmy ochroniarskiej, przecież na pewno galerię ochrania jakaś firma. Wezwą straż

pożarną. Będą musieli tu dotrzeć, żeby sprawdzić, co się pali.

– Czekaj – mówi do rudego Jakub, bo ciągle jest oszołomiony po tym ciosie w głowę. – Poczekaj chwilę.

Próbuje zebrać myśli. Jeśli rudy zapali papierosy i włączy się alarm, przyjedzie straż pożarna. Wtedy odkryją Jakuba i Andrieja, i panienki. I Jakub nigdy nie dobierze się do ich telefonów.

– Zaczekaj chwilę – powtarza. – Nie rób tego jeszcze.

Próbuje się podnieść, kiedy znowu robi mu się czarno przed oczami i dziunia znowu kładzie mu rękę na ramieniu tym obrzydliwym, lepkiem gestem.

A złodziej nie czeka. Wkłada między palce lewej dłoni kilka papierosów, a prawą sięga po zapalniczkę. Chwilę trwa, zanim udaje mu się zapalić wszystkie bez wkładania ich do ust. Potem staje pod czujnikiem, na palcach i wyciąga rękę z papierosami wysoko do góry.

Stoi w tej niewygodnej pozycji, aż mu drętwieje ręka. W końcu mówi do dziewczyny:

– Za nisko. Pomóż mi przesunąć biurko.

Dziewczyna wreszcie odsuwa się i wstaje z podłogi. Jakub obserwuje, jak zestawiają na podłogę komputer, cały sprzęt i puste butelki. Biurko nie wygląda na solidne, ale rudy złodziej jest cherlawy, powinno go utrzymać. Wdrapuje się na blat i przytyka papierosy prawie do samego czujnika.

Dym powoli wypełnia kanciapę. Jakub czuje, że zbiera mu się na mdłości. Podobno kiedyś ludzie palili w pracy, w biurach, właściwie wszędzie. Widać to nawet na starych filmach, chociaż Jakub wątpi, żeby to było możliwe. Przecież normalnie można się porzygać.

Nic się nie dzieje. Nie włącza się żadna syrena ani inny alarm.

W końcu papierosy wypalają się. Złodziej rzuca je na podłogę, sam zeskakuje z biurka i starannie przydeptuje pety.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chce się włączyć – mówi. – Może za mało dymu.

Jakub nie sądzi, by to był powód. W kanciapie jest tyle dymu, że zaraz puści pawia, a w głowie kręci mu się jeszcze od uderzenia. Ale to dobrze, że alarm się nie włączył. Jakub nie ma ochoty tłumaczyć strażakom i innym ochroniarzom,



co robi nocą w zamkniętej galerii handlowej i co trzyma w bagażniku samochodu. Przy czym „nie ma ochoty” to eufemizm roku. Bo dziunie na pewno opowiedziałyby wszystko o filmikach. A za handel dają teraz od trzech do piętnastu lat. Jest za młody, żeby marnować życie w więzieniu.

Musi odzyskać kontrolę nad sytuacją, która tak potwornie się spieprzyła. Musi znaleźć tę drugą dziunię i matkę tej pierwszej, sprawdzić ich telefony i konta, a potem wydostać się z galerii. Ma w dupie, co się stanie z Andriejem, po prostu nie może pozwolić mu dopaść panienek, dopóki on, Jakub, nie dorwie się do ich telefonów.

Jeszcze raz próbuje podnieść się z podłogi, zatacza się, chwyta biurka stojącego teraz na środku. Dziewczyna chce go podeprzeć, ale Jakub odtrąca jej rękę. Da radę sam.

Powoli, robiąc przerwy na odpoczynek, ściąga mundur strażnika. Pod spodem ma własne dzinsy i szary podkoszulek. Dziewczyna gapi się na niego, a kiedy Jakub rzuca jej spojrzenie, odwraca głowę i czerwieni się, jakby ją przyłapał na podglądaniu.

Jakub podchodzi do drzwi, szarpie za klamkę. Odwraca się i widzi, że dziunia i rudy złodziej patrzą na niego wzrokiem „a nie mówiliśmy?”, co go jeszcze bardziej wkurwia.

– Ten... ten... On zabrał klucze – mówi dziunia, chociaż to oczywiste.

Jakub opiera się o ścianę i dotyka czoła. Jest wilgotne od potu. Ten debil Andriej musiał mu nieźle przyłożyć. Jakub jest na siebie zły także dlatego, że tak długo przymykał na wszystko oczy. Trzeba było wypieprzyć Ruska z roboty po pierwszym numerze, a nie czekać, aż wytnie ich milion, i na koniec spróbuje jeszcze jego, Jakuba, zabić.

Andriej zabrał klucz uniwersalny... Zabrał go z kieszeni Jakuba. Ale ci dwaj strażnicy, którzy rzeczywiście leżą cały czas bez ruchu i którym chyba rzeczywiście przydałby się lekarz, też przecież powinni takie mieć. Muszą.

Przytrzymuje się jedną ręką ściany, podchodzi do ochroniarzy, pochyla się i czeka, aż mu minie zawrót głowy. A potem maca po kieszeniach tego bliżej. I bingo. Klucz jest w spodniach. Andriej pewnie za bardzo się nawalił, żeby o tym pamiętać.

Jakub sunie powoli do drzwi. Trochę trwa, zanim udaje mu się włożyć klucz

w zamek i przekręcić. W końcu otwiera i wychodzi, bez słowa.

Dziunia biegnie za nim.

– Jakub! – woła. – Zaczekaj na mnie.

Wolałby nie. Tylko jest zbyt wypruty, żeby się od niej opędzać. Więc niech sobie z nim idzie, ostatecznie jakie to ma znaczenie.

A jednak ma. Ale to okazuje się dopiero później.

## TERESA

Teresa nie umiera, nawet nic ją nie boli, ale życie przelatuje jej przed oczami. Dzieciństwo, trochę zamglone, nic specjalnego. Sanki w zimie, jezioro w lecie, któregoś roku brak Teleranka. Jedna szkoła, druga szkoła, stanie z mamą, potem za mamę w różnych kolejkach, a potem nagle pojawienie się wszystkiego w sklepach. Studia, kiedy dopiero poczuła, że żyje. Wyjazd do Anglii na zmywak, magisterka, pierwsza praca, druga praca, trzecia praca. Poronienie, ciąża, Dorota, kolejna praca. Przedszkole Doroty, pierwszy dzień w szkole Doroty. Wszędzie Dorota, Teresa zniknęła, przestała istnieć. To już wtedy stała się Niewidzialną Kobieta, a nie dopiero po czterdziestce.

I potem nagle było z górki. Szklany sufit w korporacji, rozwód, nastolatka w domu. Notoryczny niedobór kasy, ciągle kłótnie i uczucie, że odpocznie sobie chyba dopiero w grobie. I uczucie, że przestaje istnieć, staje się coraz bardziej przezroczysta i niedługo nie zobaczy swojego odbicia w lustrze. I że przy życiu trzyma ją tylko Dorota.

A teraz Dorota może zniknąć z jej życia. Wtedy Teresa też zniknie. Nie umrze. Pęknie jak bańka mydlana.

I to wszystko jej, Teresy, wina.

Nie powinnam była pozwolić Dorocie tu przyjść, myśli. Nie powinnam była godzić się na przyjaźń z tą idiotką Cecylią. Powinnam była przenieść Dorotę do innej szkoły. Zorganizować więcej zajęć pozalekcyjnych. Wyprowadzić się do innego miasta. Do innego kraju. Na inny kontynent. Na inną planetę!

Ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Żyła z dnia na dzień, pozwalała, żeby rzeczywistość zjadała ją codziennie po kawałku, żeby jej kolory blakły, a kontury się zacierały, żeby jej wola stopniowo zniknęła każdego dnia. Pozwoliła sobie na bycie Niewidzialną. Nie zareagowała w porę, nie wyięła rzeczywistości siłą woli, tak jak Neo łyżkę w *Matriksie*. I dlatego straciła grunt pod nogami.

Nie płacze, bo nic nie czuje. Tylko odrętwienie. Zapada się w sobie coraz

bardziej. Skoro i tak ma przestać istnieć, równie dobrze może to zrobić już teraz.

Przypomina sobie, jak pierwszy raz trzymała Dorotę na rękach. Jej córka wyglądała jak mała małpka, w ogóle nie była ładna, już prędzej wzruszająca. I nie miała rzęs, wcale. To znaczy Teresa tak myślała, bo po kilku godzinach okazało się, że włoski były sklezione wodami płodowymi, a kiedy wyschły, Dorota zaczęła nagle mrugać dwoma czarnymi wachlarzykami. Główkę miała kompletnie łysą, ale te oczy...

Teresa podrywa się z podłogi. Do diabła! Przestań, ty cholerna idiotko, przestań! Znowu myślisz o swojej córce, o swojej jedynej córce w czasie przeszłym? Przecież jeszcze nie wiesz, że ona nie żyje. Że ci zboczeńcy zrobili jej krzywdę. Jeszcze tego nie wiesz! I nie będziesz wiedziała, dopóki nie zobaczysz na własne oczy. Więc rusz dupę, głupia krowo, i wymyśl coś! Wymyśl coś, póki jeszcze możesz. Bo potem będzie za późno.

Teresa ściska głowę w dłoniach tak mocno, że czuje, jak skronie pulsują. Myśl!

Zboczeńcy mają Dorotę. Kazali jej, Teresie, przyprowadzić Cecylię. A Teresa ją puściła. Nie potrafiła zdobyć się na to, żeby oddać tę idiotkę, tę irytującą gówniarę, w łapy zwyrodnialców. I Cecylia uciekła, i zabrała telefon.

Jeszcze mocniej ściska skronie. Myśl!

Nie potrafiła też zdobyć się na to, żeby powiedzieć tamtemu facetowi w garniturze przed wejściem, by wezwał pomoc. Bała się, że zboczeńcy pilnie ją obserwują przez kamery i że za jej najmniejszy fałszywy ruch zapłaci Dorota.

Myśl!

Dowiedziała się, że w galerii jest trzech strażników. A potem się okazało, że jednak dwóch. Bo jeden z nich został zamordowany. To pewnie dlatego dilerom udało się dostać do galerii, po prostu zabili strażnika, gdy stanął im na drodze. I stąd ten cały Jakub miał mundur!

Myśl!

Zabił strażnika. A potem zabił swojego kumpla, tego drugiego dilera. Jego ciało Teresa znalazła w kiosku przy supermarkecie. A co z pozostałymi strażnikami? Czy jak Teresa przejdzie się alejką i zajrzy do innych kiosków, znajdzie też inne zwłoki? To bardzo możliwe. To właściwie pewne.

Myśl!

Więc zostały w galerii same. One i ten cały Jakub.

Który porwał Dorotę. I zgwałcił Cecylię.

Teraz dopiero Teresa wszystko rozumie. Cecylia pewnie mu zwiąła i dlatego kazał jej, Teresie, ją przyprowadzić. Nie chodziło mu wcale (a w każdym razie nie tylko!) o telefony i skasowanie filmiku. To diler, zboczeniec, przestępca! On po prostu lubi krzywdzić ludzi. I ma zamiar skrzywdzić je wszystkie!

Ten zboczeniec, ten świr za chwilę przyjdzie do food courtu. Zobaczy, że nikogo nie ma. Wróci do Doroty...

Teresa zatyka sobie z przerażenia usta, chociaż nie powiedziała głośno ani słowa.

Zrywa się, zaczyna szybkim krokiem iść w tamtą stronę. Po sekundzie jednak się zatrzymuje.

To nic nie da! Jeśli przyjdzie sama, bez Ce, bez jej telefonu i ze swoim rozładowanym (zresztą Teresa rozumie już, że świrniętemu Jakubowi wcale niekoniecznie chodzi o telefony), to jeszcze tylko pogorszy sytuację. Zboczeniec skrzywdzi i zabije Dorotę, Teresę też, a resztę tej koszmarnej nocy spędzi na polowaniu na Cecylię.

Boże, co ona ma zrobić, co ma zrobić?!

Nie jest w stanie nic wymyślić, ale musi zdobyć jakąś broń. Jakąkolwiek. Jeśli chce ocalić córkę, nie da rady gołymi rękami.

Jedynym miejscem, gdzie może się w coś zaopatrzyć, jest supermarket. A konkretnie dział „dom i ogród”.

Teresa rusza alejką. Biegnie cicho, prawie bezgłośnie, chociaż może tylko to sobie ubzdurała, nie jest do końca pewna, bo jej serce wali. Teresa nie próbuje się ukryć. Nie ma czasu na takie zabawy.

Waha się chwilę przed oświetlonym pasem pustej przestrzeni przed rzędami kas. Ale nikogo nie widzi ani nie słyszy. Więc ryzykuje. Wpada między kasy i wypuszcza z płuc powietrze. W supermarkecie panuje mrok, Teresa czuje się bezpieczniej. Prawie jak pod kołdrą.

Nie ma już siły biec (przysięga sobie, że jeśli się stąd wydostanie, jeśli obie z Dorotą wyjdą z tego cało, będzie chodzić na siłownię i biegać, codziennie!), więc dalej idzie szybkim krokiem. Dochodzi do końca sklepu. Tam przystaje

między półkami.

Jest tu mnóstwo ostrych narzędzi. Noże i nożyczki, wiadomo, że kiepskiej jakości, nie nadają się do przyrządzenia sushi, za to można wbić je komuś między żebra. Tylko czy do tego nie potrzeba specjalnych umiejętności? Teresa ma bardzo ogólne pojęcie o anatomii człowieka, nie wie dokładnie, gdzie trzeba uderzyć, żeby unieszkodliwić na amen. Jeśli tylko zrani tego Jakuba, jeszcze bardziej go rozjuszy. Poza tym, żeby wbić komuś nóż w dowolną część ciała, trzeba stanąć bardzo blisko. Teresa wie o walce wręcz tyle co z filmów akcji, a i tak zawsze wołała romanse. Gdyby podeszła do tego zboczeńca na odległość wyciągniętej ręki (choć pewnie trzeba jeszcze bliżej, żeby wziąć zamach), unieszkodliwiłby ją w pół sekundy.

Lepsze rzeczy są w dziale ogrodniczym. Grabie i motyki na długich trzonkach. Ciężko nimi kogoś zabić, ale okaleczyć można. Znowu Teresa nie ma pojęcia, jak i gdzie uderzyć, żeby ten uderzony już nie wstał, nie wyrwał motyki, a jej samej nie okaleczył albo nie zabił.

Najlepiej wyglądają nożyce do żywopłotu. Mają ostrza chyba na pół metra i wyglądają na naprawdę mocne. Można je komuś wbić, można też ciachnąć. Takim sprzętem da się bez trudu uciąć palec. Ale szansa, że zboczeniec będzie stał nieruchomo i czekał, aż ona coś mu utnie, jest bardzo, bardzo mała.

Rozgląda się bezradnie, nie wie, co wybrać. Za to wie, że musi się pospieszyć.

W końcu zdejmuje ze stojaka motykę. Ma najdłuższy trzonek. Teresa niepewnie obraca ją w rękach, bierze zamach, markuje cios. Czy naprawdę da radę tym kogoś skrzywdzić?

Szuka jeszcze czegoś innego.

I nagle wszystko jest jasne. Bo tylko jedna rzecz zadziała na sto procent. Tylko jeden rodzaj broni, którego Teresa będzie potrafiła użyć na odległość i który gwarantuje stuprocentową skuteczność.

Niestety jest to jednocześnie broń, którą Teresa w normalnej sytuacji omijałaby dużym łukiem.

Ale dzisiejszej nocy nic nie jest normalne.

Więc dzisiejszej nocy Teresa z fascynacją myśli o tym, co normalnie wywołuje w niej panikę i senne koszmary.

Powoli zdejmuje z półki wielką butlę podpałki do grilla, a potem paczkę

zapalek. Po namyśle zostawia zapalki i siega po zapalniczke, taka typu zippo. Sprawdza, czy jest napełniona. Płomień tańczy koło jej dłoni, a ona wpatruje się w niego z fascynacją.

## ANDRIEJ

Andriej kładzie dłoń na rozporoku i pociera. Nie za mocno, nie chce skończyć, zanim zabawa na dobre się zacznie. Tylko tyle, żeby utrzymać się w gotowości. Tak długo dzisiaj czekał, ale może wreszcie się doczekał.

Sam nie wie, co go bardziej cieszy: perspektywa ukarania tej cipy, która na niego nasikała, czy perspektywa zabawy z tą drugą, która bardziej mu się podoba i która siedzi teraz zamknięta w kanciapie na klucz. Staje mu na myśl o nich obu.

Wychodzi z korytarzyka, rozgląda się. Nikogo nie widzi. Przed food courtem, gdzie łączą się alejki i gdzie część galerii z restauracjami oddzielona jest od reszty metalową kratą, nie ma nikogo.

Pewnie przyszedł za wcześnie. Dlatego nie może tak stać. W tym miejscu mogą go zobaczyć z daleka, a w każdym razie z dostatecznej odległości, żeby odwrócić się i zwiać. A jemu już się nie chce ganiać. Poza tym strasznie boli go głowa i ani piwo, ani nawet wódka nic nie pomogły. Musi znaleźć jakąś kryjówkę, z którego będzie mógł wyskoczyć zniemacka i zawołać: „a kuku”. Jak w horrorach albo filmach o psychopatach. Andriej często je ogląda.

Wejście korytarza prowadzącego do kanciapy znajduje się za daleko. A krata jest zamknięta na kłódkę. Wśród kluczy strażnika znajdzie się na pewno taki, co do niej pasuje, tylko to za dużo hałasu. Jak się poluje, nie można spłoszyć zwierzyny. Andriej co prawda nigdy nie polował, ale widział w telewizji, jak to robi Putin, a on na pewno się zna.

W takim razie pozostaje tylko rusztowanie z metalowych rurek na prawo od kraty, pewnie pozostałość po elektrykach montujących pod sufitem lampy albo kamery, albo cholera jeszcze wie co. Do środka rusztowania posadzone są jakieś wielkie panele. Jeśli się za nimi schowa, nie będzie go widać, a cipy podejną całkiem blisko...

Znajduje dobrą miejscówkę i czeka. Głowa boli go coraz bardziej. To przez Jakuba, przez to, że go wcześniej walnął. Andriej mu odpłacił, tylko chyba za



mało. Jak już skończy z cipami, pójdzie i odpłaci mu jeszcze raz.

Czeka. Czeka i czeka, i czeka. Nadśluchuje kroków albo dźwięków rozmowy, ale nie słyszy nic. Nie wie, ile czasu upłynęło, nie sprawdził na komórce godziny. Pewnie niemało. W głowie mu łupie i coraz bardziej go suszy. Za chwilę nie wytrzyma i będzie musiał się napić.

A cip ciągle nie ma.

Znaczy go olały. Nie przyszły. Znaczy mamuśce jest wszystko jedno, co się stanie z jej córką. Dziwne, widać nie wszystkie suki mają instynkt macierzyński.

Andrieja to nie obchodzi. Tylko nie lubi być olewany. To go strasznie wkurwia.

Czuje, jak serce mu łomocze i chyba pompuje adrenalinę, bo nagle łeb napierdala mniej, a Andriej czuje, jak rośnie w nim energia. Energia i wkurw. Nikt go nie będzie olewał! A już na pewno nie jakieś dwie głupie cipy.

Musi je za to ukarać, zwłaszcza tę młodą. Tę bezczelną sukę, która ośmieliła się na niego nasikać. Za to jest kara, kochanie. Wujek musi ci dać klapsa. I to takiego, że już nigdy się po nim nie podniesiesz.

I nagle Andriej wie, co zrobić. To przecież takie proste. Tylko na chwilę przestała go boleć głowa i od razu na to wpadł. W sumie mógł wcześniej, rozwiązanie miał cały czas przed oczami, ale był zajęty. Patrzył, a nie widział.

Wychodzi z tej idiotycznej kryjówki, przeciąga się i rusza przed siebie. Środkiem alejki i nie próbując zachować ciszy. Słyszy, jak podeszwy jego butów łupią o posadzkę. I dobrze. Niech cipy go słyszą. Niech się boją. Może wtedy znowu będą tak ładnie pachnieć, kwaśno-słodkim strachem.

Ma przy sobie klucze i mógłby otworzyć dowolny sklep. Ale Andriej idzie prosto do supermarketu. Bo to najlepsze miejsce, tam znajdzie wszystko, co potrzebne, żeby puścić tę całą pieprzoną galerię z dymem.

## RUDY

Wyszli i zostawili go samego, tak bez słowa. Ten chłopak, ten fałszywy strażnik, pozbierał się z podłogi i jak się okazało, strażnicy też mają w kieszeni klucz uniwersalny. Rudy mógł na to wcześniej wpaść. To kolejny znak, że dzisiaj z nim niedobrze: nie może myśleć pod wpływem stresu.

A poza tym nie lubi ludzi, którzy się tak zachowują. On sam zawsze stara się być w porządku i nie ranić uczuć innych. Oczywiście, powtarza sobie, to jest jakiś szemrany koleś i ta dziewczyna najwyraźniej też, Rudy nie jest tu po to, żeby się z nimi zaprzyjaźniać. Ale nieprzyjemne uczucie pozostaje.

Rudy włązi jeszcze raz na biurko i ogląda czujnik pod sufitem. Pozornie wygląda całkiem normalnie i nawet kiedy Rudy zdejmuje obudowę, nie widzi nic specjalnego, kable znikają pod tynkiem. Więc dlaczego nie zadziałał?

Mogli nie podłączyć kamer, monitorów i milionów innych rzeczy, jednak system przeciwpożarowy musi działać, zanim pierwszy klient postawi nogę w galerii. Bo inaczej straż pożarna urwałaby im jaja. Inaczej mówiąc – strażacy nigdy nie wydaliby zgody na otwarcie galerii. Zresztą wcześniej wszystko działało, już raz udało mu się włączyć alarm. Więc o co teraz chodzi?

Może było za mało dymu. Co prawda w kiblu numer z papierosami zadziałał, tylko może w kiblu montują bardziej wrażliwe czujniki, bo tam co i raz ktoś próbuje zajarać. Może tu, w kanciapie strażników, polecili po kosztach i zamontowali jakieś badziewie.

Rudy złązi ze stołu. Sprawdza puls ochroniarzom i prawie go nie wyczuwa.

Wstaje z podłogi. Wciąga głęboko powietrze, prostuje plecy.

Karma wraca, nie? Do niego wróciła za coś, czego nie zrobił albo może zrobił w tamtym życiu, albo po prostu nie pamięta. Ale jeśli zrobi coś dobrego, to też do niego wróci. Może nie dzisiaj (niestety, tak szybko to nie działa, inaczej po tym świecie chodziłyby same anioły), ale kiedyś wróci. Bo Rudy wie, że na szczęście też trzeba zapracować. I – chociaż to brzmi tak samo – wcale nie chodzi mu o takie szczęście jak z powieścideł. Tylko o pozbycie się pecha.

Więc on, Rudy, zrobi dzisiaj coś dobrego. Zamiast kontynuować swój plan (przecież może zabrać torbę z telefonami i gdzieś się zaszyć, już nie w kiblu, to jasne, tylko w jednym z setek sklepów, w życiu go nie znajdują), więc zamiast kontynuować swój plan, uratuje życie ochroniarzom. Bo patrząc na nich, nie jest pewny, czy jeśli zostaną tu do rana, bardziej przyda im się karetka czy karawan.

Uratowanie ludzkiego życia to duża rzecz, nie? A zwłaszcza kosztem własnych spraw. A nawet być może z narażeniem własnego życia (Rudy ze wszystkich sił odsuwa od siebie myśl, co będzie, jeśli ten świr znowu go dorwie). Rudy jest pewien, że to podziała. Ten skok może już spisać na straty, za to przy następnym poszczęści mu się bardziej, niż może to sobie wyobrazić.

Rudy sprawdza jeszcze raz, czy ochroniarze leżą w pozycji bezpiecznej bocznej (znajomość BHP to naprawdę *level 101* dla złodzieja), jednego przesuwając bardziej na bok, a potem wychodzi z pakamery. Zamyka za sobą drzwi, trochę bez sensu, ale to odruch. Idzie powoli korytarzykiem aż do kraty zamykającej food court. A potem rozgląda się i na palcach rusza dalej jedną z alejek.

Nikogo nie widzi, nikogo nie słyszy, co nie znaczy, że nikogo nie ma. Rudy trzyma się blisko ściany, chowa za tymi wszystkimi sztucznymi palmami i krzakami. Jeszcze raz z uznaniem myśli o projektantach wnętrza, pod kątem potrzeb złodzieja oczywiście.

Plan jest prosty: Rudy wznieci pożar. Ale tym razem nie zapali po prostu kilku fajek. Zrobi porządny ogień. Taki, którego żadne czujniki nie będą w stanie zignorować. Alarm rozdzwoni się tak, że będzie go słychać na najbliższej autostradzie. W ciągu paru minut przyjedzie straż i gdy nikt nie otworzy drzwi, po prostu się włamią. Od razu się zorientują, że to nie wadliwa instalacja, bo Rudy ma zamiar rozniecić ognisko dokładnie na wprost wejścia, na patio, naprzeciwko szklanej ściany.

Zaczną się zamieszanie, bieganie, rozciąganie węży, i tak dalej. W takim momencie nikt nie zapyta Rudego, co on właściwie robi w galerii. Na pewno spytaliby go później, już po wszystkim, i to nie strażacy, tylko policjanci, którzy też się pojawią. Ale Rudy nie zamierza tak długo zostawać. Zamierza podbiec do pierwszego strażaka z brzegu, wykrzyknąć mu w twarz (oczywiście odpowiednio dramatycznie), że w kanciapie są nieprzytomni ludzie, po czym się zmyć. Na dworze jest ciemno, wystarczy wyjść za drzwi i poza krąg światła

i już nikt go nie zauważy. Pójdzie sobie spacerkiem do domu.

Torbę zostawi w kanciapie. Czy zwał kradzież na strażników, czy nie, to już drugorzędne. Może uda im się przesłuchać te dziewczyny albo fałszywego strażnika, może oni im opowiedzą o jakimś rudym złodzieju. I co z tego. Pierwsze, co Rudy zrobi po przyjsciu do domu, to zmieni kolor włosów. I będzie nie do zidentyfikowania.

Problem tylko w tym, że Rudy nie ma sprzętu do wzniesienia dużego ognia. Z papierosów się nie da, zresztą w paczce zostały tylko cztery. We wszystkich sklepach na podłogach leżą sztuczne wykładziny, ale przepisy przeciwpożarowe wymagają zapewne, żeby miały niski współczynnik palności czy jak to się tam nazywa. Rudy nie zna dokładnie tych przepisów i może się mylić, jednak nie zdąży sprawdzić. Zresztą nie musi. Bo przecież kilka kroków dalej jest królestwo łatwopalnych rzeczy.

Rudy skrada się wzdłuż ściany w kierunku supermarketu. A konkretnie do działu „dom i ogród”, który powinien być pełen brykietów, rozpałek do grilla, płynów przyspieszających palenie i wszystkich innych rzeczy, jakich naród potrzebuje w długi majowy weekend i zresztą przez wszystkie inne weekendy lata też.

Wydaje mu się, że słyszy jakiś dźwięk, i zamiera, ale to było w tej drugiej alejce albo w ogóle się przesłyszał. Bez przeszkód dociera do supermarketu. Trochę się czai, zanim decyduje się przeskoczyć pustą przestrzeń do linii kas. Nikogo nie widzi ani nikt nie widzi jego.

W supermarkecie panuje półmrok, do wnętrza dociera tylko światło z alejek. Rudy idzie powoli, nie wykonuje gwałtownych ruchów i trzyma się blisko regałów. No i oczywiście uważa, żeby niczego nie zrzucić. No, taki *level 101* poruszania się na obcym terenie to Rudy ma już dawno opanowany.

Ce biegnie, ślizga się w mokrych, obsikanych lureksowych skarpetkach i szłocha. W nosie ma gluta, a na ręce, którą ociera twarz, ciemne smugi, pewnie cały tusz jej popłynął. Chciałaby się przejrzeć w jakimś lustrze i poprawić twarz. Może to i głupie myśleć o takich rzeczach, kiedy się ucieka, tyle że Ce jest wszystko jedno.

Ciągle się trzęsie na wspomnienie tamtego zbrodźcy. Ale chyba jeszcze bardziej na myśl o oczach matki Dory, takich zimnych, jakby się zastanawiała, co ma z nią, Ce, zrobić. I o tym, jak znienacka walnęła ją, Ce, z liścia. Do tej pory zawsze uważała matkę swojej „byłej najlepszej przyjaciółki” za głupią krowę, która nie może się opanować, żeby co chwila nie sprawdzać, co robi córunia. Tylko dzisiaj, przed chwilą, widziała coś innego. Widziała psychopatkę! I nie da sobie wmówić, że tylko tak jej się wydaje.

Więc biegnie, aż w końcu nie może wytrzymać. Zatrzymuje się przy jakimś krzaku, zdejmuje z nóg te śmierdzące, brudne skarpety i ciska je w ką. I biegnie dalej.

Nikogo nie słyszy i nikogo nie widzi. Zwalnia. Dyszy. Ma wrażenie, że zaraz wypłuje płuca.

Ciągle się boi. Ale czuje, że jest coraz bardziej wściekła.

To był taki dobry plan! Insta story o zakochanym w niej Jakubie zebrałaby milion lajków. I wszystko się pojebało.

To oczywiście wina tej idiotki Dory. Gdyby nie ona, Ce w ogóle by nie uciekała. Podeszłyby do Jakuba, kiedy zauważył, że nakręciła z nim filmik, i zagadała. Zaproponowałyby, żeby poszli na kawę i obgadali wszystko sami. Na pewno by się zgodził. Nie urodził się jeszcze chłopak, któremu Ce zaproponowała wspólne wyjście, a on odmówił!

I to też wina tej psychopatki, matki Dory. Bo wpięprzyła je w jakieś kluczenie i chowanie się. A trzeba było od razu załatwić sprawę.

Ce zaczyna głośno oddychać z wściekłości. Ma wielką ochotę wrzasnąć na

cały głos. Kurwa! Wszystko do dupy! A ona do tego lata teraz, zasikana, po galerii. Gdyby Jakub się pojawił...

Spokojnie, Ce, mówi sobie, tylko to nic nie pomaga. Już nie ogląda się za siebie i nie kryje się po kątach. Maszeruje środkiem alejki. Prosto do supermarketu.

Dopiero kiedy wchodzi między kasy i dalej, w mrok za regałami, zaczyna oddychać trochę spokojniej.

Zatrzymuje się, zgarnia z półki jakiś sok, otwiera karton, wypija duszkiem. Sok jest obrzydliwy, słodki, a poza tym nie ma innego smaku, ale Ce chce się pić. Rzuca opróżniony karton i zastanawia się, czym może splukać ohydny smak. Przechodzi do półki z piwem, łapie jedną butelkę, na szczęście to taka z odkręcanym kapslem. Przechyla ją. Piwo jest równie obrzydliwe jak sok, piana dostaje jej się do nosa. Ce krztusi się, pluje i parska. Przynajmniej to ją wreszcie uspokaja.

Dobrze. Najpierw pójdzie się przebrać. Ciuchy w supermarketach to najgorszy szajs, ale nie może już dłużej chodzić mokra. Z dwojga złego woli, żeby Jakub zobaczył ją w niemarkowej spódnicy, niż żeby czuł zapach jej siuszków. Potem znajdzie jakiś dezodorant i starannie się wysyka, skoro nie może się umyć.

A potem zobaczymy. Do rana jeszcze daleko, coś się wymyśli.

Ce rusza w stronę działu z ciuchami i dociera do niej, że nie jest sama. Ktoś tam łązi. W jedną stronę, a potem w drugą, jakby coś prznosił. Ce nie widzi wyraźnie w tym półmroku.

Chowa się za regałem i obserwuje.

## DOROTA

Jakub idzie szybkim krokiem, chociaż widać, że nie doszedł jeszcze do siebie po tym uderzeniu: co pewien czas się zatrzymuje, opiera ręką o ścianę i pochyla głowę. Nie powinien iść tak szybko, nie tak, żeby musiała za nim biec. Ale Dorota jakoś nie ma odwagi powiedzieć tego na głos.

Wychodzą z korytarzyka na rusztowania i na wejście do food courtu zasłonięte kratą. Dorocie trudno uwierzyć, że kilka godzin temu siedziała tam z Ce, jadła hamburgera i się śmiała. I że ciągle jeszcze wtedy myślała o Ce jako najlepszej przyjaciółce.

Przy kracie jest pusto. Dorota rozgląda się i widzi, że Jakub też to robi. Więc pyta:

– Gdzie one są?

– Nie wiem.

– Ale tu im kazałeś przyjść, prawda? To jest krata i food court i...

Jakub cmoka zniecierpliwiony. Dorota kuli się w sobie. Chociaż przecież miała być zajebistą, wystrzałową laską, a nie znowu bać się wszystkiego.

Na siłę prostuje plecy.

– No to gdzie są? – pyta.

– Jezu, nie wiem...

W tym momencie Dorotę oblewa przerażenie. Całkiem jak fala, jakby siedziała na plaży...

– A może ten... ten twój znajomy... – Nie może dokończyć zdania.

Po minie Jakuba widzi, że on myśli to samo. Podnosi ręce do ust. Na twarzy chłopaka znowu pojawia się zniecierpliwienie.

– Gdzieś je zabrał? – pyta Dorota.

– Słuchaj – mówi Jakub. Nie patrzy na nią, lustruje alejki rozbiegające się w dwie strony. – Jak będziesz tyle gadać, to nigdy się nie dowiemy.

Dorota opuszcza ramiona.

Jakub zagłębia w głąb jednej alejki, potem drugiej. Nic mu to nie da, alejki są kręte i nie widać ich końca, ale Dorota boi się już odezwać. Stoi nieruchomo i myśli o tym, jaka jest beznadziejnie głupia. Całkiem jak ta rybka z kreskówki! Naprawdę, Ce dobrze wymyśliła to przezwisko. Teraz przez nią, przez Dory, przez jej durny pomysł, coś mogło stać się mamie.

– Idę ich poszukać – mówi Jakub.

– Pójdę z tobą – natychmiast odpowiada Dorota.

Jakub wygląda, jakby chciał zaprotestować, ale w końcu nic nie mówi. Robi trzy kroki, a potem zawraca. Cofa się do rusztowania, które stoi obok kraty. Schyla się, podnosi metalową rurkę, taką mniej więcej długości nogi. Waży ją w dłoni.

– Czy ty chcesz...? Czy ty chcesz nią kogoś...? – pyta Dorota.

– Odczep się już z tymi pytaniami, dobrze? Jak chcesz ze mną iść, to bądź cicho.

Rusza przed siebie i wcale się na nią nie ogląda. Dorota nie wie, co ma zrobić. Najchętniej by się obraziła. Ale przecież to jej wina. Po co tyle gadała?

Poza tym chce odnaleźć mamę.

I pokazać Ce, że teraz to ona, Dorota, przyjaźni się z Jakubem...

Biegnie za nim.

Nagle Jakub zatrzymuje się gwałtownie i Dorota wpada na jego plecy. Jakub odskakuje na bok. Minę ma taką, jakby czuł do niej... Dorota nie wie, jak to nazwać. Obrzydzenie?

– Przestań tak ciągle się do mnie kleić – syczy Jakub przez zęby.

– Ja się wcale nie...

– Zamknij się i słuchaj. Andriej ma klucz uniwersalny, którym...

– Ten twój kolega?

– Jezu, przecież powiedziałem, żebyś siedziała cicho. Tak, ten mój kolega. Ma klucz uniwersalny. Mógł je zaciągnąć do każdego sklepu i tam się z nimi zamknąć, rozumiesz?

– Ale dlaczego mama miałaby z nim iść? I Ce.

Jakub przewraca oczami.

– Nie dobrowolnie. Czy ty naprawdę tego nie kminisz?



Dorota kmini. Tylko nie chce. Bo ta myśl jest zbyt straszna. Że ten... ten... że on...

– Więc będziemy szli powoli – mówi dalej Jakub. – I zagłądali do każdego sklepu. Ty idziesz po lewej, ja po prawej, okej? Jeśli zauważysz coś podejrzanego, cokolwiek, zaraz mi o tym mówisz.

– Ale... on mógł zabrać mamę do przymierzalni. I Ce...

– Coś podejrzanego! – Jakub znowu syczy. – Cokolwiek. Nie mówię, że będą siedzieć na widoku na środku sklepu, może po prostu coś zgubiły, torebkę, but. Albo zobaczysz jakieś ślady walki? Ciuchy czy inne rzeczy pozwalane ze stojaków, nie wiem...

– To mogli pozwalać klientom. Jak był alarm przeciwpożarowy i uciekali...

– Po prostu powiedz mi, jak zobaczysz coś dziwnego, okej? I ciągnij za każde drzwi. Może któreś są otwarte. Rozumiesz?

Dorota kiwa głową.

– To idziemy. Tylko ostrożnie i po cichu. I nadśluchuj, może coś usłyszysz.

Idzie przodem i nie ogląda się na Dorotę. Zatrzymuje się przy pierwszym sklepie. Oslania rękami twarz, żeby lepiej widzieć ciemne wnętrza, i zagłąda do środka.

– W ten sposób to on nas zobaczy – zauważa Dorota. – I wtedy się schowa. I nigdy nie znajdziemy mamy.

Nie dodaje już „i Ce”.

– Andriej jest pijany w trzy dupy – odpowiada zniecierpliwiony Jakub. – Nie będzie się chował. I nie sądzę, żeby był w stanie to sobie tak wykalkulować.

– Tak dobrze go znasz?

– Och, zamknij się już wreszcie i chodź!

Więc Dorota idzie. Robi to, co Jakub po drugiej stronie alejki: ciągnie za drzwi, zagłąda do każdego sklepu. Nic nie widzi oprócz pustych, mrocznych wnętrz.

To wszystko jest bez sensu! Dorota boi się o mamę. I miała pokazać Ce, jaka to jest zajebista, jak fajnie się bawi z Jakubem. A Jakub chyba woli, żeby jej tu nie było. I Dorota ciągle nie ma z nim żadnego selfie, by udowodnić, że w ogóle są razem.

Popycha kolejne drzwi i prawie wpada do środka sklepu, bo nie są zamknięte na klucz.

Chce się odwrócić i zawołać Jakuba, ale on już jest za nią.

– Zostań tu – mówi i unosi rurkę.

Wchodzi do środka. Dorota idzie za nim, chociaż kazał jej czekać. W sklepie jest ciemno i chwilę trwa, zanim oczy się przyzwyczajają i zaczyna dostrzegać kontury mebli. To salon prowajdera telefonii komórkowej. Wszystko wydaje się w porządku. Nic nie leży na podłodze, szafki, foldery, pokazowe modele telefonów, wszystko jest na swoim miejscu.

Jakub podchodzi do wejścia na zaplecze, unosi wyżej rurkę i otwiera drzwi jednym ruchem. Znika za nimi na kilka sekund, w potem wraca. To znaczy, że nikogo tam nie ma.

Dorota schyla się, otwiera jedną z szuflad, tę z napisem „Apple” małymi literkami z boku. Wnętrze jest pełne ajfonów w oryginalnych pudełkach. To najnowsze modele.

Dorota przetyka ślinę. Od dawna o takim marzy. Matka jej nie kupi, nie wyda „tyle forsy na takie gówno”, tak powiedziała. Dorota wie, że dyskusja nie ma sensu. A gdyby teraz wzięła sobie jednego, tylko jednego, nikt by przecież nie wiedział, że to ona. Nie musiałyby nawet mówić matce, ona nigdy się nie zorientuje, nie widzi różnicy między kijowym samsungiem, którego Dorota teraz ma, a ajfonem iksem.

– Co ty robisz? – mówi nagle Jakub. – Zostaw tę szufladę i chodź stąd. Tu nikogo nie ma.

Dorota sięga po pudełko.

– Zostaw to, powiedziałem.

– Nie będziesz mi rozkazywać.

– A ty nie będziesz, kurwa, kraść, kiedy mamy robotę do zrobienia! – Jakub chwyta ją pod ramię i podciąga do góry.

– Ty mi zabronisz? – Dorota się wyrywa. – Ty? Diler?

– To nie ma nic do rzeczy. – Jakub znowu ją chwyta i ciągnie w stronę wyjścia. – Jak coś robisz, rób to porządnie. Albo wcale.

Wywleka ją ze sklepu. Zamyka drzwi.

Dorota najchętniej by mu powiedziała, żeby spadał. Że nie będzie się rządził.

Ale boi się wymówić głośno te słowa.

I bardzo chce znaleźć mamę. A poza tym jest jeszcze Ce...

Wyjmuje z kieszeni telefon, swój własny.

– Zrobisz sobie ze mną selfie? – pyta Jakuba.

## TERESA

Teresa stoi z zapalniczką nad wielką skrzynią z metalowej kraty, w której piętrzą się podkoszulki i majtki. Ubrania pachną chemią, ale teraz tego nie czuć, bo Teresa poliała je rozpałką do grilla, zużyła cztery butelki. Chce, żeby płomień poszedł pod sufit. Żeby był widoczny z każdego miejsca w galerii.

Chce, żeby do galerii zjechali się strażacy z całego miasta. Żeby wylamali drzwi, żeby wpadli tu ze swoimi gaśnicami, żeby w całym centrum handlowym zaroilo się od ludzi. Żeby było zamieszanie, żeby mogła podbiec, wyjaśnić, co się stało. Żeby pomogli jej uratować Dorotę!

Dlatego jest gotowa zamienić ten cały pieprzony Raj w piekło!

Ciężko oddycha, pot spływa jej po szyi i po plecach, chociaż jeszcze nie skrzesała ognia. Boi się. Boi się ognia. Boi się pożaru. Boi się, że wszystko wymknie się spod kontroli. Że ogień rozprzestrzeni się za szybko, że ona i Dorota usmażą się na kracie drzwi wejściowych, próbując się wydostać, albo uduszą się czarnym, śmierdzącym dymem.

A jednocześnie czuje podniecenie. Prawie jak podczas gry wstępnej. Ciężki oddech nie jest tylko oddechem strachu, Teresa naprawdę czuje łaskotanie między nogami, piersi stają się gorące i ciężkie. Wizja płonącego Raju przeraża ją, przeraża i pociąga jak nic dotąd. Jak piekło!

Teresa bierze głęboki oddech, wciąga w płuca smród rozpałki do grilla i pstryka zapalniczką. Przez chwilę przygląda się żółtofioletowemu płomykowi w swojej dłoni. A potem wrzuca zapalniczkę do skrzyni z ubraniami.

Płomień bucha do góry. Teresa jednak nie ma czasu go podziwiać ani się go bać. Bo słyszy czyjeś kroki.

Chowa się za regałem. Mocno ściska w obu dłoniach trzonek motyki. Tak mocno, że później może nie rozgiąć palców. Ale o to Teresa będzie się martwić potem. Bo teraz widzi, jak z ciemnej alejki wynurza się ten świr, ten zboczeniec! Jakub!

Mija Teresę tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Nie widzi jej – ona chowa się

w ciemności, a on nie może oderwać wzroku od płomieni. Powoli podchodzi do ognia.

Nie ma na sobie munduru strażnika, tylko dżinsy i jakiś bury podkoszulek, jak wtedy, na początku, kiedy Teresa zobaczyła go podczas alarmu. Stoi do niej tyłem, ale to on, na pewno, poznałaby go na końcu świata. Poznałaby go nawet w piekle.

Stoi i wpatruje się w ogień. Teresa nie zamierza tracić czasu. Ściska motykę jeszcze mocniej, na palcach wysuwa się z alejki i bierze zamach.

## RUDY

Rudy zbliża się ostrożnie, na palcach, chociaż pewnie niepotrzebnie. Płomienie strzelające z metalowej skrzyni huczą jak ulica pełna samochodów w godzinach szczytu.

Ktoś go ubiegł. Ktoś wpadł na ten sam pomysł. Ktoś postanowił zrobić sobie ognisko, tyle że nie na patio, jak Rudy planował, tylko w supermarkecie. Prostsze logistycznie, więcej rzeczy, które można spalić.

Ciekawe kto. Ale Rudego jeszcze bardziej ciekawi po co. Komu jeszcze, oprócz niego samego, zależy na ściągnięciu tu straży pożarnej?

Powoli zbliża się do ognia. Płomienie hipnotyzują, nie może oderwać od nich wzroku. Robi jeszcze kilka kroków do przodu, chociaż czuje, jak skóra na twarzy zaczyna go palić.

A potem nagle cały świat staje się czarny.

Ce już nigdy nie pozwoli, żeby ktoś jej coś zrobił. Nigdy! Nie da się więcej zaskoczyć bezbronna, nigdy w życiu!

Na palcach wycofuje się w głąb supermarketu, do działu z alkoholem. Przygląda się w półmroku butelkom, aż źrenice przyzwyczajają się do braku światła i Ce znajduje szampany. Bierze jednego do ręki. Nigdy żadnego nie piła, ale wie, że mają najgrubsze szkło.

Ściska w dłoni butelkę. Parę razy poprawia chwyt. Palce ma wilgotne od potu, przekłada ją do lewej ręki, wyciera prawą dłoń o spódnicę i znowu zaciska na szklanej szyjce. A potem odwraca się i rusza na drugi koniec sklepu.

Tam dzieje się coś dziwnego. Robi się coraz jaśniej, jakby ktoś zapalił punktowy reflektor. Ce kojarzy się to z sesją zdjęciową u fotografa. Co prawda nigdy takiej nie miała, ale zawsze chciała mieć i wie, jak to wygląda.

Serce Ce łomocze i zagłusza wszystko inne. Ce podchodzi powoli, uważnie stawia stopy. Łatwo jest stąpać po cichu na bosaka.

Kiedy jest już blisko, widzi coś, co sprawia, że ma ochotę rzucić na ziemię tego głupiego szampana i wyjąć komórkę.

Matka Dory zamierza się na jakiegoś faceta motyką. Uderza go w głowę. Facet wali się na ziemię.

Oł maj god! Ce przykłada dłoń do ust. Dlaczego nie zdążyła tego nagrać? Zebrałaby milion lajków na Insta.

## TERESA

Jakub wali się na podłogę bez jednego nawet jęku.

Teresa stoi nad nim z motyką i napawa się zwycięstwem. Zboczeniec jebany! Już nigdy nie zrobi nic złego Dorocie! Teresa, jak widać, potrafi ochronić własną córkę. To bardzo przyjemne uczucie.

Ogień płonie coraz wyżej, pali twarz, oświetla ciało na podłodze. Teresa przysuwa się bliżej, chociaż gorąco jest nie do wytrzymania. Wytrzeszcza oczy.

Ten zboczeniec, którego znokautowała motyką, wygląda trochę inaczej niż tamten. Ma takie same ciuchy, dzinsy i szary podkoszulek, ale włosy w dziwnym kolorze, w świetle płomieni wyglądają na całkiem pomarańczowe. Teresa jest pewna, że zboczeniec miał jakiś inny kolor, jakiś zwyczajny.

I jest pewna, że tego na podłodze też już widziała. Wcześniej, w sklepie z ciuchami. Kiedy odmówił jej pomocy, a potem poczęstował gumą do żucia.

Upada na kolana i próbuje potrząsnąć tym facetem. Nie rusza się, a Teresa nie może wymacać jego pulsu. Czuje, jak ogień pali ją w twarz.

Chwyta faceta za podkoszulek, próbuje odciągnąć dalej od ognia. Tkanina rozrywa się, strzęp zostaje Teresie w ręku. Próbuje ponownie, tym razem za ramiona, ale ciało wyslizguje się. W końcu, chociaż płomienie parzą jak ogień piekielne, Teresa upada na kolana, tam gdzie stoi, i próbuje reanimować rudego złodzieja.



## DOROTA

Dorota nie ma nic do stracenia. Jakub znowu patrzy na nią jak na idiotkę. Więc Dorota błyskawicznie przysuwa się do niego, obejmuje ramieniem, unosi aparat, układa usta w dzióbek i cyka fotę. A potem od razu drugą, bez dzióbka, bo to już niemodne.

Jakub ją odpycha.

– Odpiardol się ode mnie! – wrzeszczy.

Dorota zatacza się, upuszcza telefon. Kiedy schyla się, żeby go podnieść, mija jej cała odwaga. Czuje, że najchętniej by umarła. Znowu wyszła na idiotkę. Kretynekę, debilkę, dzbana, ostatniego morona!

Nie może spojrzeć Jakubowi w oczy, po prostu nie może się zmusić, żeby podnieść głowę. Nie po tym, jak się zbłaźniła. Miała szansę, miała niesamowitego farta i wszystko zmarnowała.

To przez tę całą Ce i wieczne gadanie „musisz więcej wrzucać do sieci”! Dorota się zafiksowała, normalnie mózg jej się wkręcił i to dlatego. A przecież powinna wiedzieć, że taki chłopak jak Jakub, który nawet nie ma konta na Insta, uważa selfie za wieś i oborę!

Odsuwa się, cały czas patrząc w podłogę. Daje jeden krok do tyłu, potem drugi. Wreszcie się odwraca i zaczyna biec przed siebie. Nieważne dokąd, byle dalej. Żeby tylko nie czuć już wstydu, który pali ją jak ogień.

A najgorsze jest to, że nie słyszy za sobą kroków. Ani wołania. Jakub chce, żeby sobie poszła.

Dobiega do supermarketu, wpada między kasy. Tu jest ciemno, tu może się ukryć i już nikt nigdy jej nie zobaczy, do końca świata.

Tylko że nie jest tak całkiem ciemno. Na końcu rzędu regałów coś się pali. W powietrzu śmierdzi gęsty, czarny dym. Mimo to Dorota podchodzi bliżej do źródła płomieni, zupełnie jakby ją przyciągały.

Kiedy jest już całkiem blisko i kiedy regały nie zasłaniają widoku, dostrzega, że to płonie metalowa skrzynia, taka z powrzuconymi do środka

podkoszulkami albo swetrami w niskich cenach. Ktoś leży na podłodze, blisko ognia. Obok druga osoba pochyla się nad leżącym. Dym szczypie Dorotę w oczy i gardło, więc nie widzi kto to. Zaczyna kaszleć.

I wtedy czuje rękę w talii.

Przez ułamek sekundy ma nadzieję, że to Jakub. Że jednak za nią przyszedł. Ale kiedy druga ręka zatyka jej usta, a potem rozrywa bluzę, Dorota rozumie, że się pomyliła.

## ANDRIEJ

Andriej zaraz pójdzie i weźmie z działu „dom i ogród” wszystko, co jest potrzebne, żeby puścić ten burdel z dymem. Zaraz, za chwileczkę. Tylko po drodze musi się napić, bo już dłużej nie wytrzyma, tak bardzo go suszy. Skręca do działu z alkoholem, bierze z półki butelkę, odkręca kapsel. Przechyla flaszkę do ust i z ulgą czuje, jak zimna (no dobra, letnia, ale lepsze to niż nic) struga wpływa mu do gardła.

I wtedy coś słyszy. Dźwięki dochodzą z końca sklepu, gdzie miał zamiar iść, kiedy wreszcie się napije. Potrząsa głową. To błąd, bo znowu boli. To go rozwściecza. Macha ręką, zwała z półki rząd butelek, a te roztrzaskują się na podłodze. Potem rusza, biegiem, tylko trochę zataczając się i obijając o regały.

I nie wierzy we własne szczęście. To ta suka, która go obsikała. Jak to miło z jej strony. Tym razem Andriej nie zamierza się bawić. Robi krok do przodu, chwyta ją wpół, a wolną ręką zasłania cipie usta. Jednak zmienia zdanie (a co mu tam, niech cipa się drze), szarpie i rozrywa jej bluzę.

Ale potem jeszcze raz zmienia zdanie. Nie będzie czekał, aż znowu na niego nasika. Do zabawy wcale nie musi być przytomna. Ścisza cipie gardło, aż w końcu laska wiotczeje w jego ramionach. Rzuca ją na podłogę i jednym ruchem zrywa z niej spódnicę.

## JAKUB

Ta dziewczyna chyba oszalała. No po prostu ją popierdoliło! Jakub żałuje, że pozwolił jej ze sobą iść. Żałuje, że w ogóle dał się wciągnąć w tę gadkę, wtedy w kiblu. Powinien był zabrać telefon, sprawdzić konta i zostawić ją tam, gdzie była. Bo ona najwyraźniej jest jakaś jebnięta.

Odpycha ją tak mocno, aż dziewczyna się zatacza, a telefon wypada jej z ręki.

– Odpiardol się ode mnie! – krzyczy. I przez chwilę jest mu wszystko jedno, czy ktoś go usłyszy.

Dziewczyna ze spuszczoną głową podnosi aparat. Nie patrzy na Jakuba i nic nie mówi, i dobrze, bo Jakub nie ręczyłby za siebie, gdyby się odezwała. Ale ona robi krok do tyłu, potem drugi, wreszcie się odwraca i odbiega. Jeszcze lepiej. Jakub nie będzie za nią tęsknił.

Wtedy dociera do niego zapach dymu. Właściwie to smród, jakby palił się jakiś plastik. Dobiega gdzieś od strony supermarketu.

Jakub jest pewien, że to Andriej. Ten debil pewnie coś podpalił dla rozrywki. Jakub jeszcze raz potrząsa głową, na myśl o swojej głupocie, że nie wywalił go wcześniej, kiedy tylko zaczęły się kłopoty.

A ta idiotka pobiegła w tamtą stronę. Jakub nawet nie próbuje sobie wyobrazić, co będzie, kiedy dziewczyna wpadnie na Andrieja. Ścisła mocniej metalowy drąg i rusza przed siebie szybkim krokiem.

Nie zwalnia przy kasach. Wie, dokąd ma się kierować, ogień wali prawie pod sam sufit. A na tle płomieni widać sylwetkę Andrieja, który szamocze się z dziewczyną. Sekundę później dziewczyna przestaje się wyrywać, a Andriej kładzie ją na podłodze, zrywa spódnicę i wsadza rękę między nogi.

## JONASZ

Jonasz siedzi w taksówce i za chwilę uśnie. Siedzenie jest wygodne, a może po prostu on jest tak zmęczony, że już nie czuje twardej tapicerki. Przymyka oczy, taksówkarz coś do niego mówi i Jonasz z trudem rejestruje, że pyta, którądy jechać. Czy przez jeden most, czy przez drugi. „Którędy pan chce”, odpowiada Jonasz i znowu popada w odrętwienie. Wie, że strasznie nie będzie mu się chciało wysiąść pod domem, ale nie może przecież spędzić całej nocy w taksówce.

Słyszy piknięcie telefonu w kieszeni. I jeszcze jedno, i jeszcze jedno. Czuje też wibrację. Komuś się zebrało w środku nocy! Jonasz jest pewien, że to Marcin. Ten człowiek nie może spać, bo za bardzo zjadają go nerwy. Ale on, Jonasz, nie ma z tym kłopotu. I – do diabła! – chyba już dostatecznie dzisiaj się napracował. Wsuwa dłoń do kieszeni i wyłącza telefon. A potem opada na śmierdzącą papierosami tapicerkę taksówki. Zamyka oczy i usypia.

RUDY

Rudy dryfuje w czarnej otchłani. Niczego nie widzi, niczego nie słyszy, niczego nie czuje. To fajny stan.

Ce ciągle trzyma dłoń przy ustach. Szepcze:

– O kurwa, o kurwa, o kurwa, matka Dory zabiła człowieka...

Nie przychodzi jej do głowy nic poza tymi słowami.

W rękę ściska komórkę. Gotowa, żeby robić zdjęcia.

ANDRIEJ

Andriej na sekundę zamiera. Dałby głowę, że już raz zdjął tej cipie majtki.  
A ona ma je teraz na sobie.

Dziwne. Ale bez przesady, to nie powinna być jakaś wielka przeszkoda.



## TERESA

Teresa próbuje uciskać klatkę piersiową Rudego. Dziesięć razy, a potem pochyla się, żeby wdmuchnąć powietrze do jego płuc. Powtarza to wszystko raz, drugi i trzeci. Ale to nic nie daje. A ona sama czuje, jak jej włosy zaczynają śmierdzieć, jakby już się paliły.

## JAKUB

Jakub podchodzi bliżej. Czuje, jak płomień najpierw grzeją, a potem parzą. Włosy i rzęsy zaczynają mu się skręcać i śmierdzieć, ale smród płonących plastikowych tkanin jest silniejszy niż smród płonącego białka.

Jakub jeszcze mocniej ściska rurkę w rękę. Przymierza się do ciosu. Szczypią go oczy, kiedy pot spływa z czoła, poza tym wszędzie jest pełno dymu. Nie widzi wyraźnie. A chodzi o to, żeby trzasnąć w głowę Andrieja, nie dziewczynę, z którą się szarpie.

Unosi do góry żelazny drąg i wali nim współnika – byłego współnika! – w kark.

Tylko że nie trafia.

Andriej w ostatniej chwili się obraca. Żelazny pręt ląduje na czaszce dziewczyny. Trzask przebija się nawet przez huk płomieni.

Andriej krzyczy do Jakuba:

– No chodź tu, *malczik!*

Jakub bierze zamach po raz drugi. Cios trafia Andrieja w ramię. Andriej pada na kolana i zaczyna się śmiać. Rechocze, jakby całkiem zwariował.

Jakub go odpycha. Odrzuca metalowy drąg i klęka obok dziewczyny. Nie może namacać pulsu na jej szyi, kładzie dłoń na sercu.

## JONASZ

Jonasz budzi się, kiedy taksówka staje. Ziewa tak, że omal mu szczęka nie wypada z zawiasów. Grzebie w kieszeni, wyjmując portfel, pyta taksówkarza, ile jest winien. Ale taksówkarz nie odpowiada, sięga do radia i pogłaśnia. Akurat skończyła się jakaś muzyka i podają wiadomości z ostatniej chwili. Pożar w nowej galerii handlowej, której otwarcie było sensacją ostatnich dni. Na miejscu jest już nasz reporter i służby.

## TERESA

Teresa słyszy, że coś się dzieje. Gdzieś tu niedaleko.

Podnosi głowę. Niewiele widzi przez czarny dym. Ale kiedy wstaje, widoczność się poprawia dzięki płomieniom bijącym w górę. Na ich tle widzi sylwetkę leżącej na podłodze dziewczyny. Ta dziewczyna to jej córka. Ma rozdartą bluzę i gołe nogi, odsłonięte majtki. Nad nią pochyla się mężczyzna. Maca jej piersi. Ten mężczyzna to Jakub, diler narkotyków. Ten sam, który je gonił. Który zamordował chłopaka w przymierzalni. I strażnika. Który porwał Dorotę. Który zgwałcił Ce.

Teresa podnosi z podłogi motykę. Robi krok naprzód, potem drugi. Albo obroni swoje dziecko, albo zginie.

Jakub ją dostrzega. Odrywa się od Doroty. Mówi coś. Teresa nie słyszy, bo płomienie huczą.

Podchodzi krok bliżej. Nie spuszcza oczu z dilerka.

Jakub powoli podnosi się nad ciałą Doroty. Rozkłada ręce.

Dorota u jego stóp porusza się. Otwiera oczy, próbuje usiąść. Próbuje coś powiedzieć.

## DOROTA

Jest gorąco i czarno. Może trafiła do piekła. Nie chodzi na religię, ale chyba każdy wie, co to piekło.

Tak, to możliwe, jest w piekle. I dlatego tak potwornie boli ją gardło. I głowa.

Porusza ręką: najpierw palcami, potem nadgarstkiem. Otwiera oczy.

Nie, nie jest w piekle. Jest w galerii. Chyba że to jednak jest piekło, Dorota już sama nie wie. Bo obok huczy ogień, gdzieś blisko, bo płomienie palą twarz. Nad Dorotą stoi Jakub. Ma rozłożone ręce. Jak Jezus, ten z Rio de Janeiro, widziała kiedyś na zdjęciu.

Dorota przekręca lekko głowę i widzi matkę. Ona z kolei wygląda jak diabeł: ma rozczochrane włosy, pomiętą bluzkę i dzikie oczy. W rękach trzyma metalową motykę.

Dorota chce coś powiedzieć. Ale nie może. Gardło boli, wydobywa się z niego tylko skrzek.

Widzi, jak jej matka bierze zamach.

## TERESA

Teresa odchyła się do tyłu, jakby chciała odbić rakieta piłkę, choć w tenisa grała tylko raz w życiu. Bierze zamach. Ścisną motykę mocno, obiema rękami.

Uderza.

Zboczeniec się chwieje. Z jego głowy tryska strumień krwi. W świetle płomieni wygląda to nierealnie, jak na filmie.

Teresa znowu bierze zamach i uderza po raz drugi. Trafia prawie dokładnie w to samo miejsce.

Tym razem krew nie tryska, leje się z rany. Zboczeniec upada na kolana.

Teresa bierze kolejny zamach. Dorota unosi się na łokciu. Porusza ustami.

Teresa nie może teraz się nią zająć. Zrobi to za chwilę. W swoim czasie. Najpierw musi być pewna, że jej córka, jej jedyna córka, jest bezpieczna. Bezpieczna na zawsze.

Znowu uderza. Trafia w szyję. Zboczeniec upada.

Teresa podbiega. Chwyta Dorotę za rękę i odciąga od płomieni. Na bok, pod regał.

A potem ścisną mocniej drąg i wraca do zboczeńca. Znowu unosi pręt do góry. I znowu uderza.

I jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I jeszcze raz...

Nie wie, ile razy. Nie liczy uderzeń.

W końcu jest zbyt zmęczona na kolejny zamach, kolejne uderzenie. Podnosi głowę, ociera przedramieniem czoło. Próbuje wyprostować plecy, bołą tak, jakby przerzuciła łopata tonę ziemi.

Patrzy na Dorotę, na swoje jedyne dziecko, wreszcie bezpieczne. Jej córka ma przerażenie w oczach, ale to nic. Teraz Teresa może się nią zająć, teraz może ją głaskać, przytulać, pieścić, uspokajać.

Zza pleców słyszy jakiś dźwięk. Odwraca się, prawą ręką ściskając motykę.

## ANDRIEJ

Andriej leży na posadzce na czymś mokrym, co musi być jego własną krwią. Próbuje wstać, podpira się dłonią, ale rozjeżdża się na tym śliskim gównie.

Andriej śmieje się, rechocze, rzy. Ze śmiechu dostaje czkawki. Płomienie palą, łeb i ramię napierdalają po ciosach Jakuba, ale Andriej nie może przestać się śmiać.

Bo ta idiotka, ta głupia cipa, ta debilka po prostu zatłukła nie tego, co trzeba.

To przez te jednakowe ciuchy. Wszyscy wyglądają w nich tak samo. On pomylił jedną cipę z drugą, a ta wariatka pomyliła go z Jakubem. Zajebicie śmieszne!

Andriej rechocze tak głośno, że ta stara z motyką w końcu go zauważa. Ale to jeszcze bardziej pobudza go do śmiechu.

I nie może przestać, kiedy stara cipa podchodzi, a w jej oczach odbija się piekło. I śmieje się dalej, kiedy ona znowu podnosi motykę. I kiedy spada cios.



## JONASZ

Kiedy Jonasz dociera do galerii, jest już po wszystkim. No, mniej więcej. Strażacy polewają budynek wodą i pianą, ale widać, że mają ogień pod kontrolą i że to już rutyna.

Dach od strony supermarketu jest częściowo zawalony, ściany przepalone. Śmierdzi potwornie. W środku jeszcze się pali, w czarne niebo co chwila unoszą się snopy iskier. Jeśli to nie jest najlepsza ilustracja piekła, to Jonasz nie wie, co nią jest.

Przed głównym wejściem stoją trzy karetki. Do jednej sanitariusze właśnie wsuwają nosze. Jonasz nie potrafi dostrzec, kto na nich leży, twarz jest całkowicie przykryta maską tlenową.

Jonasz przepycha się do głównego wejścia. Kraty zostały przecięte, a drzwi wyłamane – z jednej strony wiszą na zawiasach, z drugiej szyba poszła w drobny mak. Jonasz mówi policjantom, że jest przedstawicielem inwestora, przestępuje przez wijące się wszędzie węże strażackie i wchodzi do środka. Tu też śmierdzi, tylko mniej spalenizną, a bardziej chemią. I tak cud, że nie wybuchło, zważywszy na te wszystkie łatwopalne rzeczy w supermarkecie.

Sanitariusze wnoszą kolejne ciało, Jonasz nie potrafi na pierwszy rzut oka stwierdzić, żywe czy nie. Rusza alejką w stronę supermarketu, jeden ze strażaków macha na niego ręką, każe zawrócić. Ale Jonasz widzi jeszcze dwa ciała w czarnych workach, ułożone rzędem na posadzce, w miejscu, którego z zewnątrz nie mogą zobaczyć dziennikarze. I kilku strażaków wydobywa coś z fontanny. Jonasz podchodzi bliżej i wciąga ze świstem powietrze. To nie manekin, nie żadna pozostałość gry miejskiej, tylko zwłoki!

Skąd, do diabła, wzięły się w fontannie? I skąd, do diabła, wzięli się w galerii ci wszyscy ludzie?! Miało tu być trzech nocnych strażników. A tymczasem zrobiła się pieprzona Marszałkowska w godzinach szczytu. Jakby sobie urządzili imprezę. Jonasz bardzo chciałby się dowiedzieć, jak to było, ale obawia się, że nigdy się nie dowie.

Wyjmuje z kieszeni komórkę. Jest zdziwiony, kiedy widzi czarny ekran, nie pamięta, że wyłączył telefon. Włącza aparat, przegląda listę kontaktów, wybiera jeden. Waha się przed naciśnięciem zielonej słuchawki. Przez chwilę ściska komórkę w ręku, a potem blokuje ją i chowa do kieszeni. Podnosi obie ręce i mierzwi włosy. Musi się zastanowić, zanim zadzwoni. Zanim się weźmie do sprzątnięcia tego burdelu.

PO

## RUDY

Rudy (już teraz nie rudy, stracił w pożarze prawie wszystkie włosy, a to, co zostało, ogolili mu w szpitalu) budzi się o świcie, chociaż nie nastawiał budzika. W szpitalu tak się przyzwyczaił, gdzie już od szóstej ktoś łązi, mierzą człowiekowi temperaturę, podają lekarstwa i w ogóle nie da się dłużej pospać. Zresztą to nawet nieźle, bo Rudy ma zamiar spędzić ten dzień na szlifowaniu nowego planu.

Skóra go jeszcze boli, najbardziej na głowie i dłoniach. Nie musi nosić opatrunków, tylko smarować się taką specjalną maścią, która strasznie śmierdzi. A poza tym musi jeździć na kontrolę. Lekarz powiedział, że dopiero jak wszystko się zagoi, będą mogli się przekonać, czy ogień nie uszkodził żadnych nerwów. Na razie jest na to jeszcze za wcześnie.

Rudy wyskakuje z pościeli i zatacza się na ścianę. Bardziej niż oparzenia dokuczają mu zawroty głowy po uderzeniu. Lekarz (ale inny niż ten od skóry) tłumaczył, że to minie. Albo nie. Rudy ma o siebie dbać. I uważnie obserwować, czy nie następuje pogorszenie. Rudy stosuje się do zaleceń, tylko że na razie nie zaobserwował nic istotnego.

Z ręką na ścianie, na wypadek, gdyby znowu zakręciło mu się w głowie, idzie do łazienki. Nie może jeszcze brać prysznic. To nawet lepiej, oszczędza hektolitry wody. Gdyby wszyscy trochę się ograniczali, świat byłby lepszym miejscem.

Na śniadanie zjada muesli z rodzynkami, miodem i kozim mlekiem. A potem siada przy stole, z otwartym zeszytem. Nic nie zapisuje, myśli.

Bardzo chciałby już apgrejdować oczko wyżej i zamiast obrabiać galerie, zająć się poważniejszą robotą. Czuje, że karma mu sprzyja. W sumie mogło być o wiele gorzej. Mógł wyjść z tego pożaru z naprawdę okropnymi poparzeniami albo nie wyjść wcale, tymczasem skończyło się na paru bąblach. Mogli go wsadzić po odkryciu torby z telefonami w kanciapie, ale wszystko poszło na konto strażników, a obaj mają poważny wstrząs mózgu i nic nie pamiętają. Prowajder może zwrócić się do prokuratury najwcześniej po tym, jak ich

wypuszczą ze szpitala, ale nie wiadomo, czy w ogóle z tego nie zrezygnuje. Bo nie ma świadków. Tak przynajmniej Rudy przypuszcza, przecież nikt z prokuratury mu się nie zwierza.

Więc karma jest w porządku. Rudy wyrównał rachunki, chciał sprowadzić pomoc do nieprzytomnych ochroniarzy, tylko nie zdążył, bo uprzedziła go matka wariatka. Ale liczy się intencja, nie? A to, że przy tym jeszcze się poparzył, pewnie będzie mu zapisane na plus. Ma u losu spory kredyt na starcie i mógłby zacząć. Tylko te zawroty głowy wszystko opóźniają.

Chociaż z drugiej strony może to i lepiej, bo Rudemu ciągle brak *know-how*. Co innego podprowadzenie z galerii handlowej paru telefonów, a co innego szpiegostwo przemysłowe. Rudy musi się jeszcze sporo nauczyć. Więc siedzi nad zeszytem, na razie pustym, i zastanawia się, od czego tu zacząć. Tym razem musi się przygotować jeszcze solidniej niż poprzednio. Bo, jak mówi jego ulubiony literacki bohater: *Hope for the best, but prepare for the worst*. I Rudy się tego trzyma.

Ce nie lubi wstawać wcześniej rano, oł dżizas, jak ona tego nie lubi! Zwłaszcza że wczoraj znowu siedziała na necie do jakiejś niehumanitarnej zupełnie godziny. Ale starzy wzięli się teraz nagle za jej wychowywanie. No raczej późno, Ce ma już prawie siedemnaście lat, trzeba było o tym pomyśleć jakieś dziesięć lat temu. Tylko do matki to nie trafia, odpowiada, żeby Ce nie była bezczelna, żeby przestała pyskować i żeby siadała do nauki. Bo za rok matura. Jakby ta matura w ogóle była komukolwiek do czegoś potrzebna!

Ale z matką nie ma dyskusji. Dlatego Ce musi wstać w sobotę o ósmej, zjeść śniadanie (od którego chce jej się rzygać!) i siadać do lekcji. „Bo jeszcze nie jest za późno, żeby się podciągnąć w ocenach na koniec roku szkolnego”. Zdaniem Ce jest za późno na to i na wiele innych rzeczy, tylko nie przemówi matce do rozsądku.

Najgorszy jest szlaban na komórkę. Zabrali jej telefon i może go teraz używać tylko przez godzinę po przyjściu ze szkoły i pół godziny wieczorem. Serio? Ce czasem myśli, że starzy to są z Księżyca. Naprawdę uważają, że ona zrezygnuje z tej całej społeczności, którą sobie zbudowała? Ale z matką naprawdę nie ma co gadać, więc Ce grzecznie udaje, że się słucha. A tak naprawdę już godzinę po tym, jak to oznajmili, kupiła sobie nowy aparat i kartę. O kasę nie musi nikogo prosić, zarabia dość na ciuchach.

Z tym zresztą też jest problem, matka zaczęła dopytywać, co to są te wszystkie paczki i skąd Ce ma kasę na nowe szmaty. Więc teraz musi się czaić. Paczki przychodzą na adres jej nowej najlepszej przyjaciółki, Alki. Alka na szczęście ma tolerancyjnych starych, o nic nie pytają, więc Ce może u niej robić zdjęcia. A starzy Ce przynajmniej tego jednego nie zabraniają, przyjaciółek.

Tyle że Ce poważnie się zastanawia, czy nie zrezygnować z bycia modową wideoblogerką. To nudne, to już było. Mogłaby zacząć prowadzić na YouTubie jakiś poradnik. Na przykład, co zrobić, gdy starzy się czepiają.

Właściwie może spróbować od razu, nagrać filmik, wrzucić i zobaczyć, jak zareagują followersi. Ce ustawia światło, wsadza nowy aparat w statyw

i wybiera z szafy fajną bluzę. Potem włącza nagranie. Trochę się wygłupia, a trochę mówi na poważnie. Podpowiada, jak poradzić sobie z tym, kiedy starzy ograniczają dostęp do telefonu. Szybko przegląda, co nagrała, i wrzuca. A potem rozkłada na biurku książki. Jeśli matka tu wpadnie, Ce będzie kryta.

Przez chwilę nawet siedzi i przerzuca strony książki do fizyki. Niewiele z tego rozumie i nie chce jej się wysilać, żeby porządnie wszystko przeczytać od początku do końca. Ale gdyby matka wpadła na pomysł, żeby ją zapytać, Ce będzie mogła coś tam powiedzieć.

Zamyka książkę i sprawdza, ile osób polubiło filmik. Nooo, jak na sobotę rano to całkiem nieźle. Może Ce naprawdę powinna teraz robić takie rzeczy.

Chociaż ma jeszcze jeden pomysł. Tylko najpierw musi się poważnie zastanowić.

Bo w starym telefonie ciągle jest nagranie, na którym matka Dory zabija motyką Jakuba. Wali go raz za razem, a krew tryska na wszystkie strony. Widać to wyraźnie, nawet światło nie jest takie słabe, ogień dobrze podświetlił.

Ce nikomu nie pokazała tego nagrania ani nikomu o nim nie powiedziała. Jeszcze nie wie, co z nim robi.

Nie, nie zamierza szantażować matki Dory. To by było śmieszne! Przecież ona nigdy nie ma pieniędzy, zarabia pewnie mniej niż Ce. Więc z czego by jej zapłaciła?

Ce chodzi po głowie coś innego. TOR, The Onion Router, darknet, niedostępny dla zwykłych użytkowników. Ce słyszała, zresztą to nie jest żadna tajemnica, że tam krążą różne rzeczy. Niektóre są obrzydliwe, jak pedofilskie porno. Podobno są też ciekawsze, na przykład prawdziwe zbrodnie nieustawione w filmowym studio, tylko najprawdziwsze, z krwią i wszystkim. I podobno można na tym dużo zarobić. O wiele więcej niż na głupich ciuchach.

Ce musi sobie to jeszcze przemyśleć. I znaleźć więcej informacji. Ale czuje, że to by ją mogło kręcić. Ta głupia Dory spytała ją kiedyś, kim chce zostać w przyszłości. Na dzień dzisiejszy Ce mogłaby chyba odpowiedzieć, że chciałaby pracować przy takich filmach.

Na razie pisze na WhatsAppie pytanie do Alki, o której się spotkają. I chowa telefon do kieszeni, Alka nigdy nie odpowiada od razu. Szczerze mówiąc, trochę ciężko się z nią przyjaźnić. Bo Alka jest jakaś taka drętwa. I bez fanu.

I ogólnie mało zabawna. Ale Ce nie ma lepszego pomysłu na tę sobotę. Więc trudno, pójdzie do Alki. A może wydarzy się coś ciekawego? Przecież nigdy nie wiadomo, nie?



## DOROTA

Dorota wstaje tak, żeby sprężyny łóżka nie skrzypnęły, szafę z ubraniami otwiera milimetr po milimetrze, bo nie ma komu naoliwić drzwiczek. Stara się ubierać jak najciszej i postanawia, że wysika się tuż przed samym wyjściem, chociaż bardzo jej się chce. Jeśli będzie miała szczęście, okaże się, że matka jeszcze śpi albo siedzi na tym swoim głupim laptopie. Jeśli Dorota będzie miała szczęście, wymknie się z domu niezauważona. Bo inaczej znowu będzie: „Zjadłaś śniadanie?“, „Dokąd idziesz?“, „Czy ty nie masz nic lepszego do roboty?“, i miliony innych debilnych pytań, na które Dorota nie ma zamiaru odpowiadać, bo w ogóle nie ma zamiaru odzywać się do matki.

Dorota wkłada T-shirt i spódnicę, chociaż wciąż trudno jej się ruszać po tym urazie głowy. Lekarz mówi, że to minie, że Dorota jest jeszcze młoda i do wesela się zagoi. Dorota nawet się nie uśmiechnęła na te jego suchary.

Zerka za okno. Niebo jest błękitne, czerwiec to już w końcu lato, i na pewno nie będzie dzisiaj padać. Zresztą to i tak wszystko jedno, bo mają zamiar spędzić cały dzień u Yuli, więc jeśli o nią, Dorotę, chodzi, może być nawet burza z piorunami.

Schyła się pod biurko, żeby wyciągnąć adidas, i niechcący strąca zeszyt. Kiedy ten płaska o dywan, Dorota zamiera, a potem cicho pod nosem rzuca kurwą, której ciągle nie ma odwagi głośno wymówić. Jednak z pokoju matki nie dobiega żaden dźwięk, może rzeczywiście śpi.

Dorocie już naprawdę bardzo chce się siusiu, ale siada jeszcze na chwilę przed małą pudełkową toaletką ustawioną na biurku. Poprawia włosy i przysuwa twarz do tafli lustra. Podciąga skórę na skroniach i wydyma usta. A potem się odwraca. Wygląda, jak wygląda. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

Dorota rzuca się na łóżko i wyciąga spod poduszki telefon wyciszony na noc, by matka nie gadała, że to stąd te senne koszmary. Tak jak myślała, ma wiadomość na WhatsAppie. „Odezwij się, jak będziesz gotowa”.

Dorota wyłącza telefon i przez chwilę wpatruje się w zdjęcie na wygaszaczu ekranu. Jest na nim razem z Yuli. To teraz najlepsza przyjaciółka Doroty. Też ma rozwiedzioną matkę i ojca, który przypomina sobie o niej głównie przed świętami i urodzinami po to, żeby odpalić kilka stów na prezent. Dorota i Yuli nie gadają o starych, bo to nie jest ciekawy temat.

Mają inne, o wiele ciekawsze. Na przykład, skąd wziąć kasę. Bo Yuli całkiem nieźle zarabia. Nagrywa takie filmiki, na których się dotyka. Nic więcej, nie musi nawet się odzywać. Musi za to być bez ubrania, wiadomo, że w ubraniu nikt nie kupi. Za to nie pokazuje twarzy.

I Dorota też się nad tym zastanawia. Bo twarz ma taką zwyczajną, ale reszta to nawet ujdzie. A bez twarzy nikt jej przecież nie rozpozna, nie?

Yuli mówi, że z tego jest naprawdę świetna kasa. I że mogłaby ją nauczyć ustawiać kamerkę i oświetlenie, i odpowiednio się poruszać, bo nie można leżeć jak kawał drewna. Dorota naprawdę poważnie się nad tym zastanawia. I jest już bliska decyzji.

Telefon znowu wydaje cichy pisk. „O której będziesz?”, pyta Yuli. „Już lecę”, odpowiada Dorota. Wsuwa telefon do kieszeni, przewiesza przez ramię plecak. Strasznie, ale to po prostu strasznie chce jej się sikać. Prześlizguje się na palcach do przedpokoju, zamyka na chwilę w łazience i stara się siusiać na ścianki toalety, żeby nie pluskało. A potem szybko spuszcza wodę, łapie kurtkę z wieszaka i jednym szarpnięciem otwiera drzwi na klatkę.

Teresa znowu widzi przed blokiem śmierć.

Jest piękny czerwcowy dzień, pogoda jak drut od połowy kwietnia. Codziennie tylko błękitne bezchmurne niebo po horyzont i słońce. Ten idiota, który zafundował sobie tablicę rejestracyjną DEATH1, musi mieszkać gdzieś w pobliżu. Chociaż nie, błąd logiczny. Gdyby tu mieszkał, widywałaby go częściej, a nie tylko w sobotnie poranki. Może ma w okolicy dziewczynę. Albo chłopaka, bo przecież nigdzie nie jest powiedziane, że to idiota, a nie idiotka. Albo w weekendy odwiedza matkę, żeby pobrać słoiki na cały tydzień. Chociaż nie, wróć, znowu błąd logiczny, matkę by odwiedzał albo odwiedzała w porze obiadu, a nie z rana. No to może bierze udział w jakimś kursie organizowanym gdzieś w okolicy. To, że Teresa o niczym takim nie wie, nie znaczy, że tego nie ma.

Teresa ma ochotę wypisać mu palcem na zakurzonej karoserii: Śmierć jest dla cieniasów. Ale jak na złość blacha błyszczący, świeżo umyta i chyba nawet wywoskowana. To nic, jeszcze kiedyś przyjedzie tu brudny. Nic na świecie nie trwa wiecznie.

Teresa jest zbyt zaspana, żeby głębiej się nad tym zastanowić. Dopóki nie wypije drugiej kawy, poważne tematy dla niej nie istnieją. Tylko kawa musi być z cholernym mlekiem i dlatego w ogóle wychodzi z domu. Bo Doroty nie da się obudzić w sobotę rano i posłać do sklepu, Teresa może sobie tylko pomarzyć. A teraz z Dorotą w ogóle nie da się porozmawiać.

Od tej nocy w galerii córka nie powiedziała do niej ani jednego słowa. Na szczęście odzywa się do innych. Na szczęście, bo Teresa obawiała się, że to przez ten uraz głowy, ale nie, goi się ładnie i nie widać jakichś specjalnych śladów.

A z tym nieodzywaniem się, to psycholog (inny psycholog, specjalista od dzieci, a poza tym obca osoba, bo Teresa nie jest przecież obiektywna i nie może sama postawić diagnozy) twierdzi, że Dorota potrzebuje czasu. Do szkoły chodzi, uczy się tak jak wcześniej, czyli średnio, spotyka się z koleżankami (i

już nie, dzięki niebiosom! z tą koszmarną Cecylią; nowa przyjaciółka Doroty, ta cała Julia, wygląda na całkiem sensowną) i w ogóle funkcjonuje normalnie. Tylko do niej, do Teresy, nie mówi ani słowa. Podobno musi się uporać z traumą. Proszę bardzo. Teresa nie zamierza w tym przeszkadzać. Jej córka ma do dyspozycji tyle czasu, ile potrzebuje. Wcale nie muszą rozmawiać, zresztą wszystko ma swoje dobre strony, skończyły się kłótnie. A Teresa nadal rozpościera nad nią swoje niewidzialne skrzydła.

Tylko czasem w nocy Dorota zrywa się z krzykiem. Teresa biegnie wtedy do niej i głaszcze ją po włosach, dopóki oddech córki znowu się nie wyrównuje, a jej dłoń, którą trzyma w swojej, na powrót nie staje się ciężka. Nie jest pewna, czy Dorota w ogóle budzi się ze swoich koszmarnych snów.

Za to Teresa od lat nie sypiała tak dobrze jak teraz. Noc w noc osiem godzin, bez żadnych koszmarów.

W końcu obroniła przecież swoje dziecko. Więc już niczego nie musi się bać, niczego ani nikogo.

Nawet policjantów.

Podczas przesłuchania Teresa po prostu powtarzała, że niczego nie wie i niczego nie pamięta z pożaru. Znalazła się w galerii w nocy, bo razem z córką i jej przyjaciółką (Teresa trochę się obawiała, że policjanci wyłapią, z jakim niesmakiem wymawia to słowo, jednak chyba niczego nie zauważyli), no więc razem chowały się przed prześladowającymi je dilerami narkotyków.

Policjanci co prawda uprzedzali, że Teresa będzie musiała złożyć dodatkowe wyjaśnienia, ale przecież nic na nią nie mają. Motyka z jej odciskami palców spłonęła, podobnie jak butelka rozpałki do grilla. Czyli twardych dowodów brak. Wprawdzie nikt nie powiedział Teresie, co było w zeznaniach innych osób, ale najwyraźniej nic, co przeczyłoby jej słowom.

Teresa czuje, jakby urosła co najmniej o metr. Już nie jest niewidzialna, wręcz przeciwnie. Bo to chyba pierwszy taki przypadek w historii ludzkości, że pewnego dnia ktoś sobie postanowił być od dzisiaj odpowiedzialnym, dojrzałym dorosłym, i dotrzymał obietnicy. Powinni o niej napisać w księdze rekordów Guinnessa.

Teresa kupuje mleko i bułki, nie spieszy jej się z powrotem do domu. I tak nie ma tam do kogo się odezwać, przecież nie będzie gadać z kotem. Siada na

ławce, przymyka oczy, wystawia się do słońca. Później, po południu, pewnie będzie upał, ale teraz jeszcze przyjemnie jest siedzieć, czuć na twarzy ciepło i nie myśleć o niczym. Przez chwilę Teresa czuje się jak w raju.

JAKUB

ANDRIEJ

## JONASZ

– Chcę ci powiedzieć tylko jedną rzecz, stary: ta nazwa nie przejdzie – mówi Jonasz. – Z góry uprzedzam, żeby potem nie było rozczarowania.

Idzie szybko korytarzem, za plecami słyszy oddech Marcina. Zebranie zacznie się dopiero za dziesięć minut, ale Jonasz lubi być w sali konferencyjnej przed czasem. Żeby wszystko ogarnąć.

– Nie tylko przejdzie – sapie Marcin kilka kroków za nim. – Nie tylko przejdzie, ale to ty ją przepchniesz.

– Jezu, człowieku. – Jonasz zatrzymuje się, zerka w ciemną szybę, poprawia krawat. I znowu rusza szybkim krokiem. – Czy wy uważacie, że ja jestem jakimś Panem Bogiem czy coś?

– Blisko – dyszy Marcin. – Jesteś naszym człowiekiem do zadań specjalnych.

– Jasne. Przekonać kontrahentów: Jonasz. Zdobyć w pół dnia wszystkie podpisy na papierach: Jonasz. Posprzątać, jak się zrobi burdel: Jonasz.

– A co, każda firma musi mieć swojego Jonasza. Jesteś niezastąpiony. Nie cieszysz się?

– Jak cholera – mruczy Jonasz. Pcha drzwi do sali konferencyjnej.

W środku na razie jest chłodno, jednak później, kiedy zejdą się wszyscy, będzie trzeba skręcić klimę o dwa, trzy stopnie. Jonasz wie, że takie szczegóły są ważne. Jeśli na zebraniu przedstawiciel głównego kontrahenta będzie się pocił, szansa, że podejmie decyzję o wyłożeniu kasy, zmaleje. Jonasz rozumie związek między komfortem termicznym a wysokością sumy. I pewnie właśnie dlatego jest człowiekiem do zadań specjalnych.

Ale później, kiedy wszyscy są na miejscu i Jonasz zaczyna swoją prezentację, okazuje się, że coś jest chyba nie tak z pokrętem od klimy, chociaż według tego faceta z serwisu wszystko powinno działać. Chociaż Jonasz osobiście ustawił temperaturę na osiemnaście stopni, w sali robi się duszno. Przynajmniej wreszcie znalazł antyperspirant, który całkowicie, naprawdę całkowicie hamuje wydzielanie potu. Jonasz nieznacznie pręży ramiona i czuje, że koszulę



pod pachami ma suchą, su-chu-teń-ką! Jakie to przyjemne uczucie móc przestać myśleć o tym, czy już się śmierdzi, czy jeszcze nie, i skoncentrować się na ważnych rzeczach. Na przykład na tym, czy te dupki zatwierdzą im budżet.

Słońce świeci mu prosto w oczy przez niedomknięte żaluzje. W sali konferencyjnej może i jest osiemnaście stopni, jednak na dworze pewnie już dochodzi do trzydziestu. Globalne ocieplenie to nie fikcja. Może, jak to wszystko się uda, wyskoczyłby jeszcze na weekend nad jezioro na łódkę. Poranki wciąż są chłodne, wieczory też, ale w południe można by popływać...

Przedstawiciel inwestora chrząka i Jonasz wraca do rzeczywistości.

– Poprzednia galeria się spaliła – mówi przedstawiciel.

Jonasz kiwa głową. Nigdy nie należy zaprzeczać faktom.

– A teraz budują państwo nową, dokładnie w tym samym miejscu...

Zawiesza głos.

Jonasz odczekuje dłuższą chwilę. Nikt się nie odzywa.

– Czy to było pytanie? – pyta w końcu.

– Proszę to tak potraktować – odpowiada zimno przedstawiciel inwestora.

Jonasz bierze głęboki wdech.

– Nie będę przed państwem ukrywać, że popełniliśmy wiele błędów. Nie będę też zajmować państwa czasu ich wyliczaniem, wszystko jest w sprawozdaniu.

Przerywa, patrzy po zebranych. Słuchają w skupieniu. A to już dobry znak. Bardzo dobry.

– Ale, jak mawiał Napoleon Bonaparte: ten nie robi błędów, kto nic nie robi. – Takie cytaty zawsze wywierają dobre wrażenie. – A my staramy się działać. Nie pozostawać w miejscu. Iść z duchem czasu.

Obraca się do tablicy z prezentacją i kontynuuje:

– Jesteśmy już właścicielami gruntów, co bardzo obniża koszty. Lokalizacja jest doskonała, najlepsza z możliwych. Udowodniło to otwarcie galerii. Jak państwo wiecie, waliły do nas tłumy. Proszę otworzyć foldery na stronie trzydziestej czwartej, zobaczą państwo podsumowanie wyników sprzedażowych za ten jeden, jedyny dzień.

Wszyscy posłusznie przewracają strony i do Jonasza docierają szepty. Tak,

on sam wie, że wyniki są imponujące. Wyprzedzili konkurencję o kilka długości.

– Po prostu musimy iść za ciosem. Wykorzystać dobrą opinię, którą już mamy.

– Dobrą opinię? – parska kobieta siedząca po prawej stronie głównego przedstawiciela inwestora. – Zginęły trzy osoby, kilka zostało rannych. Pan to nazywa dobrą opinią?

Jonasz wchodzi jej w słowo.

– Po pierwsze, śmierć tych osób była rezultatem włamania, pojawienia się w galerii osób nieupoważnionych. To ci obcy spowodowali pożar. W tej kwestii nie mamy sobie nic do zarzucenia. To był po prostu – Jonasz rozkłada ręce – nieszczęśliwy wypadek.

Patrzy na kobietę. Ta milczy.

– Po drugie, ludzie tego nie pamiętają. Zrobiliśmy ankietę, zapytaliśmy rozmówców, którą z trzech proponowanych lokalizacji uważają za najlepszą pod galerię handlową. Siedemdziesiąt osiem procent wybrało właśnie tę. Siedemdziesiąt osiem procent! To o czymś świadczy, prawda?

Marcin na końcu sali poprawia się na krześle. Jonasz przenosi spojrzenie na przedstawiciela inwestora. Ten kiwa głową, leciutko, można przeoczyć. Ale Jonasz widzi.

– A po trzecie, kiedyś nazywano to *succès de scandale*. – Popisuje się ładnym francuskim akcentem, po prostu nie może się powstrzymać. – Im więcej będą o nas mówić, wszystko jedno, czy dobrze, czy źle, tym więcej ludzi do nas przyjdzie. Wskazują na to badania socjologiczne, zebrane wyniki mogą państwo znaleźć w folderze na ostatniej stronie.

– Jasne – mówi Małgorzata z promocji. Ewelina już tu nie pracuje. Jonasz nie zapomniał, jak rzuciła mu kłody pod nogi podczas ostatniego ważnego zebrania z przedstawicielem inwestora. Nie zapomniał, wyciągnął wnioski, a potem uruchomił kontakty i Ewelina odeszła z miesięcznym wypowiedzeniem. – Jasne. Przecież to nasze motto: nie ma złego piaru, jest tylko piar.

Jonasz uśmiecha się do niej i mówi dalej:

– Przejdźmy teraz do konkretów. Proszę spojrzeć na wizualizację. Opiera się

na rozkładzie: parter – piętro. Obie kondygnacje są zbliżone powierzchniowo. A ponieważ zależało nam na wrażeniu lekkości, ich plany się nie pokrywają.

Przerzuca na kolejny slajd. Widać na nim dwa oddzielne plany, opatrzone podpisami zbyt małymi, żeby je odczytać z drugiej strony konferencyjnego stołu.

– Alejki zostały zaprojektowane w formie przenikających się pętli, którymi można wędrować z poziomu jeden na poziom dwa i z powrotem. W wielu miejscach widzą państwo prześwity pozwalające utrzymać kontakt wzrokowy między poziomami.

Tym razem od inwestora przysłali innych ludzi. Główny przedstawiciel, facet dobrze już chyba po sześćdziesiątce, przyszedł w garniturze za dużym o dwa numery i do tego pomiętym. Ciągłe się wierci, jakby miał w tyłku robaki, i co chwila pochyla się do drugiego, młodszego i lepiej ubranego, ale też nadaktywnego. Wymieniają uwagi, coś szepczą. Jonasz czuje, że jeszcze chwila, a zwróci im uwagę jak dzieciakom w szkole. Przygryza wargę, bierze głęboki wdech.

– Ponieważ zdecydowaliśmy się na wybujałą formę architektoniczną, postawiliśmy na bardziej stonowaną kolorystykę. Dominować będą szarości i błękity, czyli barwy, które według teorii kolorów raczej wyciszają i uspokajają, a nie dodają energii. – Jezu, gdyby mnie ktoś tak teraz uspokoił i wyciszył, myśli. I ciągnie dalej: – Dlatego dodaliśmy akcenty w dwóch innych kolorach o przeciwnym oddziaływaniu: w złocie i czerwieni. Chcemy, żeby wnętrze stwarzało wrażenie spokojnej elegancji, miejscami nawet wyrafinowania. Bo barok, a nawet neobarok, proszę państwa, już się skończyły. Teraz czas na elegancję.

Przedstawiciele głównego inwestora znowu do siebie szepczą. Jonasz naprawdę wołał już chyba tych poprzednich, o nieruchomych spojrzeniach jaszczurek.

Postanawia przejść do głównego punktu programu.

– Czas przedstawić państwu nazwę naszej nowej, świeżo zaprojektowanej galerii.

Powstrzymuje się, żeby nie powiedzieć „tadam”, przyciska guzik na pilocie i zmienia slajd.

Zebrani nieruchomieją. I cichną. Jonasz słyszy ich oddechy.

Tylko przedstawiciel głównego inwestora, ten stary, w za dużym garniturze, aż sapie ze zdziwienia. Pochyla się do swojego kolegi, szepczą do siebie przez kilka sekund, a potem ten stary mówi:

– Chyba państwo żartują.

– Bynajmniej. – Jonasz się uśmiecha. – Widzę, że przydałoby się kilka słów wyjaśnienia.

– Koniecznie – mówi cierpko ten młodszy, w lepiej dopasowanym ubraniu.

– Badania socjologiczne, opublikowane przez Hardy'ego i Penna wskazują wyraźnie, że ludzie lubią ciągi skojarzeniowe. Podobają nam się tylko te piosenki, które znamy, prawda?

Robi pauzę na śmiech. Nikt nie chichocze, ale kilka głów się porusza, pamiętają cytat.

– W pierwszym dniu otwarcia galeria RAJ pobiła frekwencyjny rekord.

– To był jednocześnie ostatni dzień jej otwarcia – wtrąca kobieta siedząca po prawej stronie przedstawiciela inwestora.

Jonasz od początku zebrania wiedział, że to idiotka. Najpierw ma ochotę pozostawić tę uwagę bez komentarza, jednak później dochodzi do wniosku, że jednak nie może.

– To prawda, galeria spłonęła. Ale wydarzyło się to już po zamknięciu, nie było paniki, pożar nie wywołał u kupujących traumy.

– A wcześniejszy alarm?

Jonasz macha lekceważąco ręką.

– To i tak wydarzyło się tuż przed zamknięciem. Większość klientów uznała to za ćwiczenia. Wielu z nich w ogóle nie pamięta żadnego alarmu. Pytaliśmy o to, Myśleli, że już po prostu zamykamy galerię na wieczór.

Kobieta siedząca po prawej stronie przedstawiciela inwestora chce coś jeszcze dodać, ale Jonasz unosi palec.

– Wszyscy ankietowani klienci zapamiętali RAJ jako... no, raj. Dziewięćdziesiąt osiem procent było bardzo zadowolonych z układu galerii i wystroju wnętrza, dziewięćdziesięciu dwóm procentom podobało się oświetlenie, dziewięćdziesięciu trzem muzyka. I – uwaga! – dziewięćdziesiąt

dziewięć koma dwa procent zrobiłoby w tej galerii zakupy jeszcze raz. To jest absolutny rekord, nigdy nie mieliśmy tak pozytywnych wyników.

Zebrani milczą. Tylko klimatyzacja szumi.

Jonasz mówi dalej:

– Oczywiście nie będziemy uprawiać autoplagiatu. Ale chcemy, żeby nowa galeria była subtelnym nawiązaniem do Raju, zarówno pod względem aranżacji przestrzeni, jak i wystroju. Stąd tak intensywne zastosowanie linii krzywych w architekturze i wrażenie wypełnionego światłem wnętrza. Nawiązaniem, nie kopią. Chcemy więc, żeby nazwa również była nawiązaniem.

– Księża nas wyklną z ambon – mruczy cicho ta kobieta po prawej stronie przedstawiciela inwestora.

Jonasz zwraca uwagę na słówko „nas”. Czyli już identyfikuje się z projektem. Czyli i tym razem jego, Jonasza, reputacja podskoczy o kilka punktów.

– A niech wyklinają. – Jonasz prostuje plecy i przesuwając wzrokiem po zebranych: – Ale niech państwo powiedzą, tak szczerze i poważnie, czy można sobie wyobrazić lepszą, bardziej kuszącą i bardziej zachęcającą nazwę niż NIEBO?

## POSŁOWIE

To moja pierwsza powieść, w której nie ma ani jednego archeologicznego wątku. Poważnie. Oddaję ją w Wasze ręce z pewnym niepokojem. Jeśli Wam się spodoba (albo i nie, jednak liczę na to pierwsze), odezwijcie się do mnie na Facebooku i napiszcie, co sądzicie. Jestem tego bardzo ciekawa.

Praca pisarza jest samotna, ale gdyby nie otaczający go dobrzy ludzie, szczerłby w tej samotności i powieść nie ujrzałaby światła dziennego. Wielu dobrych ludzi pomogło mi przy pisaniu tego tekstu.

Andrzej Pruski, Bartek Szczygielski i Kuba Ćwiek wykazali się niezwykle cierpliwością, tłumacząc mi, osobie komputerowo zdolnej inaczej, różne aspekty hakowania sieci komórkowej. Większość z tego ostatecznie wypadła z tekstu, ale panowie ogromnie poszerzyli moje horyzonty i może znajdę zastosowanie dla tej wiedzy w następnej książce. Cudowna pani profesor Jolanta Walusiak-Skorupa opowiedziała mi wszystko, co chciałam wiedzieć na temat narkotyków i dopalaczy, i podpowiedziała, czego nie brać, jeśli ma się słabe serce. Przy okazji: okazało się, że liczne grono moich fejsbukowych znajomych bardzo chętnie podzieliłoby się ze mną podobną wiedzą. Czy to coś znaczy...? Moja Zbrodnicza Siostra Aga Krawczyk wsparła mnie – moralnie i merytorycznie – kiedy zaczęłam gonić w piętękę i nie potrafiłam poradzić sobie z zasupłaną akcją. W podobnych okolicznościach (czyli kiedy nie wiedziałam, co dalej) Piotr Wojnar pomógł mi wymyślić zakończenie powieści, które co prawda ostatecznie nie znalazło się w tekście, ale otwarło moją wyobraźnię na nowe możliwości. Piotrek, jeśli uznasz kiedyś, że masz już dosyć pracy prawnika, powinienes zacząć pisać powieści sensacyjne! Wsparcie moralne (głównie za pomocą różnych wariantów „nie martw się, dasz radę”) ofiarowała mi też wielokrotnie Magda Śniecińska. Moje wspaniałe wiedeńskie przyjaciółki Andrea Ertl i Kathi Fritz często zabierały do siebie moje dzieci, żebym mogła w spokoju pisać. Gdyby nie one, pewnie siedziałabym nad tą książką do dzisiaj.

Wielkie podziękowania należą się też całemu zespołowi wydawnictwa Marginesy, a szczególnie mojej redaktorce Karolinie Macios, która tym razem

nie była dla mnie szczególnie okrutna, ale hej!, nie martwmy się, będzie przecież następna okazja.

Zawsze przy końcu w pośłowie (ale na pierwszym miejscu w sercu!) umieszczam podziękowania dla mojego Partnera i Dzieci. Najlepiej pasują tu słowa piosenki Beach Boys: *God only knows what I'd be without you...*

I wreszcie: dziękuję Tobie. Za to, że czytasz!

Marta Guzowska  
Wiedeń, 27 stycznia 2019